Sczytanie: Mirosława Sienkiewicz
Weryfikacja: Jan Sienkiewicz

Dziennik
Rok 1918 (luty-czerwiec)
Michał Römer
Sędzia pokoju w Kolnie
Kolno, 13.II.1918
Tom XXIV

13 lutego, rok 1918, środa
Nastał smutny dzień odjazdu Maryńki. Kocham ją; ze wszystkich sióstr jest mi ona najbliższa, bo zarówno wiek nas od małego dzieciństwa zbliżał, jak później losy życia wciąż nas ze sobą szczególnie stowarzyszały. I teraz przez te dwa tygodnie tak przywykłem do jej obecności w domu, że brak mi jej będzie wielki, a samotność kolneńska jeszcze cięższą niż poprzednio się wyda. Samotność jest dobra dla wypoczynku, ale tylko na bardzo krótko. Na dłuższą metę jest ona ciężarem wielkim. Ha, trudno. Muszę do czasu dźwigać mój krzyż w Kolnie. Dzięki Bogu i za te dwa tygodnie, przez które miałem Maryńkę u siebie.
Kreisschef v. Cornberg pożyczył nam parę swoich koni z wygodną bryczką resorową i furmanem do odwiezienia Maryńki do Łomży na kolej. Wyjechaliśmy o godz. 9 rano. Przed odjazdem przyszedł Goldberg i Remba, a potym Mystkowski dla złożenia Maryńce uszanowania na pożegnanie. Maryńka zostawia po sobie miłą pamięć w Kolnie wśród tych, którzy ją poznali. Słodyczą swoją zdołała ująć serdecznie wszystkich, z kim się zetknęła. Droga do Łomży upłynęła nam prędko. Rosłe konie biegły dobrze po szosie. Był leciutki mrozik, powietrze czyste. W niespełna trzy godziny przyjechaliśmy do Łomży. Tam zaszliśmy z Maryńką na chwilkę do sądu dla złożenia wizyty prokuratorowi Urbanowiczowi, zjedliśmy obiad w Rembielinie i udaliśmy się na pociąg. O godz. 2.41 Maryńka odjechała. Skończyła się ta wizyta siostrzana, której tak długo czekałem i do której przez parę miesięcy tęskniłem. Zostałem sam. Dziś jednak nie uczułem jeszcze tak mocno pustki po jej wyjeździe. Rozerwała mię Łomża, nowiny, które mię doszły, ludzie, z którymi się spotkałem. W całej pełni uczuję tę pustkę dopiero zapewne w Kolnie.
Oczywiście najważniejszą sprawą dnia, która pochłania wszystkich, jest nieszczęsna sprawa chełmska w pokoju z Ukrainą. W całej Polsce wrażenie doznanego ciosu jest ogromne. Zaiste opinia polska przyjęła ten wypadek jako hiobową wieść czwartego rozbioru Polski. W Warszawie i Krakowie przedstawienia w teatrach zostały wczoraj odwołane, miasto okryło się żałobą, czarne chorągwie rozwieszono po domach w Warszawie. Ministerium Kucharzewskiego *in corpore* podało się do dymisji. W Wiedniu Koło Polskie zerwało z rządem i przeszło w całości do opozycji, łącząc się z Czechami i Słowianami Południowymi. Konsternacja i powaga zarazem w ocenie nieszczęścia – ujawniły się w całej sile. Bo już nie tylko o samą Ziemię Chełmską chodzi, która *notabene* została w traktacie pokojowym wykrojona w granicach aż zanadto faworyzujących Ukrainę, ale o rzecz głębszą i zasadniczą – o fakt stanowienia o Polsce bez Polski. Jeżeli można traktatem między Ukrainą a Niemcami i Austrią krajać formalne terytorium Królestwa Polskiego i wykreślać jego granice na południowo-wschodnim skraju, jeżeli można sporną sprawę chełmską likwidować bez udziału i bez pytania Polski, to równie dobrze mogą potem Niemcy uciąć sobie połeć po Narew lub po Wartę, Austrii zaś podarować południową część Królestwa, słowem – robić z Polską, co się podoba. Gdzież więc jest ta „niepodległość”, głoszona aktem 5

listopada 1916 i pozorowana w Radzie Regencyjnej i tym podobnych fikcjach państwowych? Czyż można sobie wyobrazić państwo niepodległe, o którego terytorium i granicach decydują obcy bez zasięgania nawet jego opinii, a tym mniej woli? Sprawa chełmska demaskuje ową „niepodległość" i stawia Polskę wobec możliwości wszelkich zachcianek kaprysu i gry interesów niemiecko-austriackich. Wobec tego kwestia zasadności praw ukraińskich do Ziemi Chełmskiej staje się rzeczą podrzędną. W pewnych granicach zasadność ta, rozważana bezstronnie, mogłaby być, moim zdaniem, uznana, ale nie o nią tu chodzi. Faktem jest, że spełniony został brutalny gwałt, depczący wszelkie prawo; bo prawo Polski do głosu w spornej kwestii jest elementarnie niewątpliwe. Skoro możliwy jest taki jeden akt gwałtu, to może być ich tyle, ile się sprawcom jego zechce. Dla gwałtu nie ma żadnych granic. Nic to nie umniejsza gwałtu, że Polska, która dziś jest jego zmaltretowaną ofiarą, sama w innych tendencjach swoich usiłowała osiągnąć swoją korzyść na tej samej drodze i byłaby chciwie przyjęła czy to Wołyń, czy wielkie obszary Białej Rusi, nie zastanawiając się nad sposobem, w jaki by je jej udzielono. Dzisiaj sama, biedna, ofiarą takiego gwałtu padła. Horoskopy są stawiane różne. Nastrój względem Niemiec w Polsce stał się nienawistny. Kto wie, czy Polska nie jest bliska aktów rozpaczy. Zaiste – męczeńska jej dola. Ja osobiście gotów jestem przypuścić, że Niemcy, aby Polskę ugłaskać, zechcą ją „wynagrodzić" ochłapem obwodu białostockiego.

14 lutego, rok 1918, czwartek
Rano wróciłem do Kolna. Tęskno mi do Maryńki. Mieszkanko moje, w którym przywykłem do jej obecności, wydaje mi się teraz bardzo pustym. Po powrocie zajechałem wprost do sądu, do zajęć. Na obiad też nie poszedłem do Chodnickiej, bom się tak wdrożył przez czas pobytu Maryńki do jadania w domu, że mi się nie chciało tak zaraz tej tradycji zrywać. Gdym o godz. 1 w porze obiadowej szedł do domu, smutno mi się bardzo zrobiło; bo oto zwykle wracałem o tej porze do domu, gdzie zastawałem krzątającą się Maryńkę, która kończyła przyrządzanie obiadku i czekała mojego przyjścia; teraz natomiast – pustka czterech głuchych ścian. Nie miałem obiadu. Poprzestałem na szmalcu smarowanym na chleb, wieczorem zaś podsmażyłem w piecu kawałek szynki i wypiłem mleko, przekąsując kawałkiem piernika, upieczonego mi na wyjezdnym przez Maryńkę. Trzeba się znowu do samotności przyzwyczaić.
Wczoraj w Łomży dowiedziałem się nieco nowin o internowanych Szczypiorniakach. Widziałem się z p. Jarnuszkiewiczową, która jest z nimi w bliskim kontakcie, i poza tym w cukierni spotkałem się z dwoma uwolnionymi z obozu, z których jeden, niejaki Florczyk, pochodzi z Piątnicy pod Łomżą, drugi zaś, Warszawianin, tegoż dnia właśnie uwolniony został. Obaj są z I pułku piechoty, znani mi z widzenia; poznali mię pierwsi, mimo że się ogromnie od czasów szczypiorniackich zmieniłem, bo utyłem odtąd i pogrubiałem chyba podwójnie. Dowiedziałem się od nich różnych nowin o internowanych. Warunki ich się bardzo poprawiły w Łomży w porównaniu do Szczypiorna, gdzie w ostatnich czasach w jesieni znosili prawdziwe tortury chłodu i wszelkich niewygód. Koszary łomżyńskie były dla nich prawdziwym wybawieniem. Mają tu opał (torf i drzewo), mają oświetlenie wieczorem, chleba pod dostatkiem, wikt, dzięki dowozowi z Komitetu Łomżyńskiego niezły. Mają nadal własną samorządną komendę, na której czele stoi obecnie sierżant Dan-Stachlewski z ułanów; komenda ta jest formalnie przez władze obozowe niemieckie uznana, Dan zaś uzyskał nawet prawo wychodzenia na miasto bez eskorty, tylko na słowo honoru (pozwolenie to jest mu dane nieurzędowo). Ogół internowanych jest podzielony na osiem kompanii; na czele każdej stoi podoficer. W Łomży funkcjonują wśród internowanych kursy agronomiczne (oczywiście teoretyczne tylko), kursy maturalne, nauka gimnastyki; wszystko to

zorganizowane własnymi siłami. Urządzili też w obozie przedstawienie kabaretowe, którego program, dowcipnie ułożony, pokazywała mi p. Jarmuszkiewiczowa. Kierownikiem tego kabaretu był Lehr, który obecnie już został uwolniony. Legioniści, których spotkałem w cukierni, opowiedzieli mi o przejmujących zgrozę epizodach strajku głodowego, który miał miejsce w Szczypiornie na tle ich protestu przeciwko kartkom z numerami, które im władze obozowe chciały narzucić do noszenia; ostatecznie strajk ten doprowadził do kompromisu, w myśl którego kartki z numerami zostały rozdane, ale bez obowiązku noszenia ich na ubraniu. O bliższych kolegach z mojej kompanii niewiele się zdołałem dowiedzieć. W szczególności dowiedziałem się, że Wiktor Wąsowicz jeszcze w Szczypiornie został aresztowany pod zarzutem organizowania politycznego internowanych i pod posądzeniem, że jest oficerem i wywieziony; dokąd – tego nie wiedzą. Oficerów jeszcze się dotąd kilku ukrywa między Szczypiorniakami; Szajewskiego wszakże już wśród nich nie ma, bo go wykryto, aresztowano i wywieziono. Przed paru dniami znowu się zdarzył wypadek zgłoszenia się pewnego grona internowanych do przysięgi. We wtorek wywieziono z obozu – do kadry do Zegrza czy Ostrowia – przeszło 200 takich amatorów przysięgi, dezerterów sprawy, za którą cierpią internowanymi. Smutny to objaw upadku, ale nieunikniony wśród mąk tak długich. Wśród nich znalazł się także sierżant Figler-Balbin, który był komendantem I kompanii internowanych. Na jego miejsce komendantem został Korzeniowski.

15 lutego, rok 1918, piątek
Tęgi mróz. Dzień słoneczny. W mieszkaniu moim jak w lodowni.
Dzień sesji sądowej. Miała być kolejna sesja czysto chrześcijańska; na wokandzie same sprawy chrześcijańskie, obaj ławnicy – chrześcijanie, Kocik i Stachelski; ponieważ jednak Kocik uprzedził, że przybyć nie może, w sesji wziął udział zamiast niego Remba. Sesja trwała krótko – o południu się zakończyła. Z siedmiu spraw, które były na wokandzie, cztery nie były sądzone z powodu niestawienia się stron, względnie zrzeczenia się oskarżenia lub powództwa, w jednym zaś wypadku – śmierci. Między innymi, na dziś była wyznaczona sprawa z oskarżenia przez Olszewskiego jego żony i Antonowicza o cudzołóstwo; przed dwoma dniami wszakże Olszewski oskarżenie cofnął i prosił o umorzenie sprawy, co też zostało wykonane. Sądzone więc dziś były tylko trzy sprawy, z których dwie, jedna karna z oskarżenia Antonowicza przez Olszewskiego o pobicie i jedna cywilna z powództwa Ruszczyka przeciwko Czerwińskiemu, zostały odroczone dla zbadania uzupełniających dowodów i tylko jedna, z powództwa mego gospodarza Pikulińskiego przeciwko czterem gospodarzom kolneńskim o wynagrodzenie szkód i strat za spasioną łąkę, została zasądzona wyrokiem.
Są pogłoski, że w najbliższym czasie władze okupacyjne mają dokonać częściowej dość znacznej ewakuacji z Polski, oddając w ręce polskie administrację i cały szereg gałęzi i atrybucji władzy państwowej. Być może, że w ten sposób, przez te ustępstwa dalsze na rzecz suwerenności państwa polskiego, chcą one kompensować Polaków za to skandaliczne podeptanie niepodległości, którego się dopuściły w traktacie pokojowym brzeskim z Ukrainą w sprawie chełmskiej. Przedwcześnie byłoby jednak snuć jakieś horoskopy na temat stosunku okupacyjnych państw centralnych do Polski. Czy zechcą one zrzec się „matkowania” względem Polski, doprowadzającego do takich aktów, jak rozdrapywanie jej terytorium i zrealizować jej państwowość suwerenną, czy dalej, matkując, wynagradzać ją za stratę przez przyłączenie do niej białostockiego obwodu, czy wreszcie, jak się część prasy niemieckiej wyraża, porzucić Polskę na pastwę jej własnego losu? Są to wszystko jeno domysły. Przypuszczam jednak, że do czasu

uregulowania całego kompleksu spraw wschodnich, Niemcy i Austria nie wypuszczą z pazurów „opieki" swojej Polski i będą usiłować sprawę chełmską czymś skompensować – czy to przez terytorialną Polski ekspansję, czy też przez ustępstwa wewnętrzne. Wisi jeszcze nad Polską złowrogie widmo „uregulowania granic" przez Niemcy jej kosztem. Są też pogłoski o zamiarze Niemiec proklamowania w najbliższych dniach niepodległości Litwy. Oczywiście będzie to niepodległość w podobny sposób wykonywana, jak niepodległość Polski z aktu 5 listopada 1916, niepodległość, której celem będzie wytworzenie z Litwy niemieckiego hinterlandu, służebnego w stosunku do mocarstwowych interesów Niemiec. W stosunku do Litwy będzie to zapewne jeszcze silniejsze, niż się stało w stosunku do Polski, tym bardziej, że Litwa leży na drodze ekspansji niemieckiej w kierunku wschodnich wybrzeży Bałtyku. Czym jednak się to wszystko skończy – trudno jeszcze zgadywać. Wszystko jest jeszcze lotne na wschodzie i wszystko podminowane fermentami ludowymi i narodowymi, których wybuchu i ewolucji oraz konsekwencji przewidzieć niepodobna. Cała Austria wre i fermentuje; kraje okupowane kipią wolą rewolucyjną, a dalej na wschód, w Rosji – bolszewizm i rewolucja. Pod kolosem niemieckim wulkan również rośnie. Rola i działanie wojsk polskich w Rosji są także zagadką tragiczną, której rozwiązania przewidzieć jeszcze nie można.

16 lutego, rok 1918, sobota
Mróz z dnia na dzień coraz większy, ale za to słonecznie i pięknie. Najgorsze tylko to, że w mieszkaniach zimno. U mnie, pomimo palenia, temperatura nie podnosi się zapewne wyżej ponad stopni 7-8°, a rano jest po 3-5°. Pod wiosnę jednak łatwiej się to znosi, niż na jesieni. Ukazała się dziś odezwa Rady Regencyjnej do narodu z powodu sprawy chełmskiej. Nie wiem, czy opublikowanie jej w pismach było dopuszczone przez cenzurę wojenną niemiecką, czy też zostało dokonane bez wiedzy cenzury. Oczywiście Rada Regencyjna w wydaniu odezwy jest wolna, ale w warunkach okupacyjnych opublikowanie każdej rzeczy wymaga pozwolenia cenzury. Odezwę tę czytałem dziś w „Głosie", którego numer przyszedł do p. Mystkowskiego. Numer ten ma formę wydania nadzwyczajnego. Zawiera tylko rzeczoną odezwę, motywowany akt dymisji gabinetu Kucharzewskiego oraz protest w tejże sprawie Warszawskiej Rady Miejskiej. Zwykle numery gazet, wychodzących w okupacji niemieckiej, są zaopatrzone napisem: „Za pozwoleniem cenzury niemieckiej". Ten numer napisu tego nie posiada. Innych gazet z tą odezwą dotąd jeszcze nie widziałem. Jednak podobno w „Dzienniku Poznańskim" jest ona także wydrukowana.
Odezwa Rady Regencyjnej stanowi energiczny protest, wyrażony w silnych słowach i w tonie szlachetnym. Kwalifikuje ona bez ogródek akt gwałtu, dokonany na Polsce, odwołując się do sumienia ludów i do niewzruszonych zasad sprawiedliwości i prawa. Demaskuje pogwałcenie frazesu o wolności stanowienia ludów (samookreślenia), którym operowano wobec opinii ludzkości, gotując w Brześciu po cichu akt najprostszego rabunku i gwałtu. Odmawia uznania przez Polskę jak obecnie, tak w przyszłości, tego brutalnego zaboru cząstki terytorium, dokonanego bez wiedzy i sankcji Polski. Co więcej – określa czyn ten jako pogwałcenie, złamanie słowa monarszego Niemiec i Austro-Węgier, jako unicestwienie gwałtem tym aktów z d. 5 listopada 1916 i z d. 12.IX.1917, tworzących rzekomo i uznających niepodległy byt Polski. Wykazuje obłudę i fałsz, z jakim traktowano sprawę dopuszczenia Polski do udziału w rokowaniach brzeskich, gdzie tymczasem cichaczem spełniano na Polsce rabunek. Ujawnia w prostych słowach nicość rzekomej przyjaźni i opieki, udzielanej Polsce przez mocarstwa centralne. Wreszcie, zrywając z tradycją oparcia tworzenia się Polski i jej zaczątków władzy o mocarstwa centralne, nawiązuje nić związku władzy

polskiej z narodem i już nie o poparcie obcych, nie o poparcie siły zewnętrznej, jeno o naród i jego żywotną siłę i wolę opiera przyszłość dalszych poczynań. W zasadzie odezwa ta, jeżeli Rada Regencyjna pozostanie konsekwentna, stanowi punkt zwrotny w polskiej budowie państwowej. Nie władza królewska czy regencyjna odtąd, oparta o wolę i łaskę monarchów Niemiec i Austro-Węgier oraz siłę bagnetów pruskich i dobierająca sobie do rządzenia jakieś Rady Stanu, z nominacji utworzone, lecz Naród i Sejm winny się stać źródłem jedynym praw i bytu Polski. Nieszczęście chełmskie i gwałt powaliły w gruzy fałszywą budowę, jaką usiłowano Polsce bez jej narodu nadać. Do Konstytuanty to i do praw i woli ludu otwiera drogę. Oby konsekwentnie i prosto dalej. Jest w tej odezwie zwrotny moment, orientujący się ku rewolucji. Wszakże co do metod wskazanych – jest nie rewolucji droga, jeno oporu biernego, legalizmu i wytrwania przez skupienie obronne. Zaznaczone to jest w wezwaniu do strzeżenia dóbr już nabytych (sądownictwo, szkolnictwo), do rozwagi i hartu w wytrwaniu. Kto wie, która metoda jest lepszą: czy metoda lewicy, która prowadzi do rewolucji, stawiając na kartę wszystko, czy metoda prawicy, propagująca wytrwały i ścisły opór bierny z konserwowaniem nabytków? Rewolucyjne hasło woli i prawa ludu zwyciężyło powszechnie, ale metody jego realizowania pozostały zasadniczo różne.

17 lutego, rok 1918, niedziela
Niedziela. Nowin nie ma. Dzień bez poczty.
Pogoda słoneczna. W mieszkaniu przejmujący chłód. Na domiar złego – brak opału. Mam jeszcze trochę torfu, ale drzewo się skończyło, a bez drzewa torfem palić w moim piecu, ze względu na jego konstrukcję, to prawie bezcelowe. Nie wiem, co to będzie jutro, bo w sądzie cały opał się już wyczerpał, a świeży zapas ma być dopiero jutro dostarczony, jeżeli znów furmanki, nakazane z gminy Czerwone, nie skrewią.
Miałem dziś do wyznaczenia spraw, uzbieranych z tygodnia ubiegłego, aż... 36! Ilość z tygodnia niezwykła. Wszakże w tej liczbie jest 25 powództw Kolneńskiego Towarzystwa Pożyczkowo-Oszczędnościowego przeciwko różnym dłużnikom. Towarzystwo to sypnęło w tym miesiącu w sumie ogółem 32 sprawy.
Dziś wreszcie poszedłem już na obiad do Chodnickiej. Odtąd znów stale będę się tam stołował, jak przed bytnością Maryńki.
Wieczorem byłem na herbatce u Goldberga. Oto i cały dzień.

18 lutego, rok 1918, poniedziałek
Całe przedobiedzie miałem w sądzie zajęte. Miałem dwie rady familijne i zbadanie szeregu świadków w pewnym śledztwie. Zimno było w sądzie niemiłosiernie. Dywizjonek podpalił w piecach drzewem, pożyczonym od gospodarza domu, Szklaniewicza, ale po wczorajszym dniu nieopalanym mało to skutkowało.
W Warszawie, jak poniekąd widać z gazet i jak słychać z nadchodzących wieści, niezupełnych jeszcze, odbywają się manifestacje i rozruchy. Przede wszystkim, odbyła się jednodniowa uroczysta manifestacja żałoby narodowej, której przebieg był imponująco solidarny. Była to manifestacja biernego protestu. Stanęły wszystkie instytucje publiczne i prywatne, zawiesiły czynności sądy, szkoły, urzędy, ustał ruch tramwajów, zawieszone zostały widowiska, zamknięte kawiarnie, restauracje, sklepy. Zdaje się też, że były demonstracje uliczne. Ogromne wrzenie ogarnia też Kraków i Lwów, ujawniając się w wybuchach. W Galicji kipi. W Królestwie też całym ferment narasta. Lublin był widownią manifestestacji. Chodziły dziś w Kolnie pogłoski, że i w Łomży jakieś zajścia miały miejsce. Rozczarowanie głębokie, rozpacz polityczna, krzywdy zadane, wespół z niedostatkiem, szerzącą się samowolą i rabunkiem władz okupacyjnych, wreszcie upadek perspektyw pokojowych i dalszy do nieskończoności

chaos wojny i katastrofy światowej – wszystko to razem wytwarza grunt niesłychanie podatny dla fali rewolucyjnej. Polacy, przedstawiciele Austrii w Polsce, jak generał-gubernator lubelski, hr. Szeptycki, Madeyski, przedstawiciele austriaccy w Warszawie, wśród nich Rosner – podali się do dymisji. Rada Regencyjna, jak doniosły gazety, wystosowała pisma do cesarzy Wilhelma i Karola; tekst tych pism nie był opublikowany. Czy pisma takie były potrzebne? Czy nie należało raczej poprzestać na wydanej odezwie do narodu, której jednak widocznie cenzura wojenna do reprodukcji publicznej nie dopuściła, bo nie ukazała się ona w innych pismach warszawskich, prócz owego extra numeru, widocznie przemyconego, „Głosu", w którym ją czytałem? Czy poprzestanie na uroczystym odwołaniu się do narodu i do źródeł ludowych wobec aktu gwałtu, bez zwracania się do tych monarchów, którzy gwałt z podeptaniem słowa swego usankcjonowali, nie byłoby silniejszym?
W Kolnie też nastrój w dniach ostatnich niewesoły. W takiej małej mieścinie nad wypadkami dziejowymi, nawet narodowymi, dominują oczywiście troski powszednie i sprawy bardziej pospolite, niższego rzędu. Dzisiaj oto żołnierze niemieccy dokonywali po domach prywatnych rewizji, zabierając wszelkie znalezione, nieraz bardzo szczupłe, zapasy zboża, jak również znajdywaną wełnę, przędzę itd. Dużo było płaczu w mieście, dużo w sercach wściekłości i rozpaczy. Inna sprawa, budząca troskę u mieszkańców Kolna: oto od kilku dni zaczęła już funkcjonować w Kolnie przy ul. Gromadzyńskiej fabryka kiełbas i konserw mięsnych, zainstalowana z wielkim nakładem pieniędzy, z hojnym szafowaniem środkami, z maszynami do przetworów mięsa, przez konsorcjum żydowskich spekulantów kolneńskich. Agenci tego konsorcjum skupują w okolicy i sąsiednich powiatach świnie, a wkrótce mają i krowy, sprowadzają tego żywego mięsa transporty masowe, biją i wyrabiają kiełbasy, wędliny i konserwy, przeznaczone dla wojska. Płacą dużo, pełną ręką, ale ludność nie cieszy się z tego, bo cóż z pieniędzy, których jeść nie można, gdy ogołocą okolicę, wskutek czego jeszcze bardziej wyśrubują się ceny na bydło, na mięso, na słoninę. A końca ani tej wojny ani tego rabunku – ani widać!

19 lutego, rok 1918, wtorek
Mróz dotkliwy; dzień przeważnie bezsłoneczny. Do sądu przez cały dzień żywy duch się nie zgłosił.
Z gazet i doniesień urzędowych zdaje się, że Niemcy chcą potraktować oświadczenie Trockiego o zakończeniu wojny bez traktatu pokojowego jako nie tylko zobowiązanie jednostronne, nie wiążące wcale Niemców, lecz jako też odmowę formalną zawarcia pokoju, a przeto wymówienie zawieszenia broni, zawartego w intencji pokojowej. Stąd Niemcy wyciągają konsekwencje o ustaniu stanu rozejmu i o rozwiązaniu rąk do dalszej wojny. Czy konsekwencjom tym nadadzą wyraz czynny i zdecydują się istotnie uderzyć na Rosję, czy też zadowolą się pogróżkami i szachowaniem Rosji samą możliwością uderzenia – najbliższa przyszłość pokaże. W każdym razie, zajmują stanowisko, uzasadniające swobodę działań wojennych. Urzędnicy niemieccy u nas głoszą otwarcie, że w najbliższych dniach Niemcy uderzą na północy i okupują Estonię wraz z Rewlem aż do Zatoki Fińskiej. Czy takie są istotnie zamiary kół wojenno-politycznych niemieckich – nie wiem, ale depesze, drukowane w prasie niemieckiej, zdają się istotnie przygotowywać grunt i uzasadnienie dla takiej wyprawy. Rozpisują się one szeroko o prześladowaniach Niemców w Inflantach i Estonii przez bolszewików, drukują depesze i wieści o rzekomym zwracaniu się Niemców nadbałtyckich, Estończyków i nawet Łotyszów o pomoc niemiecką, o ich tęsknocie i nadziei ratunku ze strony niemieckiej, wreszcie notują skrzętnie gwałty bolszewicko-rewolucyjne w Finlandii oraz

odwoływanie się Finlandczyków do Niemiec, uzasadniające słuszność ewentualnego podania przez Niemców ręki Finlandii poprzez Estonię i Zatokę Fińską.
Czy ten pokój mocarstw centralnych z Ukrainą, podpisany w Brześciu Litewskim, będzie czymś trwałym – zobaczymy. Czy uda się Niemcom i Austrii wyciągnąć skarby zboża z Ukrainy, co zdaje się być głównym tego pokoju talizmanem i najwyższą jego racją? Sama Ukraina w tym kształcie, w jakim pokój ten zawarła, zdaje się być jeszcze tworem wielce lotnym. Spory i walki między bolszewikami i Ukrainą w postaci jej władzy – zakrawają coś na wojnę bolszewicko-ukraińską. Bodajże Kijów jest już w ręku bolszewików i ich wojsk rewolucyjnych. Faktem jest, że Rada Ukraińska zbiegła z Kijowa do Żytomierza. O wojsku polskim w Rosji, o którego wielkich zwycięstwach, pochodach na wschód i północ Białej Rusi, zdobyciu Mohylowa, Witebska i Smoleńska tyle trąbiono przed 10 dniami, robiąc z tego tematu główną sensację gazet – nagle ucichło całkowicie.
W Galicji i Królestwie z powodu sprawy chełmskiej wrze dalej, Polacy w Austrii, piastujący godności austriackie, składają je wraz z orderami, manifestując w ten sposób swoje zerwanie z monarchią, która usankcjonowała ten gwałt, na Polsce dokonany. Są to oczywiście epizody; rdzeń wrzenia i konfliktu osadzony jest głęboko w całkowitym odruchu polskim przeciwko mocarstwom centralnym.
Bardzo ciekaw jestem, jakie zajmą stanowisko w stosunku do sprawy chełmskiej Litwini. Czekam na wypowiedzenie się gazet litewskich w tej kwestii. Czy zrozumieją Litwini istotę tego gwałtu, niezależnie zgoła od zasadności roszczeń polskich i ukraińskich do Chełma i Podlasia, i czy nie dadzą się oślepić w ocenie tego gwałtu przez niechęć do Polaków, płynącą z wewnętrznych polsko-litewskich zatargów? Wobec brutalności, z jaką polityka niemiecka depcze prawa słabych i bezbronnych, co się tak jaskrawie na sprawie chełmskiej ujawniło, a co zresztą w całej metodzie okupacyjnej się ciągle ujawnia, czy nie staje się wskazaną solidarność polsko-litewska? Kto wie, czy polityka polska i litewska, polegająca na przeciwstawieniu się sobie i odosabnianiu, nie jest wobec potęgi i perwersji niemieckiej – niebezpieczeństwem i błędem? Sprawa chełmska – to tylko *memento* straszniejszych jeszcze i gorszych możliwości.

20 lutego, rok 1918, środa
Dziś odbyła się czwarta i ostatnia sesja sądowa w lutym. Była to sesja do spraw żydowskich. Ławnicy – Żydzi: Remba i Jerozolimski. Na wokandzie było spraw siedem, ale z tych większa część do skutku nie doszła. W ogóle sprawy między Żydami w bardzo wielkiej ilości wypadków, rozpoczynając się w sądzie, epilog znajdują – u rabina. Rabin jest właściwą zwyczajową instytucją sądową Żydów; on sądzi ich spory na zasadzie własnej procedury i swoistych praw Talmudu; ogromna większość sporów sądowych pomiędzy Żydami, a czasem nawet między Żydami i chrześcijanami, nie dochodzi wcale do sądów państwowych; strony, będące w sporze, zwracają się bezpośrednio do rabina i on je samodzielnie sądzi. Jest to szczególnie w zwyczaju po małych miastach i miasteczkach, tam, gdzie środowiska żydowskie są odosobnione od świata chrześcijańskiego, zamknięte i zwarte w swoich kulturalno-obyczajowych skorupach społecznych; odrębną jest tu ich etyka, ich myśl, ich dusza zbiorowa i indywidualna; wytwarzają tu oni swoiste formy bytowania i instytucje zwyczajowe, tworzą społeczności odrębne i zamknięte w społeczeństwie krajowym. W takich mieścinach wszyscy Żydzi zmuszeni są pod groźbą niesławy i zaprzaństwa do liczenia się z tymi formami zwyczajowymi środowiska. Toteż poniekąd za bardziej honorowe uchodzi wśród nich załatwianie swych sporów na drodze wewnętrznej żydowskiej jurysdykcji sądowej – u rabina. Ponieważ jednak rabin formalnej władzy sądowej nie

posiada i nie ma środków przymusu państwowego ani w stosunku do właściwości (kompetencji), ani do wykonania swych wyroków, więc strony, o ile im o ten przymus formalny względem opornego przeciwnika chodzi, w poszczególnych wypadkach zwracają się do sądów państwowych. Ale i po takim zwróceniu się bardzo często decydują się ostatecznie na rabina, co się nazywa u nich „pogodzeniem się" w stosunku do sądu. Cały szereg czynników obyczajowo-moralnych, a w tej liczbie i presja ze strony współwyznawców – skłaniają je do tego. Bardzo często robi się to już w ostatniej chwili: strony przychodzą na dzień wyznaczony do sądu, a dopiero tu, w przerwach w sesji lub podczas sądzenia innych spraw, pod wpływem nacisku i perswazji przyjaciół, po długich konszachtach w przedpokoju, udają się wprost z sądu do rabina i na tym koniec. Tak i dziś z siedmiu spraw cztery odpadły do rabina i tylko trzy były przez nas w sądzie rozpoznane, z których dwie odroczone i jedna drobna zakończona wyrokiem.
Ciekawe i ważne nowiny z wojny. Istotnie Niemcy, na mocy uznania rozejmu za wymówiony przez Rosję na skutek odmowy podpisania przez Rosję formalnego traktatu pokojowego, rozpoczęli przeciwko Rosji czynne działania wojenne. I oto dziś jest już ogłoszona depesza urzędowa – komunikat o zajęciu Dyneburga. Co zaś ciekawsze – zajęty został również... Łuck – na Ukrainie!! Co sądzić o tym ostatnim fakcie wobec formalnego traktatu pokojowego z Ukrainą? Zdaje się, że Niemcy chcą ten marsz na Ukrainę pozorować niesieniem czynnej pomocy Ukrainie przeciwko podbojowi i inwazji bolszewików, którzy już z północy i wschodu wkroczyli na Ukrainę i już mają w ręku Kijów. Niemcy wkraczają na Ukrainę jako jej sprzymierzeńcy i zbawcy, ale gdy raz wejdą i wezmą ją, a zwłaszcza jej zboże i wszelkie bogactwa i zapasy w łapę, to niełatwo to z rąk wypuszczą, w każdym razie do końca wojny, a może też zrobią z Ukrainy takie same służebne narzędzie swych politycznych celów, jakie robią sobie z Polski, Litwy, Kurlandii. O co zaś z pewnością najbardziej i najistotniej chodzi Niemcom w tym marszu „sprzymierzeńczym" na Ukrainę – to o jej zboże, o jej mięso, o jej przebogatą produkcję rolną. Ukraina na mocy Traktatu Brzeskiego obiecała Niemcom i Austrii odstąpić w drodze handlu nadmiar swych zapasów produkcji rolnej do d. 31.VII. Ale że tymczasem bolszewickie wojska rewolucyjne, wkraczając ze wschodu i północy na Ukrainę, zabierają, a jeszcze gwałtowniej niszczą te zapasy, by się one nie mogły Niemcom dostać, więc ci ostatni, nie czekając na wątpliwe spełnienie obietnicy ukraińskiej, śpieszą sami pod pozorem pomocy zastrzec sobie faktyczne posiadanie jej zapasów i płodów rolnych. Ukraińcom za to ofiarują wspaniałomyślnie „sądownictwo", „szkolnictwo" i może jeszcze jakąś „Radę Regencyjną" lub „Radę Ludową" – coś jak w Polsce! Poczekajmy, a zabaczymy, co z tego będzie. Oryginalny komunikat dzisiejszy o Dyneburgu i Łucku brzmi w przekładzie polskim tak: „Dyneburg po słabym oporze zajęty. Z obu stron Łucka wojska się posuwają. Łuck zajęty prawie bez walki. Dywizje nasze maszerują dalej". Bardzo ciekaw jestem, co będzie. Jaki też jest plan niemiecki na północy? Wyprawa z pewnością skieruje się na Inflanty i Estonię. Czy zajęcie Dyneburga jest tylko zabezpieczeniem silnego punktu oporu na skrzydłach wyprawy estońskiej, czy też będzie zarazem punktem wyjścia do równoległego marszu bądź na Psków, bądź na Połock, Mińsk itd.? Pomimo wszystko mam wrażenie, że to lepiej, im więcej Niemcy zagarną na wschodzie od Rosji. Będziemy w większej kupie okupowanej i przez to samo ewentualnie wobec Niemców silniejsi, odporniejsi i trudniejsi do strawienia. A już od Rosji chyba zbawienia trudno czekać, wobec jej rozbicia i osłabienia.
Potwierdzają się wieści o krwawych wypadkach w Warszawie z ubiegłego czwartku. W manifestacjach ulicznych, brutalnie i gwałtownie przez Niemców tłumionych, było dużo rannych i zabitych. Na Warszawę, jak dochodzą wieści, nałożyli Niemcy za to kontrybucję.

Miałem dziś list od Maryńki, pierwszy po jej powrocie do Wilna. O liście tym wspomnę jutro.

21 lutego, rok 1918, czwartek
Dzisiaj komunikat wojenny niemiecki donosi, że wojska na całej linii frontu od Rygi aż na południe od Łucka posuwają się naprzód. W szczególności naraz odbywa się w kierunku „północno-wschodnim i wschodnim" od Dyneburga i z Łucka na Równe. Ciekawa rzecz, czyżby Niemcy napierali nie tylko na Estonię i w kierunku Petersburga, lecz także na wschód w głąb Białej Rusi. Wobec dezorganizacji wojsk rosyjskich „ofensywa" ta ma raczej charakter prostego marszu zbrojnego, niż istotnych działań wojennych. Po drodze Niemcy biorą z łatwością jeńców i wszelką zdobycz wojenną, porzuconą przez Rosjan. Jest wzmianka, która mię osobiście interesuje, o tym, że most pod Dyneburgiem na Dźwinie ocalał. Działania w okolicach Dyneburga interesują mię szczególnie, ponieważ dotyczą moich bliższych stron rodzinnych.
Co do krwawych demonstracji warszawskich z ubiegłego czwartku, to jak się zdaje z wieści, były one sprawą nie tyle szerokich właściwych mas ludowych, ile głównie młodzieży. Na Warszawę nałożyli Niemcy za to kontrybucję w ilości 250 000 marek. Teraz, wobec doświadczeń przemocy niemieckiej, nie liczącej się z Polską, i wobec bolesnej sprawy chełmskiej, coraz powszechniejszą jest w Polsce opinia, że błędem wielkim było, iż Polacy w swoim czasie nie skorzystali z okazji, by utworzyć armię, choćby związaną z Niemcami, z którą przecież, jako z realną siłą pomocniczą, Niemcy by się liczyli we względach na sprawę polską. Sąd ten coraz bardziej się daje słyszeć wśród elementów bardzo umiarkowanych, dalekich od wszelkiej polityki i aktywizmu – po prostu wśród ludzi z szeregu tłumu. Tak jest przynajmniej w Kolnie.
Słówko teraz o wczorajszym liście Maryńki. Dojechała szczęśliwie i bez przygód do Wilna; w Śniadowie i Białymstoku tym razem krótko czekała na pociąg, tylko sobie palce u nóg z powodu chłodu w nieopalanych wagonach odmroziła. Dowiozła szczęśliwie słoninę, zająca, cukier, listy, które ze sobą wzięła; nie rewidowano jej wcale po drodze. W Wilnie naturalnie natrafiła na różne nowe kłopoty z Niemcami, gospodarującymi w domu Wołodkowiczów, którym zarządza; ale Maryńka, o ile tylko jest obecna, umie sobie dać radę z Niemcami, wykłócić się, gdy potrzeba, wytargować lub uprosić. Dwie są szczególnie ciekawe wiadomości w liście Maryńki. Pierwsza, że po przyjeździe zastała dwa listy z Mińska, pisane po polsku – od Stasia Wołodkowicza i od cioci Rózi Tukałłowej. Listy te przyszły przez front pocztą prowizoryczną, nawiązaną w czasie rozejmu. Z listu Stasia Wołodkowicza, datowanego z d. 23 stycznia, Maryńka komunikuje mi szczegóły. A więc Staś pisze o warunkach życia i strasznych cenach, jakie są w Mińsku, a wobec których bledną ceny nie tylko u nas w takim Kolnie, ale nawet w Wilnie: pud żyta – 25 rubli, mięso wołowe – funt 1 rb. 50 kop., świnina – 2 rb. 50 kop., masła funt – 8 rb., słonina – 5 rb., w gorszym gatunku ubrania męskiego nie dostanie bez 50 rb., damskie obuwie – 150 rb., obuwie męskie – 300 rb.! Dwory są poniszczone, wiele spalonych. Lasy są wycinane rabunkowo. Elwira siedzi dotąd na wsi w Mamyłach wraz z Maryńką Wołodkowiczówną. Druga wiadomość, którą Maryńka komunikuje jako pewną – że w najbliższych dniach proklamowana będzie niepodległość Litwy, o czym zresztą, jako pogłosce, słyszałem już i czytałem nawet w gazetach. Maryńka cieszy się z tego, wnioskując, że w takim razie prędko już będę mógł wrócić na Litwę dla objęcia, w myśl moich pragnień najgłębszych, posady sędziowskiej w sądownictwie litewskim w Wilnie. Daj to Boże, ale sądzę, że to radość przedwczesna. Jeżeli nawet niepodległość Litwy będzie ogłoszona, to stąd do sądownictwa może być jeszcze daleko. Niemcy nie lubią się z tym spieszyć i wolą cedzić ustępstwa w dawkach homeopatycznych i bardzo powoli.

Niepodległość Polski była ogłoszona 5 listopada 1916, sądownictwo zaś oddane w ręce polskie – 1 września 1917! No, ale daj Boże!
Zimno dziś przejmujące, mróz ostry z wiatrem wschodnim. I w mieszkaniu, i w sądzie trudno wytrzymać. W sądzie zastój martwy w ruchu spraw. Pomimo czwartku, dnia targowego, nie wpłynęła żadna sprawa. Cały dzień upływa w sądzie na wygrzewaniu się u pieca.
Wczoraj spędziliśmy wraz z rejentem Płońskim i sekretarzem Miętkiewiczem wieczór na kartach u Mystkowskich. Zasiedzieliśmy się do godz. 3 w nocy. Oczywiście był, jak zawsze, banczek. Przegrałem.

22 lutego, rok 1918, piątek
Gazety warszawskie przychodzą do Kolna bardzo nieregularnie i nieraz z dużym opóźnieniem. Ale znalazłem inne źródło wczesnego informowania się o nowinach wojennych. Na ulicy przy gmachu poczty jest wywieszona tablica, na której codziennie przybija się świeży biuletyn, zawierający ostatni bieżący komunikat wojenny. Idąc na obiad do Chodnickiej, przechodzę tamtędy co dzień i odczytuję najświeższą wiadomość. Otóż z ofensywy niemieckiej na Rosję dziś są następujące nowiny. Oczekiwany marsz na Estonię już się rozpoczął. Punktem wyjścia tych operacji jest jednocześnie Ryga i wyspy bałtyckie (Ösel, Dagö i Moon). Z tych dwóch punktów jednocześnie, to znaczy z zachodu od morza i z południa od masy terenu okupowanego, od jego dotychczasowej linii Dźwiny, kieruje się wyprawa na Rewel i kto wie – może na Petersburg. Po lodzie przez zamarznięty Moon-Suud przeszły wojska niemieckie na wybrzeże estońskie. Zajęte tu zostało miasteczko Leal i jeszcze kilka miejscowości, których nazw nie przypominam sobie. Nie pamiętam, czy wymieniona jest jako zajęta Pernawa. Z południa natomiast tej wyprawy, w Inflantach, widocznie od Rygi, zajęty został Wenden i zbliżono się do Wilmaru. Jednocześnie komunikat donosi, że na całej linii między Dyneburgiem a Pińskiem (linia białoruska) wojska posuwają się naprzód w kierunku wschodnim. Ośrodkiem kierunkowym tej wyprawy wschodniej musi być chyba Mińsk; on tu na tej linii jest najbliższym ogniskiem koncentracji – i jako miasto największe, i jako węzeł kolejowy. Można więc liczyć, że wkrótce już Mińsk może się znaleźć po tej stronie frontu. Osobiście dla nas ze względów rodzinnych będzie miało to tę wagę, że całe mnóstwo osób z naszej rodziny, od których byliśmy dotąd odcięci, znajdzie się z nami po tej stronie linii. W szczególności Elwira, a może i Kotuńka z rodziną zostaną dla nas jakby odzyskane. Skończy się nasza separacja kilkuletnia.
Z wyprawy na Ukrainę, za Łuckiem – w komunikacie żadnych wieści. Ilość jeńców rosyjskich w komunikacie podana na około 10 000, poza tym dużo innej zdobyczy i w szczególności materiału kolejowego (wagonów). Opór wojsk rosyjskich zdaje się być prawie żaden.
Nie wiem, czy słusznie robię, że się w duchu cieszę z tych postępów okupacji niemieckiej. Wprawdzie niesie ze sobą ciężar różnych rekwizycji i całej metody okupacyjnej dla zagarnianych terenów i powoduje umocnienie się Niemców, ale jakiś instynkt intuicji mówi mi, że to jest ku dobremu. Nie rozumowo tylko, ale bardziej nawet odruchowo – cieszę się z tego. Może to jest nałóg mojej dawnej „orientacji” – jaskrawie antyrosyjskiej. Jest w tym także pewna podnieta ciekawości – co będzie; jest również pewne estetyczne zadowolenie z widoku wielkich rzeczy w ogromnych konturach. Wszystko razem wpływa na to, ze z zadowoleniem i ufnością witam te zjawiska. Zdaje się, że im większa masa krajów, oderwanych od cielska Rosji znajdzie się w kupie, tym będzie dla każdego z nich i dla sprawy ich wolności lepiej; problem wyolbrzymieje i nie będzie tak prosty dla zaborów. Wypadki te – to loteria, ale kierowana głęboką logiką wewnętrzną, która prawa określać będzie.

23 lutego, rok 1918, sobota
Wiadomość o Mińsku nie kazała na siebie długo czekać. Mińsk został wzięty. Oto ciekawie teraz będzie Maryńce w Wilnie! Zaczną tam zaraz przybywać ludzie z Mińska, wracać uchodźcy, którzy się tam skupiali w oczekiwaniu powrotu, zaczną napływać do Wilna różni znajomi i krewni, a wraz z nimi wieści prawdziwe ze stron mińskich, od których byliśmy tak długo odcięci. Co za ciekawość! A niewątpliwie nie długo czekać i na otwarcie regularnej korespondencji pocztowej z Mińskiem. Elwira, a zapewne i Kotuńka z rodziną znajdą się po naszej stronie. Tysiące pytań ciekawych, związanych z najdroższymi stosunkami rodzinnymi, łączy się z wzięciem Mińska. Czy Stefan Mieczkowski zostanie po tej stronie frontu, czy Kotuńka nie drapnęła do Bielcza, czy Ezechiel tam nie pozostał? Ale chyba w Bielczu, przy rządach bolszewickich, niedużo jest do robienia, a bodaj i niebezpiecznie, toteż pewno Kotuńka z rodziną została w Mińsku, a zresztą, jeżeli pochód niemiecki posunie się dalej, to już rychło i Bobrujsk, i cała linia Berezyny wraz z Bielczem znajdzie się pod okupacją. W każdym razie, niezwykle interesujące będą nowiny, nadchodzące stamtąd. Maryńka będzie u samego ich źródła, na samej ich drodze dopływu. Co za nuda mnie teraz w Kolnie siedzieć jak na kresach świata, cicho i z dala od fal wypadków.
Poza tym, komunikat donosi o zajęciu Hapsalu w Estonii, Wolmaru i Rannoburga – w Inflantach. Jest też mowa w komunikacie o nawiązaniu przez wojska niemieckie łączności z wojskami ukraińskimi. Widocznie się wytwarza wspólny ciągły front niemiecko-ukraiński przeciwko Rosji. Czyżby masa ludowa na Ukrainie sprzyjała takiej kombinacji politycznej? Co za czasy i co za wypadki!
Skądinąd wszakże w gazetach (otrzymaliśmy czwartkowe) są wieści o wznowieniu szans pokojowych z Rosją. Po wznowieniu przez Niemców działań wojennych rząd Lenina i Trockiego, czyli tzw. Rada Komisarzy Ludowych w Petersburgu zwróciła się z depeszą iskrową do rządu niemieckiego, wyrażając gotowość podpisania traktatu pokojowego na zasadach, żądanych przez Niemców. Niemcy zażądali podania tej propozycji w deklaracji na piśmie poprzez linię frontu, co też, jak donoszą gazety, wykonane zostało. Zdawałoby się więc, że pokój znów świta. Tymczasem jednak faktem jest, że operacje wojenne trwają.
Są też w gazetach pogłoski, uporczywie utrzymywane ze źródeł skandynawskich, że rząd bolszewicki obalony został przez socjalistów-rewolucjonistów z Czerwonym na czele i że Lenin i Trocki zbiegli.
W sprawie chełmskiej Niemcy i Austriacy, jak widać z oświadczeń Kühlmanna i rządu austriackiego w odnośnych parlamentach, zaczynają się cofać i łagodzić sprawę w stosunku do Polaków, oświadczając, że granice, wyznaczone w traktacie pokojowym brzeskim przez wymienienie miejscowości, nie są przez to bynajmniej ustalone, jeno że na wschód od tych granic ma być zastosowany w Chełmszczyznie rodzaj referendum ludowego o przynależności państwowej i ostatecznie ma o granicach polsko-ukraińskich stanowić komisja mieszana, w której i przedstawiciele państwa polskiego udział brać będą. Sprawa chełmska i granica, która ma być w łonie Chełmszczyzny wykreślona, stawiana jest na grunt zasady samookreślenia ludności ze zwężaniem ekspansji ukraińskiej, wyrażonej w traktacie. W tym samym też duchu wypowiedział się Siewriuk, jeden z wodzów delegacji ukraińskiej w Brześciu, bawiący obecnie w Wiedniu. Zdaje się, że ostrość sprawy chełmskiej ulega u Polaków pewnemu złagodzeniu.

24 lutego, rok 1918, niedziela

Najświeższy komunikat donosi tylko o zajęciu Wałka w Inflantach i dojściu do Dubna na Ukrainie.
Niesłychanie dziś nudna niedziela. Nie wiadomo, czym czas wypełnić i gdzie się podziać. W dodatku, choć na dworze mrozu nie ma, w mieszkaniu przejmujące zimno, bo drzewo, przywiezione na opał, jest zupełnie mokre i nie chce się palić. Wypalenie pieca trwa kilka godzin; drzewo syczy, skwarzy się w dymie i gaśnie; w rezultacie, po takim wypaleniu piec zimniutki. Na dworze odwilż i błoto. Gdyby nie to, wybrałbym się na wieczór z rozpaczy do kinematografu, który został zainstalowany w Kolnie i dziś funkcjonować zaczął, choć amatorem tych widowisk nie jestem. Ostatecznie poszedłem na parę godzin wieczornych do pp. Mystkowskich. Nikogo więcej u nich nie było. Graliśmy we troje w ramsa.
Ubiegły tydzień był w sądzie zupełnie martwy. Z całego tygodnia wpłynęło do sądu w poniedziałek jedno powództwo cywilne i w sobotę jedna skarga karna o zniesławienie (chłopiec zaskarżył mężatkę, której mąż jest na wojnie w wojsku rosyjskim, o zniesławienie; „zniesławienie" to miało się wyrazić w tym, że kobieta ta, u której się w nieobecności męża urodziło dziecko, rozgłasza, iż skarżący chłopiec był z nią w stosunku miłosnym i jest ojcem dziecka; chłopiec czuje się tym rzekomo dotknięty, twierdząc, że zarzut obcowania z mężatką, a więc cudzołóstwa, jest hańbiący; z pewnością nie jest bez winy i dlatego się tak na to oburza). Te więc dwie, takie bagatelne – sprawy są plonem z całego tygodnia. Poza tym, wpłynęły wczoraj jeszcze dwie tzw. rekwizycje – o zbadanie świadków, jedna z sądu pokoju w Stawiskach i druga z Sądu Okręgowego w Łomży. Oto i wszystko.

25 lutego, rok 1918, poniedziałek
Pochód niemiecki w głąb Rosji odbywa się tak szybko, tak wielkimi rzutami, że streszczenie go w komunikatach wojennych, z których się co dzień o jego postępach dowiaduję, ujmuje zaledwie wybitniejsze jego fragmenty, nie wymieniając nawet wcale szeregu zajętych miejscowości i całych połaci krajów. Dopiero różne dodatkowe depesze z gazet, przychodzących do Kolna w parę dni później po wywieszanym codziennie przy poczcie komunikacie, uzupełniają obraz postępów tej bajecznej wyprawy. Tak oto dzisiaj z gazet sobotnich, które rano zastałem w sądzie, dowiedziałem się o tym, że zajęta została również Rzeżyca i Lucyn, to znaczy cały już kraik tzw. Latgoły, czyli Inflanty Polskie. Terytorialnie jest to przybytek do olbrzymich obszarów okupowanych nieduży, ale politycznie przybywa z tym kraikiem do masy krajów i ludów oderwanych od Rosji nowa indywidualność, ludek Łotyszów-Latgolczyków katolików. Jednocześnie też z depesz dorozumieć się mogłem o znacznym posunięciu naprzód akcji na Ukrainie, gdzieś bodaj aż do lub za Nowogród Wołyński. Następnie, gdym koło obiadu zajrzał przy poczcie do komunikatu, nowa i dalsza się jeszcze otwarła perspektywa postępów wyprawy. W Estonii jest już mowa o Rewlu, który, jak się zdaje, zawładnięty został z morza w drodze desantu. Pod Pskowem zajęty został Ostrów, powiatowe miasto; w ten sposób tu, pod Pskowem, po raz pierwszy wreszcie wkroczyły wojska niemieckie na rdzenną integralną ziemię rosyjską, która [jest] już prawowitym Wielkorosji narodowym dziedzictwem. W kierunku na Połock Niemcy przekroczyli stację Balbinowo, w gub. mińskiej zajęli Borysów. Na Ukrainie zajęli Iskorost' po drodze z Saru do Kijowa, i Szepietówkę nieco ku południowemu zachodowi przy drugiej drodze do Kijowa. Iskorost' i Szepietówka – to już prawdziwa rewelacja. Oglądając mapę, widzi się, że idąc dalej w tym tempie, Niemcy są od Iskorosti o jakieś 3-4 dni drogi od Kijowa! Linia, przecinająca byłe wnętrze Rosji z południa ku północy poprzez Szepietówkę, Iskorost', Borysów, Balbinowo, Ostrów, Wałk i Rewel, odcina olbrzymie terytorium, pełne różnych

narodów, skomplikowane wewnętrznie, pogmatwane zachodzącymi na siebie indywidualnościami, terytorium, które samo mogłoby stanowić wielkie imperium i którego urządzenie jest olbrzymim zadaniem likwidacyjnym, tym większym i trudniejszym, że miast tworzyć kompleks federacyjny, musi się prawdopodobnie rozpaść i pokawałkować. Ale linia ta nie jest jeszcze bynajmniej kresem i musi się jeszcze logicznie przesunąć dalej na wschód i północ. Czy stanie ona na wschodzie na Dnieprze, czy też przekroczy go jeszcze! Najbliższymi w każdym razie jej etapami, które już zapewne jutro-pojutrze osiągnięte zostaną – Żytomierz, Bobrujsk, Połock, Psków i Dorpat. Na nie teraz konsekwentnie najbliższa kolej. A dalej na Białej Rusi rychło już przyjdą Mohylów, Orsza, Witebsk. Ano – widowisko wspaniałe. Co z tego jednak będzie?!
Na Ukrainie Niemcy posuwają się i kroczą szybkim marszem na Kijów jako „sprzymierzeńcy", jako wybawcy „wolności ukraińskiej" od zachłanności i przemocy bolszewickiej. W istocie pędzą tu, bo spieszno im zastrzec posiadanie zboża i płodów rolnych Ukrainy i wiedzą też z pewnością, że to przymierze z Ukrainą, spojone traktatem pokojowym brzeskim, jest pisane widłami na wodzie, o ile Ukrainy w swym faktycznym posiadaniu mieć nie będą. Muszą wiedzieć, że ta garstka Ukraińców z nieznanym Siewriukiem na czele, która podpisała Traktat Brzeski, jest garścią uzurpatorów, nie wyrażającą treściwej woli Ukrainy. Garstka ta nie reprezentuje nawet całej Rady Ukraińskiej, a cóż dopiero ogółu Ukrainy. Jest ona sobowtórem ukraińskich Studnickich, którzy politykę narodu tworzą przez narzucanie mu swej woli, opartej o siłę zewnętrzną. Jest to garstka fanatyków własnej swojej koncepcji, którą *per fas et nefas* uszczęśliwić chcą swój kraj i naród, garstka Maratów i Robespierrów – jakobinów nie rewolucji, lecz nacjonalizmu. Garstka ta, małe skupienie kreatur ukrainizmu galicyjskiego, jest, jak się zdaje, w głębokiej rozbieżności z ogółem Ukrainy. Dla realizacji swoich pomysłów, swojej koncepcji narodowo-politycznej wydała ona Ukrainę w ręce i władzę Niemców. Czy to jest konstrukcja trwała – można wątpić. Niemcy, idący ją realizować, mają więcej na myśli własny interes rabunku, niż ich ideę. Ale Niemcy mają w nich cenną fikcję podstawy legalnej i nawet „wolnościowej" dla swego rabunku i posiadania okupacyjnego, idą bowiem i opanowują Ukrainę z Traktatem Brzeskim w ręku, z tezą uznania i utrwalenia ukraińskiej „niepodległości". Szajce Siewriuka dadzą do rąk władzę w rodzaju sądownictwa i szkolnictwa oraz jakiejś fikcji Rady Stanu czy czegoś podobnego, jak w Polsce, sami zaś zachowają w swym ręku eksploatację gospodarczą Ukrainy i eksploatację polityczną sprawy ukraińskiej dla własnych celów w tej wojnie. „Sprawa ukraińska" w tej formie, w jakiej ją konstruuje spółka Siewriuk-Niemcy, jest wielkim szalbierstwem politycznym na kolosalną skalę. Przyjdzie zapewne kres tego, ale przyjdzie wraz z całą dopiero generalną likwidacją ogółu ziem okupowanych. Wykrystalizuje się wola ludów i będzie musiała w likwidacji swój wyraz znaleźć. Co do Ukrainy, Niemcy z niej sok jak z cytryny wycisną, by wyciśniętej cytrynie wolność i niepodległość obwieścić. Ale w jądrze wyciskanego owocu drzemią dojrzałe pestki – ziarna życia osobowego. Z całym aparatem mistyfikacji, przypominającym podobne spekulacje niemieckie w Polsce przed rokiem, wykonywają Niemcy swoją dziś spekulację ukraińską. Nie ograniczają się na pochodzie „zbawczym" na Kijów. Pod Kowlem założyli obóz ćwiczebny „narodowych" wojsk ukraińskich, formowanych z jeńców ukraińskich z Niemiec. Z pompą i naiwnym samochwalstwem, budzącym śmiech u tych, którzy się już podobnym sztuczkom w Polsce przyjrzeli, opisują ten obóz ćwiczebny wojsk ukraińskich, w których się tworzy „I dywizja" ukraińska; prawią o zapale ożywiającym te „wojska", o ich wyglądzie wspaniałym i zuchowatym, o malowniczych historycznych mundurach narodowych wojska, wzorowanych na starych tradycjach kozackich. Matkują Niemcy

Ukraińcom, jak matkować usiłowali Polakom, kopiując wzory własnych próbek dawnych.

26 lutego, rok 1918, wtorek
W Inflantach Niemcy zajęli Darpat. Na Ukrainie wojska niemieckie, idące „bronić wolności” Rzeczpospolitej Ukraińskiej, dotarły do Żytomierza. Jak widzę z gazet, pomyliłem się wczoraj, wnosząc o zajęciu Rewla. Widocznie niedobrze zrozumiałem brzmienie niemieckie odnośnego ustępu wczorajszego komunikatu. Rewel nie został jeszcze zajęty, jeno wojska niemieckie zbliżyły się doń. W poniedziałkowym porannym numerze „Nowej Gazety” wyczytałem ciekawą nowinę. Rada Krajowa Litewska obwołała sama niepodległość Litwy ze stolicą w Wilnie, oświadczając jednocześnie o zerwaniu wszelkich dotychczasowych związków państwowych, łączących Litwę z którymkolwiek z państw ościennych i zwracając się do Niemiec o uznanie niepodległego państwa litewskiego. Obwołanie niepodległości Rada Litewska uzasadnia prawem samookreślenia ludów, uznanym przez Niemcy w rokowaniach brzeskich z Rosją i powołuje się na wrześniową Konferencję Litewską w Wilnie, która ujawniła w pełni odpowiednią wolę Litwinów. Organizację państwa składa Rada Litewska w ręce przyszłej demokratycznej Konstytuanty Litwy, która ma być zwołana, jak tylko nastanie możność po temu. Ciekaw jestem, czy ten akt Rady Krajowej Litewskiej został wydany za wiedzą i porozumieniem poprzednim z Niemcami, czy też jest samorzutnym i jakie będzie miał konsekwencje w stosunku Niemców do niego. Mam wrażenie, że Rada Litewska zrobiła dobrze. Aktywizm Litwinów usiłuje stawiać Niemców wobec faktów dokonanych. Jest to droga najlepsza, pomimo słabości Litwinów. Rozszerzanie okupacji niemieckiej na Białoruś, na tereny dawniej Litwy historycznej, zdawało się grozić Litwinom roztopieniem ich narodowej sprawy państwowej w ogromnych bezkształtnych obszarach dawnej formacji historycznej i stawiać na kartę ich wymarzone zawiązki państwowe. Z drugiej strony, krystalizowanie się innych organizmów państwowych, jak Polski, Ukrainy itd., dawało ostrogę Litwinom do [nie]zaniedbania tegoż i siebie, by potem nie okazać się biernym obiektem różnych ewentualnych apetytów. Wreszcie rosnące intencje aneksyjne niemieckie w stosunku do Kurlandii, Inflant i Estonii, do których droga związku z Niemiec prowadzi przez Litwę, zmuszała Litwinów do pośpiechu, by na tej drodze własną państwowość postawić, jeżeli nawet nie w realnym wykonaniu, to przynajmniej w stwierdzeniu prawa i zasady. Toteż Litwini pośpieszyli swój twór idealny skonkretyzować w proklamowaniu indywidualnego państwa. Czy Niemcy je uznają? Spodziewam się, że w zasadzie – tak; przynajmniej nie zechcą prawdopodobnie przeczyć Litwie tego prawa, co nie wyklucza, że w intencjach mogą sobie zastrzegać skierowanie później tego państewka do łożyska związku mocarstwowego niemieckiego. Tymczasem wszakże Litwini tworzą fakt prawny. Ustęp o rozwiązaniu związków państwowych, łączących Litwę z formacjami ościennymi, zwrócony jest nie tylko przeciw Rosji, ale i przeciw ewentualnemu pretendowaniu Polski do praw, płynących z dawnej Unii. Ustęp ten jest ze stanowiska litewskiego prawnym rozwiązaniem Unii.
W sprawie ewentualnego pokoju z Rosją Niemcy zdecydowały się widocznie zająć kategorycznie stanowisko nie kontrahenta, lecz dyktatora zwycięskiego, który pokój z własnej tylko woli wysnuć może. Propozycje kapitulacyjne rządu Trockiego i Lenina, skierowane do rządu niemieckiego natychmiast po wznowieniu przez Niemcy operacji wojennych i oświadczające rezygnację ze wszelkich swoich poprzednich zastrzeżeń i gotowość podpisania pokoju na zasadach niemieckich, zostały przez Niemców zignorowane. Na zwróconą do nich stosowną depeszę iskrową zażądali oni potwierdzenia oświadczenia tego w deklaracji na piśmie, przedłożonej poprzez linię

frontu. Gdy zaś Rosjanie spełnili to żądanie i przysłali do Berlina kuriera z odpowiednią deklaracją, dano im znać, że pokój zawarty będzie później; a tymczasem Niemcy wykonywają konsekwentnie i planowo swoją zamierzoną operację. Tak tylko zwycięzca traktuje już nie przeciwnika, lecz pokonanego wroga, pan – lokaja. Odrzucona tu już została wszelka równość stron.

27 lutego, rok 1918, środa
Zdobyty został na północy Rewel i Psków! W obu wypadkach doszło do starć. Jednocześnie komunikat donosi, że na pograniczu białorusko-ukraińskim, na linii Prypeci, wojska niemieckie dotarły do Kolenkowicz. Jest to miasteczko i stacja kolejowa na linii na wchód od Pińska, już niedaleko Dniepru. W ten sposób właściwie już całe Polesie znalazło się pod okupacją.
Jednocześnie wszakże zdaje się, że pokój z Rosją świta znowu i już tym razem prawdopodobnie na serio. Warunki, które Niemcy wskazały kurierowi rosyjskiemu w odpowiedzi na oświadczenie Rosji o gotowości zawarcia pokoju, zostały w Petersburgu przyjęte. Rosja widocznie tym razem tak śpieszy z pokojem, świadoma swojej ostatecznej bezbronności i siły woli niemieckiej, że już delegaci rosyjscy wyjechali do Brześcia, dokąd też dążą delegaci Czwórprzymierza. Bolszewicy przejrzeli, że to nie przelewki. Jakie są obecne warunki niemieckie – nie wiadomo. Rosja wszakże straciła wszelkie atuty. Z pewnością tym razem Niemcy usuną ją całkowicie od regulowania sprawy Ukrainy i wszystkich krajów kresowych b. Cesarstwa Rosyjskiego, zastrzegając sobie wyłącznie, bez wszelkiego udziału Rosji, rozwiązanie wszystkich zagadnień państwowych na obszarze okupowanym w drodze bezpośredniego porozumienia z powstającymi tutaj młodymi tworami państwowymi. Ten ciekawy olbrzymi obszar okupowany, od Zatoki Fińskiej aż do Morza Czarnego, od Warty i Wisły aż po Dniepr i dopływy jeziora Ilmen, a którego przedłużenie na ukraińskim południu sięga aż po Morze Azowskie i Kaukaz, staje się w Europie Wschodniej nowym pstrym Bałkanem, w którym być może fermentować będą na długie lata wulkaniczne wrzenia narodowe, jak to dotąd na klasycznym starym Bałkanie było.
Ciekawa rzecz, czy wznowieniu rokowań pokojowych w Brześciu Litewskim towarzyszyć będzie natychmiastowy rozejm, czy też Niemcy wykończą swą wyprawę podług planu i perspektywy, Hindenburgowi wiadomej. Czy z Rewla i Pskowa pójdą jeszcze dalej, czy staną z groźną przestrogą u wrót Petersburga jako ciężarek najwyższej presji na układy z Rosją, czy może – do czego chyba nie dojdzie – zajmą sam Petersburg.
Rewolucja rosyjska haniebnie przegrała swoją grę polityczną. Jeżeli carat zgubił i zdezorganizował więź rosyjską, jeżeli zmarnotrawił olbrzymią siłę i rozpętał niszczącą dla Rosji wojnę, chcąc dla ratowania swego stanowiska w państwie olśnić masę nowym wspaniałym żerem w Konstyntynopolu i w hegemonii nad całą Słowiańszczyzną aż po Adriatyk, to rewolucja rosyjska, odstępując od programu caratu i przeciwstawiając mu nowe zgoła cele wolnościowe, w istocie doprowadziła do ostatniego końca dzieło destrukcji i rozkładu, przez niedołęstwo caratu naszkicowane. Jakże inaczej by wyglądał pokój Rosji z Niemcami, gdyby go podjął Kierenskij w pierwszym etapie rewolucji, zwłaszcza jeszcze przed klęską lipcową, gdy cały front wschodni był jeszcze nietknięty, gdy w Galicji Rosjanie stali jeszcze w Stanisławowie, gdy wojska rosyjskie były, a przynajmniej zdawały się jeszcze potęgą, gdy można w nich było jeszcze domniemywać nową siłę dziewiczą, z rewolucyjnego tchnienia zrodzoną, a zapłodnioną przez znakomitą techniczną pomoc koalicji i gdy Niemcy z kurtuazją stali wobec frontu rosyjskiego w postawie wyczekującej! Jakże by inaczej stosowali się wtedy Niemcy do postulatów i zastrzeżeń rosyjskich, by za nie cenę pokoju otrzymać! Ustąpiłyby z

pewnością z Polski i Litwy, oddając los tych ziem ich wolnej decyzji w układzie z Rosją i z pewnymi gwarancjami dla Niemiec, a nawet zapewne zgodziłyby się na warunki co do ograniczeń w przerzucaniu zwolnionych z frontu wschodniego sił na front zachodni, na czym by i Anglia zyskała. Błędem nie tylko rewolucji rosyjskiej, ale zdaje się i Anglii było, że w tym stadium nie skierowano Rosji do odrębnego na wschodzie pokoju. Przyszła rewolucja bolszewicka. Już stanowisko Rosji po letniej klęsce galicyjskiej i po ujawnionych postępach dezorganizacji wojska było słabsze, niż poprzednio. Ale jeszcze sam efekt moralny i polityczny z porozumienia i pokoju z odmłodzoną wolnościową Rosją był dla Niemiec tak wielki i pożądany, że za tę cenę Rosja mogła jeszcze zastrzec w Brześciu dużo. W szczególności w stosunku do okupowanych Polski i Litwy Niemcy, choć się już na ustąpienie z okupacji nie godzili, gotowi by jednak udzielić znacznych ustępstw w kierunku oddania administracji miejscowej w ręce krajowych rządów autonomicznych i zawsze byłby pozostał pewien wpływ i kontrola Rosji wolnościowej nad dalszą likwidacją zagadnień na wschodzie. Dziś Rosja żadnych już atutów nie ma. Rozmowa z nią przy układach będzie raczej dyktacją warunków, niż układem stron, a traktowana już będzie li tylko jako Rosja sama w sobie, bez żadnych praw jej ingerencji w sprawy okupowanego bloku krajów.
A wszakże nie smucę się i jeszcze mniej rozpaczam. Jesteśmy żywi w naszym bloku okupowanym. Los nasz nie zawisł od samej tylko woli i kaprysu Niemiec. Polega on na własnym naszym ciężarze, na tym kompleksie życia indywidualnego i woli, która się w nas streszcza. Ona w kombinacji z interesem Niemiec i z układem stosunku sił na zachodzie ważyć będzie na szali naszych losów. Takiej potęgi, która by zdołała całkowicie opanować to nasze życie i wlać je w swoje łożysko, nie dostosowane do prądów tego wyzwalającego się w woli życia – nie ma. Może to i lepiej nawet, że nie zewnętrzna o wątpliwych intencjach „protektorka” – Rosja – ale własne czynniki procesów indywidualnych tego zespołu krajów staną się jedną z sił, działających bezpośrednio na kształcenie się losów.

28 lutego, rok 1918, czwartek
W komunikacie nie ma nowych wybitnych rzeczy. Jest tylko wzmianka o jakichś działaniach na północ od Dorpatu, na Ukrainie zaś niemiecka akcja „pomocnicza” rozszerzyła się o 30 kilometrów na wschód od Żytomierza i oprócz tego dotarła do Berdyczowa i na południe od Dubna – do Krzemieńca. Ciekawe, że o ile Niemcy rozpędzili się na Ukrainie głęboko na wschód, aż pod Dniepr i Kijów, o tyle na południe posuwają się bardzo wolno. Czy to dlatego, że tam mieliby do czynienia z regularną armią Szczerbaczewa, kierującego wojskami dawnego frontu rosyjsko-rumuńskiego na południowym zachodzie, podczas gdy na wschodzie mają do czynienia tylko z bandami bolszewickimi, czy też dlatego, że będąc panami głównych wielkich dróg wschodnich na Kijów, przez to samo automatycznie obezwładniają cały szmat południowy ku Morzu Czarnemu? W każdym razie, pchają się wyłącznie na Kijów i do Dniepru, nie ujawniając żadnego pędu na Podole i w kierunku na Odessę. Co do wojsk rosyjskich czy tam ukraińskich na dawnym froncie rumuńskim, wojsk, jak się zdaje, armii generała Szczerbaczewa, to trudno określić, jakie one zajmują stanowisko, jak są liczne i zorganizowane, czy się liczą za ukraińskie czy za rosyjskie, czy się może zlały z armią rumuńską. Nie wiadomo też, czy rokowania z Rosją w Brześciu już się rozpoczęły. Z Rumunią rokowania pokojowe toczą się w Bukareszcie.
Ruch przy czwartku był w sądzie dość znaczny, ale sprawy, które wpłynęły, są bardzo drobne i nieciekawe. Jedne wpłynęło powództwo o 2 marki! Jest to najmniejsza kwota sporu, z jaką w mojej praktyce miałem do czynienia.

Zresztą byłem dziś niezdrów. Nie wiem, co to takiego jest. Mam ból wewnętrzny, gdzieś na pograniczu górnego żołądka i płuc, idący przez całe wnętrze, jakby mię opasujący. Ból jest głuchy i przykry, chwilami się zmniejsza i już ustaje, to znów wzrasta. Przypuszczam, że to jest coś żołądkowego; mam pewne wrażenie wzdęcia. Zaczęło się to w nocy nad ranem i trwało przez cały dzień. Byłem z tego powodu ostrożny w jedzeniu, ale za to wieczorem grubo pod tym względem zgrzeszyłem. Trafiło się bowiem, że akurat na dziś wieczór p. Mystkowska upiekła z mąki, która pozostała u mnie po wyjeździe Maryńki, *pirog* ruski z mięsem, cebulką i jajami. Był to przysmak tak niezwykły, że nie było odwagi przezwyciężyć łakomstwa tej jedynej okazji. *Pirog* był istotnie doskonały. Zjadłem go dużo. Nadspodziewanie nie czułem, żeby mi on zaszkodził.

1 marca, rok 1918, piątek
Dzień sesji sądowej. Ławnicy – Kocik i Jerozolimski. Sesja była długa, trwała do godz. 4. Spraw na wokandzie było siedem i wszystkie były rozważane, w tej liczbie były trzy karne i cztery – cywilne. Przyszła dziś pod obrady i po raz pierwszy w mojej praktyce była rozpoznawana merytorycznie sprawa o dział nieruchomości. Sprawy dzielcze należą w praktyce sądów pokoju do wielce skomplikowanych i tworzą w tej praktyce zgoła odrębną kategorię, wyłamującą się zasadniczo z całej klasyfikacji właściwości tychże sądów. W zasadzie bowiem sądy pokoju nie mogą wchodzić w rozpoznawanie <u>prawa</u> na nieruchomość (w sprawach o zakłócenie posiadania nie mogą zagłębiać się w prawo, jeno się ograniczać muszą do stwierdzenia <u>faktu</u> posiadania). Wyjątek stanowią sprawy o dział nieruchomości wiejskich, o ile przestrzeń ziemi nie wynosi więcej nad 30 morgów. W dzisiejszym wypadku mieliśmy do czynienia z bardzo skomplikowaną kombinacją prawa własności stron, uczestniczących w sporze dzielczym. Trzeba przyznać, że Goldberg, który prowadził sprawę ze strony powódki, opracował rozwiązanie sprawy znakomicie, toteż podług jego kanwy ustaliliśmy prawa, samo zaś dokonanie projektu działu w naturze, co jest także rzeczą trudną i odpowiedzialną, sąd zlecił ławnikowi Kocikowi, który jest zarazem wójtem tej gminy, w której położona nieruchomość.
Powinienem się starać, żeby sprawy, w których jedna ze stron jest żydowską, druga – chrześcijańską, nie były wyznaczane na sesje, w których bierze udział ławnik Jerozolimski. Dostrzegłem bowiem, że Jerozolimski, i to bardzo jaskrawie, bardzo namiętnie, broni zawsze w tych sprawach bezwzględnie strony żydowskiej przeciwko chrześcijańskiej, tracąc w tych wypadkach obiektywizmu sądu. Postępuje on tak, jak żeby był powołany na specjalnego rzecznika spraw żydowskich, co sobie widocznie za obowiązek uważa. Drugi ławnik żydowski, Remba, nie posiada tej cechy, ale Jerozolimski grzeszy tą stronnością w sposób nieraz jaskrawy, a tak się zapala i przejmuje, że aż cały się czerwony robi. Pomimo to jest w tym zupełnie szczery i najświęciej przekonany, że broni słuszności. Jest to, zdaje się, u niego bezwiedna tendencja.
Ból mój wewnętrzny, o którym pisałem wczoraj, nie ustał dziś przez dzień cały. Jestem prawdziwie chory i boję się, żeby to nie było coś poważniejszego, niż prosta niestrawność. Nie przechodzi to wcale. Przeszkadzało mi to dziś w pełnieniu czynności sędziowskich, bo z powodu boleści nie miałem niezbędnej równowagi myśli i nie mogłem pracować tak intensywnie i dokładnie, jak trzeba podczas sądzenia. Toteż cała sesja płynęła gorzej, niż zwykle.
W gazetach dziś podane zostało ultimatum niemieckie o warunkach pokojowych, podyktowanych Rosji. Warunki są dla Rosji rzeczywiście bardzo ciężkie. Zażądano od Rosji całkowitej bezwzględnej demobilizacji bez prawa formowania nawet jakichś

rewolucyjnych wojsk wewnątrz kraju, zastrzeżono bezwzględne wycofanie się Rosji z niepodległych Finlandii i Ukrainy, odcięto raz na zawsze od Rosji kraj okupowany w granicach linii frontu, która istniała do czasu ostatniej wyprawy (Polskę, Litwę i Kurlandię), usunięto Rosję od wszelkiej dyskusji co do losu tych ziem, które, jak się zdaje, mają też być wolne od wszelkich zobowiązań, mogących ciążyć na nich z tytułu ich poprzedniej przynależności do państwa rosyjskiego (zapewne więc będą one wolne i od ciężarów długu państwowego Rosji), zastrzeżono wolność decyzji o prawno-państwowym samookreśleniu się dla Estonii i Inflant bez żadnej interwencji rosyjskiej, wreszcie zastrzeżono utrzymania okupacji niemieckiej aż do czasu rosyjskiej demobilizacji – na terytoriach na wschód od dawnej linii frontu (to znaczy na Mińszczyźnie, terenach Latgoły i gub. witebskiej oraz w Pskowie). Rosja, jak wiadomo, ultimatum przyjęła. Służy ono za podstawę traktatu pokojowego, który się układa w Brześciu. W ultimatum są też zastrzeżenia natury handlowo-gospodarczej na rzecz Niemiec. Ciężko bolszewicy pokpili sprawę. Rosja staje dziś wobec Niemiec w pozycji upokorzenia zupełnego. Dyktuje się jej wola Niemiec.

2 marca, rok 1918, sobota
Czułem się dziś już zdrowszy. W nocy i rano ból wewnątrz się jeszcze powtarzał, ale stawał się coraz to lżejszy, po południu zaś nie czułem już żadnych jego objawów. Dwukrotnie też miałem dziś radykalne zwolnienie żołądku. Mam nadzieję, że to była tylko wielka niestrawność, która przez parę dni mię męczyła, zanim znalazła rozwiązanie w zwolnieniu. Lękam się wszakże twierdzić to z pewnością, bo nie wiem jeszcze, czy nie jest to czasem febra, zupełnie możliwa w tym bagnistym położeniu Kolna w tym okresie ciągłych mgieł i zgniłego powietrza. Co mię bowiem niepokoi – to jakieś dziwne objawy temperatury ciała w tych paru dniach ostatnich. Miewałem na przemian ziębienie i dreszcze, to znów jakieś nagłe przypływy żaru do głowy: rozpalały się uszy, oczy, twarz płonęła gorącem.
Miałem dziś list od Maryńki z Wilna i od Papy z Bohdaniszek. Maryńka pisze, że jeszcze dotąd nie otrzymała żadnego listu ode mnie po powrocie do Wilna, pisałem już do niej trzy listy. Okropna jest ta poczta wojenna! Pisze Maryńka, że w Wilnie wciąż się w tych dniach widzi gromady uchodźców, wracających do swoich miejsc rodzinnych po zajęciu Dyneburga i Mińska. Są oni jednak aresztowani do czasu sprawdzenia przez władze ich tożsamości. Opowiadają oni o nieznośnych stosunkach w Rosji i cieszą się z powrotu do kraju po tak długiej tułaczce. Biedni ludzie. Ile to męki różnego rodzaju zniosą w tych strasznych czasach strasznej wojny! I nie ma kresu tym nieszczęściom i tej poniewierce. List od Papy pisany po polsku i przysłany pocztą z Warszawy. Widocznie jakiś Niemiec zabrał list do Warszawy i stamtąd go pocztą wysłał. Papa pisze bardzo serdecznie; list pełny bezpośredniego uczucia i tęsknoty, a zarazem pogody prostego charakteru. Papa chciałby mię odwiedzić w Kolnie. Nie przyjdzie jednak zapewne do tego, bo nie tak to łatwo otrzymać pozwolenie na przyjazd z Litwy – i to jeszcze z kresów niedawnego frontu – do Królestwa.
W „Głosie" znalazłem dziś listę strat na froncie włoskim b. legionistów Galicjan z dawnego I i V pułków piechoty Legionów, którzy są obecnie w 100 pułku armii austriackiej. Dużo jest rannych, sporo zabitych i wziętych do niewoli lub zaginionych. Znalazłem wśród nich cały szereg znajomych nazwisk kolegów moich. Na szczęście wśród zabitych jest tylko jeden znajomy, Alfred Łabaziewicz, z którym przed rokiem kolegowałem w kompanii szkoły oficerskiej w Zambrowie. Spośród bliższych kolegów są następujący: Janek Medycki ranny, Bronek Medycki ranny w niewoli włoskiej, Pachuta zaginiony itd. Biedni chłopcy! Musieli być w krwawych bojach. I co im z tego, za co się biją! Był czas, gdy szli do walki z wiarą w szeregach Legionów. Przyświecał

im cel, opromieniał ofiarę i mękę ideał. Jeżeli się ginęło, wiedziało się, za co. Warto było ponosić ofiarę. Ale teraz?! Smutna ich dola. I czy jest pewność przynajmniej, że dobrze zrobili, z pożytkiem dla Sprawy, odchodząc z Legionów wojska polskiego do armii austriackiej, wyrażając tym odejściem protest przeciwko kierunkowi, nadanemu sprawie wojska polskiego? Czy istotnie dobrym i mądrym było to rozbijanie dzieła, które tworzono niezgodnie z prostym kierunkiem ich pragnień i ideału? Czy jest pewność? Niestety – któż zaręczy, że tak jest! Nie przewidziano wtedy rozwiązania wojny na wschodzie, jakiego dziś świadkami jesteśmy, i kto wie, czy wobec perspektyw tego rozwiązania dobrym i skutecznym był kierunek ówczesnych protestów i rozbicia! Jak trudno przewidzieć i rzec stanowcze „tak" lub „nie". Tragiczny jest los tych rozbitków, ginących dziś na krwawym froncie włoskim, a nieświadomych tego, czy nie zbłądzili i nie zawinili bezwiednie wobec konkretnych wskazań własnej Sprawy.
Komunikat z frontu wschodniego donosi dziś o następujących szczegółach. W południowej Mińszczyźnie, czyli, jak się wyraża komunikat, „na północnej granicy Ukraińskiej", Niemcy dotarli do Dniepru. Zajęta została Rzeczyca. Pod Mozyrzem zabrali Niemcy całą flotyllę rosyjską na Prypeci. Pod Kijowem dotarto do odcinka Fastów-Kasetin. Ruszyli i Austriacy śladem Niemców znad granicy bukowińskiej nad Prutem.
Wieczorem byłem przez nadleśnego Hielschera zaproszony na kolację do kasyna niemieckiego. Na kolacji byli ci sami, co zawsze: Cornberg, Hielscher, dr Rauk, młody Niemiec, którego nazwiska nie znam, i bawiący w gościnie u ojca młody syn nadleśnego Hielschera. Gawędziliśmy o wypadkach bieżących. Niemcy są dumni ze swojej sytuacji wojennej i politycznej i trzeba im przyznać, że duma ich jest zupełnie uzasadniona. Po tak strasznej opresji, w jaką ich ta wojna rzuciła, a która groziła im katastrofą, nie tylko że nie zostali rozbici, ale już dziś otwierają się przed nimi ogromne perspektywy zwycięstwa, które na wschodzie jest już zupełne. Wszystko zawdzięczają tylko własnej sile, energii, organizacji i woli. Jest to triumf narodowy, którego im inne narody pozazdrościć mogą. Pewność siebie i buta, jaką teraz Niemcy wykazują, nie ma sobie równej. Wydaje się im teraz wszystko osiągalnym, czego tylko zamarzyć mogą. W obecności tej buty, którą tchnie dziś każdy Niemiec, aż się strasznie robić zaczyna. Lęk ogarnia za los tych ziem i ludów, które są dziś w bezpośredniej od nich zależności. Nie ma kresu ich pewności siebie i ich ewentualnym intencjom. W pomysłach swoich krają terytoria, dzielą ziemie, wykrawają granice, jak się im podoba. Słyszałem od nich, że Niemcy zastrzegły, iż nie zaniechają swej wyprawy na Rosję i nie udzielą Rosji rozejmu aż do chwili podpisania ostatecznego traktatu pokojowego, a podobno na zredagowanie i podpisanie tegoż kładą rozmyślnie tyle czasu, ile im potrzeba na wypełnienie całego planu dokonywanej wyprawy.
Niewesołe są opały, w jakich się dziś nieszczęsna Rumunia znalazła. Bułgarzy w układzie zażądali już podobno nie tylko całej Dobrudży aż do ujść Dunaju, ale połowy Wołoszczyzny również, Węgrzy zaś żądają uregulowania granic na północy Wołoszczyzny, poza tym żądane ma być odszkodowanie wojenne.

3 marca, rok 1918, niedziela
U gospodarzy moich, Pikulińskich – nowina: urodził się synek w nocy. Na Kurpiach ludzie są płodni. U Pikulińskich jest to szósty syn (ogółem dziewiąte dziecko).
Nowiny komunikatu dzisiejszego: Kijów zajęty. Jak powiada komunikat – stolica Ukrainy została „uwolniona"; wkroczyli do niej „Ukraińcy" i Sasi. Poza tym zajęty został Homel, co oznacza, że linia Dniepru została przekroczona. Od dłuższego czasu komunikaty nie wspominają nic o ewentualnych postępach w głąb Białej Rusi. Nic nie wiadomo, czy wyprawa stanęła tam na linii, idącej od Pskowa w okolice Połocka i

stamtąd na Borysów i Berezyną do jej ujścia, czy też odbywa się tam ruch dalszy w celu osiągnięcia linii Połocka-Witebska-Orszy-Mohylowa-Bobrujska. Być może, że Niemcy zadowolili się zagarniętym terenem na północy i wschodzie, mającym tworzyć wał okupacyjny między Rosją a grupą zachodnich jednostek – Estonii, Inflant, Kurlandii, Litwy i Polski – i dalej już w głąb Rosji nie idą, a jeno na południu posuwają się w głąb Ukrainy, przekraczając Dniepr i zakreślając pochodem swoim północne granice Ukrainy, ciągnące się linią Pińsk-Rzeczyca-Homel i prawdopodobnie stamtąd na gubernię kurską. Pochód na Kijów prowadzili oni po linii dwóch głównych magistrali kolejowych, północnej – po drodze Kowel-Sarny-Kijów, i południowej – po drodze Równe-Berdyczów-Kusatin-Fastów-Kijów, co wskazuje, że prócz udzielania poparcia Ukrainie dążą oni do zapewnienia sobie nade wszystko środków dowozu zapasów żywnościowych z Ukrainy.
Analiza ultimatum niemieckiego, przyjętego przez Rosję, które ma stanowić podstawę traktatu pokojowego, wykazuje, że całość terenu okupowanego i krajów, odrywanych od Rosji na zachodnich kresach b. Cesarstwa Rosyjskiego, nie ma tworzyć jednolitego bloku, jeno zostaje wyraźnie rozłożona na cztery grupy, z których do każdej zastosowana zostaje inna metoda stosunku do Rosji oraz określenia losów danych terenów. A więc do pierwszej grupy należą Finlandia i Ukraina; drugą grupę stanowią kraje poprzedniej okupacji – Polska, Litwa i Kurlandia; trzecią grupę stanowią Inflanty i Estonia, wreszcie do czwartej grupy należą tereny świeżo okupowane na wschód od Litwy, Kurlandii i Inflant, czyli przeważnie Białoruś, kraik Latgoły, czyli Inflant Polskich i cząstka Rosji właściwej w Ziemi Pskowskiej. W stosunku do uprzywilejowanych krajów pierwszej grupy – szczęśliwej Ukrainy i Finlandii – otrzymują one od razu i nieodwołalnie niepodległość zupełną, którą Rosja ma uznać bez zastrzeżeń i całkowicie ich granice opuścić, wycofując się bez żadnych uchybień. Tu należy przypuścić, że Finlandia w myśl swoich pretensji zaokrągli swoją własność przez wcielenie całej Karelii rosyjskiej na północ od jeziora Ładogi, co zaś do Ukrainy, to, ustalając natychmiastową jej niepodległość, Niemcy jednak za okazaną jej „pomoc" w wyzwoleniu i pod pretekstem strzeżenia jej wolności oraz dopomożenia jej do zorganizowania się, a najbardziej w celu wyzyskania jej gospodarczych zasobów, pozostaną w niej jeszcze w roli doradców na warunkach zamaskowanej połowicznej okupacji. W stosunku do krajów drugiej grupy – Polski, Litwy i Kurlandii – Rosja rezygnuje bez zastrzeżeń z wszelkich praw i wpływów na kształtowanie ich losów; nie ma ona w stosunku do nich nic do gadania; los tych ziem ma być określony wyłącznie w drodze bezpośredniego porozumienia się Niemców z zainteresowanymi krajami. Są to kraje, którym Niemcy mają matkować, kraje wpływów i protektoratu niemieckiego, choć się je traktuje za trzy odrębne twory państwowe. Los tych trzech krajów może budzić największe obawy. Tu trwa w całej rozciągłości okupacja, tu działają wszystkie ssawki niemieckie, ssące gospodarczo i politycznie zarówno teraźniejszość, jak ewentualnie przyszłość tych krajów. W stosunku do nich wola niemiecka zaważy najmocniej. Może zachodzić obawa o okrojenie strategiczne granic tych krajów, o ewentualne wcielenie Litwy i Kurlandii do Rzeszy, względnie nawet o zaanektowanie części Litwy i całej Kurlandii. Różne kombinacje polityczne, doświadczenia kolonizacyjne itp. mogą tutaj grozić. W stosunku do trzeciej grupy – Estonii i Inflant – mają one orzec same o swej przynależności względnie formie państwowej i zależnie od tego będzie ich los ustalony. Orzeczenie to ma się odbyć z wykluczeniem wszelkich wpływów Rosji; teoretycznie ma ono być dokonane również bez presji Niemiec, ale faktycznie Niemcy potrafią tak inscenizować to „samookreślenie się", by ono w duchu ich pragnień wypadło. Wreszcie kraje czwartej grupy są tylko zestawem biernym, który ma być w zasadzie zwrócony Rosji po jej demobilizacji i spełnieniu warunków. Ten

zestaw okupacyjny może wszakże trwać nieokreślenie długo, a tymczasem na ziemiach tych, jak na Białej Rusi i w Łatgalii, również dojrzeją prądy separacyjne, którym Niemcy z pewnością nie będą przeszkadzać, raczej je faworyzując, i również zapewne wcześniej czy później kraje te wyrażą wolę autonomicznej formacji państwowej i do Rosji, prócz Pskowa, nie wrócą. Tak się zarysowuje podział prowizoryczny krajów zachodnich b. Rosji. Dla nas byłoby bezpieczniej, gdyby zamiast tego rozbicia na cztery grupy i cztery różne systemy, całość tego bloku była rozważana w metodzie jednolitej.
Dziś po południu byłem zaproszony na zebrańko grona „inteligencji" kolneńskiej wespół z gospodarzami z Kolna w celu omówienia projektu założenia w Kolnie dużego przedsiębiorstwa udziałowego – cegielni. Zebranie odbyło się w Radzie Opiekuńczej. Główna inicjatywa tego projektu należy do młodego budowniczego Śniegockiego z Kozła.

4 marca, rok 1918, poniedziałek
Wielka nowina: pokój z Rosją podpisany. Tak przynajmniej głosi dopisek u spodu najświeższego komunikatu, wywieszanego w streszczeniu przy poczcie. Nie przeszkadza to temu, że w tymże komunikacie wyżej jest mowa o dalszych planowych postępach wyprawy na Rosję, dalej zaś następuje długa litania zdobyczy wojennej w jeńcach, amunicji, działach, karabinach maszynowych i ręcznych, materiale kolejowym itd. Wielkie słowo „pokój" nie daje jednak zupełnego ukojenia. Czy to jest istotnie pokój mocny i trwały, pokój ostateczny i nieodwołalny na wschodzie? Któż to zaręczy przy obecnych zmiennych i nieustalonych stosunkach na wschodzie po rozbiciu Rosji! Trzeba suponować, że o ile o samą Rosję chodzi, to istotnie pokój ten jest już o tyle pokojem, że Rosja nadal wojować nie jest w stanie. Ale w stosunku do zagadnień na wschodzie, do całego imperium okupowanego, do wszystkich tych tworów państwowych, które się na tych bezmiarach Wschodniej Europy od Oceanu Lodowatego aż po Morze Czarne wykluwają jak pisklęta z jaja wojny, pokój ten nic jeszcze nie ustala i nic nie rozwiązuje. Wszystko tu pozostaje po dawnemu *in statu nascendi*, nieokreślone i fermentujące, pod ciężką nadal łapą okupacji niemieckiej, pod niemiecką wolą, której pazury boleśnie wpijają się w ciało tych ludów, a apetyty tchną wciąż jeszcze groźbą wszelkich możliwości. Dlatego też pokój ten nie przynosi jeszcze całkowitego uspokojenia i pogodnej w przyszłość perspektywy. Nie rozprasza on trosk, nie budzi wielkiej rozprężającej radości. Nadal nie wiemy, co z nami będzie, kiedy i jak wrócimy do swobodnych pokojowych warunków życia. Lata całe możemy jeszcze trwać w stanie podobnym do obecnego, skrępowani, zduszeni – już nie tylko politycznie, ale wprost cywilnie w elementarnych sferach współżycia. Z pewnością nieco pokój ten może nam stopniowo ulżyć, bądź pod względem gospodarczym, bądź pod względem stosunków komunikacyjnych. Ale i to z wielkimi zastrzeżeniami i ograniczeniami oraz wielką stopniowością. Przeważnie jednak wszystko pozostanie po dawnemu. Ha, trudna rada. Na wieść o zamierzonym pokoju z bolszewikami w jesieni radość i perspektywy były o wiele w nastrojach szersze, niż dziś na tę wiadomość o „pokoju" podpisanym.
Nie można nawet zaręczyć, czy zatrzyma się pochód niemiecki w głąb Rosji i na Ukrainie. Austriacy właśnie się od paru dni pchać zaczęli na Podole, zachęceni przykładem Niemiec i widokami łatwych, nic nie kosztujących zdobyczy. Zajęli Chocim, Kamieniec, Podolski, Płoskirów. Z drugiej strony zdaje się być jeszcze nie koniec doświadczeń, którymi mściwe losy lub palec Boży dotyka poległą Rosję. Japonia zdaje się na serio gotować do wielkiej i głębokiej wyprawy syberyjskiej.
W ostatnim numerze socjalistycznego litewskiego „Darbo Balsas", który prenumeruję z Wilna, jest artykuł w sprawie chełmskiej. Niestety – Litwini, nawet z obozu

wolnościowego, którego dogmatem nie jest specjalna nienawiść Polski i Polaków, nie zdobyli się na trafne i sprawiedliwe ujęcie tej kwestii. Płytko i stereotypowo oceniają oni gwałt i alarm, który wywołał w Polsce Traktat Brzeski w stosunku do sprawy chełmskiej – klasowymi względami wielkiej własności ziemskiej, zaniepokojonej widmem społecznego radykalizmu ukraińskiego i drżącej o ocalenie swych dworów i latyfundiów na Chełmszczyźnie. Zaiste – tanie rozumowanie. Zdają się oni nie dostrzegać groźnej istoty tej rzeczy, samego elementu prawa, które zdeptane zostało w tej kwestii, zupełnie niezależnie od zagadnienia, czy więcej słuszności jest w pretensjach polskich, czy też ukraińskich do Chełmszczyzny. Jeżeli bowiem kwestia sporna między Polską a Ukrainą, a należąca dotąd formalnie do sfery państwowości polskiej, może być rozwiązana układem mocarstw centralnych, władców przemocy z jedną ze stron, toczących spór, to jak dziś zrobiono to w stosunku do Polski względem sprawy chełmskiej, tak jutro może to samo być zrobione w stosunku do Litwy względem Wilna lub innego jakiegokolwiek jej skrawka, a nawet może być bez żadnego układu, mocą jednostronnej woli i prostego zarządzenia przemocy odcięty dowolny kawał Polski na rzecz zaokrąglenia granic niemieckich gdzieś, dajmy na to, po linię Narwi lub w zagłębiu węglowym, albo w tym samym celu kawał Litwy najrdzenniejszej w Suwalszczyźnie lub na Żmudzi. Tego zasadniczego pierwiastka prawa i jego podeptania oraz płynących stąd groźnych konsekwencji zdają się nie dostrzegać Litwini, rozprawiający naiwnie o klasowych interesach polskiej szlachty obszarniczej. W zbyt uproszczonych złudzeniach operują ich argumenty. Oby rzeczywistość nie zbudziła ich w sposób zbyt brutalny, czego nie daj Boże.
Zresztą co do sprawy chełmskiej, została ona szczęśliwie załagodzona, chociaż ostrze groźby, które się w niej ujawniło, pozostało w postaci *memento* na przyszłość. Artykuł drugi Traktatu Brzeskiego, przesądzający ustąpienie Chełmszczyzny Ukrainie, został zastąpiony w dodatkowym układzie Austrii z Ukrainą na rzecz zastosowania do Chełmszczyzny plebiscytu ludowego o przynależności państwowej.

5 marca, rok 1918, wtorek
Dzień kryształowo pogodny. Przez cały dzień ani chmurki na niebie. W tym roku jest to rzadki dzień, bo dotąd od Bożego Narodzenia przeważnie dnie bezsłoneczne.
Nie ma jeszcze żadnych szczegółów o pokoju. Jest tylko w komunikacie wzmianka, że z powodu podpisania pokoju działania wojenne „w Wielkorosji” zostały wstrzymane. Czy ma to oznaczać, że na Ukrainie wstrzymane one nie zostaną i że wyprawa „pomocnicza” oraz „przywracanie porządku” będzie postępowało dalej w głąb? W gazetach w różnych depeszach są jeszcze uzupełnienia co do miejscowości, które na kresach okupowane zostały. Dowiaduję się z tego, że zajęty jest także Połock i Bobrujsk. Ciekaw jestem, czy okupacja pod Bobrujskiem stanęła na linii Berezyny, nie przekraczając jej w kierunku wschodnim. Interesuje mię to ze względu na Bielcz, który w takim razie zostałby poza okupacją, co dla Kotuńki i Ezechiela byłoby zapewne rzeczą niepożądaną, raz dlatego, że pozostając, jak przypuszczam, w okupowanym Mińsku, byliby oni odcięci od majątku i po wtóre dlatego, że Bielcz uległby w takim razie wywłaszczeniowym zarządzeniom bolszewików.
Mam teraz przy sobie listę strat b. legionistów-Galicjan z naszego pułku na froncie włoskim. Przed paru dniami, gdym o niej pisał, nie miałem jej przy sobie, toteż nie pamiętałem nazwisk. Teraz wynotuję nazwiska tych kolegów moich, którzy na tej smutnej liście figurują. Wśród rannych są następujący koledzy z naszej dawnej I kompanii i znajomi z innych kompanii. Ranni koledzy z b. I kompanii naszego pułku: Idzik, Medycki Janek, Dymczak, Grizel, Jakl, Mickiewicz, Merchut i Kaniak. Ranni znajomi z innych kompanii: Smigla (z b. II kompanii, był w kompanii szkoły oficerskiej

w Zambrowie), Strojny (również należał do szkoły oficerskiej), Biernacki (z karabinów maszynowych, należał do szkoły oficerskiej) i Piórecki (chorąży). W niewoli z naszej b. kompanii Maziak Michał i Bronek Medycki (ranny). Oprócz zabitego Łabaziewicza umarł z ran Macko z karabinów maszynowych, b. podporucznik, ten sam, który nam, słuchaczom szkoły oficerskiej, wykładał w Pomiechówku o karabinie maszynowym i przerabiał z nami stosowne ćwiczenia w próbnym strzelaniu z tegoż karabinu. Smutna lista, biedni chłopcy.

6 marca, rok 1918, środa
Sesja sądowa. Ławnicy: Stachelski i Remba. Na wokandzie było osiem spraw, z których dwie karne i sześć cywilnych. Były to same prawie sprawy o konie lub krowy; pretensje z tytułu wadliwych sprzedaży w różnych kombinacjach. Sesja była przez to bardzo jednolita, co wpływało dodatnio na jej bieg. Dwie tylko sprawy różniły się tematem, jedna karna o samowolny wyrąb cudzego drzewa i jedna cywilna – o szkody i straty ze zniszczenia zasiewu przez świnie. Sesja była ciekawa i praca sędziowska szła sprężyście i dokładnie. Trwała sesja do godz. 4 po południu. Lubię dnie sesji, zwłaszcza sesji udatnych. Są one w moim trybie życia czymś treściwym i płodnym, co samo przez się daje zadowolenie.
Gazet dziś nie miałem. Słyszałem jeno nieco nowin politycznych od tych, którzy mieli w ręku świeże gazety poznańskie i niemieckie. Podobno Niemcy zdecydowały się na interwencję zbrojną w Finlandii celem przywrócenia w niej ładu i poskromienia rewolucyjnych bolszewickich band tzw. Czerwonej Gwardii. Zażądały od Szwecji, która, korzystając z zamieszek finlandzko-rosyjskich, wysłała korpus ekspedycyjny na wyspy Aalandzkie, dopuszczenia na tychże wyspach punktu oparcia się dla przedsięwzięcia niemieckiego w Finlandii, zastrzegając brak wszelkiej intencji politycznej w tym chwilowym oparciu się na wyspach. Oczywiście więc Niemcy uważają dziś siebie za powołanych do czynnego regulowania stosunków na całym wschodzie na byłych dziedzinach Rosji, od których Rosja na mocy traktatu pokojowego całkowicie i bezwzględnie wyłączona została. Już nie tylko Ukraina, Polska, Litwa, Białoruś, Kurlandia, Inflanty i Estonia, ale nawet Finlandia wciągnięta została do sfery czynnej ingerencji niemieckiej, skierowanej do nowego ukształtowania prawno-państwowego na wschodzie, ukształtowania, które oczywiście ma być dokonane pod egidą zwierzchnią interesów niemieckich.
Nieszczęśliwa Rumunia przystała na warunki, podyktowane jej przez zwycięskie Czwórprzymierze.
Nie czytałem jeszcze warunków pokoju z Rosją, które już zostały ogłoszone. Podobno Rosja ustąpiła część terytorium na Kaukazie na rzecz Turcji. Kars i Batum przechodzą pod władzę Turcji. Spełnia się zatem „zjednoczenie" Armenii w łonie Cesarstwa Ottomańskiego.
Całość tego szkicu regulacji spraw na wschodzie ma z natury rzeczy, dopóki trwa wojna między Niemcami a Anglią, Stanami Zjednoczonymi i Francją, wojna ciężka i nierozstrzygnięta, charakter jeszcze prowizoryczny. Sankcję nada sprawom na wschodzie wynik wojny na zachodzie. Ale w każdym razie to, co się już obecnie na wschodzie kształtuje, tworzy pewną mocną więź faktów dokonanych, które swój wpływ w każdym wypadku na przyszły układ form i stosunków w tej części Europy – zachowają.

7 marca, rok 1918, czwartek
W Kolnie obiegają pogłoski wielce niepokojące o losie tej części Polski. Od dawna znane są intencje niemieckie do wykreślenia sobie tzw. granic strategicznych ze strony

Polski i jej kosztem w drodze zaanektowania pewnych skrawków nadgranicznych od północy i zachodu Królestwa. Wiadomo, że na północy pożądana jest przez wyższe sfery wojskowe linia Narwi, to znaczy zaanektowanie pasa, do którego w każdym razie weszłyby powiaty szczuczyński, kolneński, ostrołęcki i dalej po przez północną połeć b. guberni płockiej. Intencje te zawsze budziły obawy u ludności powiatów zagrożonych i nieraz już obiegały tu alarmujące w tym kierunku pogłoski, budząc strach połączony ze zgrozą. Bo aneksja niemiecka przedstawia się tu wszystkim jako zgroza i jak zmora wisi nad znękanym krajem. Już nieraz jakieś poszczególne zarządzenia niemieckie budziły tu trwożne domysły realizacji tej klęski. Dopatrywano się w nich zwiastunów nieuchronnej aneksji. Nigdy jednak warunki zewnętrzne nie zdawały się tak sprzyjać tym intencjom, jak teraz, kiedy Rosja została obezwładniona ostatecznie, Niemcy pozbyły się wroga i niebezpieczeństwa na wschodzie, dyktatura ich, jako niczym odtąd nie krępowana jednostronna wola, zawisła nad losem całego wschodu europejskiego i olbrzymie przestrzenie od Oceanu Lodowatego do Morza Czarnego wydane zostały faktycznie na pastwę tej potężnej, chciwej i dumnej woli. Cóż znaczy dziś dla Niemiec obcięcie jakichś skrawków dla uregulowania strategicznego granicy! Czyż nie byłoby to jeszcze z ich strony wspaniałomyślności dowodem, że pozostałej reszcie obszarów darowują byt odrębny, mogąc dowolnie pochłonąć nie skrawki tylko, ale wielkie całości! Jest to przecie prosta łaska lub niełaska! A niebezpieczeństwo to, płynące z nowych warunków, jakie stworzył „pokój” na wschodzie, nabiera znamion szczególnie konkretnych wobec oświadczenia urzędowego w mowie kanclerza Hertlinga w Parlamencie Rzeszy, że przy określaniu granic z Polską Niemcy nie będą się kierowały żadnymi względami zaborczymi poza względami li tylko strategicznymi. Wiadomo jest aż nadto, czym są te względy strategiczne w stosunku do zagrożonych północnych i zachodnich kresów Królestwa Polskiego! Niepokój więc wzrósł tutaj, a czy to z rzeczywistych realnych projektów nowych administracyjnych zarządzeń niemieckich w powiecie kolneńskim, czy tylko z domysłów, wyssanych z palca, czy też wreszcie z gawęd i bądź rewelacji, bądź plotek, szerzonych tu przez urzędników okupacyjnych niemieckich – wyrosło widmo rychłego wykonania przez Niemców swej aneksyjnej kombinacji. W każdym razie, zaniepokojenie jest w Kolnie bardzo wielkie, pogłoski są alarmujące i nie radość z zawartego na wschodzie „pokoju”, który wszak jest w istocie tylko formą realizującej się na wschodzie dyktatury niemieckiej, nie radość więc i uspokojenie, ale strach i posępne wnioski charakteryzują nastrój lokalny. Opowiadają, że Niemcy w najbliższym czasie mają zainstalować w Kolnie stolicę nowej guberni okupacyjnej; że komora graniczna w Dłutowie pod Wincentą, na dawnej granicy pruskiej, ma być zwinięta i przeniesiona do Piątnicy nad Narwią naprzeciwko Łomży. Między innymi, wieści te szerzy v. Sulerzycki, zastępca naczelnika powiatu, Poznańczyk i z urodzenia Polak, a wróg najgorszy Polaków i najgorliwszy Prusak. Czy są to tylko jego domniemania i pogłoski, czy też istotne zamierzenia? Gdyby się miały spełnić, zawierałyby w sobie znamię niechybne zapoczątkowanego zaboru. Trudno się dziwić usposobieniu zagrożonych Kolnian.

Bardzo ciekawą wiadomość podały dziś gazety o układzie, zawartym między dowództwem niemieckim a wojskiem polskim w Rosji generała Dowbora-Muśnickiego. Wojsko te, czyli I korpus polski, otrzymało, czyli raczej zastrzegło do swego autonomicznego posiadania cały kraik na wschodnich kresach okupacji niemieckiej na Białej Rusi. Kraik ten jest mi dobrze znany; w nim leży Bielcz. Układ między Dowbor-Muśnickim a Niemcami zawarty został w Bobrujsku. Postaram się jeszcze jutro pomówić o nim. Kraik, tworzący prowizoryczną wojenną republikę polską na kresach białoruskich, leży w dorzeczu dolnej Berezyny po linię Dniepru. Należą do niego Mohylów i Bobrujsk. Ciągnie się on od Mohylowa na północy wzdłuż Dniepru po

ujście Berezyny łącznie z mostem kolejowym na Dnieprze pod Żłobinem i miastem Żłobinem. Od ujścia Berezyny ciągnie się na zachód do Słucka, stamtąd linią kolejową do Osipowicz.

8 marca, rok 1918, piątek
Znowu po paru dniach pochmurnych czyściutki słoneczny dzień. W sądzie – sesja. Ławnicy – Stachelski i Kocik. Doświadczyłem, że im lepsza pogoda, tym praca sędziowska na sesji jest intensywniejsza i lepsza. Słońce lub mgła mają ogromny wpływ na pełnienie funkcji sędziowskiej. Myśl zupełnie inaczej pracuje, energia jest inna w dni słoneczne, niż w dni pochmurne. W pogodzie i słońcu proces myślenia, a nawet sam język w formułowaniu motywów i rezolucji, w całym protokole – nabiera jędrności i przejrzystości, staje się ścisły, trafiający w sedno. W pochmurne natomiast dni jakiś ciężar przygniata myśl i robi ją leniwą, przewlekłą, niedołężną. Dzisiaj, w prześliczną pogodę, sesja szła niezwykle dokładnie, dając trafne dla czynności sędziowskiej wyrazy, proste i logiczne formuły. Z wielkim zadowoleniem pracowałem. Spraw było na wokandzie siedem, w tej liczbie dwie proste rewersowe, jedna incydentalna o wydanie tytułu wykonawczego z wyroku b. rosyjskiego sądu pokoju, którego akta zostały w czasie działań wojennych zniszczone, jedna nieciekawa i mało treściwa o alimenty dla macochy od pasierba, która została odroczona, dalej jedna z oskarżenia Antonowicza przez Olszewskiego o pobicie, ciągnąca się jeszcze od r. 1917 i znów odroczona z powodu pewnych niedokładności w doręczaniu wezwania oskarżycielowi, wreszcie duże sprawy ciekawe i oryginalne, które najwięcej czasu i pracy zajęły. Z nich jedna – karna o zniesławienie i druga – cywilna o wynagrodzenie kosztów i strat z zerwania zaręczyn. W tej ostatniej rodzice panny młodej, niejacy Trzcińscy, skarżyli niedoszłego zięcia i jego ojca, Krawczyków. Zapowiedzi były już wyszły, dzień dla wesela był wyznaczony, goście, sąsiedzi i krewni panny młodej zebrali się na ucztę, która u chłopów z okazji wesela musi być sutą; tymczasem pan młody wcale się nie stawił i wesele zostało rozchwiane. Przy dzisiejszych cenach koszta uczty weselnej wyniosły podług obliczenia poszkodowanych i świadków do 500 marek. Zasądziliśmy całą sumę żądaną, nie uwzględniając usprawiedliwienia pana młodego, który uzasadniał zerwanie zaręczyn tym, że rodzice panny młodej już podczas zapowiedzi przez chwilę się wahali co do wyboru kawalera i jeździli nawet do księdza o wstrzymanie zapowiedzi i danie na zapowiedzi z innym, co wszakże natychmiast cofnęli wobec opozycji panny. Ciekawą i bardzo oryginalną była druga sprawa, karna. Oskarżoną była tu niejaka Gębarska, młoda dwudziestokilkuletnia niebrzydka, mająca w sobie dużo powabu zmysłowego mężatka, której mąż jest na wojnie. Gębarska urodziła przed kilku tygodniami dziecko, które oczywiście jest cudzołożnym. Młody zdrowy drab, wcielenie świeżej jędrnej męskości, syn gospodarski z Kolna, Kowalewski, oskarżył ją o zniesławienie, które się rzekomo wyraziło w tym, że biedna kobieta rozgłasza, że to on, Kowalewski, miał z nią stosunek ojcowski i jest ojcem dziecka. Gdy Kowalewski wnosił skargę, zapytywałem go, czy istotnie rozgłaszana okoliczność jest podług jego zdania tak dla niego hańbiącą, że może być uznana za zniesławienie. Kowalewski twierdził, że rozgłoszenie to, nie odpowiadające prawdzie, zniesławia go tak dalece, że się nie może pokazać w żadnym towarzystwie młodzieży, bo go palcami wytykają. Chciał powoływać świadków na stwierdzenie tego, że Gębarska od dłuższego czasu prowadziła życie rozwiązłe, odwiedzała nocami różnych mężczyzn, zaraziła się nawet chorobą weneryczną i jeździła przez czas pewien do Łomży do doktorów. Dowody takie uchyliliśmy, bo nic to do sprawy o zniesławienie Kowalewskiego nie ma. Cała ta sprawa pachnie mi chęcią jeno wykręcenia się Kowalewskiego od zarzutu ojcostwa i ewentualnych tego skutków, ale wszelkie pozory zdają się przemawiać za tym, że

młody Kowalewski nie gardził bynajmniej Gębarskiej ciałem i powabami zmysłowymi. Sprawę tę rozpoznawaliśmy przy drzwiach zamkniętych, niepublicznie. Goldberg bronił ją energicznie, domagał się umorzenia sprawy z braku cech przestępstwa w inkryminowanym zarzucie zniesławienia, przeciwstawiając właściwości czci kobiecej, dotykanej podobnymi zarzutami stosunku miłosnego, właściwościom czci męskiej, a zwłaszcza czci młodego zdrowego chłopca, dla którego zarzut spółkowania i zapłodnienia młodej kobiety nie może być obrazą czci i dobrej sławy, a nawet w normalnych stosunkach towarzyskich jest pewnego rodzaju reklamą jędrnej męskości, połechtaniem ambicji samca, oddającym mu poniekąd wyrazu w oczach młodzieży tak męskiej, jak żeńskiej. Sąd jednak po naradzie przyjął inne zdanie. Ławnicy moi byli zdania, że zarzut taki szkodzi dobrej sławie kawalera i może mu nawet przy wyborze panny do małżeństwa przeszkadzać; że przeto, o ile zarzut ten jest istotnie, jak twierdzi Kowalewski, fałszywy, zniesławienie mieć miejsce może. Biedna Gębarska, której zmysłowość i zajście na tory rozpusty nie zabija przecie wrażliwości zwykłych uczuć ludzkich, moralno-społecznych, przygnębiona nieszczęściem, ciężarem wstydu tej sprawy i jeszcze większym ciężarem strachu na chwilę przyszłego powrotu męża, obstawała jednak przy twierdzeniu o prawdziwości zarzutów względem Kowalewskiego. Sprawę odroczyliśmy, by dać jej możność zaprodukowania dowodów prawdy. Udowodnić to trudno, ale już same poszlaki wystarczą do odrzucenia zniesławienia. Skoro się okaże tylko, że Kowalewski wcale purytaninem nie jest.

9 marca, rok 1918, sobota
Znowu śliczny bez chmurki dzień, jak wczoraj. Słoneczko już dobrze grzeje. Nocami jeszcze ostre mroziki, we dnie wszakże – ciepło. Czuć wiosnę.
W sądzie miałem jedno posiedzenie rady familijnej i badanie świadka w śledztwie wstępnym. Poza tym byłem uproszony przez Litwińskiego na członka sądu polubownego dla rozstrzygnięcia sporu o pewną pozycję rachunków Rady Opiekuńczej powiatowej między nim i niejakim Dumałą, sekretarzem gminy Mały Płock. Sąd polubowny tworzyliśmy: ja, Franciszek Stachelski i niejaki Szumowski. Wyrokiem obciążyliśmy sporną pozycją Litwińskiego. Poza tym dzień upłynął pospolicie. Z poczty nie było nic. Żadnych gazet ani listów.
Pokój z Rosją nie przyniósł dotąd nic. Żadnych zmian. Dotychczas nawet ani poczta jeszcze nie została przywrócona, ani się nie rozpoczął ruch powrotny uchodźców. Są to wszakże dwie główne rzeczy, które niewątpliwie najpierwiej się dokonają, tak w stosunku do Rosji, jak do terenów, świeżo okupowanych na wschodzie, mających w myśl traktatu pokojowego służyć tylko za zastaw tymczasowy w ręku niemieckim. Na właściwym zaś starym obszarze okupowanym, w Polsce i Litwie, nic się kompletnie nie zmieniło. Ta sama okupacja i ta sama nieświadomość losów, zależna od woli niemieckiej. Jakże inaczej się wyobrażało ten oczekiwany na wschodzie pokój w chwili, gdy nastali w Rosji bolszewicy, dokonano zawieszenia broni i rozpoczęto rokowania w Brześciu! Bo i co to za pokój zresztą! Jest to po prostu wykonanie dyktatury niemieckiej, ze strony zaś Rosji prosta kapitulacja. Zresztą Rosja bardzo wyraźnie to zaznaczyła przy podpisaniu traktatu w Brześciu: złożyła uroczysty protest, uchyliła się od wszelkiej dyskusji i rokowań i podpisała traktat, podyktowany przez zwycięskie Czwórprzymierze. Taki „pokój” nie przywraca pokoju, nie jest pokojowym rozwiązaniem sporu i nawiązaniem regularnych stosunków przyjaznego współżycia. Nie jest on ani pokojem demokratycznym wolności ludów, o który woła cały świat i do którego zwłaszcza wzywali bolszewicy po dojściu swym do władzy w Rosji, ani nawet pokojem porozumienia w myśl formuł większości parlamentarnej w Niemczech, ale najjaskrawszym pokojem przemocy wojennej, tak zwanym „pokojem niemieckim” pod

znakiem Hindenburga, takim, do którego zwłaszcza tęsknili aneksjoniści pruscy i który Hindenburg gotował. Takimże ma być oczekiwany pokój z Rumunią, wieńczący dzieło dyktatury niemieckiej na wschodzie. Jest to pokój wyciągniętych pazurów niemieckich. Pazury te muszą mocno trzymać wschód, bo każde ich sfolgowanie grozi wybuchem odruchów ofiary. Od Polski aż do Rosji właściwej, wyrzuconej za Dniepr, wszystko jest podminowane niezadowoleniem, obawą przed samowolą Niemiec, poczuciem krzywd doznanych i jeszcze oczekiwanych. Nie wróży to trwałego nastroju pokojowego. Wszystko dyszy pragnieniem odwetu, pożądaniem wyłamania się spod pazurów, spełnieniem niekrępowanej swobody. W tych warunkach mocno muszą trzymać Niemcy cały wschód; nie mogą popuszczać okupacji ani też na chwilkę spocząć na laurach zwycięstwa. Dzieło przemocy przemocą tylko utrzymywane być musi. Wprawdzie rozbrojenie wroga wyzwala część sił niemieckich i nie wymaga już takiego napięcia militarnego, jakie niezbędne było do utrzymania poprzednio na froncie wschodnim, ale konieczną jest wciąż ogromna czujność zarządzeń, niewyczerpana energia i ciągłe pogotowie. A zwłaszcza niezbędna jest siła i zwycięstwo na zachodzie. Tylko ona może zapieczętować sukces dyktatury, osiągniętej na wschodzie albo też rozsypać całość dzieła Hindenburgowego na wschodzie w gruzy. Sankcję sprawie wschodniej da wojna na zachodzie. Bo niech się tylko Niemcom na zachodzie noga powinie, niech tylko zmuszone będą zluzować moc napięcia pazurów na wschodzie, by skupić większą energią tam – a cały ujarzmiony korny wschód powstanie przeciwko nim i z pokonanej ofiary wyrosną mściciele. O wiele inaczej byłoby, gdyby Niemcy zawarły na wschodzie pokój szczerego porozumienia lub demokratyczny pokój wolności. Wtedy by wschód miały bezpieczny, a nawet miałyby tu atut do zwalczenia wrogów na zachodzie z wewnątrz, z łona demokracji zachodnich państw, by się z nimi porozumieć. Obecnie nie mogą dojść do zakończenia wojny i do utrzymania swego dzieła na wschodzie inaczej, jak przez zwycięstwo na zachodzie. Nie – porozumienie, lecz wyraźnie – zwycięstwo. To sprawiła Niemcom polityka ich półboga – Hindenburga. Czy wszakże nie było to koniecznością dla Niemiec, o ile w nich rewolucja nie powstała i nie zwyciężyła – trudno orzec. Może – tak.

10 marca, rok 1918, niedziela
Niedziela. Słońce. Pierwsza muszka, zbudzona ze snu zimowego, ogrzana promieniami słońca, brzęczeć zaczęła między oknami, zwiastunka wiosny. Po napisaniu dziennika z dnia wczorajszego poszedłem na spacer. Ponieważ jest jeszcze mokro, wiosna wczesna, więc na dalsze spacery jeszcze nie chodzę. O ile się na spacer wybieram, idę zawsze tą samą drogą: kawałek szosą w kierunku Wincenty za cerkiew do skrzyżowania z torem kolejowym i następnie torem zbudowanej już częściowo, ale nie uruchomionej linii kolejowej na Łomżę do mostu, zbudowanego na bagnach Łabna. Przeszedłem się i dziś tamtędy i usiadłem na moście w słońcu, wygrzewając się jak jaszczurka. Dokoła wiosna się budzi. Powietrze czyściutkie, niebo bez chmurki, słońce dobrze grzeje, wiatru nie ma. Ptactwo – w ruchu, świergocze. Wrony przelatują kracząc, mnóstwo drobiazgu ptasiego wesoło szczebiocze, skowronek, który już przeszło od tygodnia się pokazał, śpiewa. Posłyszałem już na bagnach czajkę. Posiedziałem tak w słońcu godzinkę, zawróciłem i tą samą drogą przeszedłem się z powrotem. Pogoda od trzech dni niezmienna i trwała, bo przez cały ten czas ani jednej chmurki na niebie. Wieczorem byłem u Mystkowskich; był też i rejent Płoński; zagraliśmy trochę w ramsa.
Poczty, jak zawsze u nas w niedzielę, nie było. Są przez Żydów pogłoski, że w Łomży znów się odbyły jakieś manifestacje czy rozruchy. Szczegółów brak. Podobno władze niemieckie ukarały za to Łomżę kontrybucją i wydały zakaz wychodzenia po godz. 7 wieczorem na miasto.

W sprawie układu korpusu Dowbora-Muśnickiego z Niemcami, oddającego w ręce tegoż w autonomiczny zarząd cząstkę terytorium na Białej Rusi w dorzeczu dolnej Berezyny na przestrzeni Bobrujsk-Mohylów, nie wiem o tym nic więcej ponad to, co było w gazetach. Oceniam ten akt dodatnio. W kołach tutejszych, wrogo do Niemców usposobionych, ludzie uważają kombinację tego porozumienia Dowbora-Muśnickiego z Niemcami za akt brzydki i bodaj niegodziwy. Powiadają, że ten korpus polski Muśnickiego przyjął służbę pachołków niemieckich, biorąc na siebie obronę kresów okupacji niemieckiej przeciwko Rosji i oddając się Niemcom przez wydanie im magazynów, ruchomego materiału kolejowego itd. Nie idealizuję wcale pobudek Dowbora-Muśnickiego; wiem, że kierowały nim nie względy wolności, a nawet w mniejszym stopniu względy patriotyzmu, niż względy społeczno-antyrewolucyjne, by służyć za obronę obszarnictwa polskiego na Białej Rusi przeciwko reformom agrarnym bolszewików. Motywy narodowe zostały raczej doszyte do tych elementarnych motywów społecznych. Politycznie wszakże skłonny jestem oceniać ten fakt dodatnio. Bądź co bądź, zachowana zostaje na krańcach okupacji niemieckiej żywa zorganizowana siła, odrębna od niemieckiej i autonomiczna. Dziś jest ona od Niemców zależna, im podporządkowana zwierzchniczo. Ale co się może stać w przyszłości – niepodobna jeszcze przewidzieć. W chwili, gdy cały wschód jest tak zdeptany, tak rozbity i obezwładniony przez Niemców, gdy nie ma w nim nic zorganizowanego, dobrze jest, a przynajmniej mi się dobrze być wydaje, że ten mały autonomiczny zawiązek organizacyjny pozostał i to pozostał na zasadach autonomicznej samorządności. Gdyby się Niemcom powinęła noga na zachodzie i gdyby wschód zechciał się o swoje prawa upomnieć, dobrze będzie, gdy się znajdą tu i ówdzie zawiązki organizacyjne, które wtedy rolę swą odegrać będą mogły. Może jeszcze przyjść chwila, kiedy każdy taki zawiązek będzie cennym. A że wojsko to jest na krańcach okupacji, z otwartym wyjściem na wschód, ma ono przez to samo większą niezależność faktyczną i ewentualną możność wymknięcia się z łapy niemieckiej. W każdym razie, bezpieczniejsze jest ono tam na krańcach, niż gdyby było wewnątrz Polski bezpośrednio w łapach niemieckich. Jest to rezerwa i nic więcej. Może będzie do niczego, ale może się przyda. Zależeć to będzie zarówno od jej ideowości i żywej woli, jak przede wszystkim od losu wypadków.

11 marca, rok 1918, poniedziałek
Znowu takiż słoneczny dzień bez chmurki. Wczoraj był dzień „40 męczenników". Podług określeń ludowych – gdy w tym dniu wypada mrozik i pogoda, to analogiczna pogoda trwać będzie dni 40, i odwrotnie, gdy w tym dniu wypadnie słota. Wróżyłoby to ładną wiosnę.
W sądzie, choć to nie środa i nie piątek – nie dzień zwykły sesji – miałem sesję. Była to sesja nadzwyczajna, wyznaczona specjalnie dla cyklu spraw rewersowych Kolneńskiego Towarzystwa Pożyczkowo-Oszczędnościowego przeciwko całemu mnóstwo zalegających dłużników i poręczycieli, Żydów i chrześcijan. Spraw tych w lutym Towarzystwo wniosło trzydzieści kilka. Rozłożyłem je na dwie specjalne sesje, 20 spraw – na dzisiaj i kilkanaście – na przyszły poniedziałek. Ławnicy zasiadali – Kocik i Remba. Była to nudna sesja, wypełniona li tylko techniczną formalistyczną robotą. Z pozwanych tylko kilku się stawiło; oponowali, ale nie bardzo co mieli zasadnego do powiedzenia, bo podstawą powództw – rewersy. Wielu z pozwanych było w gruncie pokrzywdzonymi, bo w zobowiązaniach brali udział jako poręczyciele, a teraz odpowiadać musieli za dłużników. Ale na to rady nie ma. Ci, którzy się stawili, złościli się, ale musieli ulec. Ponieważ sprawy były proste, rewersowe, zdawało się, że choć ich wyznaczono 20, załatwione będą prędko. Tymczasem cała robota przeciągnęła

się aż do godz. 3 po południu, mimo że wszystkie sprawy puściliśmy jedną po drugiej, a wyroki we wszystkich sprawach zredagowaliśmy na końcu. W każdej przecież sprawie trzeba było napisać protokół, a potem przy redagowaniu wyroków trzeba było w każdej wyliczyć rachunek należności i procentów i zredagować dla każdej wyrok. Była to robota mozolna i martwa. Z ramienia Towarzystwa Pożyczkowo-Oszczędnościowego stawał Goldberg. Tak musieliśmy wysiedzieć cały dzień Boży w zaduchu ścian, gdy tam na dworze słoneczko świeciło i wiosna się śmiała. Gdym wyszedł wreszcie przed czwartą, cudne pachnące powietrze wiosny ogarnęło mię żalem; ale już dzień się miał ku schyłkowi. Zanim zjadłem obiad, był już wieczór prawdziwy.

12 marca, rok 1918, wtorek
Nie dotrzymała pogoda: od samego rana było pochmurno, a potem zrobił się dżdżysty słotny dzień, typowo jak na jesieni.
Dotknę dziś tematu sprawy litewskiej. Ogromny sukces niemiecki na wschodzie, jak we wszystkim innym, tak i w stosunku do Litwy podniósł zachłanność i arogancję Niemców. W ostatnich czasach w prasie i w przemówieniach niemieckich coraz częściej się spotyka głosy o Litwie. Niedawno rozprawiano szeroko o domniemanych kandydaturach na „tron litewski" księcia z królewskiego domu saskiego, to znów któregoś z książąt gałęzi wirtemberskiej. Prasa i politycy niemieccy coraz częściej zaczynają mówić o Litwinach w tonie poskromienia nadmiernych roszczeń litewskich, w tonie reprymendy i nawet pogardliwego oburzenia. Litwinów zaczynają przyrównywać do Polaków, zarzucając im, że wstępują na te same tory nierozwagi i frondy względem „uprawnionych" interesów niemieckich, co Polacy. Jak Polakom, tak Litwinom zarzuca się „niewdzięczność" względem Niemcom, którzy ich oswobodzili i już nie przestrzega się, ale się im grozi, że w takim razie Niemcy przestaną się z nimi liczyć i potraktują tak, jak krnąbrnych nierozsądnych malców, których się po prostu karci. Taki jest coraz powszechniejszy ton prasy i polityków niemieckich w sprawie litewskiej, a że teraz Niemcy, upojeni sukcesem wschodnim, stają coraz jaskrawiej i tłumniej pod znakiem reakcji, dla której cały świat a już co najmniej wschód wydaje się prawowitym podnóżkiem interesów niemieckich, więc ton ten nabiera szczególnej wymowy. Faktem jest, że o sprawie litewskiej coraz głośniej w Niemczech. I skądże ten sztuczny alarm, i czym zawinili Litwini? Oto jako ich winę, jako dowód nierozsądności politycznej, niewdzięczności, przesadnych roszczeń i tym podobnych grzechów litewskich – wystawia się rosnące wśród Litwinów żądanie niepodległości i domaganie się uznania jej przez Niemcy. Litwini nie chcą być niemieckimi wasalami, chcą niezależności od Niemiec! Co za zgroza! Nie chcą być podnóżkiem niemieckim, terenem niemieckiej ekspansji, nawozem kolonizacyjnym, niemieckim mostem do Kurlandii! Nie wystarcza im to, że Niemcy „wyzwolili" ich do barbarzyńskiej Rosji, że krew niemiecka ich „oswobodziła"! Śladem Polaków zaczynają kaprysić, chorować na megalomanię, śnić o jakimś niepodległym państwie litewskim! Litewska Rada Krajowa, miast dyszeć wdzięcznym posłuszeństwem, gotowym na wszelkie skinienie dobrodzieja niemieckiego, ośmiela się występować pod sztandarem niepodległości państwowej i pretendować jakieś żądania! Tego za dużo! Pora skończyć z tą głupią maskaradą, która urąga powadze zwycięskich Niemiec i zawraca głowy poczciwemu ludowi litewskiemu, nie pragnącemu rzekomo nic innego, jak spokoju i bytu pod błogosławioną opieką niemiecką, która im dała „wyzwolenie". Rada Krajowa Litewska, jeżeli się ją będzie brać nadal na serio, potoczy się na te same manowce, po których błądziła bezradnie nieboszczka polska Rada Stanu, demoralizując jeno lud politycznie. Pora przemówić do Litwinów trzeźwym językiem woli niemieckiej, językiem kategorycznym niemieckich interesów, które zarazem są dla Litwinów jedyną tarczą realną przed zachłannością

Polski. Litwa niepodległa bowiem stałaby się stopniowo z konieczności wasalem Polski, prowincją polskiej sfery wpływów, a wiadomo, że Polska jest katem Litwy! Interes niemiecki jest więc zarazem powołanym Litwy obrońcą! W tym tonie coraz głośniej i coraz powszechniej przemawia opinia publiczna Niemiec i niemiecka prasa; socjalni demokraci i poseł centrowy Ergberger, głoszący hasło niepodległości państwowej Litwy, są przez ten chór głosów zagłuszeni. A przecie tzw. „pokój" na wschodzie okazał się nie dziełem recepty większości parlamentarnej niemieckiej, lecz dziełem woli zbrojnej Hindenburga i całej reakcji. Toteż ich głos dziś w sprawach wschodu więcej waży i oni czują się panami położenia, mającymi moc dyktowania. „*L'apétit vient en mangeant*" – powiada przysłowie francuskie. Nie tak dawny to czas, gdy na wywody Trockiego w Brześciu Litewskim o zasadach pokoju demokratycznego, opartego na wolnym stanowieniu ludów o sobie, Niemcy odpowiadali, że ludy, oderwane od Rosji na zachodzie (Polska, Litwa i Kurlandia), już swą wolę w kierunku własnego bytu państwowego wyraziły i że przeto należy ją uznać i uszanować jako fakt dokonany. Dziś, po zdławieniu rosyjskiej opozycji, Niemcy sami zaprzeczają tymże ludom prawa do bytu, traktując je pod kątem jednostronnego interesu niemieckiego. Litwinom stawia się za wzór Kurlandię, której „Rada Krajowa", zbudowana na pierwiastku niemieckich baronów bałtyckich, śle adresy hołdownicze do Wilhelma i prosi o zaszczyt stania się podległym wasalem Niemiec. A dla zrealizowania tych gorących aspiracji niemieckich do Kurlandii itd. niezbędną im jest droga przez Litwę. Stąd gwałtowne parcie do jej posiadania. Czy nie jest wskazane zbliżanie się Litwinów z Polakami wobec tych niemieckich pożądań?

13 marca, rok 1918, środa
Malutka sesja sądowa. Była na dziś wyznaczona wokanda wyłącznie żydowska przy obu ławnikach Żydach, ale mi na nią spraw zabrakło, tak że na wokandzie były tylko cztery sprawy. Ciekawy szczegół: o ile w grudniu i styczniu nie było prawie żadnego wpływu spraw ze wsi i były wnoszone wyłącznie sprawy z Kolna, o tyle od lutego znów, gdy się rozpoczął dopływ spraw ze wsi, ustał niemal całkowicie dopływ z Kolna (nie licząc tej długiej, zupełnie specjalnej serii spraw rewersowych Kolneńskiego Towarzystwa Pożyczkowo-Oszczędnościowego). Stąd też brak spraw na sesję żydowską.
W gazetach nie było nic nowego. Ekspedycje niemieckie w Finlandii i na Ukrainie jeszcze trwają. Na Ukrainie toczą się jakieś akcje policyjno-wojenne Niemców na południu pod Odessą i na wschodzie pod Bachmaczem, w Finlandii Niemcy są już na lądzie stałym.
Tak oto na wschodzie ta kilkuletnia straszna wojna skończyła się podbojem niemieckim. Jak mało ludzi na początku wojny spodziewało się takiego jej wyniku! Jak powszechnym było przekonanie, że Niemcy i Austria zostaną literalnie zmiażdżone! Ja osobiście wierzyłem stale w zwycięstwo Niemiec nad Rosją; od początku miałem to przeczucie i nadzieję; był czas w końcu r. 1914 i na początku r. 1915, zwłaszcza w dobie upadku Przemyśla, że się sam w tym przekonaniu zachwiałem, ale był to tylko czas przejściowy. Któż jednak mógł się spodziewać tak radykalnego, tak całkowitego pogromu Rosji, tak zupełnego podboju wschodu przez Niemcy!
Jakże w obliczu tego pierwszego konkretnego rezultatu wojny wygląda cała moja „orientacja" przez cały ciąg wojny od jej wybuchu? Przyszedł czas, kiedy trzeba zrobić rachunek sumienia i zastanowić się, czy nie błądziłem, pragnąc zwycięstwa Niemiec nad Rosją i nie chcąc za żadną cenę klęski wojennej mocarstw centralnych? Naturalnie, że moje pobożne życzenia nie zaważyły na szali zwycięstw i że moja „odpowiedzialność" za fakty jest żadna. Ale czym dobrze pragnął i czym dobrze

działał, usiłując myśl moją w woli powszechnej krzewić i czynem własnym (w pierwszym rzędzie Legiony) łącząc się ze sprawą mocarstw centralnych? Czy wobec mego sumienia obywatelskiego mogę się uważać za usprawiedliwionego? Podbój wschodu przez Niemcy, gdyby miał pozostać faktem stałym, byłby niewątpliwie dla całego wschodu, dla wszystkich tych ludów i ziem, które się tu mieszczą, klęską i niebezpieczeństwem straszliwym. Z tego sobie w zupełności zdaję sprawę. Nie łudziłem się i nie łudzę przez chwilę co do tego, że liczyć cośkolwiek bądź można na szlachetność i wspaniałomyślność Niemców, zwycięskich do stopnia dyktatury niczym nie okiełznanej. To fakt.
Co do mnie – pragnąłem zwycięstwa niemieckiego na lądzie europejskim i zwłaszcza nad Rosją, bałem się klęski wojennej i kapitulacji mocarstw centralnych i pragnąłem faktycznego odcięcia od Rosji jak największych obszarów na zachodnich kresach państwa przez wojska niemieckie i austriackie ze względów następujących. Porażka mocarstw centralnych, zwycięstwo Rosji i koalicji groziło spełnieniem zupełnej ich dyktatury. Dla mocarstw centralnych porażka byłaby zupełną ich katastrofą, oddaniem świata całego na łaskę i niełaskę zwycięzców, podczas gdy zwycięstwo Niemiec i Austrii nigdy by, jak się zdawało, tak zupełnym być nie mogło, bo gdyby zwyciężyły one nawet na lądzie na obu przeciwległych frontach, to przecież byłyby w swym zwycięstwie ograniczone przez Anglię w sprawie mórz i kolonii, wyczerpane nadmiernym wysiłkiem i przeto osłabione, wreszcie zwycięstwo to nie mogłoby być doprowadzone do zmiażdżenia przeciwnika. Dylemat więc zdawał się wyrażać tak: albo tam zwycięstwo całkowite, zwycięstwo jednostronnej dyktatury, po której nic dobrego spodziewać się nie było można, bo słabi na dyktaturze potentatów tracą zawsze, albo tu zwycięstwo względne, w którym obie przeciwne potęgi pozostają pod szachem wzajemnym, na czym oczywiście korzystają wszyscy słabi, szukający wyzwolenia i w tej perspektywie oderwanie jak największego obszaru od Rosji dla umiędzynarodowienie zagadnień, dotyczących tegoż obszaru. Dyktatura tak jedna, jak druga była i jest niebezpieczna i niepożądana. Dyktatura niemiecka bodaj jeszcze niebezpieczniejsza od koalicyjno-rosyjskiej (zwłaszcza po obaleniu w Rosji caratu), ale w stosunkach tej wojny mało prawdopodobna, podczas gdy po tamtej stronie, w razie skruszenia Niemiec, dyktatura zupełnie pewna i niczym nie skrępowana. Tak się przedstawiały widoki szans, toteż się wolało (mówię o moich osobistych tendencjach) pierwsze wyjście. Tymczasem na wschodzie zwycięstwo niemieckie przerosło oczekiwania i przekształciło się w podbój zupełny. Nic się tu już jemu nie przeciwstawia, niczym się ono nie ogranicza. Rosja jako siła, zdolna do jakiegokolwiek oporu, przestała istnieć. To niewątpliwie zaczyna być groźne. Ale losy istotnego wyniku katastrofy rozegrają się teraz na zachodzie. Gdyby Niemcy miały i tam zwyciężyć aż do takiegoż podboju, jak na wschodzie, byłoby to straszne, bo spełniłaby się istotnie ich dyktatura. Wtedy wszystkie moje kombinacje upadłyby w gruzy i musiałbym przyznać sobie, żem był kiep w rachubach i że przez cały czas wojny błądziłem grubo. Wszakże jeszcze dotąd nie sądzę, aby to nastąpiło. Sądzę, że walka się tam nie rozegra zmiażdżeniem którejkolwiek ze stron. W każdym razie jednak, gdy już kraje nasze są od Rosji oderwane i gdy w niej jest rewolucja, niebezpieczeństwo dla nich ze strony zwycięstwa koalicji, gdyby nawet miało ono spełnić jej dyktaturę – ustało, bo los nasz, co przecież zawdzięczamy orężowi niemieckiemu, stał się zagadnieniem wyłącznie międzynarodowym i przestał być sprawą rosyjską. Dziś już groźną dla nas pozostała tylko dyktatura niemiecka, bo ona dziś dąży do zrobienia z naszej sprawy – wyłącznie sprawy niemieckiego interesu, co też usiłuje realizować w ramach obecnego podboju wschodu.

14 marca, rok 1918, czwartek
Zimny i brzydki dzień. W mieszkaniu moim, choć się w piecu pali, chłód przenikliwy, palce kostnieją, nogi marzną. Jakże już tęskno do ciepłej prawdziwej wiosny!
W Kolnie nic takiego nie zachodzi, co by urozmaicało życie. I nie wiadomo, jak długo mi tu jeszcze w tej głuszy pokutować wypadnie. Gdy będę w kwietniu w Warszawie, pomówię z Wacławem Makowskim, będącym obecnie kierownikiem Ministerium Sprawiedliwości, w sprawie przeniesienia się gdzieś do innego, nieco większego środowiska albo przynajmniej położonego na punkcie większego ruchu komunikacyjnego. Lato jeszcze bym chętnie spędził w Kolnie, ale już na jesień i zimę drugą się tu zakopać – tego nie pragnę wcale. W możność rychłego powrotu na Litwę wątpię. Zdaje mi się, że ten „pokój" na wschodzie nie tylko nie zbliża istotnego pokoju, ale przedłuża wojnę z jej skutkami gospodarczymi i politycznymi na szereg lat jeszcze, bo zachód wytęży tym bardziej wszystkie siły do złamania przewagi niemieckiej, która się w tak jaskrawe panowanie na wschodzie przemieniła. Wobec tego podboju wschodu przez Niemcy zachód będzie jeszcze mniej skłonny do kompromisu pokojowego, niż był dotychczas. Z obydwóch stron wzrośnie wytężenie sił do rozprawy ostatecznej. A żadnej ze stron nie będzie łatwo złamać przeciwnika. Natomiast Niemcy nieskore dziś będą do dalszych ustępstw na Litwie, toteż liczyć na perspektywy rychłego swobodnego powrotu do kraju – nie mogę, niestety. Chyba że się Niemcom na zachodzie noga powinie. Trzeba się więc przygotować do cierpliwości.
W gazetach przeczytałem dziś o jakichś zejściach w „Polskim Korpusie Posiłkowym", to znaczy w tych szczątkach Legionów, złożonych z Galicjan, którzy zostali latem roku zeszłego odwołani przez Austrię na front i „wytrwali", nie przenosząc się do c.k. armii. Co tam zaszło – tego dokładnie gazety nie wymieniają, pisząc jeno półsłówkami, ze względu na warunki cenzuralne. Ale między wierszami można, zdaje się, wyczytać o jakimś akcie odruchu i gwałtownego protestu, którego skutkiem nastąpiło bodaj już chyba ostateczne rozbicie tej formacji. Oczywiście już najwytrwalsi tym razem wytrwać nie zdołali. Ostatni Mohikanie skończyli, jak się zdaje, tak samo, jak skończyli w zeszłorocznym kryzysie przysięgi Królewiacy-piłsudczycy. Czytam bowiem o internowaniu kilku tysięcy żołnierzy z tego „Korpusu Posiłkowego". Będzie to więc zapewne nowa edycja tragedii szczypiornańskiej. Zapewne sprawa chełmska była tego epilogu bodźcem.

15 marca, rok 1918, piątek
Warunki materialne pogorszyły się w ostatnich czasach znacznie nawet w Kolnie. Wszystko drożeje. Jest już ogromna różnica w stosunku do cen, jakie były jeszcze w jesieni, pomimo chwilowego zatrzymania się zwyżki, a nawet poniekąd zniżki w krótkim okresie listopadowo-grudniowym, gdy trwały iluzje co do pokoju na wschodzie, mającego przywrócić, jak się zdawało, handel i dopływ produktów. Szczególnie w ostatnich paru tygodniach, dla przyczyn nie tylko ogólnych, ale zwłaszcza lokalnych, podskoczyły w Kolnie gwałtownie ceny na artykuły spożywcze, a towarzyszy temu coraz większy brak, coraz trudniejsza możność dostania najniezbędniejszych produktów, jak mięso, słonina, masło, olej, w ogóle tłuszcze. Jeszcze przed miesiącem, gdy Maryńka u mnie bawiła, mięso wołowe i cielęcina kosztowały po 1 mk. 50 fen. za funt, słoninę można było dostać z łatwością po sklepach w cenie 4 mk. funt, i to słoninę ładną, grubą (gdy w Warszawie cena słoniny wynosiła podobno do 14 mk., w Wilnie 10-12 mk.), u Stachelskiego, u piekarza chrześcijańskiego i w paru innych sklepach leżała na sprzedaż kiełbasa wieprzowa i tzw. salceson po 3 mk. funt, świnina świeża była po 2-2.50 mk. funt, a u Stachelskiego była nawet szynka po 4 mk. funt. Przewrotu w cenach mięsa, tłuszczów i wyrobów

masarskich dokonała fabryczka wędlin i konserw wieprzowych na eksport, założona w Kolnie przez spółkę żydowską, która otrzymała na to koncesję specjalną. Spółka ta grasowała w kilku powiatach okolicznych, zakupując przez szereg agentów masowo świnie. Płaciła za żywe świnie drogo, ale wyczerpała całkowicie zapas świń do bicia w okolicy. Miała ono podobno prawo na zakup po 6000 sztuk świń na powiat. Tyle nie wyczerpała, ale zrobiła uszczerbek w stanie świń wielki. Stała się ona znienawidzoną przez ludność Kolna, która musiała znosić skutki braku świniny. Ceny na świnie podskoczyły. Słonina znikła zupełnie z handlu. Stała się specjałem, który nie tylko podrożał, ale którego prawie niepodobna było przez czas jakiś dostać. Kiełbasa, która wpierw była stale w spożywczych sklepach chrześcijańskich, znikła całkowicie. Świeża świnina też stała się rzadkością. Rzeźnicy świńscy w Kolnie przestali bić świnie. Już poprzednio narzekali oni na to, że Niemcy zabierają w jatkach dla potrzeb lokalnego garnizonu sporą część bitych sztuk (nieraz po pół świni), płacąc po 1 mk. 60 f., to znaczy taniej, niż cena żywej wagi, co zmuszało rzeźników do nadmiernego podnoszenia cen na reszcie mięsa, sprzedawanej detalicznie ludności cywilnej, by pokryć stratę i napędzić zysk (na skargi i żale Niemcy odpowiadali filozoficznie, że skoro rzeźnicy pomimo to biją świnie i sprzedają mięso, to widocznie mogą poprzestać na cenie 1 mk. 60 fen.). Zamiast bić świnie, kłócić się z Niemcami i podnosić cenę w handlu detalicznym, rzeźnicy „zastrajkowali", przestali bić i jęli się procederu łatwiejszego, a bardziej popłatnego: stali się po prostu agentami spółki produkującej konserwy i kupowane świnie sprzedawali żywe spółce, zarabiając dobrze. Nie pomogły groźby naczelnika powiatu, że pozbawi rzeźników patentu na handel świń, jeżeli nie będą bić. Chłopi, bijący świnie prywatnie i sprzedający część mięsa pod sekretem, bo bez patentu nie wolno, jak zresztą nie wolno bić świnie w domu, poza jatkami, brali już po 4 mk. za funt. W parę tygodni zaczęły się to u Stachelskiego, to u piekarza chrześcijańskiego pokazywać znowu z rzadka i w ograniczonych ilościach kiełbasy jako osobliwość, sprowadzana okazyjnie z daleka, ale już po 4 mk. funt. Po wędlinę tę i słoninę handlarze robili wycieczki aż pod Szczuczyn i w okolice Stawisk, gdzie łatwiej jest dostać, słonina jest już po 6 mk. funt; u piekarza chrześcijańskiego znalazła się nawet szynka, ale już nie po 4, lecz po 5 ½ mk. funt. Wzrósł też popyt na masło, które również wskutek tego zdrożało. Brak świniny, słoniny i tłuszczów wpłynął na podrożenie ceny mięsa wołowego, która podskoczyła do 2 mk. funt. Wreszcie na domiar biedy podrożał i stał się trudnym do zdobycia olej, który tu wpierw wyrabiano; Niemcy zamknęli i nałożyli pieczęcie na wszystkie przyrządy i maszyny prywatne, służące do wyrabiania oleju. Równolegle, dzięki ciągłym w ostatnich czasach rewizjom i konfiskatom mąki i zboża, podrożała w handlu tajnym mąka pszenna i żytnia, kasza, zakazany biały chleb pytlowy, nawet podrożały gwałtownie kartofle. Fabryczka konserw świńskich została wprawdzie przed kilku dniami zamknięta na skutek jakichś kombinacji i kompromisów z analogicznymi przedsiębiorstwami w Łomży i z centralą warszawską tej produkcji, ale czy to wpłynie i jak rychło na polepszenie zakłóconych stosunków aprowizacyjnych Kolna albo przynajmniej na wstrzymanie dalszej zwyżki – trudno przewidzieć. Niemcy, ratując sytuację na czas przedświąteczny, pozwolili w drodze ulgi na rozpieczętowanie i produkcję olejarni, ale tylko przez jeden przyszły tydzień. Chodnicka, u której jadam obiady – zresztą niemożliwie nędzne i coraz gorsze w ostatnich czasach, podniosła cenę obiadu z 2 mk. 50 f. do 3 mk.. Słowem – wszystko drożeje i jest coraz gorzej. Cebula doszła do 1 mk. 50 f. za funt, jaja znów przed świętami podskoczyły do 70 fen. za parę, mleko trzyma się na poziomie 70-80 f. za kwartę.

16 marca, rok 1918, sobota

Znów powrócił słoneczny dzień.
W depeszach nowina: Niemcy i Austriacy zajęli Odessę. Oczywiście Niemcy ani myślą przerywać swej wyprawy na Ukrainę – po złote runo zbożowe. Rada Ukraińska, czyli uznany przez Niemców rząd Ludowej Rzeczpospolitej Ukraińskiej musi rad nierad godzić się na gospodarkę „przyjaciół" we własnym kraju. Zresztą rząd ten byłby o tyle tylko tolerowany, o ile gotów jest do usług i posłuszeństwa dla tych sprzymierzonych gości, będących w istocie faktycznymi gospodarzami Ukrainy. Ciekawe jest, że oddziały niemieckie, które zajęły Odessę, przemaszerowały z frontu rumuńskiego z Braiły przez terytorium rumuńskie. Rumunia za tę uprzejmość, wyświadczoną jeszcze przed podpisaniem formalnego traktatu pokojowego z mocarstwami Czwórprzymierza, liczy z pewnością na wzajemną ich uprzejmość w łaskawym zaofiarowaniu jej jak największej cząstki Besarabii.
Do kompletu moich gazet wileńskich, które odbieram regularnie, przybył mi od pewnego czasu białoruski „Homan". Czytam go uważnie. Wszak jest on obecnie jedynym wyrazem politycznych dążeń Białorusinów. A sprawa białoruska może też odegrać rolę w ukształtowaniu stosunków państwowych na wschodzie. Dotyczy ona tego terytorium, które formalnie, w myśl Traktatu Brzeskiego z Rosją, zostawione zostało, po odgraniczeniu go od Litwy, pod zwierzchnictwem Rosji, wszakże do czasu zakończenia wojny, to znaczy może jeszcze ewentualnie na lat kilka, ma pozostawać w okupacji niemieckiej. Dalszy jego los, poza formułą o zwierzchnictwie Rosji, pozostaje nieokreślony. Oczywiście, dopóki trwać będzie okupacja, w możności Niemców będzie, zależnie od szans wojny na zachodzie i od rozwoju siły i planów niemieckich na wschodzie, kształtować na tym terenie problemy i krzewić prądy tak, jak ich kombinacjom to będzie na rękę, aby później, gdy przyjdzie czas formalnego wykonania warunku traktatowego o zwierzchnictwie Rosji, przeciwstawić mu ewentualne tendencje i fakty, inaczej przesądzające los tego kraju. Z pewnością, że Niemcy będą działali w tym kierunku bardzo ostrożnie, żeby sobie rąk nie wiązać, dopóki niewiadome są wyniki wojny na zachodzie i nie wiadomo, co będzie przedstawiać sobą rewolucyjny sfinks rosyjski w dobie ostatecznej likwidacji stosunków powojennych. Białoruś jest dla nich cennym zastawem politycznym, który można różnie użyć, zależnie od potrzeb i okoliczności, tym cenniejszym, że jest ona dziewiczo bierna i może być poślubiona różnym małżeństwem. Poddać się ona może zwrotowi Rosji, może być użyta na częściowe odszkodowanie Polski w kompensatę za coś innego, może być łączona z Litwą, może wreszcie dać podstawę jakiejś odrębnej formacji. Gdy wybuchła rewolucja w Rosji i wszystkie kraje i ludy, w skład tego państwa wchodzące, zaczęły się emancypować i wydzielać, zbliżając się w tej czy innej formie do państwowości własnej, gdy taka Ukraina, której narodowość nie więcej się różniła od rosyjskiej, niż białoruska i której polityczny ruch narodowy był poprzednio w ramach państwa rosyjskiego mało co popularniejszy od białoruskiego, zdołała tak szybko podnieść swe zagadnienie państwowe i wyśrubować je aż do zupełnej niepodległości, Białoruś pozostała równie bierna, jak była. Nie stanęła ona w szeregu nowych wyłaniających się tworów. Nie słychać było nic o żądaniach białoruskich, o jakichś konkretnych usiłowaniach tworzenia Rzeczpospolitej Białoruskiej. Siła emancypacyjna już nie tylko masy ludowej, ale nawet pionierów idei białoruskiej, gotowych podnieść sztandar państwowy Białej Rusi, okazała się nikła. Równie nikła zdawała się ona być na Ukrainie rosyjskiej, a jednak tam w chwili przesilenia rewolucyjnego wyskoczyła ona nadspodziewanie na wysokie szczyty. Białoruś pozostała bierna i głucha na okazyjne wołanie chwili dziejowej. Wprawdzie czytam w „Homanie", że i Białorusini także zwoływali jakiś zjazd w Mińsku pod hasłami państwowymi, rzekomo pogwałcony przez przemoc bolszewików, ale to jest drobniutka nikła próba w porównania do takiej

akcji ukraińskiej, w dodatku próba, z pewnością agitacyjnie przez „Homan” rozdmuchiwana.

17 marca, rok 1918, niedziela
Ładny słoneczny dzień. Dzień stworzony do spacerów. Przed obiadem przeszedłem się moją zwykłą spacerową drogą – torem kolejowym łomżyńskim od szosy na Czerwone do mostu na Łabnie i z powrotem. Po obiedzie, nie mając nic do roboty, znów się na przechadzkę wybrałem. Kolno i okolice nie obfitują w malownicze miejscowości. Tym razem poszedłem na cmentarz. Dawniej miałem do cmentarzy, jak do pogrzebów i wszystkiego, co śmierć manifestuje, niechęć, połączoną z pewnym lękiem. I dziś pogrzebów nie lubię, ale już cmentarze nie budzą we mnie tych uczuć. Zmiana ta nastąpiła od czasu śmierci Aninki. Przeciwnie – cmentarze mają dziś dla mnie pewien urok smutku, tęsknoty i tajemnicy. Im starszy człowiek, tym cmentarz staje mu się bliższym, pociągającym nawet swoją zagadką, która wcześniej czy później każdego z nas w posiadanie swe obejmie. Tej „okupacji” śmiertelnej nie uniknie z nas nikt, jakkolwiek byśmy kochali życie i łączyli się sercem i myślą z jego ciągłymi i plastycznymi zagadnieniami. Nie wiem dlaczego, ale jednak co do mnie, to choć dziś cmentarza się nie boję i mam dla niego szacunek i pewną sympatię, jednak wolałbym nigdy nie być po śmierci pochowanym na nim. Wolałbym leżeć gdzieś w szczerym polu, nieznany nikomu i wolny w śmierci, nie skatalogowany w specjalnej społeczności umarłych, nie oddzielony przez nią od żywej natury, rozkwitającej na śmierci gruzach. Jest bowiem coś upokarzającego w tym zamknięciu szczątków człowieka w specjalnym świecie śmierci, w tym przymusie pozostania na zawsze w trupów gromadzie, w tym wyodrębnieniu go od ruchomego świata wieczystego życia. I jest jakaś litość nieznośna w stosunku żywych do tych, co umarli, jest litość, jakby z łaski i wyższości płynąca, w traktowaniu cmentarza przez ludzi. Żywy ma w gruncie zawsze dla śmierci pogardę i dla umarłego uczucie swojej wyższości. Nawet szacunek dla umarłych jest tylko wspaniałomyślności wyrazem. Ten cmentarz głuchy, stojący obok miasta ludzkiego, kipiącego życiem, jest w istocie upokorzeniem umarłych. Ci żywi są w ruchu, są swego życia i trosk żywych pełni, a na uboczu dają kawałek miejsca z litości dla niepotrzebnych umarłych. Po co mi to upokorzenie po śmierci! Po co mi ta litość łaskawa, pielęgnująca fikcję jakiegoś istnienia mego ciała w obozie trupów, gdy szczątki ciała mego, zniszczone w konstrukcji indywidualnej, mogą przecie swobodnie, jak wszyscy żywi, uczestniczyć w dalszych wieczystych procesach życia, a duch mój przykutym do trupa przecie nie będzie! Dla jednego tylko cmentarza zrobiłbym w sympatiach moich wyjątek, tam być po śmierci pragnąc: dla cmentarza ewangelickiego w Wilnie, gdzie leży Annin, na górze Bouffałowej z widokiem na Wilię i cały gród litewski. Ale głosu po śmierci mieć w tym względzie nie będę. Legnę na cmentarzu, na którym mię łaska żywych pochować zechce. Przechadzałem się po cmentarzu kolneńskim. Jest on duży, niezapełniony w większości swojej. Z boku leżą prawosławni, osobną tworząc dzielnicę. Centrum zajmują groby zmarłych miejscowych. W głębi tysiące małych krzyżyków, las umarłych dzieci. Osobną symetryczną grupę tworzą groby zabitych na wojnie żołnierzy niemieckich, krwawy plon ofiary. Przecudnie brzmią słowa, które powtarzałem głośno: „Wieczne odpocznienie racz im dać, Panie! Światłość wiekuista niechaj im świeci i niech odpoczywają w Pokoju wiecznym. Amen!”. A słońce świeci, wiosna dokoła. Nie dla nich. Tak przyjdą nowe, dalekie przyszłe wiosny, gdy ja leżeć będę. Nie będę ich widział, a przecie będą one i będzie świeciło słońce i ptaszki śpiewać będą radośnie. O, tajemnico śmierci!

18 marca, rok 1918, poniedziałek
Miałem dziś sesję sądową, wyznaczoną dla pozostałej reszty z serii spraw Kolneńskiego Towarzystwa Pożyczkowo-Oszczędnościowego przeciwko różnym dłużnikom. Poza 12 sprawami z tej serii były wyznaczone na wokandę jeszcze trzty inne sprawy. Sesja rozpoczęła się po godz. 12 w południe, ponieważ ławnik Kocik był rano zajęty, o czym uprzedził. Trwała sesja do godz. 3 ½. W marcu mam ilość sesji większą, niż w jakimkolwiek bądź innym dotąd miesiącu i wszystkie, prócz jednej z d. 13. marca, są obficie zapełnione. Przerabiamy dopływ spraw z lutego, który był bardzo liczny. Obecnie w marcu dopływ spraw jest normalny; większa część sesji kwietniowych jest już zapełniona.
W sobotę sekretarz Miętkiewicz jeździł do Łomży. Przywiózł stamtąd kilka nowin, dotyczących naszych stosunków sądowniczych. Pierwsza nowina ta, że już od kwietnia ma być podwyższona pensja wszystkim urzędnikom sądownictwa. Podwyższenie to ma wynosić 25-30% dotychczasowej pensji. W takim razie pobierałbym do 800 marek miesięcznie zamiast dotychczasowych 650. Oczywiście wszelkie podwyższenie pensji jest rzeczą pożądaną. Co do mnie, to wobec braku okazji do jakichś osobliwych wydatków w Kolnie, mogłem sobie wystarczyć z 650 markami i jeszcze nawet zostawało mi przeciętnie po 250 mk. miesięcznie, z których 100 mk. używałem co miesiąc na spłatę starych długów, resztę zaś dzieliłem na wydatki nadzwyczajne, na wsparcie dla rodziny Aninki w Libawie, na zapomogę dla Maryńki i na nietykalną rezerwę. Ale w ogóle w świecie sądowniczym jest wielkie narzekanie na niskie pensje wobec drożyzny niezwykłej życia. Rzeczywiście pensja 600-700 mk. miesięcznie dla sędziego, gdy się ma rodzinę i mieszka w mieście, a cóż dopiero w Warszawie, jest tak mała, że ledwie można koniec z końcem wiązać. Obecnie, jeżeli będę brać 800 mk. miesięcznie, będę się miał zupełnie dobrze; nie polękam się nawet większego miasta z towarzyszącym mu niezbędnym wzrostem wydatków.
Druga nowina, że mają być wkrótce sformowane nowe etaty ławników sądowych w sposób, określony przez przepisy przechodnie. To znaczy, że ławnicy mają być wyznaczeni z listy kandydatów, ułożonej przez tzw. sejmiki powiatowe. Dla sejmiku zaś przedstawiają kandydatów na ławników do każdego sądu pokoju rady miejskie i gminy, należące do właściwego rewiru danego sądu. Każda gmina, zarówno jak rada miejska przedstawia po dwóch kandydatów. Ma to być już wkrótce dokonane. Gminy, należące do sądu kolneńskiego, jak również tzw. rada miejska w Kolnie (parodia rady, dowolnie mianowana przez naczelnika powiatu) już otrzymały propozycję wskazania kandydatów. Z Kolna ma być wskazanych dwóch – jeden chrześcijanin i jeden Żyd. Zmieni się więc zapewne skład moich ławników, czy aby tylko na dobre. Przede wszystkim namnoży się u mnie ilość ławników-gospodarzy, nie mających przeważnie pojęcia o prawie i postępowaniu sądowym. Ławnicy z Turaśli i Łysego już przez samą odległość będą mało użyteczni. Ilość ławników Żydów spadnie do jednego, bo gminy zapewne Żydów nie wybiorą. Z Kolna ma być dwóch tylko, ale kogo wybiorą. Spodziewam się, że jednym z nich będzie mój faworyt Remba (Jerozolimski z pewnością odpadnie), drugim wszakże czy się utrzyma Stachelski. Ks. Pomichowski, który zasiada w radzie miejskiej, może zaoponuje przeciwko wyborowi Stachelskiego, nie lubianego przez kler i może się postara o wybór jakiegoś ciemnego i posłusznego klerowi gospodarza z Kolna. Może się okazać dobór gorszy, niż dotychczas.
Po długiej pauzie miałem dziś list od Maryńki z Wilna. Dotychczas Maryńka nie ma jeszcze żadnych bezpośrednich wieści od Kotuńki i Elwiry z Mińska. Wszakże już są wieści o całym szeregu znajomych i krewnych, których nowa okupacja niemiecka złączyła z nami. W Wilnie bawił Antoś Römer, syn stryja Kazimierza z Janopola. Jest on obecnie chorążym wojska polskiego, zapewne z korpusu Dowbór-Muśnickiego. Bez

trudności udało mu się dotrzeć do Wilna w przejeździe z Mińska do rodziców do Janopola. Opowiadał on o losach stryja Kazimierza w Janopolu. Prosty koniuch w Janopolu jest prezesem miejscowego rewolucyjnego „Sowietu”, który objął administrację Janopola. Dla Stryjostwa wyznaczano środki żywnościowe w następującej proporcji: mleka po ½ kwarty dziennie na osobę, żyta miesięcznie po 30 funtów na osobę, słoniny – po ½ funta tygodniowo. Chcąc jechać do Rzeżycy stryj musiał płacić po 5 rb. za furmankę, którą dawano mu jednokonną w prostym zaprzęgu i oczywiście bez furmana. Obecnie okupacja niemiecka przecięła z pewnością ów sekwestr rewolucyjny majątków i przywróciła właścicieli do posiadania. Toteż w społeczeństwie ziemiańskim okupacja ta, jak informuje Maryńka, przyjęta została z radością. Waluniowie Weyssenhoffowie mieszkają w Żytomierzu, gdzie Walunio kupił dom. Tam też mieszka Hania Sołtanówna, narzeczona Antosia Römera. Eugeniusz Römer jest chory na malarię, był nawet zagrożony śmiercią, chorując na dyzenterię. Oskarowie Rutkowscy są w Dyneburgu. Oto wiązanka wieści z nowej okupacji. O Kotuńce i Elwirze jeszcze nic nie wiadomo.

19 marca, rok 1918, wtorek
Wracam jeszcze do białoruskiego „Homana” i polityki białoruskiej, o której przed paru dniami pisać zacząłem. Z wielką uwagą studiuję numery tego pisma. Ruch białoruski jest tak słaby jeszcze w masie ludowej, pionierzy inteligenccy tej sprawy tak jeszcze nieliczni, że sam byt pisma, szczególnie w warunkach okupacji wojennej, byłby prawie niemożliwy bez poparcia obcego. Grono pionierów białoruszczyzny składa się z ludzi niezamożnych, z proletariatu inteligenckiego lub półinteligenckiego; nie ma w tej garstce bogatych mecenasów, mogących subsydiować kapitałami rozwój wątłych materialnie poczynań. Okoliczności zaś takie, jak drożyzna środków wydawniczych, spowodowana wojną, fakt, że tylko bardzo drobna cząstka terytorium białoruskiego mogła dostarczać czytelników i nakładców dla pisma, bo do ostatnich czasów „Homan” był dostępny tylko dla tych skrawków Białej Rusi, które były po tej stronie linii frontu, wreszcie to, że ta cząstka kraju była bardzo wyludniona przez uchodźstwo wojenne i znękana bezpośrednim sąsiedztwem z linią frontu, robiło byt białoruskiego pisma bardzo trudnym, prawie niewykonalnym o własnych siłach. Toteż zdaje się być prawie pewnym, że pismo to jest w jakiś sposób materialnie wspierane przez Niemców. Mówiono mi o tym już w Wilnie, a chociaż słyszałem to od wrogów pisma, których niechęć skłaniała do zbyt skorych oskarżeń, to jednak zdaje mi się to więcej niż prawdopodobnym. W każdym razie faktem jest, że zachodzi dość bliski stosunek między ajentami okupacji niemieckiej a redakcją. Analiza treści i kierunku pisma zdaje się też potwierdzać porozumienie i współdziałanie jego z wpływami niemieckimi. Pismo nie okazuje najmniejszej odporności w kierunku niemieckim, natomiast w stosunku do Rosji i Polski jest odporne przesadnie. Stoi ono wprawdzie kategorycznie na gruncie państwowości białoruskiej, którą ujmuje w ramy wskrzeszenia jedności państwowej Litwy historycznej (Litwy i Białej Rusi), ale ze strony niemieckiej nie widzi żadnych niebezpieczeństw, nie zdradza żadnych cech odporności na zachłanność, idącą stamtąd, mając nadzwyczajnie czułą wrażliwość na wszelkie cechy zachłanności polskiej i rosyjskiej, choćby one bezpośrednio Białej Rusi nawet nie tyczyły. Pod tym względem kroczy ono po linii najmniejszego oporu i uprawia tanie tandetne metody polityki nacjonalistycznej. Zdaje się jednak, że w słabości ruchu białoruskiego i w tym stanowisku, jaki on, jak również kraj ten zajmuje w systemie polityki niemieckiej na wschodzie, tandetność ta, może nawet uświadamiana przez kierowników białoruskich, ma swoje praktyczne usprawiedliwienie. Chociaż bowiem na ogół zachłanność niemiecka jest, tak ze względu na siłę środków rozporządzalnych, jak ze względu na

psychologię ducha panowania, właściwego Niemcom, jak Białoruś lub Ukraina – jest ona istotnie mniej konkretna od sąsiednich aspiracji Polaków i Rosjan, którzy w samym wnętrzu kraju i ludu mają liczne i głębokie placówki wpływów. Zachłanność niemiecka bezpośrednio skierowana jest na Litwę, Kurlandię, Inflanty i Estonię, jak również w ciągłym szachu trzyma Polskę. W stosunku do dalszych ościennych krajów, jak Białoruś i Ukraina, zachłanność ta nie zmierza do bezpośredniego podboju, jeno do zrobienia z tych krajów pewnego rodzaju hinterlandów, ubocznie zależnych od Niemiec, ale nie podwładnych. Niemcom chodzić może o to, aby kraje te były poróżnione względem sąsiadów, Polski i Rosji, i żeby w swojej odrębnej państwowości, w poczuciu zagrożenia od Rosji i Polski, były o tyle osłabione, aby być nieszkodliwe dla Niemiec, a zarazem przez odporność własnego bytu nie służyć za narzędzie Rosji lub Polski przeciwko Niemcom. W stosunku do Ukrainy polityka niemiecka jest w tym kierunku zupełnie określona, w stosunku zaś do słabej Białej Rusi zdaje się ona macać grunt na ewentualną próbę takiejże metody polityki. „Homan” zdaje się być narzędziem tego macania, zawiązkiem pewnej próby, zmierzającej do ukraińskich wzorów. Białorusini zaś usiłują w promieniach tej próby piec własną pieczeń państwową. Tendencje te są zaledwie w stanie szkicowym. Obecna okupacja ogromnej większości terytorium Białej Rusi może te tendencje rozwinąć, zaakcentować i może nawet istotnie doprowadzić do pewnych konstrukcji państwowych. To się wykaże w bliskiej przyszłości, chociaż w tej grze jest jeszcze dużo niewiadomych, które mogą zmienić wytyczne kierunku.

20 marca, rok 1918 środa
Dzień sesji w sądzie. Ławnicy – Stachelski i Jerozolimski. Na wokandzie spraw dziesięć. Były to przeważnie sprawy ciekawe, dość grube, ze stosunków chłopskich. Same sprawy cywilne. Świadków nie było w tych sprawach zbyt dużo, toteż zdawało się, że sesja, pomimo znacznej ilości spraw spornych, ukończy się względnie prędko. Tymczasem trzy ostatnie sprawy, które wszystkie trzy były zupełnie w założeniu identyczne i w stosunku do tych samych pozwanych, różniąc się tylko sumą pieniężną żądań powodowych i osobami powodów, przeciągnęły się nadspodziewanie długo. Wielka ilość pozwanych w tych sprawach, wyczerpująca ogół gospodarzy z niejakiej wsi Tyczek-Noski gminy łysowskiej, z których każdy udzielał wyjaśnień na własną rękę, skomplikowała i wydłużyła bieg tych spraw. W skutek tego sesja przeciągnęła się aż do samego zmierzchu, bez żadnej przerwy obiadowej i zakończona została po godz. 6. We wszystkich prawie dziś sprawach, tak jak na sesji z d. 8 marca, stawał Goldberg. Na ogół lubię, gdy on staje, bo przez swą biegłość w prawie, przez spryt proceduralny i pomysłowość, improwizującą coraz to nowe kombinacje urozmaica i urabia ciekawie surowy materiał sprawy. Dzisiaj stawał on jednak nie tak szczęśliwie, jak 8 marca. Bo gdy wtedy we wszystkich sprawach osiągnął zamierzony skutek, dziś, chociaż w większości – bo w pięciu na osiem – wygrał, to jednak w trzech pierwszych na początku sesji upadł. Upadek jego w procesie zawsze go peszy; ponieważ sam byłem adwokatem, więc pojmuję przykrość przegranej dla adwokata, zwłaszcza wobec klienta, który uważa, że dobry adwokat powinien wygrać i który przeto zawsze rości z tego tytułu jakieś osobiste żale i pretensje do adwokata. Na ogół sesja dzisiejsza była ciekawa i upłynęła żywo. Może to już są ostatnie schyłkowe występy moich dotychczasowych ławników, zwłaszcza Jerozolimskiego, który prawie na pewno upadnie przy zastosowaniu nowego systemu wyborów kandydatów na ławników. Zagrożony jest wszakże i Stachelski. Żałowałbym wielce rozbicia mego dotychczasowego kompletu ławników, szczególnie że nowy komplet grozi nadmiarem surowego elementu chłopskiego, bardzo mało zdatnego przeważnie do sądzenia spraw choć cokolwiek

skomplikowanych. Choć wyrzekałem niedawno w dzienniku na stronność i tendencyjność Jerozolimskiego w sprawach mieszanych polsko-żydowskich, jednak muszę przyznać, że na ogół jest to człowiek uczciwy i ma duże zalety na ławnika: ma duży zmysł praktyczny i szybkość orientowania się w skomplikowanych i zawiłych sytuacjach. Umie nieraz znakomicie paru spostrzeżeniami lub pytaniami, skierowanymi do świadka, wyciągnąć na światło dzienne ukryte jądro rzeczy. Celuje w tym nad Kocikiem i Rembą, a nawet nad Stachelskim, posiadającym również dobry zmysł rzeczowy.
Są – nie wiem, czy to tylko pogloski, czy już fakty ścisłe, że w sprawie polskiej zapadły już w Berlinie decyzje, które są oparte na układzie między Radą Regencyjną a rządem niemieckim. Zastrzeżone zostało podobno, że nic z granic Królestwa Polskiego nie zostanie obcięte (oczywiście prócz Suwalszczyzny, która już na stałe weszła w skład Litwy; co zaś do Ziemi Chełmskiej w stosunkach granicznych Polski do Ukrainy, to formalnie pozostaje ona kwestią otwartą, ale z tendencją coraz wyraźniejszą do pozostawienia jej przy Polsce). Polska poza tym rozszerzona zostaje podobno na wschód w kierunku białoruskim, przez wcielenie do niej części gub. grodzieńskiej (zapewne między Niemnem a północną granicą Ukrainy) i nawet cząstek mińskiej (chyba powiaty nowogródzki i ewentualnie słucki). Ma być podobno tworzona wreszcie armia polska. Polska ma należeć do związku mocarstw centralnych (Europy Środkowej). Czy te wieści o rozszerzeniu Polski aż w granice b. guberni mińskiej dadzą się pogodzić z Traktatem Brzeskim z Rosją, określającym bardziej na zachód granice formalnego zwierzchnictwa Rosji – tego nie wiem. *Relata refero*.

21 marca, rok 1918, czwartek
Dzień targowy, czwartek, w sądzie ruch dość znaczny.
Miałem list od Maryńki, a także od Zasztowta z Wilna. Biedny Zasztowt już nie jest w stanie wytrzymać w Wilnie w tych ciężkich warunkach materialnych, w jakich się od dłuższego czasu znajduje. Przywiązany do kraju, przejęty poczuciem obowiązku obywatelskiego wytrwania w kraju w jakichkolwie kbądź warunkach, dzieląc jego losy, trzymał się dotąd ofiarą prawie niepojętych trudności wegetowania materialnego. Wreszcie wszakże i on się ujrzał zmuszony kapitulować. Dla elementarnych względów bytowania zdecydował się Litwę opuścić i będzie się starał o wyjazd do Królestwa, aby tu jakąkolwiek posadę sobie wyszukać. W tym celu prosi mię o interwencję u czynników miarodajnych w Warszawie, aby mu dopomóc w wystaraniu się o posadę. Myśli o Ministerium Robót (czy Pracy), o posadzie inżyniera. Biedna Litwa, którą muszą opuszczać jeden po drugim jej synowie. Tylu już ich wyemigrowało do szczęśliwszej Polski. Zasztowt ze swym głębokim demokratyzmem i zmysłem obywatelsko-krajowym jest tak osamotniony w społeczeństwie polskim na Litwie, że faktycznie w sferze stosunków publicznych zdziałać nic prawie nie może w kierunku swoich aspiracji. Toteż jego obywatelskie wytrwanie w kraju jest tylko bierną cnotą trwania i niczym ponadto, bez perspektyw czynu. Świadomość ta przy nieznośnym stanie materialnym musiała ułatwić mu decyzję wyjazdu, pojmowanego w obliczu jego przekonań jako dezercja. Żadna bowiem ofiara nie jest tak trudna do zniesienia, jak ta, która polega na bierności i łączy się z poczuciem bezcelowości i jałowej próżni. Uciekają z Litwy jej synowie kultury polskiej – jedni przez instynkt narodowych ciążeń do Polski, inni, jak Zasztowt, gorący przekonani obywatele Litwy, przez brak zastosowania czynnego dla swych obywatelskich w kraju ciążeń. Tylko rdzenni Litwini i Białorusini, choć są w warunkach materialnie nie lepszych, potrafią znieść wszystko, bo mają czucie konkretne celowości swej ofiary i czynem swoim w zbiorowych wysiłkach Ojczyznę swą wykuwają. Toteż ci nie tylko nie dezerterują, ale jeszcze

zewsząd, wszelkimi porami, zdążają i przemycają się do swego ojczystego ośrodka, idąc świadomie na biedę, na trud, na wszystko ciężkie, co ich w kraju czeka. Ten czyn twórczy starczy im za wszystko inne. Przez linie frontu lub przegródek okupacyjnych, przez dalekie okólne drogi na Szwecję – śpieszą oni i garną się do kraju. Jest u nich energiczne dążenie dośrodkowe, podczas gdy Polacy litewscy ulegają raczej dążeniu odśrodkowemu, zagarniającemu fatalnie już nawet takie jednostki, jak Zasztowt. Szczęśliwsi są Litwini, a nade wszystko są oni w tych warunkach dziejowych lepiej usytuowani: są oni czynnikiem twórczym, który ma swoje konkretne żywotne zadanie, czego brak Polakom litewskim. Życie i jego logika zdają się wskazywać, że w Litwie jest dla Litwinów właściwe stanowisko dziejowe, że ich jest tam miejsce i teren działania, że nimi być lub stać się powinni ci, którzy kraju tego chcą pozostać synami, że dziś już związek krajowy coraz bardziej wymaga władnie, aby Litwinem był ten, co w związku tym pozostać może, a kto nim nie jest, tego życie samo stopniowo eliminuje i z łona kraju wyrzuca. O jakże mi tęskno do kraju! Jakże Litwinem, jego synem, być pragnę! Choć wyjechałem z kraju w odmiennych warunkach politycznych, z ideą i myślą jego dobra, która wtedy zdawała mi się tę drogę pośrednią wskazywać, drogę, która dziś, w stosunkach obecnych, jest zupełnie urwana, i chociaż dziś wrócić nie mogę nie dlatego, żebym obstawał przy tej drodze, jeno że mam powrót legalny czasowo zamknięty i tu chwilowo jedyny środek do egzystencji materialnej, to przecież mam pewne uczucie wstydu, że jestem dziś poza krajem, w dobie, gdy się losy kraju ważą i gdy każda wola żywa, każda energia ludzka jest dla obowiązków obywatelskich w Litwie potrzebna.

22 marca, rok 1918, piątek
Sesja sądowa. Ławnicy: Jerozolimski i Kocik. Spraw na wokandzie było dziewięć. Chociaż sesja się zaczęła późno, koło godz. 11, to jednak skończyła się już o godz. 2. W kilku sprawach strony się nie stawiły wcale i sprawy te spadły przez to automatycznie z wokandy. Miałem dziś pierwszy w mojej praktyce sędziowskiej wypadek odmówienia skutków prawnych umowy, opiewającej na ruble. Jak wiadomo – ruble na mocy rozporządzenia z kwietnia roku zeszłego zostały pozbawione charakteru legalnego środka płatniczego i na przyszłość wszelkie umowy i transakcje, zawierane w rublach, ogłoszone zostały za pozbawione mocy prawnej. Chłopi jednak dotychczas nie orientują się w tym i nie mogąc się odzwyczaić od liczenia na ruble, w dalszym ciągu wciąż zawierają umowy na ruble. Przyczynia się do tego też pewien instynkt chłopa, instynkt nie tylko przyzwyczajenia, ale i wiary automatycznej w ruble jako normalnej prawowitej jednostki pieniężnej, bardziej w ich pojęciu określonej i wartościowej od przybłędy marki. A chociaż ostatnie wypadki polityczne i ciągła zniżka kursu rubla już nieco zachwiała tę szczególną do rubla ślepą wiarę, jednak wyplenić jej jeszcze nie zdołała. Oczywiście, że sądy, o ile chcą się utrzymać raczej na gruncie wymiaru rzetelnej sprawiedliwości, niż na gruncie martwego formalizmu litery prawa, muszą łagodzić ostre tego rozporządzenie. W przeciwnym razie musiałyby bowiem 9/10 murów i transakcji, zwłaszcza zawieranych między chłopami, unieważniać i pozbawiać wszelkich skutków prawnych, a to tak dalece, że w myśl litery tego rozporządzenia należałoby nawet odmawiać przywrócenia rzeczy do stanu pierwotnego i nawet nie dopuszczać żądania zwrotu zapłaconych rubli przy niewypełnieniu umowy. Oczywiście takie stosowanie prawa byłoby doprowadzeniem logiki prawa do absurdu zaprzeczenia sprawiedliwości. O ile chodzi o umowy ustne w rublach, to w sądzie liczymy je tak, jak gdyby były zawarte w markach (zamieniamy ruble na marki podług klucza kursu urzędowego, obecnie znacznie przewyższającego na korzyść rubla klucz kursu faktycznego). Trudniejsza jest rzecz, gdy umowa w rublach jest zawarta na piśmie. W

takim wypadku ukryć zabronionej cechy niepodobna. O ile żadna ze stron nie zwraca uwagi sądu na ten szczegół, sąd sam z urzędu – tak przynajmniej postępuję ja – nie podnosi tego braku i rozpoznaje sporny stosunek tak, jak żeby był w samym założeniu obliczony na marki. Gdy jednak strona przeciwna wskazuje na tę wadliwość, trudno ją sądowi przeoczyć. Restytucję w każdym razie uważam za niezbędne dopuścić, ale konsekwencji umowy przyznać bym nie mógł. To znaczy, że gdyby chodziło o umowę pożyczki, to zwrot długu, zapłaconego w rublach, bym zasądził, ale żądania procentów z tytułu umowy pożyczki bym nie uwzględnił. Zwrot bowiem kapitalnej sumy długu rublowego opierałby się w tym wypadku nie na umowie pożyczki, lecz na ogólnej zasadzie prawno-cywilnej, że nikt bez przyczyny nie może się cudzym kosztem bogacić i że skoro nie było pożyczki, to suma otrzymana bez żadnego uzasadnienia musi być zwrócona, podczas gdy w braku umowy procenty należeć się nie mogą. Dzisiejsza sprawa wypływała z umowy przyrzeczenia sprzedaży nieruchomości, dokonanej aktem prywatnym na piśmie z określeniem ceny w rublach i z zadatkiem, również w rublach wypłaconym i określonym. Kupującym, a więc płacącym zadatek był niejaki Laskowski ze szczuczyńskiego powiatu, przyrzekającymi zaś sprzedaż i biorącymi zadatek byli małżonkowie Jezuskowie z przedmieścia Łabno. Sprzedaż do skutku nie doszła, bo Jezuskowie się rozmyślili i zwrócili zadatek Laskowskiemu. Ten wytoczył przeciwnikom powództwo o uznanie umowy przyrzeczenia sprzedaży za rozwiązaną z winy Jezusków i o zasądzenie od nich drugiej połowy podwójnego zadatku w ilości 864 marek (400 rubli). Goldberg, który stawał z ramienia Jezusków, wskazał na nieważność umowy, zawartej w rublach i żądał oddalenia powództwa. Ponieważ zadatek był zwrócony, a umowa, ze względu na ruble, skutków prawnych mieć nie mogła, żądanie podwójnego zadatku musieliśmy oddalić, chociaż, jak można było dostrzec z okoliczności sprawy, Laskowski był skrzywdzony, bo licząc na to kupno, sprzedał grunt własny. Nie lubię takich spraw, w których formalistyka litery prawa kłóci się z życiowym pojęciem sprawiedliwości i ujarzmia sędziego. Czuję się w tych razach zawsze zgwałcony w sumieniu moim.

23 marca, rok 1918, sobota
Oto brzmienie sprawozdawcze epilogu tragicznej komedii Polskiego Korpusu Posiłkowego. Czytam w „Nowej Gazecie": tytuł: „Rozwiązanie polskiego korpusu posiłkowego". Tekst: „Przedstawiciel c. i k. komendy armii przy cesarsko-niemieckim generał-gubernatorstwie komunikuje, jak donosi „Deutsche Warschauer Zeitung", co następuje: Zgromadzone gros Polskiego Korpusu Posiłkowego na kwaterach dla wypoczynku pod Czerniowcami po zaaresztowaniu przemocą sztabu komendy wyruszyło w dniu 15 lutego wieczorem samowolnie z zamiarem przebicia się we wschodnim kierunku przez nasze linie i przedostania się na teren Ukrainy. Gdy usiłowanie wysłanych organów w celu powstrzymania zbuntowanych nie odniosło skutku, wówczas korpus otoczono i po krótkiej walce, której następstwem byli zabici i ranni ze stron obu, zmuszono go do złożenia broni. Polski korpus posiłkowy jest rozwiązany. Zbuntowanych pociągnięto z całą surowością do odpowiedzialności przed sąd wojenny. Śledztwo w toku." Tyle słów urzędowego doniesienia. Jakiż dramat umęczonej duszy legionowej kryje się pod powłoką tych słów! Politycznie w warunkach obecnych był to czyn bezcelowy. Może nawet zgoła szkodliwy. W formie swojej ten nieudały akt buntu i rozpaczy jest podobny do tych prądów, które nurtowały szeregi legionowe w maju-czewcu roku zeszłego. Ale wtedy warunki polityczne i wojenne były różne od obecnych i czyn podobny, zmierzający, jak wiadomo, do wewnętrznego zamachu stanu w Królestwie, zdawał się być wtedy celowym środkiem politycznym. Dziś, wobec doświadczeń ostatniego roku, mam przekonanie, że i wtedy

nie byłby się on udał i byłby się zakończył katastrofą. Ale bądź co bądź kiełkował on w promieniach myśli o skuteczności i celowości przedsięwzięcia. Obecny natomiast akt rewolty wojskowej był już tylko odruchem rozpaczy, ostatnią stawką bankructwa, która już była tylko przedsięwzięciem hazardu i awanturnictwa, do jakiej staje się zdolna dusza umęczona, nie mająca już żadnego przed sobą logicznego wyjścia, nic do stracenia i nie mogąca dłużej w męce swej wytrwać. Cóż bowiem za myśl była przebicia się przez linie i wylania się na stepy Ukrainy! Wtedy, kiedy prysła potęga rosyjska, kiedy się w gruzy rozpadła cała organizacja oporu na wschodzie. Czy było ideą tego buntu zlanie się z bandami bolszewickich oddziałów, grasujących na Ukrainie, lub pułków dezerterów czeskich i słowacko-słoweńskich, tamże gdzieś konsystujących? Czy bodaj raczej ideą tą było przebicie się przez linie frontu, utorowanie sobie dróg poprzez Ukrainę na północny wschód, het ku Mohylowowi, w celu połączenia się z wojskiem polskim Dowbór-Muśnickiego, którego pobytu tam się spodziewano? To najprawdopodobniejsze i w takim razie mogła być i w tym akcie nie tylko ślepa rozpaczy stawka, ale i pewna myśl skutku politycznego: idea zlania się wojska polskiego z obu przeciwległych frontów. Pamiętajmy, że było to 15 lutego, to znaczy przed rozpoczęciem wielkiej wyprawy niemieckiej w głąb Rosji i Ukrainy, przed układem Dowbór-Muśnickiego z Niemcami i bezpośrednio po sensacyjnych wieściach o sukcesach wojsk polskich Muśnickiego na Białej Rusi. Odtąd, przez miesiąc ostatni, zaszło tyle zmian i wymownych faktów, że w ich obliczu dziś ten akt buntu wydaje się tylko rozpaczy i awanturnictwa jałowym szałem. Przy głębszym wejrzeniu można w nim, zdaje się, rozpoznać myśl polityczną, chociaż ryzykowną. Być „Polskim Korpusem Posiłkowym" w c. i k. armii obecnie, w r. 1918, jest oczywiście czymś zgoła próżnym, czymś obłudnym i bolesnym wobec żywej idei Legionów, która je kiedyś do czynu powołała. Zlanie się z wojskami polskimi Muśnickiego, o których sukcesach szła fama, wojskami, które sobie same udzielność zdobyły, zdawało się dziełem wskazanym, jeżeli tylko była możność po temu. Cios chełmski musiał przeważyć szalę postanowienia. Rzucono kości. Wszelki pomysł, zwichnięty w wykonaniu, choćby największy w założeniu, tchnie błazeństwem. Tak awanturnictwem i godnym li tylko litości zdaje się być ten czyn buntu, gdy upadł. Ale szaty jego mogły być barwne i wielkie w myśli inicjatorów i w promieniach powodzenia, gdyby ono dopisało, jeno że przyszłe wypadki, które nadały inny zgoła obrót układowi stosunków, zdarły nawet blask idei z samego założenia tego czynu, robiąc go nie tylko zwichniętym w wykonaniu, ale może nawet szkodliwym w założeniu. Bo w świetle faktów dokonanych w ostatnim miesiącu tak sprawa polska, jak wszystkie sprawy wschodu wiążą się z mocarstwami centralnymi, nie zaś przeciw nim. Biedni żołnierze z tych zbuntowanych szczątków Legionów! Są to ci, którzy najdłużej „wytrwali", którzy wytrzymali i bolesny kryzys przysięgi, i straszny akt odwołania Legionów z Królestwa, z kadrów armii polskiej do Polskiego Korpusu Posiłkowego, i wreszcie się oparli odruchowi piłsudczyków-Galicjan na rzecz zerwania z komedią i przejścia w pospolite szeregi landszturmu austriackiego. Ci najwierniejsi i najpotulniejsi, ten plebs bez arystokratycznej idei Piłsudskiego zakończył tragedię męczeństwa swego dramatem czynu. Blask wzrostu wojsk polskich w Rosji i cios sprawy chełmskiej rzucił ich na postanowienie czynu, w którym upadli. Upadli w walce, niestety – nieskutecznej i może nawet szkodliwej dla sprawy, ale w walce, w której moralnie i ideowo mieli słuszność. I jeżeli nie praktycznie, nie politycznie, to moralnie ich epilog dramatu jest jednak wyższy i szlachetniejszy od epilogu tych, co się dali rozbroić biernie po odmowie przysięgi i do Szczypiorna zamknąć. Był czas wielkości i sławy Legionów, ale od r. 1916-1917 był już tylko czas nędzy i nicości. *Finita la comedia*!

24 marca, rok 1918, niedziela
Zdaje się, że na froncie zachodnim rozpoczęła się wreszcie ta wielka ofensywa, tyle oczekiwana, z którą łączone są te lub inne perspektywy losu wojny i ostatecznego jej wyniku. Dziś tam na froncie zachodnim zapadać mają wielkie decyzje faktów i siły. Od dłuższego czasu oczekiwano w nerwowym napięciu, która ze stron ofensywę tę rozpocznie: Niemcy, którzy ściągnęli tam olbrzymie posiłki ze zlikwidowanego frontu wschodniego, czy też Francuzi i Anglicy? Zdaje się, że tym razem inicjatywę wzięli tu Niemcy. Od dwóch dni głośno się stało o rozpoczętej wielkiej ofensywie niemieckiej. Prasa niemiecka i doniesienia urzędowe z wielkim triumfem obwieszczają o powodzeniu. Że powodzenie istotnie w tych pierwszych dniach wielkiej bitwy sprzyja Niemcom, świadczą liczby jeńcow. Wczoraj liczba ta była podawana na 16 000, dziś komunikat podaje ją już na 25 000. Jak na front zachodni, gdzie siły obydwóch stron się zwykle równoważyły, są to cyfry olbrzymie. Z sukcesów w terenie i zdobyciu na poszczególnych odcinkach kilku linii okopów trudno jeszcze wnioskować, czy oznacza to przełamanie frontu. Na tak wielkim froncie i przy takim skomplikowaniu działań sukcesy te, nie wyłączając nawet liczby jeńców, mogą się okazać lokalnymi, nie przesądzającymi jeszcze właściwych rezultatów bitwy. Za najbardziej wszakże znamienne uważam to, że komunikat niemiecki ogłasza, iż ofensywa odbywa się pod osobistym dowództwem cesarza Wilhelma. Zdaje się stąd płynąć wniosek, że Niemcy muszą już czuć grunt mocny dla swej ofensywy i być pewni zwycięstwa, skoro zdecydowali się na wysunięcie firmy Wilhelma. Trudno bowiem przypuścić, żeby chciano nieopatrznie nadużywać imienia Wilhelma i narażać autorytet jego na kompromitację w przedsięwzięciu niepewnym, mogącym ponieść fiasko. Wszakże ludzie niechętni Niemcom komentują wysunięcie firmy Wilhelma na czoło względami rzekomo na dodanie animuszu walczącym wojskom, na podniecenie żołnierzy imieniem cesarskim; twierdzą, że użyto tej stawki najwyższej, aby przełamać szerzącą się niechęć wojsk do nowych strasznych ofiar krwawej hekatomby. Ano – zobaczymy; najbliższe dnie i tygodnie rozwiążą zagadkę. W każdym razie wypadki frontu zachodniego mieć będą niezwykłą wagę.
W sądzie u mnie zachodzi ważna zmiana osobista. Ustępuje ze stanowiska woźnego Dywizjonek, którego władze powiatowe niemieckie zaangażowały na posadę sekwestratora, to znaczy poborcy podatków. Dywizjonek, dzięki swemu sprytowi, zręczności, biegłości we wszystkim, czego dotknie i kilkoletniej już pracy w sądzie był nieocenionym pracownikiem; był o wiele więcej niż pospolity woźny; był prawą ręką moją i sekretarza. Poza tym, był on w sądzie osobą charakterystyczną, był duchem lokalu i ładu wewnętrznego, jak jeden z tych duchów-demonów, którymi Rosjanie zaludniają lasy i domy pod imionami „леший” „домовой” itd., prawdziwy demonik naszego sądu. Strata Dywizjonka będzie znaczną. Na jego miejsce zaangażowałem niejakiego Bolesława Ranika, młodego chłopca lat 21, rodem z Kolna, syna biednych wyrobników bezrolnych. Cichy to i pracowity chłopiec, dobrej opinii. Kiedyś był kancelistą u rejenta, ostatnio był bez posady i zarabiał na utrzymanie prostą pracą wyrobniczą na kolei. Ranik już zaczął od paru dni praktykować pod kierunkiem Miętkiewicza i Dywizjonka, a od 1 kwietnia już obejmuje posadę formalnie.

25 marca, rok 1918, poniedziałek
Z notatki, dość niewyraźnie podanej w „Nowej Gazecie”, wnioskuję, że jednak cząstka legionistów z polskiego Korpusu Posiłkowego o sile 2000 ludzi – zdołała się przebić przez linię na Ukrainę i pomaszerowała przez Kamieniec Podolski w celu połączenia się z drugim korpusem wojsk polskich w Rosji jenerała Michelisa. W notatce jest mowa tylko o jakichś „żołnierzach polskich”, bez bliższego określenia, jacy to byli żołnierze.

Ale wnosząc z tego, że działo się to 17 lutego, to znaczy w dwa dni po samowolnym wymarszu Polskiego Korpusu Posiłkowego z kwater rezerwowych pod Czerniowcami, że następnie przybyli oni do Kamieńca Podolskiego, który właśnie leżał na drodze marszu Polskiego Korpusu Posiłkowego na Ukrainę, że przyszli bez trenów, które po drodze zgubili (treny zostały widocznie po drodze przez Austriaków zatrzymane), oraz z innych jeszcze szczegółów można niemal z pewnością określić, że chodzi tu o oddziałek z Polskiego Korpusu Posiłkowego, któremu udało się wymknąć. Oczywiście warunki cenzury nie pozwoliły na nazwanie tych „żołnierzy polskich" po imieniu. W Kamieńcu oddział ten był gorąco przyjęty przez miejscowych Polaków i życzliwie przywitany przez bolszewików, którzy byli jeszcze wtedy panami miasta. Gdyby to był jakiś wędrowny oddziałek wojsk polskich z Rosji, to nie byłoby powodu ani do szczególnego entuzjazmu Polaków kamienieckich, ani też do opisywania tego faktu i zapewne bolszewicy nie mieliby racji witać ich z jakąś osobliwą życzliwością; a zresztą co by tam robił i skąd by się nagle znalazł w pobliżu ówczesnej linii frontu jakiś luźny, zabłąkany oddziałek polski, śpieszący raptem – nie wiadomo skąd – do połączenia się z korpusem Michelisa. Oczywiście chodzi tu o fragment z dramatu Polskiego Korpusu Posiłkowego, a ten fakt, że redakcja umieściła tę notatkę bezpośrednio po powtórzonym doniesieniu austriackim o buncie i rozbrojeniu Polskiego Korpusu Posiłkowego, potwierdza ten domysł. Oczywiście redakcja, nie mogąc faktu tego stwierdzić wprost, nazywając rzeczy po imieniu, podała czytelnikom tę wiadomość, licząc na ich własny domysł, ułatwiony przez umyślne zestawienie tej notatki z powtórzoną umyślnie w tym celu notatką austriacką (bez tego celu byłoby oczywiście zbyteczne powtarzać ją w gazecie). Tak więc potwierdza się moje przypuszczenie, że bezpośrednim celem rewolty Polskiego Korpusu Posiłkowego był nie akt jakiegoś beznadziejnego buntu i walki względem Austriaków ani też proste przebicie się na Ukrainę w celu awanturniczego błąkania się po jej stepach, ale planowane połączenie się z niezależnymi wojskami polskimi w Rosji. W obliczu tego planu przedsięwzięcie Polskiego Korpusu Posiłkowego wyrasta do poziomów o wiele wyższych, niż tylko jałowy akt rozpaczy. Staje się ono czynem z krwi i kości, a raczej z ducha najistotniejszej idei Legionów, zapłodnionej tymiż ideałami, które kierowały całą epopeją piłsudczyków. I przecież pewnej garstce udało się ten śmiały zamiar wykonać. Ciekaw jestem, którego to pułku rozbitki tak się dziarsko spisali. Nic tylko teraz nie wiadomo, gdzie się ten korpus Michelisa znajduje. Losy korpusu Dowbora-Muśnickiego są ustalone, ale o korpusie Michelisa nie wiadomo. Czy Niemcy i Austriacy nie zażądają wydania garstki zuchów z Polskiego Korpusu Posiłkowego dla potraktowania ich jako buntowników!
Napiszę kilka słów o Stefusiu Römerze, synu Maryni. Już od kilku lat chłopiec ten coraz gorzej się spisuje. Jest to chłopiec bez charakteru, niesłychanie lekkomyślny i ulegający coraz większemu zepsuciu. Kłamie, kradnie, oszukuje. Robił to w Wilnie, robił następnie w Bohdaniszkach, dokąd go Marynia odesłała po wycofaniu ze szkół. Od jesieni Marynia musiała go znowu do siebie zabrać. Miał przez czas jakiś zajęcie w Wilnie w jakiejś pracowni artystycznej i zdawało się, że się poprawia; był pilny i pracowity i nie było widać, żeby coś złego robił. Marynia cieszyła się z tego i będąc u mnie w Kolnie zdawała się być co do syna uspokojona. Wkrótce po powrocie z Kolna do Wilna zaczęła mi się w listach skarżyć, że Stefuś znowu zaczyna kłamać, wymykać się z domu i wkraczać na drogę dawnych nałogów. Wiedząc, że z natury jest to chłopiec wrażliwy i serdeczny, napisałem do niego, upominając i wzywając gorąco i serdecznie, aby wytrwał na dobrej drodze. Odpisał mi przed kilku dniami, dziękując za serdeczność, ale w słowach pełnych jakiejś nerwowej rozpaczy, w tonie, który podług starej terminologii XIX wieku nazwałbym „bajronizmem". Narzekał, że jest w rodzinie

samotnym, ze nikt go nie rozumie i nie ma dlań serca, że czuje tylko w stosunku najbliższych do siebie pogardę i upokorzenie, toteż usuwa się i ucieka z domu, a myśli o tym, by się całkiem z Wilna i od rodziny oddalić i gdzieś daleko jakąkolwiek pracę znaleźć. Z listu jego wiała gorycz i osamotnienie. Nie szczędził też siebie, nie usprawiedliwiał się, ale nade wszystko winił matkę i rodzinę za chłód w stosunku do siebie. Aż oto pisze mi dziś stroskana Maryńka, że znów wykryła kradzież, przez niepoprawnego chłopca popełnioną. Słoninę i produkty, które ona przed paru miesiącami wysłała do Lola Wołodkowicza do Rygi przez niejakiego Wysockiego, kolegę Stefusia, okazały się nie dowiezione. Wykryło się, że Stefuś, który je odnosił w Wilnie Wysockiemu, nie odniósł, lecz po drodze sprzedał. I ciągle tak robi. Porosprzedawał w Wilnie przed dwoma laty cały moją bieliznę, dużo cennych książek moich. W Bohdaniszkach kradł i sprzedawał różne rzeczy Papy. Wynosi i sprzedaje wszystko, co się da. Zdarzało się już kilkakrotnie, że kradł lub defraudował pieniądze. Prawdziwa rozpacz z tym chłopcem bez charakteru. A najgorsze to, że już sam nie wierzy i nie szuka własnej poprawy, nie robi skruchy, ale się odosabnia w zimnym zniechęceniu do otoczenia i rodziny, uważając się za nieszczęśliwą wzgardzoną, a pełną dumy – ofiarę. Jako przyszłość go czeka i co za nieszczęście dla Maryni. Nie wiadomo, co z nim robić i gdzie go zalokować. Marynia wciąż szuka lokaty dla niego, kołacze do mnie, bym szukał. Szukam, ale trudno w dzisiejszych czasach znaleźć zakład stosowny.

26 marca, rok 1918, wtorek
Ruch spraw jest ciągle w sądzie dość wielki. Już prawie na cały kwiecień mam sesje zapełnione obficie i już nawet na parę sesji majowych mam powyznaczane sprawy, a spraw ciągle po trochę przybywa. Każdy tydzień daje mi po kilkanaście spraw nowych wraz z odroczonymi. Lubię, gdy jest w sądzie ożywienie i dopływ spraw. Chociaż mam dość Kolna i tęskno mi do wyrwania się stąd, jednak do mego sądu tutaj przywiązałem się i żal mi go będzie opuszczać. Żal mi będzie każdej sprawy niedokończonej przeze mnie. Każdą sprawę, która przy mnie wpłynęła, znam i każda wydaje mi się osobistym moim zadaniem; mam jakby poczucie jakieś obowiązku szczególnego w stosunku do każdej z nich i miałbym wrażenie, jakbym uchybił zobowiązaniu, gdybym którąkolwiek z tych spraw nie zakończył. Między sędzią a przedmiotem sądzonym wytwarza się doprawdy jakiś węzeł ojcowsko-synowskiego stosunku, węzeł stosunku twórcy do dzieła. O ile bym miał z Kolna wracać na Litwę, to zresztą nie żal by mi już było niczego, ale przy przenoszeniu się na inną posadę sędziowską w Królestwie wszystkie moje niezakończone sprawy w Kolnie zdawałyby mi się wołać do mnie głosem krzywdy i wyrzutu.
W sądzie moim zmian coraz więcej, bo oto po Dywizjonku ustępuje z sądu także sekretarz Miętkiewicz. Prezes Sądu Okręgowego w Łomży Filochowski, który poznał Miętkiewicza w czasie wizytacji swej w Kolnie, słyszał o nim pochwały ode mnie i upodobał go sobie, ofiaruje mu posadę podsekretarza w swojej kancelarii prezydialnej w Sądzie Okręgowym. Miętkiewicz posadę przyjmuje, bo choć pensję będzie miał taką samą, co tutaj (od kwietnia pensje mają być podwyższone i Miętkiewicz pobierać będzie po 275 mk. miesięcznie; ja także mam mieć pensję podwyższoną do 800 mk. miesięcznie), to jednak Łomża i Sąd Okręgowy, a w szczególności też zbliżenie do prezesa otwierać mu będą drogi do ewentualnych awansów, co jest dla niego lepsze od siedzenia w Kolnie. W osobie Miętkiewicza tracę dzielnego pracownika, który z techniką kancelaryjną był obeznany znakomicie. Nie miałem z nim nigdy żadnego kłopotu i mogłem być zawsze pewny, że wszystko, co do niego należy, wykona dobrze i zorientuje się samodzielnie. W ręku Miętkiewicza kancelaria funkcjonowała doskonale. Nie potrzebowałem ani stać mu nad karkiem, ani go nawet kontrolować. Wiedziałem,

że wszystko będzie zawsze wykonane w porę, ściśle, dokładnie, punktualnie. Dobry pracownik w kancelarii, umiejący pracować samodzielnie – to skarb nieoceniony dla sędziego, jak dla każdego zresztą kierownika instytucji. Nic niema nieznośniejszego, jak marny sekretarz, szczególnie że ja osobiście nie mam żadnego zamiłowania do techniki kancelaryjnej, nie lubię jej i nie znam się na niej i nic nudniejszego by mi nie było, jakg dybym musiał sam drobiazgowo we wszystkie biurokratyczne arkana kancelaryjnej roboty wglądać. Zdaje się, że Miętkiewicz nas opuści zaraz po świętach. Na jego miejsce zgłosił się już Stanisław Radowski, obecny sekretarz gminy Czerwone, szwagier Dywizjonka. Zdaje się, że się na niego zdecyduję. Jedną ma wielką wadę Radowski, ze lubi zahulać i wypić, zaniedbując wtedy obowiązki. Ale jest za to bardzo zdolny, zdatny do każdej pracy. Poza tym jest to, jak się zdaje, charakter dobry z gruntu, jaki zwykle mają ludzie skłonni do zahulania. Zresztą terenu do nadużyć na stanowisku sekretarza sądu pokoju mieć nie będzie, skoro ja zawsze w sądzie jestem, sam kasę trzymam i sam ciągle na wszystko, co się w sądzie dzieje, mam oko gospodarcze. A wolę człowieka zdolnego, niż niedołęgę. Zmiana Dywizjonka i Miętkiewicza, dwóch zasadniczych stałych funkcjonariuszy w sądzie, jest wielkim przewrotem w wewnętrznych warunkach sądu. Zmieni to zupełnie oblicze kancelarii sądowej. Teraz będzie zamiast nich Radowski i Ranik. Co do ławników, to zdaje się, że uda mi się ocalić nie tylko Stachelskiego i Rembę, ale wszystkich trzech z Kolna, to znaczy i Jerozolimskiego. Pisał mi bowiem wczoraj prezes Filochowski, że, uwzględniając moje życzenie posiadania większej ilości ławników z miasta Kolna, zwrócił się do burmistrza Kolna z propozycją wskazania czterech kandydatów na ławników, z których po porozumieniu ze mną dwaj będą zaliczeni ławnikami, a dwaj zastępcami (w praktyce nie ma różnicy między zastępcą a ławnikiem tytularnym). Oprócz tego, mają być czterej ławnicy z gmin. Zaraz poszedłem do Lubacza, który jest zastępcą burmistrza (burmistrzem jest w Kolnie naczelnik powiatu v. Cornberg) i prosiłem, aby po otrzymaniu propozycji prezesa postarano się o wyznaczenie przez Radę miejską czterech następujących kandydatów na ławników: Stachelskiego, Rembę, Jerozolimskiego i aptekarza Golaszewskiego. Może ta lista przejdzie. Jakich będę miał ławników z gmin – nie wiem.
Gazety doniosły o tym, że kanclerz Rzeszy Niemieckiej Hertling, przyjmując delegację Litewskiej Rady Krajowej (w osobach Antoniego Smetony, Jerzego Šaulysa, Jonasa Vileišisa i jeszcze kogoś czwartego) w Berlinie, ogłosił jej w imieniu Niemiec uznanie niepodległego państwa litewskiego, mającego zostawać, w myśl uchwał tejże Rady (oczywiście uchwał inspirowanych), w wieczystym przymierzu z Niemcami i zespolonego z nimi konwencją wojskową, komunikacyjną, celną i monetarną. Oczywiście w obliczu dominacji niemieckiej na wschodzie konwencje te, chociaż ograniczają poniekąd z góry bezwzględną samodzielność Litwy, są jednak sprawą nie zastraszającą. Bądź co bądź, fakt państwowości Litwy, względnie niepodległej, jest już sam przez się dużym sukcesem; sukcesem dla tej Litwy, która tak niedawno jeszcze nie była w organizmie państwowym Rosji niczym i dla której nawet skromna autonomia wydawała się niedościgłym marzeniem. Wojna przyniosła Litwie olbrzymi sukces w stanowisku międzynarodowym i prawno-państwowym, dźwignęła ją całkowicie. Stolicą Litwy – Wilno. Litwa – państwem! Jakże to brzmi wspaniale dla ucha takiego biednego Litwina, jak ja. Ojczyzno moja – doczekała się bytu.

27 marca, rok 1918, środa
Ostatnia sesja przed Wielkanocą. Ławnicy – Stachelski i Remba. Spraw na wokandzie było dziesięć. Pierwszych kilka spraw toczyło się bardzo powoli, ale za to w kilku ostatnich strony nie stawiły się, toteż sprawy te spadły automatycznie z wokandy i cała

sesja zakończyła się koło godz. 2. Na sesji dzisiejszej większość była spraw żydowskich, w których albo obie strony, albo przynajmniej jedna – byli Żydzi. Sprawy tej kategorii interesantów zazwyczaj w większości kończą się kompromisem pozasądowym, albo u rabina, albo w drodze polubownego pośrednictwa całej chewry znajomych. W żydostwie jest krętactwa dużo, toteż spory pomiędzy Żydami polegają zwykle na stosowaniu podejść. Sąd urzędowy, sąd państwowy – jest dla nich zwykle nie tyle instytucją normalną wymiaru sprawiedliwości, ile raczej środkiem zastraszenia przeciwnika. Prawowierna masa Żydów ma jakiś instynkt niechęci do sądu gojów, a może nawet do wszelkiego sądu, bezstronnie i obiektywnie ważącego stosunki stron. W większości wypadków Żyd wytaczający powództwo w drodze sądowej nie szuka właściwego terenu do rozwiązania sporu, jeno używa tego środka w celu wywarcia pożądanego nacisku na przeciwnika i nawet na środowisko, by go pobudzić do działania pośredniczącego. Przeciwnik, wiedząc, ze sprawa jest w sądzie i czując, że tam wykręty jego zostaną zdemaskowane, staje się miększym i skłonniejszym do kompromisu, by się z ryzyka wyplątać, bo Żyd jest prawie zawsze tchórzem; środowisko zaś, aby nie dopuścić do rozprawy sądowej, która prawie zawsze jest *sui generis* skandalikiem w stosunkach miasteczkowych, szczególnie gdy chodzi o poważnych i szanowanych obywateli miasteczkowych, zaczyna działać w kierunku pojednawczym i wysila się, by spór ubić pokojowo i zażegnać rozprawę sądową. Szczególnie energicznie wysilają się w tym kierunku świadkowie, którym nie uśmiecha się świadczenie; wiedzą bowiem, że przy świadczeniu mogą sobie narazić tego lub drugiego z przeciwników, a tego oni bardzo nie lubią, bo bez własnego interesu nie chcą sobie nigdy przysparzać niechętnych; w błotku małomiasteczkowej mierności i obłudy każdy usiłuje być w przykładnej zgodzie ze wszystkimi, bo nie wiadomo nigdy, czy w jakichś okolicznościach nie będzie potrzebował pomocy lub wspólnictwa z tym, którego by dziś przeciwko sobie usposobił; nikt tu nie lubi ostrych kontrastów i boi się wywołania jakiejś niechęci; świadczenie i prawda są rzeczami niewygodnymi, zakłócającymi konwenans harmonii, równoznacznej nieraz z obłudą.
Ranik urzędował dziś na sesji po raz pierwszy jako woźny. Mylił się kilkakrotnie, strzelał bąki, nie umiał się jeszcze zdobyć na energię, niezbędną do utrzymywania ładu i normalnego toku sesji. Ale nauczy się tego stopniowo, jest to dobry chłopiec, zacny i staranny, tylko trochę za powolny, szczególnie w porównaniu do sprytnego i energicznego Dywizjonka, który jak żywy ogień zawsze na wszystko znajdzie radę i koncept.
Otrzymałem dziś list od Dreszera i od Wiktora Wąsowicza, internowanych obaj w Werl w Westfalii w oficerskim obozie jeńców. Dowiedziałem się niedawno o miejscu internowania Dreszera od p. Abłamowiczowej w Łomży, żony internowanego w Beniaminowie oficera ułanów. Napisałem do Dreszera kartkę, na którą otrzymałem odpowiedź od niego i list od Wąsowicza, który został tamże przewieziony po aresztowaniu go we wrześniu w Szczypiornie. Obaj piszą do mnie bardzo serdecznie, ciesząc się gorąco z tej możności skomunikowania się. W liście Dreszera jest też dopisek od Janusza Olszamowskiego-Łaszczyca, który jest razem z nimi. Dreszer przysyła mi fotografię grupy internowanych oficerów legionowych w Werl. Poznaje w ich liczbie, oprócz wyżej wymienionych, kapitana Scaevolę-Wieczorkiewicza, chorążego Szajewskiego, Kuczyńskiego, porucznika Rzeckiego i szereg innych, znajomych mi z widzenia, których nazwisk nie wiem lub nie pamiętam. Miła to dla mnie pamiątka. Na fotografii wyglądają bardzo dobrze. Piszą też, że warunki niewoli mają bardzo znośne.

28 marca, rok 1918, czwartek

Dziś był jeszcze dzień urzędowania w sądzie, ostatni przed świętami. Ale interesantów nie było już wcale. U Żydów już są święta, chrześcijanie zajęci są przygotowaniami do świąt. Zaproszony byłem wraz ze Stachelskim i Miętkiewiczem do Goldberga na obiad z okazji uroczystego święta żydowskiego. Jedliśmy mace, jaja, szczupaka faszerowanego po żydowsku i jakieś mięso. Do tego była oczywiście wódka, której picie przy wszelkim przyjęciu towarzyskim jest w Kolnie nieznośnym zwyczajem. Gdybyż to chodziło tylko o parę skromnych kieliszków! Byłby to przyjemny do posiłku dodatek. Ale tu w Kolnie jak się pije, to się już pije. Nie lubię tego, ale niepodobna odmówić picia, gdy inni piją. Przy piciu każdy pilnuje, aby wszyscy pili równo i uchylenie się od tego „obowiązku" lub ustanie w pół drogi jest prawie niemożliwe, a to tym bardziej, że człowiek sam, gdy parę kieliszków wypije, już się mechanicznie rozpędza dalej aż do ostatecznego osuszenia flaszek. Tymczasem ja, im więcej mi lat przybywa, tym mniej znoszę wódkę. Nie znosi jej mój żołądek. Zawsze po niej choruję i potem źle się czuję. Wolałbym stokroć tych biesiad pijackich uniknąć. Cała przyjemność towarzyskiego zebrania i smacznego jedzenia ginie na skutek tej wódki. Po wypiciu już cały dzień potem jest zepsuty. Tak samo było i dzisiaj.

29 marca, rok 1918, piątek
Wielki Piątek. Święta Wielkanocne za dwa dni. Spędzę te święta cichutko i dopiero po nich pojadę na kilka dni do Warszawy. Żadnej uczty, żadnego święconego sobie na Wielkanoc nie urządzam. Trudno jest samemu sobie, bez gospodarki i bez gospodyni, szykować przysmaki wielkanocne. Jak na czasy wojenne, miałbym jeszcze w Kolnie niezły materiał na święcone, ale za dużo z tym kłopotu. Dostałem od naczelnika powiatu w drodze uprzejmości szczególnej 10 funtów doskonałej mąki pszennej za bezcen, bo po 35 fenigów za funt, mam jajek około kopy, mleka w bród, masła mam jeszcze trochę, a mógłbym mieć i więcej, mam koguta żywego, którego żałuję zarznąć, będę miał parę gołębi. Ale nic z tego nie zrobię, tylko chyba parę gołębi zjem. Zresztą na krótkie dwudniowe święta niewiele mi potrzeba, bo pierwszego dnia świąt jestem zaproszony na obiad do Stachelskiego, a drugiego dnia – do Mystkowskich, we wtorek zaś zamierzam wyjechać do Warszawy.
Sam się waham, czy rozpoczynać w Warszawie starania o przeniesienie się z Kolna na posadę gdzie indziej, czy nie. Teraz bowiem znowu świta mi nadzieja powrotu na Litwę, odkąd uznana została jej niepodległość. Chyba pewne gałęzie czynności państwowych zostaną wkrótce na Litwie ukrajowione, w pierwszym rzędzie sądownictwo i szkolnictwo, jak to było w Polsce, a następnie zapewne i administracja, a łącznie z tym ułatwi się zapewne mój powrót. Jeżeli to ma nastąpić, to oczywiście nie warto mi już tymczasem ruszać się z Kolna na inną posadę w Królestwie. Ale zważywszy, jak powolnie postępuje organizowanie nowych tworów państwowych na wschodzie, trudno zaręczyć, czy nie wypadnie jeszcze czekać miesiącami, jeżeli nie latami!
O ile sprawa Litwy i Kurlandii zdawała się szybko w ostatnich czasach dojrzewać, sprawa Polski także się na czystsze wody z zamętu kwestii chełmskiej i stosunków do Niemiec wypływać zdaje, a sprawa Inflant i Estonii gotuje się do rozwiązań stopniowo w kierunku przede wszystkim stopienia obu tych krajów z Kurlandią w jednolitą państwowość, o tyle sprawa biednej Białej Rusi stoi na punkcie martwym. Jak widzę z „Homana", sami Białorusini nie szczędzą zabiegów w kierunku państwowym, ale dotąd zupełnie bezowocnie, bo Niemcy urzędowego poparcia im odmawiają. Prasa białoruska w Mińsku, jak wnoszę z cytatów i przedruków w „Homanie", zajmuje obecnie front jaskrawie separatystyczny w stosunku do Rosji, odrzucając całkowicie formułę federacji z Rosją i dążąc do niepodległości Białej Rusi w ściślejszym kontakcie z

Zachodem i przy oparciu się o potęgę niemiecką. W tym kierunku orientują się kategorycznie narodowcy białoruscy w Mińsku, sekundowani przez Białorusinów wileńskich. Wchodzi tu w grę nie tylko naturalna dążność ludzka do spekulowania na czynniku większej potęgi, odwracająca się od pobitej Rosji i szukająca zsolidaryziwania swego interesu z interesem zwycięskich na wschodzie Niemców, ale także ten logiczny wzgląd polityczny, że dla Białej Rusi, położonej w górnych dorzeczach Dźwiny, Niemna i Dniepru, Rosja z chwilą, gdy przestała władać ujściami tych rzek i wybrzeżami Bałtyku i Morza Czarnego i odrzucona została na równiny wschodu w kierunkach na Azję, straciła wszelką atrakcję. Białoruś zawsze logicznie, nie tylko ze względów narodowych, ale i społeczno-gospodarczych i kulturalnych, ciążyć musi i ciążyć będzie do tych państw, które posiadają ujścia Dniepru na południu i ujścia Dźwiny i Niemna na zachodzie na Bałtyku, to znaczy w tym wypadku do Litwy, krajów bałtyckich, Niemiec i Ukrainy. W tych kierunkach wskazane są dla niej sojusze i związki jej dziejowego stosunku. Ciekawym dokumentem białoruskich dążeń politycznych jest deklaracja Białoruskiego Komitetu Narodowego w Mińsku, podpisana między innymi przez Romana Skirmunta, który widocznie zdecydował się kategorycznie na przyjęcie szat Białorusina i na czynne pod narodowym sztandarem białoruskim działanie. Deklaracja ta, zrywając więzy Białej Rusi z Rosją i obwieszczając postulat niepodległości państwowej Białej Rusi w zespole czy oparciu się o Niemcy, zwraca się zarazem z potrójnym protestem w stosunku do trzech sąsiadów najbliższych: Litwy, Polski i Ukrainy. W stosunku do Litwy protestuje przeciwko przywłaszczeniu przez Litwinów Wilna i znacznych części białoruskich b. guberni wileńskiej i grodzieńskiej; w stosunku do Polski protestuje przeciwko jej zakusom zaborczym na ziemie białoruskie; w stosunku do Ukrainy żąda przywrócenia dawnej granicy południowej gub. grodzieńskiej i mińskiej, stanowiącej naturalną i historyczną granicę białoruską z Ukraińcami. Niemcy wszakże uchylili się od rozpoznawania tej deklaracji, na tej zasadzie, że w myśl traktatu pokojowego z Rosją Białoruś uznana została za formalną sferę zwierzchnictwa państwowego Rosji, wobec czego Niemcy nie mogą dawać żadnego formalnego poparcia białoruskim dążeniom do oderwania się od Rosji i do samodzielnego państwa.

30 marca, rok 1918, sobota
Ostatni przedświąteczny dzień, nudny i pusty. W dodatku – głodny dzień, bo nie mam gdzie zjeść obiadu. Chodnicka na ostatnie dni postu odmówiła obiadów, kupić też nie ma co, bo wszystkie zapasy ze sklepów przed świętami rozprzedano. Przeżyłem więc dzień dzisiejszy jajami. Czas brzydki, zimno. Rano miałem trochę roboty w sądzie, musiałem przesłuchać jedną aresztowaną i załatwić parę pilnych drobiazgów przed wyjazdem. Resztę dnia przemarnowałem na nicnierobieniu. Z przerażeniem myślę o jutrzejszym przyjęciu świątecznym u Stachelskiego, że trzeba znów będzie pić tę nieszczęsną wódkę. Czy będzie możność wykręcić się od picia nadmiernego, w tempo ogólne z resztą towarzystwa?
Miałem dziś list od Maryńki, która z otrzymanego listu Stasia Wołodkowicza, pisanego do niej jeszcze 30 stycznia, to znaczy przed okupacją Mińszczyzny przez Niemców, opisuje smutną przygodę, jaką miała biedna Elwira. Jak wiadomo, Elwira z dziećmi schroniła się w obawie przed wyuzdaniem rewolucyjnych i bandyckich żywiołów na wsi – do Mamyłów do Maryńki Wołodkowiczówny. Owóż pewnej nocy, gdy Maryńka Wołodkowiczówna była w Mińsku, napadła na dwór w Mamyłach banda rabusiów-żołnierzy, którzy w Rosji, zamiast pilnować frontu, grasują na tyłach i rozbijają. Następując na Elwirę z bagnetami, zmusili ją do wydania pieniędzy, produktów żywnościowych i bielizny. Zrabowali ją do tła, zostawili Elwirę w jednej koszuli. No co

to może być w takiej Rosji, w której ciemne masy nie pojmują rewolucji i wolności inaczej, jak w postaci prostego rabunku! Co dziwnego, że ludność już nie tylko woli Niemców, ale wolałaby samego diabła od zawieruchy anarchii, która się tam dziko szerzy! Biedna Elwira. Pod okupacją niemiecką wypoczną tam ludziska przynajmniej.

31 marca, rok 1918, niedziela
I dzień Wielkiejnocy. Dzień, charakteryzujący się nade wszystko sytością. Je się od samego rana i przez cały dzień. Gdym tylko wstał, już mię czekał smaczny rosół z gołębia, ugotowany wczoraj wieczorem przez Dywizjonkową. Miałem do tego doskonałą bułkę, czyli tak zwany tutaj placek, upieczony mi przez Pikulińską ze smacznego ciasta z jajami, masłem i mlekiem. Jeszczem mojej własnej uczty gołębiej nie skończył, gdy Pikulińscy zaprosili mię do siebie podzielić się jajkiem wielkanocnym; naturalnie, że trzeba było przy tym skosztować wszelkich dań z ich święconego, a więc szynki, cielęciny, nóżek świńskich i cielęcych, bułki. Od samego więc rana byłem już najedzony. Przyszli do mnie potem z wizytą Mystkowscy, potem Goldberg. O południu poszedłem do Stachelskiego. Dzięki Bogu, obeszło się tam tym razem bez wielkiego picia. Stały wprawdzie aż cztery przygotowane butelki wódki tzw. mocnej, rzeczywiście mocnej bardzo, ale nikt jakoś wielkiej ochoty do picia nie miał; wszyscy wymawiali się, a zresztą prawie każdy był już po śniadaniu i cokolwiek wypił. Z ato jadła było u Stachelskiego bardzo obficie. Na tym święconym u Stachelskiego zebrało się prawie „całe Kolno”. Był Miętkiewicz, aptekarz Gołaszewski, Litwiński, felczer Borawski, Goldberg, wreszcie przyszedł Lubosz. Jedliśmy wpierw jaja, kiełbasę i szynkę na zimno, potem gorącą polędwicę wieprzową, do tego kartofle ze skwarkami i bigos z kapusty tuszonej, dalej wyborną delikatną pieczeń cielęcą z kompotem ze śliwek suszonych i z borówkami, wreszcie przysmak nad przysmakami w tych czasach – piliśmy naturalną kawę czarną, jedząc babkę do tego. Ani indyka, ani prosięcia – tych typowych okras święconego – nie spotkałem nigdzie. Cielęcina, dawniej kopciuszek święconego, teraz zajmuje poczesne miejsce. Człowiek nie jest dziś tak wybrednym przy święconym, ale niemniej się najada mięsiwami. Potem byłem jeszcze z wizytą u księdza dziekana, który przyjmował mię jakimś winem przyprawionym, które chrzcił mianem ponczu, następnie u wikarego Budrewicza na orzechach i cukierkach, wieczorem zaś byłem jeszcze na herbacie u Mystkowskich. I tak oto mi dzień ten upłynął.

1 kwietnia, rok 1918, poniedziałek
Drugi dzień świąt upłynął. Rano pracowałem: pisałem dziennik i listy. Potem poszedłem do sądu i napisałem wyrok w formie ostatecznej w sprawie Laskowskiego z Jezuskiem, tej, co to oddaliłem powództwo z powodu, że umowa przyrzeczenia sprzedaży opiewała na ruble; Laskowski zamierza bowiem apelować i obstalował kopię wyroku, a ponieważ wyjeżdżam jutro na tydzień do Warszawy, więc musiałem wyrok przed wyjazdem wygotować. Następnie poszedłem do dr Ranka po świadectwo lekarskie, niezbędne dla podróży do Warszawy; chodzi tu o zaświadczenie, że nie zachodzi potrzeba odwszenia. O godz. 12 poszedłem na obiad do Mystkowskich. Po obiedzie wstąpiłem po papierosy do Remby, który mię zaprosił na mace z winem. Był tam także Jerozolimski, który mię następnie zaprosił do siebie i częstował macami i domowym miodem żydowskim – obecnie rzadkością. Mace z miodem przypomniały mi żywo dawne lata w Bohdaniszkach, kiedy to zawsze Żydzi przynosili w darze te specjały na święta. Następnie przez Ranika, którego spotkałem na ulicy, obstalowałem sobie na jutro furmankę do Łomży. Wreszcie byłem jeszcze na herbatce u Mystkowskich i na koniec wróciłem do domu.

Z depesz w gazetach i z komunikatów, codziennie w streszczeniu wywieszanych na poczcie, zdaje się wynikać, że wielka ofensywa niemiecka na Zachodzie trwa wciąż z niesłabnącą energią i na szerokim odcinku frontu gdzieś w okolicach dróg na Amiens posuwa się wciąż naprzód. Ofensywa ta uderza w południowe skrzydło Anglików i zdaje się kierować nie tyle bezpośrednio na Paryż, ile na przebicie się do morza gdzieś w okolice Rouen w celu rozłamania jednolitego frontu anglo-francuskiego na dwa odłamy. Z doniesień wygląda, że sukces Niemców w tej ofensywie jest poważny, a sama ilość jeńców, niezwykła dla stosunków na froncie zachodnim (przed kilka dniami podawano w komunikacie liczbę jeńców w tej ofensywie na 70 000!), obfita zdobycz w działach i materiale wojennym, wreszcie zysk w terenie – zdają się potwierdzać fakt sukcesu. Tymczasem wśród Żydów, którzy mają subtelny węch na przeróżne symptomaty wydarzeń i perspektyw politycznych i którzy zresztą w masie są do zwycięstwa niemieckiego usposobieni bardzo niechętnie, jeżeli nie wrogo, chodzą z uporem gadki o niesłychanych stratach niemieckich i o rozpaczliwym w tej ofensywie wyczerpaniu niemieckim. Ile w tym prawdy – nie wiem. Skłonny jestem przypuszczać, że, jak to bardzo często bywa, ludzie widzą uparcie rzeczy w takim świetle, w jakim widzieć je chcą i do wszystkiego dorabiają sobie komentarze, stosowne do własnych dezyderatów. Może nigdy cecha ta nie występowała tak jaskrawie w stosunku do oceny wielkich wypadków, jak w czasie tej wojny. Na ogół utarte jest zdanie, że ta ofensywa będzie kapitalnym przełomowym aktem dramatu, który wreszcie zdecyduje o losach wojny całej. Czy tak będzie – niestety wątpię.
Co do mnie, to wojna obecna robi na mnie coraz bardziej wrażenie gry bankrutów, którzy już nic do stracenia nie mają, a raczej już stracili tyle, że znieczulili na dalsze straty i brną w awanturniczą grę coraz dalej jak opętani szałem, jak potępieńcy. Dziś już w czwartym roku wojny żadne zwycięstwo którejkolwiek ze stron nie wyrówna strat materialnych, kulturalnych, a nawet fizycznych i zdrowotnych, jakie w tej wojnie zarówno ludzkość cała, jak pojedyncze walczące narody poniosą. Olbrzymi dorobek pokoleń i wieków upada i ginie w tym zniszczeniu i całe pokolenia dźwigać będą skutki tego spustoszenia. A im dłużej trwa wojna, tym ewentualne zwycięstwo coraz mniej się staje współmiernym do strat i tym klęska powszechna coraz bezwzględniej olbrzymieje, nie dając się niczym wyrównać. Każdy miesiąc, tydzień, dzień wojny jest powiększeniem bezwzględnym straty. Zanikła już logika i celowość zwycięstwa, a jest tylko szał bankrucki zniszczenia. W takiej wojnie tylko takie zwycięstwo mogło być jeszcze skuteczne, które by było przyszło w pierwszym roku wojny.

2 kwietnia, rok 1918, wtorek
Koło godz. 10 rano wyjechałem do Łomży w drodze do Warszawy. Przyjechałem do Łomży na obiad, przy którym spotkałem się z łomżyńskimi sądownikami – sędzią Tramplerem i dwoma podprokuratami. Z powodu świąt garstka sądowników, stołujących się stale w Rembielinie, stopniała; wielu wyjechało na święta do Warszawy; nie ma prezesa Filochowskiego ani prokuratora Urbanowicza, ani sędziego pokoju Łubieńskiego, którzy uzupełniali zawsze komplet stolika sądowniczego na obiadach w Rembielinie. Trampler z podpokuratorami omawiali sprawę sędziego śledczego z Ostrołęki Sztromayera, który na własną rękę wystarał się o przeniesienie go na takąż posadę do Łodzi. Dawali oni wyraz swemu oburzeniu na system stosunków osobistych i „protekcji", uprawiany przy nominacjach i przeniesieniach. Gorszyli się, że taki Sztromayer, mający w okręgu łomżyńskim opinię niezdolnego i leniwego sędziego śledczego, zdobywa z łatwością, na skutek starań i stosunków osobistych, nominację do Łodzi, co stanowi przedmiot pożądań ogromnej większości sądowników, pokutujących po dziurach prowincjonalnych i tęskniących do większych ośrodków miejskich,

podczas gdy inni, o wiele zdolniejsi, pracowitsi i więcej zasługujący na wyróżnienie, muszą się marnować na nędznych posadach, nie odpowiadających ich wartości – bo nie mają stosunków albo nie umieją z nich natrętnie korzystać. W szczególności zestawiali z powodzeniem Sztromayera niepowodzenie Wajchta, obecnego sędziego śledczego w Szczuszynie, jednego z najwięcej cenionych, który starał się o mianowanie na wakującą posadę sędziego pokoju w Ostrołęce i został pominięty. Gorszono się szczególnie tym, że Sztromayer został przeniesiony bez wiedzy prezesa Filochowskiego, któremu zakomunikowano z ministerium o jego przeniesieniu jako o fakcie dokonanym, co stanowi jaskrawe pominięcie drogi służbowej i świadczy dobitnie o pospolitym protekcjonizmie. Wyczuwałem w tych narzekaniach gorzkie żale biurokratów i karierowiczów, którzy z zazdrością widzą każdy sukces osobisty kolegi i o których jestem pewien, że sami by się nie zawahali skorzystać z takiejże okazji, gdyby ją mieć mogli, bo znam wartość sądowników łomżyńskich i wiem nieco o stosuneczkach i intrygach, panujących w tym gnieździe urzędniczego biurokratyzmu, ale nie mogłem w tym wypadku nie przyznać im w dużym stopniu racji. Szczególnie zaś zwróciłem uwagę na te zarzuty, ponieważ sam ewentualnie przy obecnej bytności w Warszawie mam na myśli poruszyć w ministerium kwestię mojego przeniesienia się z Kolna gdzie indziej. Wprawdzie co do mnie nie zachodzi żaden motyw karierowiczostwa, bo przecie daleki jestem od myśli robienia stałej kariery sądowniczej w Królestwie, pobyt mój tu i pracę w sądownictwie polskim traktuję tylko jako epizod, nie chcę nic więcej ponad sędziego pokoju, a cały motyw mego ewentualnego przeniesienia się jest ten, żeby na wypadek niemożności powrotu na Litwę przed jesienią uniknąć drugiej równie nudnej zimy w Kolnie, jak ubiegła, a zresztą jakaś posada sędziowska w tym czy innym mieście, nie wyłączając Warszawy i gdyby nawet chodziło o coś wyższego, niż sąd pokoju, nie stanowiłaby kariery dla mnie, zważywszy mój wiek, stanowisko społeczne, stosunki itd., jednak pozór mógłby zachodzić i w oczach kolegów łomżyńskich przeniesienie się moje w drodze starań osobistych mogłoby się wydać aktem karierowiczostwa i protekcjonizmu, co byłoby mi przykrym. Zresztą sam jeszcze nie wiem, czy się w Warszawie o przeniesienie starać będę. W większym mieście obawiam się tego błotka stosuneczków biurokratyczno-urzędniczych, którego nie cierpię, a którego wzór żywy widzę w Łomży, poza tym żal mi mego sądu w Kolnie, żal współpracowników tamtejszych, a nawet spraw; lękam się, żebym nie trafił z deszczu pod rynnę, bo w Kolnie mam w sądzie moim stosunki dobre i już się z nim zżyłem, a cały mechanizm sądu ułożyłem podług moich własnych gustów i usposobień, tymczasem w jakimś nowym nieznanym miejscu nie wiem, co zastanę: jakich ławników, jaką kancelarię, jakie stosunki? Może będę się musiał naginać do stosunków i rutyny, jakie zastanę i może nie znajdę warunków tak miłych i takie otwierających pole samodzielności, jak w Kolnie. Zyskując na warunkach towarzyskich i pewnej wygodzie w większym mieście, mogę dużo stracić w tej sferze, która jest najistotniejsza, w sferze wewnętrznych warunków sędziowskiej działalności.
Wynudziłem się przez dzień cały w Łomży. Toteż wczesnym wieczorem pozwoliłem sobie na utęsknioną po długiej samotni kolneńskiej rozkosz – na dziewczynę. Sprowadziłem sobie jedną na noc do hotelu i zażyłem tego najsilniejszego z narkotyków ludzkich, upajając się nim forsownie. Trafiłem na dziewczynę miłą, nie tyle piękną z twarzy, ile zgrabną, młodą, o kształtach ciała bardzo regularnych i ładnych. Drobniutka jak dziecko, ale bardzo w rozwoju ciała proporcjonalna, o ślicznych piersiach, obdarzona ładnym głosem, bardzo zmyślna i podatna w akcie, dała mi ucztę rozkoszy nocnej.

3 kwietnia, rok 1918, środa

Do obiadu bawiłem w Łomży. Byłem w Sądzie Okręgowym, podjąłem pensję, należną sądownikom w Kolnie na kwiecień. Podwyżka pensji, o której już wiedziałem, wypadła dla mnie niewielka: tylko o 50 marek miesięcznie; zamiast 650 mk. miesięcznie, jak dotąd, pobieram odtąd po 700 marek. Jest to mniej, niż liczyłem, bo podług tego, co zapowiadano, myślałem o 800 mk.; ale i to lepsze, niż było. Natomiast pisarzom hipotecznym obniżono pensję; mój Mystkowski w Kolnie będzie tym zmartwiony, bo liczył także na podwyżkę, a tu mu nagle obcięto z 400 na 375 mk. Proporcjonalnie duża jest podwyżka dla sekretarzy sądu pokoju, który zamiast 178 mk. pobierać będą 275 mk. Sędziom okręgowym podniesiono pensję więcej, niż sędziom pokoju; dotychczas te dwie kategorie sędziów (mam na myśli sędziów pokoju prawników w okręgach miejskich) stały pod względem pensji na równej stopie. Teraz rozdzielono je nie tylko pod względem pensji, ale także stanowiska służbowego: sędziowie pokoju mają być mianowani przez ministra, podczas gdy okręgowi – przez władzę najwyższą. Nie wydaje mi się to dodatnim, bo jest to czynnik obniżający niezależność sędziowską sędziów pokoju (tym bardziej, że sędziowie są odwołalni). Może to mieć pewne usprawiedliwienie chyba tylko w tych warunkach początkowego, a więc jeszcze nie ustalonego, z konieczności w wielu punktach kulejącego stadium organizowania się sądownictwa.
Byłem też u sędziego pokoju Tarnowskiego. Wysłuchałem całej litanii jego zwierzeń i skarg na stosunki w sądownictwie łomżyńskim i w szczególności na sędziego Sądu Okręgowego Tramplera. Od dawna już słyszałem różne utyskiwania na Tramplera, który wnosi do sądownictwa specjalne galicyjskie pierwiastki formalizmu biurokratycznego i zabagnia nimi stosunki wewnętrzne. Teraz Tarnowski mi bardzo szczegółowo, a może nawet poniekąd stronnie zreferował działalność w tym kierunku Tramplera. Tarnowski jest z nim w stadium jaskrawej i otwartej walki. Podług słów Tarnowsiego, Trampler jest nie tylko biurokratą, ale i karierowiczem przede wszystkim. Galicja, która ma wyrobiony stan urzędniczy, wyposażony we wszystkie klasyczne cechy biurakratyzmu, czego nie posiada Królestwo, dając Królestwu swych urzędników do kadr nowej biurokracji polskiej, wnosi tu ten pierwiastek w najjaskrawszych i zarazem najlichszych wzorach; ci bowiem urzędnicy w Galicji, którzy czy to dzięki zdolnościom, czy też dzięki jakimś okolicznościom szczęśliwym zdołali zrobić karierę i zająć stanowiska u siebie, zostali na miejscu, podczas gdy do Królestwa pchają się ci, którzy u siebie wybić się nie potrafili; tych charakteryzuje przede wszystkim ślepe i niewolnicze przesiąknięcia do szpiku kości biurokratyzmem, doprowadzonym do karykatury i następnie głód kariery, który jest namiętnością ich życia; im dalsi byli od ideałów kariery w Galicji, tym są jej bardziej chciwi, tym namiętniej w nich teraz wybucha w tym kierunku ambicja; Królestwo jest w ich pojęciu ich rajem obiecanym kariery. Taki Trampler jest pod tym względem klasycznym karierowiczostwa uosobieniem. A że operuje w środowisku Królewiaków, którzy nie mają kultury mandaryńsko-biurokratycznej ani też takiego szczególnego pędu do kariery, toteż będąc tu jedynym posiadającym wybitną wolę kariery, grasuje formalnie i pobijając wszystkich tą wolą, kształtuje stosunki tak, jak sobie tego życzy. Intrygi, podkopywanie się, umiejętne zdobywanie wpływu na słabego i poczciwego prezesa Filochowskiego – w tym wszystkim ma celować Trampler. Nie tylko nawet kariera, ale po prostu sama żądza władzy, chęć dominowania, zdobywania i wykonywania przewagi cechują Tramplera. Nie znosi on, gdy ktoś inny uchodzi za zdolnego, gdy może mieć jakieś u prezesa uznanie. Gdy to spostrzega, chce go natychmiast strącić, zazdrości komukolwiek powodzenia i pracuje dopóty, dopóki go nie poniży. Jest w tym kierunku niezmordowany i zawsze dzięki słabości prezesa dopnie swego. Nie znosi prokuratora Urbanowicza, którego szykanuje systematycznie, doprowadzając do tego, że

prokuratura zmuszona zostaje do takiej pedanterii działania, iż wszyscy sędziowie śledczy są przez nią zamorzeni i wściekli na nią; Trampler robi to pod postacią niezwykłej skrupulatności wymagań w stosunku do śledztw; już sam Urbanowicz, a za nim cała prokuratura i sędziowie śledczy są doprowadzeni do znienawidzenia stosunków łomżyńskich. On to też wygryzł Sztromajera, który już po prostu wytrzymać nie mógł i dlatego za wszelką cenę uciekł z tego okręgu sądowego. Dalej gdy się dowiedział, że spośród sędziów pokoju Tarnowski, Wołodkiewicz z Ostrowia i ja uchodzimy za najlepsze siły, zaczął działać w kierunku podkopania tego uznania. Do mnie się jeszcze nie dobrał, bo jestem najdalej, apelacji z mojego sądu jest mało, toteż okazji ma niewiele. Ale Wołodkiewicza już podkopał, co mu ułatwił ten fakt, że był do Ostrowia posłany na wizytację sądu; do Tarnowskiego się też zabrał systematycznie; prócz usiłowań obalania wyroków tych sędziów w apelacjach, kłuł Tarnowskiego drobnymi szpilkami, czepiając się detali techniki kancelaryjnej, przesyłając mu z ramienia Sądu Okręgowego dokuczliwe admonicje z drobiazgowymi reprymendami pod pretekstem dozoru zwierzchniczego, przysługującego Sądowi Okręgowemu (ściśle biorąc – prezesowi tegoż) w stosunku do sądów pokoju. Tarnowski podjął rękawicę i teraz się obaj kłują i użerają. Dzięki słabości prezesa Filochowskiego Trampler, który wszystkim już dokuczył i przez wszystkich jest znienawidzony, robi jednak co chce i posługuje się do swych celów firmą Sądu Okręgowego. Tarnowski mi długo i szczegółowo opowiadał, pokazywał odnośne korespondencje, wtajemniczał we wszystkie arkana tych intryg i fermentujących zatargów. Miłe stosuneczki!! Wolę moje ciche Kolno, gdzie jestem samodzielnym panem w moim sądzie i gdzie tego rodzaju stosunki nie mogą przeniknąć. Swoją drogą, Tarnowski, będąc podrażniony sam, może przesadzać. Przypuszczam, że ze strony Tramplera jest bodaj więcej formalizmu biurokratycznego i pedanterii, niż tej woli kariery i ambicji przewodzenia służbowego, które mu tak gorzko wymawia Tarnowski. Tym niemniej są to stosunki bardzo niemiłe. Po obiedzie wyjechałem z Łomży do Warszawy.

4 kwietnia, rok 1918, czwartek

Cofam się jeszcze do dnia wczorajszego. Koło godz. 3 wyjechałem z Łomży. Gdym szedł na dworzec kolejowy, spotkałem idącą z dworca partię uchodźców, wracających z Rosji. Partie takie, po kilkadziesiąt lub kilkaset ludzi, codziennie przybywają do Łomży i innych miast Polski. Powrót uchodźców stał się już zjawiskiem systematycznym i stałym. Codziennie płynie ich fala za falą. Powracają przeważnie ze świeżo zajętych obszarów Białej Rusii. Śpieszą stęsknieni do swych stron i gniazd rodzinnych, obrzydzeni tułaczką, opowiadający o anarchii i drożyźnie w Rosji. Tłumy się zawsze zbiegają na ich spotkanie i chciwie ich rozpytują o stosunkach zza frontu, dzieląc się również z nimi wrażeniami z życia w kraju. Wracający uchodźcy przyczynili się do rozkładu wreszcie uporczywej legendy o rzekomym dostatku i obfitości w Rosji i do ciągłego czekania jakiegoś zbawienia i jakichś cudownych leków na wszystkie klęski i biedy – ze wschodu. Dziwna rzecz, że wśród wracających uchodźców przeważają mężczyźni, młodzi lub w sile wieku. Prawie wszyscy bez wyjątku wracają w rosyjskich ubiorach żołnierskich, w szynelach i żołnierskich czapkach.

Bilet, dzięki legitymacji urzędniczej, stwierdzającej mój charakter sędziego, kosztował mię prawie o połowę taniej. W pociągu było pełno. W tymże wagonie jechało ze mną kilku legionistów z obozu internowanych w Łomży. Wyjeżdżali na urlop, względnie zwolnieni na stałe z obozu. Pomimo długiego przebywania w niewoli, wyglądali jeszcze nie najgorzej, a niektórzy zupełnie dobrze. Na humorze zaś niewola się wcale nie odbiła; byli pełni dowcipu i werwy, pełni tej tryskającej młodości, która wytworzyła typ charakterystyczny legionisty. Przyglądałem się im bacznie, ale nikogo znajomego

wśród nich nie dostrzegłem. W Ostrołęce przy przesiadaniu i czekaniu na pociąg do Małkini była jaskrawa mieszanina publiczności: w pobliżu grupy zwolnionych Szczypiorniaków, których strój wojskowy kolidował z brakiem pasa i broni bocznej, stało dwóch zaprzysiężonych żandarmów legionowych z żółtymi wyłogami, czyli znienawidzonych tzw. „kanarków" – jeden oficer, znajomy mi z widzenia, który był, zdaje się, niegdyś sierżantem żandarmerii polowej w I Brygadzie, i jeden przy nim wysoki piękny żołnierz-kanarek; tuż kręcili się Niemcy, urzędnicy kolejowi i żołnierze, byli reprezentowani cywile-tubylcy, wreszcie paru wygnańców-Białorusinów, brodatych, typowych, w starych zniszczonych siermięgach i kożuchach, w łapciach na nogach, jak półdzicy biedni ludzie leśni, rzuceni losami wojny w ten świat obcy i cywilizowany. W Małkini urozmaicili kontrasty publiczności liczni legioniści z kursu wyszkolenia w Ostrowiu, jadący za przepustkami do Warszawy. Byli wśród nich oficerowie, byli pospolici „leguni", oczywiście z kategorii zaprzysiężonych, byli wreszcie eleganccy, jak z igły, paniczykowie – podchorążowie z monogramem SP na ramieniu. Z pewną niechęcią na nich patrzałem, zwłaszcza w zestawieniu z gromadką wymęczonych w niewoli, odartych z pasa i bagnetu, Szczypiorniaków. Dzisiaj to „wojsko polskie" jakże jest różne z ducha i przeznaczenia od tych dawnych Legionów strzeleckich, których Piłsudski wyprowadził w pole na bój powstańczy z Moskwą o niepodległość Polski i którzy krwawili w męce i tęsknocie niespełnionych ideałów w bagniskach i lasach Polesia Wołyńskiego nad Styrem i Stochodem lub w Karpatach i na Besarabii krew przelewali! Dziś to wojsko jakieś papierowe, jak cacko, pozorujące fikcję armii „państwowej" polskiej, a przeznaczeniem jego w ideale tych, którzy dziś w Polsce rej wodzą jest przeważnie nie co innego, jak obrona ładu wewnętrznego i ewentualne narzędzie walki z rewolucją, podstawa kontrrewolucji. Jakież było jednak moje zdumienie, gdym w drodze z Małkini do Warszawy zapoznał się z jadącymi z Łomży zwolnionymi Szczypiorniakami i usłyszał od nich, że cały ogół internowanych w Łomży, a więc całe gros Szczypiorniaków, którzy przetrwali dotąd niezachwiani, znosząc ze stoicyzmem i humorem niewolę, wierni swej odmowie przysięgi i swemu mistycznemu związkowi z więzionym gdzieś daleko w Niemczech Komendantem, zgłosili się jak jeden mąż do przysięgi i uległego powrotu do Beselerowskiego „Polnische Wehrmacht"! Decyzję tę spowodował podobno list Śmiglego-Rydza, który wezwał żołnierzy do tego kroku. Coś w podobnym kierunku likwiduje się, zdaje się, także Beniaminów. Tak więc likwidacja tragedii szczypiorniackiej tonie w kapitulacji, boć w gruncie nie czym innym jest ta decyzja. Czy nie jest taka kapitulacja pospolitym bankructwem? Bo i cóż się tak dalece zmieniło w ideowo-moralnych podstawach sprawy polskiej, aby dziś możliwą i wskazaną była ta przysięga, tak bezwzględnie w roku zeszłym odrzucona?! Zmieniły się tylko stosunki siły, ale nie prawa i ideały. Bez sławy, zdaje się, przejdzie do historii ta sprawa martyrologii szczypiorniackiej. Odrzucono przysięgę, dano się bez oporu rozbroić i skazać na bierne męczeństwo w obozach jeńców, awanturowano się z okazji zgłaszania się słabszych elementów do przysięgi i wreszcie skapitulowano, zaprzysiężono i dano się znów do Wehrmachtu wcielić.

O godz. 10 wieczorem przyjechałem wczoraj do Warszawy. Wziąłem posłańca do niesienia rzeczy moich i poszedłem do Ludwika Abramowicza przy ul. Foksal, u którego korzystam z gościny w Warszawie. Uderzył mię słaby ruch uliczny w Warszawie o tej porze wczesnego wieczora i słabe oświetlenie ulic. Przyjezdny od razu wyczuwa przygnębienie w Warszawie, które uderza tym jaskrawiej, że to przecie pora Świąt Wielkanocnych. Rzeczywistość rażąco odbija od tego pojęcia ruchliwej, tętniącej życiem Warszawy, jaką się ma w pamięci. Na wstępie przekonałem się, że wśród pospólstwa Warszawy niechęć do Niemców i *quand même* jakaś wiara cudowna w ich

ostateczną porażkę nic nie ustąpiła. Jeżeli nie z Rosji, to od Zachodu dziś tej klęski niemieckiej wypatrują wierząc w nią jak w aksjomat, bo tak wierzyć chcą. Mój posłaniec opowiadał mi niestworzone rzeczy o klęskach niemieckich na froncie zachodnim i o jakimś fantastycznym niszczącym ostrzeliwaniu Berlina (*sic*) przez jakieś cudowne Amerykanów wynalazki. Takie wersje krążą w pospólstwie i są brane na wiarę bez zastrzeżeń. Ludwika Abramowicza w domu zastałem i poszedłem z nim na kolację do kawiarni „Gastronomii", gdzie spotkałem się z Edwardem Słońskim i Benedyktem Hertzem.

5 kwietnia, rok 1918, piątek
Wczoraj spotkałem się z Wilhelmem Feldmanem, bawiącym w Warszawie. Od wybuchu wojny (raczej w parę miesięcy po wybuchu) aż do dnia dzisiejszego Feldman siedzi w Berlinie jako agent polityczny wpierw NKN-u, obecnie – Departamentu Stanu w Warszawie. Na odpowiedzialnej placówce berlińskiej reprezentuje on i strzeże urzędowej polityki polskiej w stosunku do Niemców. Ciągłe wahania kursu politycznego w stosunkach niemiecko-polskich, wypadki, krzyżujące linie polityczne itd. – robią prace Feldmana nie tylko bardzo trudną, ale i niewdzięczną. Toteż nie dziwię się, że w czwartym roku tej pracy Feldman czuje się bardzo znużony, ma już dość tego trudu Syzyfa i myśli o usunięciu się z tego stanowiska, z tęsknotą myśląc o tych dawnych błogich czasach, gdy jako niezależny publicysta wydawał w Krakowie swoją „Krytykę". Nie spotkałem się z Feldmanem podczas wojny ani razu, choć parokrotnieśmy ze sobą korespondowali. Teraz Feldman, który przyjechał do Warszawy na dni kilka, dowiedział się od Abramowicza, że ja tu bawię i wyraził chęć zobaczenia się ze mną dla pomówienia o sprawach litewskich. Poszedłem wczoraj pod wieczór do niego do hotelu Europejskiego. Trzeba zaznaczyć, że Feldman trzymał w tych latach poniekąd rękę na pulsie spraw litewskich i polsko-litewskich stosunków. Przez Berlin za jego pośrednictwem uprawiana była polityka prób kontaktu z Litwinami. Wobec utrudnionych stosunków bezpośrednich między Warszawą a Wilnem Berlin się do tego szczególnie nadawał. Do Berlina zaglądali nieraz działacze i politycy litewscy, w ostatnich czasach – delegacje Litewskiej Rady Krajowej. Feldman się z nimi komunikował, usiłował organizować ściślejszy kontakt między nimi a aktywizmem polskim, co mu się zresztą nie udawało, jednocześnie pilnie uważał na kroki Litwinów w Berlinie, komunikował o nich do Departamentu Stanu (dawniej do NKN-u) w swych sprawozdaniach periodycznych, informował czynniki polskie o polityce niemieckiej w stosunku do Litwy, wreszcie zabiegał u Niemców o pewne atuty dla polskich w stosunku do Litwy aspiracji i organizował przeciwdziałanie na gruncie niemieckim pewnym antypolskim wystąpieniom Litwinów. W ogóle na tym polu był bardzo czynny, choć praktycznie, zdaje się, niczego nie dokonał. Poznał jednak nieźle sprawę litewską, zapoznał się z wielu Litwinami i nie spuszczał sprawy tej z oka. Wiadomą mu jest moja popularność na Litwie, moje stosunki i moje wpływy u Litwinów. Toteż rad był się ze mną spotkać, by w tej sprawie pomówić i wybadać mię nieco. Już kilkakrotnie próbował mię on zużytkować do akcji w stosunku do Litwinów. Wyczuwał wszakże, że coś mię w tej sprawie od polityki polskiej dzieli. Gdym do niego wczoraj przyszedł, zastałem u niego hr. Ronikiera, przywódcę tzw. aktywistów, jednego z najjaskrawszych *leaderów* germanofilsko-ugodowego Centrum Narodowego. Przy Ronikierze małośmy ze sobą o sprawie litewskiej mówili. Gdy ten wkrótce poszedł, udaliśmy się z Feldmanem do Loursa na gawędke przy kawie. Tam się do nas przysiadł Stanisław Kempner i rozmowa toczyła się na temat aktualnych spraw polityki polskiej. Postaram się innym razem streścić pewne rzeczy z tej rozmowy z Kempnerem, która dała mi pewien rzut oka na dążenia i program tzw. lewicy niepodległościowej

(Kempner do niej z przekonań i organizacji nie należy). Dopiero gdy Kempner odszedł, mogliśmy z Feldmenem pomówić obszernie i swobodnie o sprawach litewskich. Pozornie nas zbliża z nim to, że gdy ja stoję kategorycznie i bez zastrzeżeń na gruncie niepodległości Litwy, i Feldman także wraz z całym światem politycznym polskim (z wyjątkiem może grupy Studnickiego) uznaje i głosi zasadę niepodległości Litwy; drugi moment zbliżający jest ten, że gdy Feldman wraz z politykami polskimi dąży do nawiązania unii lub innej formy związku Litwy z Polską, i ja także bynajmniej nie wykluczam zbliżenia tych dwóch państw; skłonny nawet jestem do uznania, że przesłanki starej polityki jagiellońskiej, polityki związku Litwy i Polski, są nadal żywotne ze względów międzynarodowych i geograficznych, zwłaszcza zaś wobec zagrożenia obu krajów ze strony niebezpieczeństwa niemieckiego (dla Polski potrzeba zbliżenia się i ewentualnego związku z Litwą jest jeszcze ważniejsza i pilniejsza, niż dla Litwy, bo dziś jest to dla Polski, odciętej od morza, bodaj jedyna droga zbliżenia się do morza; dla Litwy zaś związek z Polską może spotęgować jej odporność w stosunku do Niemiec, chociaż odporność tę Litwa by jeszcze lepiej zrealizowała w związku z krajami bałtycko-fińsko-skandynawskimi, gdyby związek taki stał się możliwy). Różnica jednak zaczyna się rysować już w samym założeniu moim i Feldmana (polityki polskiej). Podczas gdy dla mnie istotną jest niepodległość Litwy sama w sobie, a kwestia związku z Polską jest tylko ewentualnie tej niepodległości współczynnikiem, który o tyle tylko cenię, o ile on może służyć na rzecz tejże niepodległości, to dla Feldmana i całej polityki polskiej istotną jest unia czy związek Litwy z Polską, a niepodległość Litwy jest tylko ustępstwem na rzecz Litwinów, jest właściwie narzędziem dalszego i w istocie jedynie pożądanego celu – unii, i o tyle tylko ma cenę, o ile do tej unii poprowadzić może. Wiadomo, że w roku zeszłym wszystkie stronnictwa polskie wydały wspólną deklaracjęm, uznającą zasadę niepodległości Litwy. Jak wiadomo – było to bodaj jedyny postulat, na który zgodziły się wszystkie stronnictwa polskie. Feldman w rozmowie ze mną starał się nawet tak mi tę rzecz przedstawić, że to on głównie doprowadził do tej wspólnej programowej co do Litwy deklaracji polskiej (Ludwik Abramowicz przeczy jednak temu, przypisując sobie i Lidze Państwowości Polskiej, nie zaś Feldmanowi, zasługę utwierdzenia tego postulatu w jednobrzmiącym oświadczeniu stronnictw. Główne jednak, co dzieli mnie od Feldmana i całej zresztą polityki polskiej w sprawie litewskiej – to nie zasada niepodległości Litwy, którą można wyznawać usty (nie zawsze konsekwentnie uczynkami), ale – <u>metoda stosunku do Litwy</u>. O tym powiem jutro, bo dziś już miejsca na to nie ma. Tu tylko jeszcze zanotuję trzy fakty, względnie zjawiska w polityce polskiej w stosunku do Litwy: 1. z Warszawy wysłano (przez dr Boguszewskiego) dyrektywę czy też wskazówkę Polakom litewskim (Komitetowi Polskiemu w Wilnie), aby się starali nie przeciwdziałać budowie przez Litwinów państwa litewskiego, a nawet żeby czynnie współdziałali temu, zaprzestając dotychczasowego bojkotu; 2. zaczyna kiełkować zasada, że o ile Litwa wejdzie w unię z Polską, to Polska wcale kwestionować nie będzie uznania Wilna za stolicę Litwy i żądać wcielenia go do Polski nie będzie i 3. coraz popularniejsza u Polaków, orientujących się w sprawach litewskich, jest myśl, że o ile Litwa będzie odrębną od Polski, to nie należy żądać wydzielenia od niej na rzecz Polski gub. grodzieńskiej ani nawet obwodu białostockiego, a to w tym celu, aby nie osłabiać w Litwie elementu polskiego, który dzięki gub. grodzieńskiej łącznie z Wilnem będzie siłą, mogącą w zupełności równoważyć Litwinów w nowym państwie.

6 kwietnia, rok 1918, sobota
Nie mogę nadążyć za tokiem szczegółów bieżących mojego pobytu w Warszawie. Wracam do pozawczorajszej mojej rozmowy z Wilhelmem Feldmanem. Wskazałem

jemu, jakie zachodzą główne i zasadnicze przeszkody do związkowego porozumienia się Litwy z Polską. Polacy skłonni są upatrywać tę przeszkodę tylko w niechęci Litwinów, gdy w istocie przyczyna jest o wiele głębsza i szukać jej należy raczej u Polaków, pomimo że to Polacy właśnie najgoręcej pragną tego związku i są najwięcej w dojściu do skutku ewentualnej unii z Litwą zainteresowani. Litwini są rzeczywiście związkowi temu niechętni, ale nie przez jakieś zaślepienie, jeno właśnie z powodu stanowiska Polaków i ich najgłębszych intencji, wyłażących jak szydło z worka z pięknych wolnościowych haseł o niepodległości Litwy. Gdyby nie te intencje i metody polskie, idea zbliżenia z Polską nie byłaby tak niepopularną u Litwinów. Nie wyłączając największych nacjonalistów litewskich, jak Smetona, Litwini, o ile o samą ideę takiego związku *in abstracto* chodzi, nie są jej obcy, *in concreto* wszakże są jej zdeklarowanymi przeciwnikami. Dlaczego? Polska ma do wyboru jedno z dwojga: czy przywiązuje główną wagę do swego narodowego, względnie etnicznego stanu posiadania, do terytorialnego rozszerzenia sfery swej narodowości, zagarniając w drodze polonizacji ziemie litewsko-białoruskie ku Wilnu włącznie z tym miastem, niezależnie nawet od ich państwowego wcielenia do Polski, czy też stawia na pierwszym miejscu interesy swego państwa, takiego, jakim ono jest, to znaczy Polski właściwej. W pierwszym wypadku Litwa nie zgodzi się nigdy na związek z Polską, o ile Polska ma używać tego związku do spotęgowania swych wpływów i swojej ingerencji w wewnętrzne sprawy i stosunki na terytorium Litwy, uznawanym zresztą za takie nawet przez Polskę pod warunkiem unii. Litwini nie zgodzą się nigdy, aby Polska miała jakiś głos w spornej kwestii Wilna i wewnętrznych stosunków litewsko-polskich w Litwie i aby się w te sprawy wewnętrzne mieszała, wpływając na takie lub inne ich ukształtowanie. I choćby Polska uznawała formalnie niepodległą państwowość Litwy, nic to nie pomoże, jeżeli faktycznie będzie tej niepodległości przeczyła. Litwini nie dopuszczą nigdy dobrowolnie, żeby Polska, jak to jest dotąd, udzielała pewnych dyrektyw jednej części obywateli Litwy (Polakom litewskim), kierowała ich polityką w niepodległej Litwie, decydowała o ich obowiązkach obywatelskich i politycznym kierunku tychże, żeby słowem – w niepodległym państwie litewskim Polska wytwarzała i utrzymywała swoją partię, służącą jej interesom i usiłującą zdobyć przewagę nad Litwinami. Takie działanie bowiem kolidowałoby z formalnym uznaniem przez Polskę niepodległości Litwy. Żaden kraj niepodległy się na to zgodzić nie może. Jak Polska nie mogła pogodzić ze swą niepodległością takie zjawiska w dobie schyłku Rzeczypospolitej, jak utrzymywanie w Polsce przez Moskwę partii moskiewskiej, tak Litwa nie zniesie utrzymywania przez Polskę partii polskiej na Litwie, partii, która by zza granicy odbierała wskazówki i dyrektywy polityczne dla obywatelskiego działania w kraju. Oczywiście, że taka anomalia ze stanowiska niepodległości może być tylko narzucona, ale nigdy przyjęta przez Litwinów dobrowolnie jako rzecz dobra. Będą oni z nią walczyć. I dlatego też Litwini nie będą pragnęli unii lub jakiegokolwiek związku z Polską, dopóki związek taki ich niepodległości zagraża, choćby formalnie Polska tę niepodległość uznawała. Wiedzą oni, że Polska skorzysta ze związku dla wzmocnienia swoich wpływów i posiadania wewnątrz Litwy, dla mieszania się w jej stosunki i sprawy wewnętrzne; wiedzą, że związek taki dokonałby się tylko kosztem osłabienia niepodległości Litwy, kosztem faktycznego poddania jej Polsce. Tego zaś pragnąć nie mogą. Już dziś Polska na Litwie w ten sposób działa. Wprawdzie wszystkie stronnictwa w Warszawie wyrzekły we wspólnej deklaracji zasadę niepodległości Litwy, wyrażając jeno pragnienie związku z nią jako z państwem samodzielnym, to jednak faktem jest, że z Warszawy stale udzielane są dyrektywy polityczne Polakom litewskim i że reprezentacja polityczna Polaków litewskich – Komitet Polski w Wilnie – jest w ciągłym regularnym kontakcie z Warszawą, uznaje rząd warszawski za swój rząd

uprawniony i odbiera od niego wskazówki, do niego się odwołuje, jemu ulega. Litwini widzą to, wiedzą o tym i nie mogą przystać, aby jedna część obywateli Litwy podporządkowywała się zagranicy. To właśnie jest największą przeszkodą do polsko-litewskiego zbliżenia. Nie pomogą tu formalne proklamacje uznania niepodległości Litwy. Gdyby Polska miała faktyczną moc i władzę nad Litwą, jaką mają Niemcy, Litwini musieliby się *volens nolens* pogodzić z faktami, jakie są, i podporządkowując im, usiłować choć jakiś ułamek niepodległości salwować. Skoro tego jednak nie ma, dobrowolnie kuć na siebie obrożę w formie związku czy unii z Polską nie będą. Jest to rzecz bardzo jasna, ale Polacy tego nie chcą widzieć i utyskują na jakąś niepojętą antypolską zaciekłość Litwinów, którą skłonni są kłaść na karb przeżytków intrygi rosyjskiej. Zresztą może nie widzą dlatego, że nie są w stanie zmienić tych naturalnych ciążeń Polaków litewskich do Polski i naturalnego u każdej narodowości pędu do utrwalenia, względnie nawet rozszerzenia swego stanu posiadania niezależnie nawet od granic państwowych. Idea związku Polski z Litwą wtedy stałaby się żywotną w obojgu krajach, gdyby Polska, uznając niepodległość Litwy, uznała konsekwentnie, że sprawa Wilna, sprawa narodowości w mieszanych obszarach Litwy i sprawa wewnętrznych sporów litewsko-polskich w Litwie są to sprawy Litwy, do których Polska ani rąk maczać, ani na nie wpływać nie myśli. Siła liczebna, a zwłaszcza kulturalna i gospodarcza Polaków litewskich jest tak wielką względnie, że i bez ingerencji Polski, o własnej mocy w ramach obywatelskich praw krajowych nie daliby się oni zjeść w kaszy Litwinom. Tak jest zapewne, ale z drugiej strony trudno się dziwić, że żywy naród, jak Polska, nie może przejść obojętnie do porządku dziennego nad sprawą swego bogatego stanu posiadania na Litwie. To sprawia fatalizm błędnego koła w stosunkach Polski do Litwy. Choć zbliżenie jest w interesie obu krajów wskazane, nie widzę dróg prowadzących do niego.

7 kwietnia, rok 1918, niedziela
Ostatni dzień jestem w Warszawie, a zreferowałem w dzienniku dopiero dzień pierwszy. Warszawa to nie to, co Kolno. Tu każdy dzień pobytu nastręcza dużo tematów do dziennika, tak że wyczerpać trudno, podczas gdy w Kolnie nieraz nic do dziennika nie ma. Ale nic to. Wrócę do Kolna, będę miał czasu i miejsca w dzienniku dość. Nanizę po trochę wszystkie paciorki tematów na mój różaniec *silvae rerum* dziennika. Będę pisać o Warszawie dzień po dniu, spotkanie po spotkaniu, fakt po fakcie.
Pogoda mi sprzyja w Warszawie znakomicie. Jest prześliczna w pełnym rozkwicie wiosna. Przyszła ona tak nagle, po zimowych niemal chłodach marca i pierwszych dni Wielkiejnocy! Nagle zrobiło się ciepło, prawie jak w lecie. We dnie w słońcu – chwilami upał, że aż ciężko w moim paltocie jesiennym. Na drzewach pąki rosną, nabrzmiewają i już, już pękają. Dziś – pierwsza burza wiosenna. Zbliża się najpiękniejszy czas roku.
Warszawa ładnie wygląda. Urok jej piękna i gracji mile działa na mnie. Pierwszego wieczora, gdym przyjechał, uderzyła mię cisza, brak oświetlenia, wrażenie przygnębienia wojennego Warszawy. Już nazajutrz wszakże to wrażenie minęło. Oswoiłem się z Warszawą taką, jaka jest i widzę w niej te same zasadnicze piękne rysy, co zawsze. Naturalnie – duża różnica między ruchem Warszawy przed albo w pierwszym roku wojny a teraz. Jednak żywotną ona pozostała. Nie zaglądałem do dzielnic ludowych i robotniczych, tam, gdzie najjaskrawsze są cechy głodu i nędzy wojennej. Ale za to w bogatych dzielnicach śródmieścia, na Nowym Świecie, Krakowskim Przedmieściu, w Alejach, na Marszałkowskiej i przylegających ulicach ruch wcale pokaźny i życie dość bujnie na ogół wre. Na pozór też jest tu zupełna

obfitość, zdająca się zaprzeczać strasznemu niedostatkowi kraju i zwłaszcza przecie samej Warszawy. Wystawy sklepów spożywczych są sute i manią oko widokiem smakołyków, o których człek na prowincji przestał już marzyć i ani się domyślał ujrzenia ich w... Warszawie. Co za śledzie kapiące tłuszczem, jak prawdziwe z czasów pokoju, co za półgęski lśniące od smalcu, co za połcie grube słoniny! A masła, jaj itp. stosy i rzędy! Zdawałoby się – co tu mówić o niedostatku i głodzie! Tylko że specjały te są w śródmieściu, a ceny na nie – szalone. Proszę spróbować kupić! Najskromniejszy artykuł spożywczy kosztuje dwa razy tyle, co w Kolnie, a po dziesięć i po kilkanaście, czasem po kilkadziesiąt razy drożej, niż w czasach pokoju. Za to w dzielnicach ludowych i robotniczych blady opuchły głód, nędza, śmiertelność straszna. W cukierniach ciastka podawane są do stolików zupełnie jawnie, w restauracjach podaje się chleb pytlowy, choć to są rzeczy surowo zakazane i na prowincji, gdzie są one o wiele tańsze, ludzie są za nie bezwzględnie i bardzo ostro karani. W restauracjach bufety zastawione obficie różnymi przekąskami, wódka szynkuje się otwarcie pod figowym listkiem nazwy „madery", w jadłospisie znajdziesz i gęś, i indyka, nie mówiąc o niezliczonych potrawach z pospolitej wołowiny, cielęciny i świniny. Ludzie jeszcze mają pieniądze, bo restauracje i zwłaszcza wielkie kawiarnie, uprawiające zarazem proceder restauracyjny, są wieczorami przepełnione po brzegi, i kolacje są zajadane szeroko i obficie mimo cen wysokich. Klika spekulantów czyli tzw. „paskarzy", bogacących się na drożyźnie, panoszy się i potrafi jeszcze żyć szeroko. Dla nich się wszystko jeszcze znajdzie. Inteligencja zawodowa, choć z nią jest bardziej krucho, ulega także starym nałogom kawiarnianym i wydaje sporo na ciastka i kolacje. W kawiarniach tych grywa wieczorami muzyka, co podobnie jest przedmiotem zdziwienia, a nawet zgorszenia wielu powracających z Rosji uchodźców, którzy się dziwią, że w takich czasach, w takiej powszechnej grozie klęsk i ruiny ludzie jeszcze się muzyką po kawiarniach cieszą. Nie brak jeszcze i dorożek w śródmieściu, choć konie tych „fiakrów" – pożal się Boże!
Co dzień bywałem po kilka razy w kawiarniach, a zawsze regularnie po obiedzie i wieczorem do godz. 4 w „Gastronomii", naprzeciwko „Udziałowej" przy rogu Nowego Świata i Alei Jerozolimskich, gdzie obecnie się zbiera cała banda Ludwika Abramowicza z Edwardem Słońskim na czele i całą plejadą przejrzałej cyganerii, jak Szach-Wysłouch, Benedykt Hertz, Jabłoński itd. W teatrze nie byłem ani razu, ale za to byłem wczoraj wieczorkiem w kabarecіku artystycznym „Sfinks", a dziś w „*variétés*" „Renaissance".
Zanotuję tu jeden szczegół ciekawy z innej dziedziny: Ludwik Abramowicz uczy się po litewsku i zrobił już znaczne postępy. Świadczy to, ze Litwa idzie w górę i że ludzie po trochę muszą się do niej stosować, a przynajmniej o tyle się liczyć w sferze swej działalności publicystycznej i politycznej, o ile ona z Litwą ma styczność, że już nadal ignorować języka litewskiego nie mogą. Zresztą Ludwik Abramowicz (zdaje się, przeważnie przez duch przekory) – w dużym stopniu ideowo się „zlitwinizował" w Warszawie i uczy się litewskiego nie tylko dla celów praktycznych, ale także przez pewien pociąg uczuciowy. Bierze lekcje u Litwina Kassakaitisa. Ale co mię mocniej jeszcze zdziwiło, że p. Ignacy Baliński, obrany obecnie prezesem Rady Miejskiej w Warszawie, którego dziś u Pomorskich poznałem, także się chce po litewsku uczyć. Ten chyba nie[jest] litwinofilem politycznym. Jaki może on mieć cel w tej nauce! Niech się uczą – i owszem.

8 kwietnia, rok 1918, poniedziałek
Dziś wyjechałem z Warszawy do Łomży w drodze powrotnej do Kolna. Pociąg, którym jechałem, był przepełniony, a im się bardziej zbliżaliśmy do Łomży, tym więcej ludzi

wsiadało. W dużym stopniu przyczyniły się do tego wyznaczone na jutro wybory posłów do Rady Stanu. Powiaty, należące do guberni łomżyńskiej (prócz powiatu makowskiego, który jest z niej wyłączony), wybierać będą posłów w Łomży. Wybory te są dokonywane przez tzw. sejmiki powiatowe, pochodzące z mianowania. Przeważa w nich element ziemiański, a w każdym razie nie ludowy i nie demokratyczny. Nikt wprawdzie do wyborów tych zbyt wielkiej wagi nie przywiązuje, bo sama Rada Stanu jeszcze przed powstaniem jest w szerokiej opinii zdyskredytowana. Większość jej członków ma być bądź wirylistów, bądź z nominacji Rady Regencyjnej, element zaś członków pochodzących z wyborów będzie w mniejszości. A zresztą nawet ci, którzy wejdą z wyborów, wybrani będą przez sejmiki, których członkowie są mianowani przez władze okupacyjne. Cała więc ta Rada Stanu jest tylko szopką przedstawicielstwa narodowego. Jest ona pomysłem tzw. aktywistów, którzy, widząc konieczność oparcia budowy państwowej polskiej o przedstawicielstwo, a bojąc się prawdziwego Sejmu, ponieważ wiedzą, że ten ich aktywizm, fundujący się na bliskim kontakcie z mocarstwami centralnymi, jest w szerokich masach Polski niepopularny, wymyślili tę fikcję reprezentacji. Urzędowo i formalnie Rada Stanu ma być tylko etapem po drodze do przyszłego Sejmu i głównym jej zadaniem ma być uchwalenie ordynacji wyborczej do tegoż. W myśli wszakże aktywistów z Centrum Narodowego, Rada Stanu, gdy się raz zbierze, zechce sama, pod pretekstem pracy nad ordynacją wyborczą, przedłużać swoje istnienie, przez co się opóźni zwołanie Sejmu, a tymczasem ona spełniać będzie czynności ustawodawcze bieżące i służyć za podstawę spekulacji aktywistycznej. Wszystkie odłamy demokratyczne, radykalne i ludowo-robotnicze bojkotują wybory do Rady Stanu, odrzucając potrzebę i samą zasadę takiej fikcji przedstawicielstwa. Lewica demokratyczna i niepodległościowa, której ośrodkiem jest tzw. Zjednoczenie Stronnictw Demokratycznych, stojąc pod hasłem Sejmu, wybranego w drodze głosowania czteroprzymiotnikowego, nie bierze udziału w wyborach do Rady (co prawda, bojkot ten jest raczej platoniczny, bo gdyby ona nawet udział brała, nie mogłaby w takich wyborach swoich ludzi przeforsować). Nawet część ugrupowań aktywistycznych z ludowego ich odłamu, jak Narodowy Związek Robotniczy i aktywistyczna formacja ludowców – stanęły także w opozycji do Rady Stanu, usuwając się od wyborów do niej i stając pod sztandarem Sejmu. Co zaś do socjalistów, nie wyłączając PPS-owców z frakcji rewolucyjnej, to ci nie tylko bojkotują Radę Stanu, ale odrzucają i Sejm jako instytucję burżuazyjną, która nie będzie wyrazem ludu i która w obecnych warunkach będzie niepodzielnie endecką. Że zresztą Sejm ten da triumf endekom, to z góry przewiduje, jak wiem od Kempnera, nawet lewica demokratyczna, która przecież z motywów zasadniczych demokracji stoi mocno na jego gruncie. Jedyni tylko socjaliści, szukający innych wzorów formacji woli ludowej i poniekąd oglądający się na rewolucję rosyjską, która przeciwstawiła Sejmowi i nawet Konstytuancie delegacką reprezentację wolnych związków ludowych w postaci rad robotniczo-włościańsko-żołnierskich (tzw. „Sowiety”), odrzucają już nie tylko Radę Stanu, ale i Sejm jako nie odzwierciedlający istotnych potrzeb mas ludowych i będący tylko fikcją reprezentacji ludowej na usługach klas posiadających i stanów uprzywilejowanych i panujących. Natomiast do wyborów do Rady Stanu, prócz aktywistów z takich ugrupowań, jak Centrum Narodowe i Związek Budowy Państwa Polskiego, stanęła też zwarta silna pasywistyczna prawica, zorganizowana w Kole Międzypartyjnym. Ta konserwatywna masa prawicowa, usposobiona niechętnie do spekulacji aktywistycznych z Niemcami, skłonna do koalicyjnych sympatii, a jeszcze bardziej do wyczekiwania, co przyniosą wypadki na zachodzie i którą szalę przechylą, aby się potem przyłączyć do tych, co zwyciężą, prawica ta, której jądrem są endecy i różne mniej lub więcej pokrewne im elementy, świadoma swojej siły i potężnych wpływów w

Polsce, stanęła w wyborach do Rady Stanu do walki z aktywistami. Że ona zwycięży – to zdaje się być pewnym, a w Łomży, która uchodzi za jedną z twierdz Koła Międzypartyjnego, jest to pewnikiem z góry wiadomym. Koło Międzypartyjne staje do wyborów pod hasłem pasywistycznym, że jedynym Rady Stanu zadaniem jest uchwalenie ordynacji wyborczej i utorowanie drogi do Sejmu jako prawowitego gospodarza kraju, co jest antytezą dążeń aktywistów, którzy by pragnęli zrobić z Rady Stanu narzędzie polityki czynnej w kombinacji Polski z mocarstwami centralnymi. Na tych więc przeciwieństwach, jak również na policzeniu swych sił między pasywistami endeckiej prawicy a aktywistami gotuje się walka wyborcza, w której zwycięstwo jest prawdopodobniejsze po stronie prawicy i zasady bierności. W ogóle w Polsce, wbrew przeciwnym, nieraz rozpaczliwym, usiłowaniom aktywistów – dominuje w polityce gra na zwlokę. To się zupełnie wyraźnie wyczuwa w Warszawie, w tym kierunku zdaje się działać Rada Regencyjna, wyrazem tegoż jest apolityczny gabinet Steczkowskiego, do tegoż zmierza prąd, wytworzony przez Koło Międzypartyjne w kwestii wyborów do Rady Stanu. Od Rady Stanu wyciąga się nić bierności i zawieszenia decyzji do Sejmu, a Sejm ten będzie endeckim i wobec dzisiejszych usposobień w Polsce tym bardziej pasywistycznym. Aktywizm mógłby być w Polsce dokonywany tylko przez garstkę mniejszości, ale nigdy przez Sejm, z masy wypływający. Mądrością tej polityki na zwłokę jest utrzymanie *status quo* osiągniętych rzeczy, nieangażowanie się w żadnym kierunku i bierne wyczekanie na doniosłe decyzje faktów wojennych na Zachodzie. Pod tym znakiem stanęła Polska. Aktywizm polski był w tej wojnie prawdziwym Syzyfem.

9 kwietnia, rok 1918, wtorek
Podług pierwotnego projektu, gdym wyjeżdżał, miałem już dziś wrócić do Kolna, na jutro bowiem mam wyznaczoną w sądzie sesję. Ale na dziś na godz. 4 po południu prezes Filochowski wyznaczył w Łomży konferencję sędziów pokoju, wobec czego musiałem pozostać. Konferencja odbyła się w Sądzie Okręgowym pod przewodnictwem prezesa, z udziałem wszystkich trzech sędziów okręgowych – Tramplera, Mieczkowskiego i Skarżyńskiego, oraz kilkunastu sędziów pokoju z różnych stron okręgu. Nic szczególnego do zanotowania z tej konferencji nie ma. Omówiono szereg kwestii, poruszonych przez poszczególnych sędziów, wysłuchano referatu Tramplera o pewnych metodach biurowości kancelaryjnej w sądach pokoju itp. Jak zawsze, głównym czynnikiem konferencji byli sędziowie-prawnicy, a więc Tarnowski, Wołodkiewicz z Ostrowia i ja.
Wieczorem prezes zaprosił na kolację do Rembielina grono sędziów; przyszła też tam na kolację pani prezesowa Filochowska i dwie jakieś młode panny; paniom robili honory Wołodkiewicz, Trampler, jeden z młodych podprokuratorów i sędzia śledczy z Ostrowia. Potem panie, prezes i kilku starszych sędziów wyszli, nas zaś sześciu zabawiło się jeszcze do północy gawędką przy kieliszku i kawie. Trampler podpił sobie, a gdy podpił, stał się on, tak zwykle przykry w stosunkach, znienawidzony przez wszystkich, zły duch stosunków łomżyńskich, niezwykle serdecznym, dobrodusznie figlarnym i pokornym, tak dalece, że gdyśmy się rozchodzili, nie tylko się z każdym całował i prosił, by wierzono w jego szczerość koleżeńską i nie posądzano o jakieś złe intencje, ale Wołodkiewiczowi aż do kolan się schylił. Zdaje się jednak, że ten Trampler nie jest tak dalece zły, za jakiego go mają; jeżeli ma w sobie przykrą żyłkę biurokratyzmu, suchej formalistyki i karierowiczostwa, to jednak skądinąd większe bodaj u niego grają rolę dwie namiętności: dziewczynki i alkohol. Szczególnie do dziewczynek jest łasy i pod tym względem żadnego umiarkowania nie ma. Jest to lubieżnik skończony, rafinowany.

Odbyły się dziś w Łomży wybory na posłów do Rady Stanu. Ponieważ Koło Międzypartyjne miało tu pewne zwycięstwo, z góry przesądzone, więc walka wyborcza toczyła się tylko o osoby kandydatów, nie zaś o programy. Wybrani zostali: Zygmunt Chrzanowski z Warszawy, jedna z gwiazd endeckich i z *leaderów* Koła Międzypartyjnego, niejaki Jabłoński i ksiądz prałat Gościcki. Wielkiej sensacji wybory te nie robiły. Tylko szczupła garstka wyborców roznamiętniała się o osoby kandydatów i na tym tle uprawiane były podobno machinacje i intrygi osobiste.
Mam jeszcze do zanotowania cały szereg spotkań, wrażeń i wiadomości z pobytu w Warszawie. Między innymi, spotkałem się tam z moim przyjacielem esdekiem Leonem Alterem, który przed jakimś miesiącem wrócił z obozu jeńców z Niemiec po niespełna rocznym tam pobycie. Dwukrotnie się spotkałem z Alterem: raz w kawiarni i drugi raz na herbatce u niego. Alter po powrocie z obozu jeńców zamieszkał teraz u żony. Ciekaw byłem nastrojów u socjaldemokratów warszawskich, których zdeklarowanym gorącym wyznawcą jest Alter. Domyślałem się, że orientują się oni w sympatiach i tęsknotach swoich do bolszewizmu rosyjskiego i nie omyliłem się. Alter, jak jego przyjaciele polityczni, jest wielbicielem bolszewików i ich metod politycznych; gorąco by pragnął przeszczepić ich wzory na grunt europejski. Nienawidzi wojny, Niemców rolę uważa za rolę policjantów kontrrewolucji i reakcji. Wszystko, co trzyma z Niemcami, wszystkie powstające nowotwory państwowe na wschodzie wraz z tymi, którzy je organizować usiłują, uważa za popleczników kontrrewolucji i wrogów ludu. Nie zraża go do bolszewików to, że zmarnowali moc odporną Rosji przeciwko zachłanności niemieckiej, ani też nie dyskredytują w jego oczach rewolucję bolszewicką te niesłychane gwałty i rabunki, których widownią jest Rosja. Rabunki te, dokonywane przez rozpętane szczątki armii, uważa za przemijające, dopóki elementy tej armii nie rozsypią się ostatecznie i nie wsiąkną w lud po powrocie do swoich stron rodzinnych. Co zaś do „pokoju", zawartego przez bolszewików z mocarstwami centralnymi, to, zaprzeczając oczywiście wartości układu w tym pokoju, uważa jednak zaniechanie wojny przez Rosję za jedyną rzecz, którą Rosja powinna była zrobić. Uważa, że siła rewolucji i jej ewentualne zwycięstwo, w które wierzy, zrealizuje się nie metodami militaryzmu i wojny, lecz metodą promieniowania i żywego wzoru dla takichże tendencji robotniczo-ludowych w całej Europie, którą wcześniej czy później wojna, niezdolna sama do rozwiązanie jakichkolwiek zagadnień, wyłoni do czynu rewolucyjnego.

10 kwietnia, rok 1918, środa
Spotkałem wczoraj w Łomży Żyda Grynberga z Kolna, którego prosiłem, aby po powrocie do Kolna najął i wysłał po mnie dziś o godz. 4 rano furmankę i aby uprzedził Miętkiewicza w sądzie, że przyjadę i żeby zatem poczekano na mnie z rozpoczęciem sesji sądowej. Liczyłem, że na godz. 7-8 rano przyjdzie już furmanka z Kolna i że po godzince będę mógł wyjechać. Tymczasem na próżno czekałem: furmanki nie było. Spróbowałem znaleźć furmankę do wynajęcia w Łomży, ale nie znalazłem. Przypuszczałem, że już wypadnie mi siedzieć w Łomży do wieczora i czekać na budę żydowską, która co dzień po południu przychodzi z Kolna i na wieczór wraca, kursując stale i wożąc pasażerów między Kolnem a Łomżą. Dzięki wszakże wstawiennictwu fotografa z Kolna, którego w Łomży spotkałem, udało mi się za wynagrodzeniem w ilości 10 marek otrzymać wstęp do dużej fury towarowej, którą żołnierze niemieccy mieli jechać z Łomży do Kolna. Żołnierze nie mogli mię jednak zabrać w Łomży, przeto polecili pójść pieszo za most na Narwi, do osady Piątnicy, skąd przyrzekli mię zabrać. Tak też się stało. O południu wyjechałem furą z żołnierzami z Piątnicy. Chociaż fura była naładowana różnym towarem, to jednak, zaprzężona w cztery konie w poręcz,

toczyła się po szosie szybko. W niespełna trzy godziny, prędzej, niż gdybym jechał specjalną najętą furmanką, byłem w Kolnie. Jazdę miałem wygodną. Fura, którą jechałem, przedstawia olbrzymią platformę towarową na wielkich kołach, obitą deskami i krytą brezentem; jechałem, siedząc na jakiejś beczce, zasłanej przez żołnierzy dla mnie kocami. W Kolnie udałem się wprost do sądu, gdzie zastałem już sesję w toku. Czekano mię do obiadu, a gdy się nie doczekano, ławnicy o godz. 2 sami rozpoczęli sesję. Ławnik Stachelski, jako mój zastępca, przypiął zieloną szarfę sędziowską z orłem i objął przewodnictwo rozpraw, mając za ławników Rembę i Jerozolimskiego. Zaczęli od sądzenia spraw lżejszych, w przewidywaniu, że może nadjadę. Gdym przyjechał, dwie sprawy były zasądzone. Natychmiast objąłem przewodnictwo i sesja potoczyła się dalej z udziałem ławników Stachelskiego i Jerozolimskiego. Sprawy zresztą były dziś przeważnie drobne i lekkie, łatwe do sądzenia, którym by podołali i sami ławnicy beze mnie.
Z pobytu mego w Warszawie opiszę z kolei moją wizytę u Wacława Makowskiego w Ministerium Sprawiedliwości. Za rządów Bukowieckiego, jako wpierw dyrektora departamentu, a następnie ministra sprawiedliwości, Makowski był wpierw wicedyrektorem, a następnie wiceministrem. Po ustąpieniu Bukowieckiego wraz z całym gabinetem Kucharzewskiego, Makowski na czas przejściowy do utworzenia się nowego gabinetu został mianowany kierownikiem Ministerium Sprawiedliwości, to znacz,y że faktycznie był w stosunku do całego sądownictwa polskiego tym, czym jest minister. Wszakże nie zasłużył na tym wysokim stanowisku sympatii ani uznania. Przeciwnie – stał się bardzo niepopularnym i nie lubianym zarówno przez sądownictwo i adwokaturę, jak na zewnątrz w szerokich kołach społeczeństwa. Świat sądowniczy i adwokacki zarzucają mu, że wprowadzał do sądownictwa polskiego stosunki biurokratyzmu, najgorszej chińszczyzny urzędniczej, karierowiczostwa itd. Zarzucają mu, że tępił niezależność sędziowską, że zabagniał stosunki elementem uniżoności, pochlebstw i różnicowania godności stosownie do urzędów i stopni, wprowadzał to specjalnie, co się po rosyjsku zowie „чинопочитанием"; rządy jego cechowały zamachy na wolność, godność i niezależność stanu sędziowskiego i podeptanie autonomii palestry. Z imieniem Makkowskiego łączą wszystki ujemne cechy, które zakwitły w młodym sądownictwie polskim i przypisują mu winę wytwarzania wadliwych tradycji tegoż sądownictwa. Do jakiego stopnia jet to prawdą i ile w tym osobistej winy Makowskiego, nie podejmuję się sądzić kategorycznie, bo siedząc w Kolnie, gdzie z natury rzeczy nie wyczuam bezpośrednio ani zależności jakiejś, ani natury stosunków w szerszym rozgałęzieniu sądownictwa i skąd zbyt małe mam pole obserwacji i perspektywy, nie jestem kompetentny po temu. Wszakże istotnie, gdy się tylko poza moje Kolno wychylę i zetknę z ludźmi, jak również z prasy, która do mnie donosi echa stosunków z zewnątrz, słyszę wciąż utyskiwania na tego rodzaju zabagnione stosunki w sądownictwie. Nietylko *vox populi*, ale także głos świadomych, bliżej w te rzeczy wglądających łączy te zjawiska z kierunkiem działania Makowskiego. Faktem też jest, że Makowski osobiście, odkąd został wiceministrem i kierownikiem Ministerium, zaczął osobę swoją otaczać wielkością nadzwyczajną, stał się trudno dostępnym i nosi się z wysoka, jak wielki władca. Makowskiego znam od dawna. Nigdy też nie brałem zbyt na serio jego przekonań rzekomo radykalnych, jego przynależności do lewicy społecznej. Pomimo jego błyskotliwych popisów literackich, wyczuwałem w nim od dawna zimną zrównoważoną duszę kupczyka i ambitnego karierowicza średniej miary, który jest niewątpliwie zdolny, ale nie mniej trzeźwy i praktycznie rozważny, daleki od wszelkich szaleństw szczerego uniesienia, dbający przede wszystkim o siebie i swoją przyszłość. Niedaleko pada jabłko od jabłoni; prawdziwe to prawie zawsze przysłowie. Syn może się różnić od rodziców tym, co jest

raczej nabyte, to znaczy przekonaniami, metodą itd., ale właściwy grunt psychiczny, głąb charakteru i duszy, sam rdzeń natury jest przeważnie pokrewny. Znam dobrze starego ojca Makowskiego, księgarza w Wilnie. Jego ministerialny zdolny synalek jest nieodrodnym ojca swego synem: duszyczkę ma nie orlą, do lotów przeznaczoną, lecz kupiecką do trzeźwej kariery. Widziałem jeszcze wtedy, gdy był dalekim od ministerialnych ambicji, gdy jeszcze był radykałem i „socjalistą" i występował w literackiej roli „płomiennego" komentatora Słowackiego.

11 kwietnia, rok 1918, czwartek
Znów wróciłem do mojej cichej powszedniej pracy w sądzie, jak gdybym nigdy nie wyjeżdżał. Te same powszednie zajęcia, co zawsze. Miętkiewicz dziś pojechał do Łomży, wezwany przez prezesa Filochowskiego w sprawie posady podsekretarza w kancelarii prezesa w Sądzie Okręgowym, na którą posadę prezes chce go zaangażować. Miętkiewicz jednak rozmyślił się i już się na tę posadę nie kwapi. Woli zostać w Kolnie, gdzie życie jest względnie tańsze, a dochody ma większe, bo oprócz pensji sekretarza sądu pokoju, równającej się pensji podsekretarza w Sądzie Okręgowym, jest jeszcze płatnym członkiem zarządu Kolneńskiego Towarzystwa Pożyczkowo-Oszczędnościowego, mając dodatkowo z tego tytułu bezpłatne mieszkanie. Woli więc nie kwapić się na złudne widoki łatwiejszego awansu w Łomży, a za to mieć większą wygodę w zaciszu kolneńskim. W dodatku wieści, dochodzące o stosunkach w Sądzie Okręgowym Łomżyńskim, nie działają zachęcająco; wreszcie świeżo otrzymał on drogą pośrednią wiadomość od żony swej z Rosji, że zamierza powrócić, wskutek czego Miętkiewicz musi się szczególnie liczyć z dochodami. Pojechał więc dziś do Łomży, ale z postanowieniem nieprzyjęcia ofiarowanej posady. Co do mnie – rad jestem z tego, bo drugiego takiego sekretarza, jak Miętkiewicz, trudno by mi było znaleźć.
Piszę w dalszym ciągu o Makowskim i moim z nim widzeniu się w Warszawie. Makowski nie tylko pod względem moralnym stracił w opinii na ministerstwie. Politycznie nie zrobił też wielkiej kariery. Przeciwnie – raczej zaszkodził sobie, bo stracił dawnych przyjaciół, a nie zyskał nowych. W kołach jego dawnych przyjaciół na lewicy, w grupach radykalnych zdyskredytował się zupełnie i posiadł opinię dezertera ideowego. Z przesadą parweniusza i neofity odżegnywał się od swojej przeszłości i całym postępowaniem swoim jaskrawo przeczył wyznawanym dawniej ideałom społecznym i politycznym. Pomimo to jednak nie zdobył zaufania obozu możnych na prawicy. W kołach Rady Regencyjnej i rządu uchodzi on, jak słychać, za „*bête noire*", za kozła ofiarnego wszystkich wad i braków w sądownictwie. Dopóki był Bukowiecki, trzymał się on jego wpływami. Potem – był chwilowo tolerowany jako faktyczny zastępca ministra do czasu właściwej organizacji rządu. Zdaje się jednak, że do żadnej wybitniejszej i bardziej samodzielnej roli dopuszczony już nie będzie. Żadnych zasług poprzednich ani tytułów do szczególnego uznania Makowski u prawicy nie ma, a że jest ogólnie nie lubianym, więc wygodnie jest zeń zrobić kozła ofiarnego. Zresztą na prawicy i u różnych starych zasłużonych sądowników i palestrantów, mających wpływy w społeczeństwie, Makowski jest już choćby dlatego źle widziany, ze jest *homo novus*; razi ich to, że człowiek tak młody, tak nieopierzony w sędziwe zasługi tak nagle i tak wysoko wyskoczył, tym bardziej zaś, gdy zaczyna sobie postępować arbitralnie i nosić się z wysoka. Do tego dochodzi jeszcze niepopularność Makowskiego w kołach klerykalnych, dla których zgrozą jest wieść czy tylko wersja o masońskiej przeszłości Makowskiego i które liczą go sprawcą pierwotnego pomysłu o zastąpieniu wyznaniowej przysięgi sędziowskiej świeckim uroczystym przyrzeczeniem. Słowem – wszędzie Makowski się naraził.

Gdym się do niego wybierał, uprzedzano mię ze wszech stron, że dzisiejszy Makowski otacza się nimbem ledwie dosięgalnej wysokości i że nie mogę liczyć odeń na stosunek koleżeński, jeżeli ten nas poprzednio łączył. Nie mogłem wszakże przypuszczać, żeby mi to dał tak brutalnie poczuć; nie wątpiłem, że tytuł naszej dawnej znajomości i stosunków będzie dla mnie aż nadto wystarczający do stosownego przyjęcia z jego strony. I choć szedłem z pewnego rodzaju uprzedzeniem, nie omyliłem się co do moich przypuszczeń. W ministerium natrafiłem na strajk woźnych. Sam więc wszedłem na górę, zapukałem do gabinetu Makowskiego i wszedłem. Zastałem go ze Śmiarowskim, jego dawnym przyjacielem politycznym i osobistym, obecnie szefem sekcji organizacyjnej w ministerium, co do którego nie wiem, czy pozostał na dawnym stanowisku przekonaniowym, czy też, jak Makowski, się zmienił. Makowski przyjął mię bardzo uprzejmie, jak dawniej. Nie dostrzegłem w stosunku do mnie inkryminowanego mu tonu zwierzchniczego. Jeden tylko jedyny szczegółik zwrócił moją uwagę: oto Makowski przez cały czas mówił mi wyłącznie na „pan", podczas gdy dotąd byliśmy ze sobą zawsze na „wy"; zdaje się, że to było rozmyślne, ale to drobiazg. Byłem u Makowskiego nazajutrz po ogłoszeniu nowego ministerium Steczkowskiego z Higersbergerem jako ministrem sprawiedliwości. Makowski przestał więc już być kierownikiem Ministerium Sprawiedliwości. W rozmowie ze mną nie wiedział jeszcze, czy pozostanie w ministerium, czy wystąpi zupełnie; wyrażał przypuszczenie, że wystąpi. Mówiliśmy z nim o moim ewentualnym przeniesieniu się z Kolna. Zapytywał mię Makowski, czy nie życzę na sędziego okręgowego, a gdym oświadczył, że wolę posadę i stanowisko sędziego pokoju, powiedzieli mi ze Śmierowskim, że jeżeli chcę, mogę wnieść podanie o translokatę ze wskazaniem okręgu sądowego, do którego bym się chciał dostać, to zapewne, o ile tylko oni ze Śmierowskim będą jeszcze w ministerium, to się da zrobić. Rozpytywał mię też Makowski o Kolno i o stosunki w Okręgu Łomżyńskim. Dowiedziałem się od niego, że jest projekt przekazania sądom pokoju spraw cywilnych i karnych na sumę od 1000 do 3000 marek, z tym, że sprawy te z całego powiatu skupione będą w jednym sądzie pokoju miejskim z sędzią prawnikiem. Będzie to bardzo pożądaną reformą.

12 kwietnia, rok 1918, piątek
Od dni 10 śliczna wiosna w rozkwicie. Ciepło, rozkosznie świeci słońce, w którego promieniach łaskawych cała natura się weseli. Wszystkie gatunki stworzeń żyją, kochają się i łączą; z nich wszystkich bije emanacja życia; co jeno które z nich umie, na jaki sposób zdolne się jest wyrażać – tak każde strzela i tryska: jedne barwami, inne głosem, to znów ruchem – każde się uplastycznia całą potęga swej twórczości; zielona trawka kiełkuje z ziemi, krzewy okryły się delikatnymi listkami, pączki na drzewach pękają; szkoda tylko, że jest tak mało drzew w Kolnie.
W sądzie miałem dziś posiedzenie czterech rad familijnych, toteż napracowałem się trochę do południa. Taka oto moja robota w sądzie toczy się w kółko jak kołowrotek, ale jest przyjemna. Żebyż to wiecznie była wiosna, słońce i ciepło! Życie jest wtedy radośniejsze, każda praca milsza.
Cofam się do mojego pobytu w Warszawie. Nawet tam, w stolicy Polski, zetknąłem się z Litwinami. Wspominałem, że Ludwik Abramowicz uczy się po litewsku. Lekcji udziela mu niejaki Kassakaitis, Litwin szczery i gorący, od dawna zamieszkały w Warszawie, gdzie zarabia na stanowisku nauczyciela (oczywiście w szkołach polskich). Zna jednak dobrze język litewski i z miłością go pielęgnuje, a w nauce tegoż, którą udziela Abramowiczowi, z pietyzmem i wycyzelowaniem spełnia swoje zadanie. Gdy się dowiedział, że jestem w Warszawie, zechciał się ze mną zobaczyć. Toteż jednego dnia przyszedłem do Abramowicza w godzinach lekcji. Abramowicz wystąpił z czarną

kawą i znakomitym naturalnym koniakiem francuskim, przy którym gawędziliśmy we trójkę o Litwie i sprawach litewskich. Kassakaitis jest dość sceptycznie usposobiony do Rady Krajowej Litewskiej i niemieckich w stosunku do Litwy poczynań, jak w pierwszym rzędzie uznania przez rząd niemiecki niepodległości Litwy z narzuconymi jej konwencjami. Zdaje się, że dużo patriotów litewskich, nie mówiąc o ludzie, w podobny sposób myśli i nie cieszy się zbytnio z łaskawych „darów" niepodległościowych niemieckich. Niestety – Rada Litewska nie w o wiele lepszych warunkach popularności i poparcia narodowego usiłuje tworzyć swe trudne dzieło budowy państwowej, niż to robią budowniczowie Polski (a więc wpierw Legiony, NKN, potem Tymczasowa Rada Stanu, Rada Regencyjna itp.). I tam, jak tu, osamotnienie towarzyszy trudnemu dziełu budowy, o którym nikt jeszcze zapewnić nie zdoła, czy będzie z tej mąki ciasto. Instynkt ludu jak tu, tak tam zachowuje się opornie i nieufnie względem tych usiłowań, a garstka tych, którzy podjęli ciężki trud, musi pokonywać przeszkody na dwa fronty: w stosunku do twardych Niemców i w stosunku do obojętnej bierności, względnie nawet niechęci własnych rzesz narodowych. Co to z tego wszystkiego będzie! Na zaproszenie Kassakaitisa zwiedziłem w niedzielę kościółek litewski w Warszawie przy ul. Moniuszki. Przy kościołku jest salka, w której mieści się Litewskie Towarzystwo Wzajemnej Pomocy w Warszawie. Byłem tam, porozmawiałem chwilkę z dwiema nauczycielkami Litwinkami, które się gorąco chciały zapoznać z autorem „Litwy", obejrzałem salkę i wysłuchałem informacji Kassakaitisa. Kolonia litewska w Warszawie posiada mało sił inteligenckich, bo więcej niż gdziekolwiek Litwini się w Warszawie wynaradawiają, polonizując się. Wszakże dostrzega się i zjawisko odwrotne. Nie brak ludzi, zwłaszcza z młodzieży i ze sfer drobnomieszczańskich, którzy są właściwie już w drugim pokoleniu wynarodowieni i pierwotnie nie umieli już zgoła po litewsku, w których naraz budzi się sentyment tęsknoty do starej narodowości ojczystej, miłości do Litwy, znanej im tylko z opowiadań i wyśnionej w marzeniach jakichś. Ci się garną do Towarzystwa Litewskiego, uczą się języka, stają Litwinami. Takich jest wielu w kolonii litewskiej w Warszawie. Czasem są to ludzie z chłopów, z krwi i kości etnograficznej litewskiej, czasem nawet – pochodzenia szlacheckiego, w których, zdawałoby się, dawno stara narodowość zamarła. W Towarzystwie Litewskim są pisma periodyczne litewskie, czytelnia i wypożyczalnia książek, są elementarne kursy języka, czytania i pisania, jest chór; przeważnie krząta się w tych rzeczach i korzysta z nich młodzież. Odbywają się też posiedzenia regularne Towarzystwa, czasami – urządza się wieczorek amatorski publiczny w Warszawie. Wreszcie w niedzielę lokal Towarzystwa jest miejscem, gdzie się rodacy spotykają swobodnie, bez regularnego posiedzenia i mogą sobie o swoich sprawach pomówić i przelotnie się towarzysko zetknąć.

13 kwietnia, rok 1918, sobota
W dzisiejszym komunikacie wojennym jest wzmianka o zajęciu przez Niemców Armentières na pograniczu Francji i Belgii. Toczy się obecnie drugi akt wielkiej ofensywy wiosennej Niemców na zachodzie. Po uderzeniu w okolicach Arras i Albert, które dało Niemcom w rezultacie zysk terenowy głębokości 50-60 kilometrów i powstrzymane zostało przed Amiens, obecnie po pauzie uderzyli Niemcy wyżej ku północy. Czy to są ogniwa jakiegoś jednolitego systematycznego planu, czy też wielkie strategiczne dywersje tylko – trudno jeszcze ocenić. Są uporczywe pogłoski o jakichś niezwykłych stratach Niemców w poprzedniej fazie ofensywy, która, choć pozornie skuteczna, utonęła w morzu krwi i jeńców niemieckich, ale i temu zbyt lekko wiary dawać nie można.

Jednocześnie na wschodzie, na Ukrainie, wojska niemieckie dotarły do Charkowa i zajęły to miasto. Pochód więc niemiecki na Ukrainie zbliża się już ku końcowi, bo chyba Niemcy nie pójdą dalej za Ukrainę, na ziemię kozaków dońskich, tworzącą, podług niektórych wersji, również odrębną rzeczpospolitę na gruzach starej Rosji carskiej. Zajęty Charków, Jekaterynosław i zapewne także Połtawa. Może jeszcze uwieńczą Niemcy swoją ekspansję okupacyjną Krymem. A może, jak się już machnęli na wschód, to się nie zatrzymają i pod jakimkolwiek pretekstem posuną się dalej, aż poprzez Kaukaz podadzą rękę Turkom. Zresztą pochód na Ukrainę nie ma ścisłych cech okupacji. Jednocześnie z operującymi oddziałami ekspedycji wojennej niemieckiej funkcjonuje cywilny rząd Rady Ukraińskiej. Oba te czynniki się wspierają wzajemnie, ale zdaje się, że w masie ludowej ukraińskiej i na całości tych obszarów ani jeden, ani drugi nie posiada ustalonego panowania. Przede wszystkim, opanowane są przez ekspedycję niemiecką koleje żelazne i większe miasta. Natomiast rozległe i głębokie obszary wsi ukraińskiej i w ogóle prowincji wyłamują się spod władzy okupacji niemieckiej i są bardzo trudne do opanowania. Operujące na Ukrainie wojsko niemieckie jest nieliczne, szczególnie w stosunku do olbrzymich obszarów terenu operacyjnego. Na razie wojsko te rozbiegło się po Ukrainie i, pewne sukcesu, rozsypało się na drobne oddziałki, tymczasem okazało się, że ludność na Ukrainie nie jest elementem do zlekceważenia, bo oto nie jest tam rzadkością, że wsie są odrutowane drutem kolczastym, chłopi mają karabiny maszynowe i nawet armaty, toteż są w stanie nie tylko się bronić skutecznie przeciwko niewielkim oddziałkom, ale nieraz i wyciąć w pień taki oddziałek. Poprzednie chaotyczne rozsypanie się armii rosyjskiej z frontu dało ludności miejscowej w spadku dużo materiału wojennego, a po wsiach są chłopi, którzy byli w wojsku i umieją się nieraz z bronią obchodzić. Toteż niejeden oddziałek ekspedycji niemieckiej padł ofiarą, zapuściwszy się nieopatrznie głęboko w prowincję ukraińską. To zmusiło Niemców w dalszych operacjach do skupiania się w większe formacje, a coraz dalsze posuwanie się na wschód, coraz rozleglejszy teren, zajęty wyprawą, coraz więcej miast za sobą sprawiły, że coraz trudniej szło opanowanie w głąb całości. Głęboka wieś ukraińska jest bardzo luźnie podporządkowana okupacji niemieckiej. W związku z tym ujawniły się ogromne trudności wydostania z Ukrainy tych bajecznych zapasów zboża i żywności, na które tyle liczono przy zawieraniu pokoju. Rekwizycje idą ciężko, zapasy są ukrywane, ludność stawia opór, drobne siły okupacyjne są w stosunku do ogromu zadań, wymiaru przestrzeni i oporu ludności – niewystarczające. Z drugiej strony wszakże Niemcy i Austria muszą we własnym kraju symulować powodzenie złotego runa ukraińskiego, aby zaspokoić łaknących go rodaków swoich. Na tym tle rozwijają się podobno takie komiczne manipulacje, jak te, o których opowiadają w Warszawie. Opowiadał mi o nich w szczególności Zygmunt Limanowski, tak zwany ze studenckich czasów – Szczur, w Warszawie. Być może, że jest w tym pewna przesada, ale – *si non e vero* w całej rozciągłości, *e ben travato*. Zresztą co do pierwszego z dwóch poniższych szczegółów, Limanowski twierdzi, że sprawdził to na własne oczy. Otóż podobno Niemcy dali fabryce cukierków Lardellego w Warszawie duże obstalunki cukierków, dostarczając jej w tym celu cukru, wszelkich potrzebnych materiałów i... papierków do opakowania z wydrukowanymi firmami kijowskimi; etykiety firm kijowskich na cukierkach mają w Berlinie, dokąd cukierki te są z Warszawy ekspediowane, symulować dopływ... produktów ukraińskich. Mówią, że podobne machinacje są uprawiane w stosunku do kartofli i różnych innych produktów wiejskich. Kartofle takie są rzekomo w Warszawie (względnie w Królestwie) kładzione do worów, na których widnieje napis „Żmerynka-Berlin", następnie ładowane i jako autentyczne „ukraińskie" eksportowane do Berlina, by Berlińczycy mieli uciechę i przedsmak obfitości, spływającej im z Ukrainy!

14 kwietnia, rok 1918, niedziela
Z bieżącego dnia w Kolnie nic pisać nie będę, bo nie ma o czym.
Jak wspominałem przed tygodniem, pisząc o mojej rozmowie z Wilhelmem Feldmanem w Warszawie, dr Boguszewski powiózł z Warszawy do Wilna dyrektywy dla Polaków wileńskich w tym duchu, aby oni zaniechali dotychczasowego bojkotu Litewskiej Rady Krajowej i przy ewentualnym powstawaniu instytucji państwowych litewskich na gruncie uznanej świeżo przez Niemców niepodległości Litwy starali się raczej współpracować w tym kierunku z Litwinami i brać czynny udział w budowie państwowości litewskiej, zdobywając tą drogą wpływy w młodym tworze państwowym i stając się czynnikiem twórczym. Dyrektywy te, mające może raczej charakter porady, niż w ścisłym znaczeniu dyrektyw, uchwaliła tzw. Komisja Litewska, funkcjonująca w Warszawie z ramienia (za mandatami) Komitetu Polskiego w Wilnie, do której głównie należą Eustachy Sapieha, Ludwik Abramowicz, Władysław Zawadzki, od jakiegoś czasu już zamieszkały w Warszawie. Korzystając z jazdy do Wilna dr Boguszewskiego, który obecnie, od czasu wystąpienia z Legionów, mieszka stale w Krakowie i tam zdołał sobie wyrobić tzw. austriacki „Offener Befehl" na wyjazd do Wilna, Komisja Litewska zebrała się i uchwałę powyższą, jako wskazówkę polityki dla Komitetu Polskiego w Wilnie, powzięła. Mniejsza o to, jakimi motywami kierowali się poszczególni członkowie komisji. Znając Abramowicza i jego obecne ciążenie krajowe litewskie, jestem przekonany, ze jemu chodziło szczerze o to, by Polacy litewscy przez ten udział w budowie urządzeń państwowych litewskich uobywatelnili się państwowo. Co zaś do Sapiehy i Zawadzkiego, a zapewne i samego Boguszewskiego, to było to raczej z ich strony zalecanie metody dyplomatycznej, płynącej z istotnych pobudek wszechpolsko-aneksjonistycznych, a obliczonej na to, by Polacy litewscy, wchodząc do budowy państwowej, zdobyli w niej wpływy i ewentualną przewagę, by pokierować później to państwo w stosownym momencie do związku z Polską. Powiadam – na razie mniejsza mi o to: chodzi o fakt. Gdym przyjechał do Warszawy, Ludwik Abramowicz czekał właśnie powrotu Boguszewskiego z Wilna, z niecierpliwością wypatrując, jakie też wrażenie wywarły w Wilnie w Komitecie Polskim dyrektywy Boguszewskiego i jak zostały tam one przez Polaków wileńskich przyjęte. Boguszewski z powrotem się opóźniał. Któregoś dnia zamiast Boguszewskiego doczekał się Ludwik przyjazdu z Wilna jakiejś panienki, która opowiedziała, że dyrektywy, przywiezione przez Boguszewskiego, wywołały w Komitecie Polskim niesłychane oburzenie, pod którego wpływem Komitet wyraził votum nieufności dla członków swej delegacji w Warszawie (Komisji Litewskiej), uchwalając pozbawienie ich mandatów i udzielenie mandatów innym osobom. Wreszcie w przeddzień mojego wyjazdu z Warszawy wrócił z Wilna Boguszewski. Nie widziałem się z nim, ale Ludwik się widział i zreferował mi jego relację. Czy doszło istotnie do odebrania mandatów członkom Komisji Litewskiej w Warszawie – nie wiem, ale rzeczy przedstawiają się tak. Dyrektywy, przywiezione z Warszawy do Wilna przez Boguszewskiego, zbiegły się akurat z pewnymi propozycjami, które poczyniła Polakom litewskim Litewska Rada Krajowa. Mianowicie po powrocie z Berlina delegacji Litewskiej Rady Krajowej, która przywiozła stamtąd wiadome uznanie przez rząd niemiecki niepodległości Litwy, Jan Vileišis, który był członkiem tej delegacji, zaprosił do siebie na konferencję przedstawicieli Komitetu Polskiego, do których zwrócił się z apelem skonsolidowania się z działalnością Litwinów przynajmniej na zewnątrz wobec Niemców, by w ten sposób spotęgować odporność Litwy wobec usiłowań niemieckich narzucenia Litwie różnych takich ujarzmiających ją warunków, jak znane konwencje Litwy z Niemcami, uzupełnienie kadrów urzędniczych litewskich elementem niemieckim itd. Oczywiście bowiem, że

Litwa będzie mogła stanąć wobec tych zakusów niemieckich o wiele odporniej, gdy wystąpi wobec nich jako skonsolidowana i zgodna wewnętrznie, wzmocniona obywatelskim akcesem do niej Polaków litewskich, stanowiących jeden z najsilniejszych kulturalnie i gospodarczo i zarazem wpływowych elementów ludności krajowej, niż jeżeli pozostanie, jak dotąd, rozdwojona i zaprezentuje się Niemcom jako dzieło jednostronnych usiłowań samych Litwinów, wbrew i *contra* Polaków litewskich, bo wtedy Niemcy, świadomi słabości sprawy państwowej litewskiej i czujący się potrzebnymi dla poparcia Litwinów, oczywiście odpowiednio wykorzystają tę sytuację ze szkodą dla samodzielności Litwy. Vileišis dodał, że ponieważ za parę tygodni delegacja Rady Krajowej ma jechać do Berlina dla omówienia owych osławionych konwencji, które Niemcy narzucają Litwie, ograniczając jej samodzielność, a które Litwini zmuszeni są do czasu akceptować, jako *malum necessarium*, pożądanym więc jest, aby do tego czasu dokonał się jakiś kompromis między Litwinami a Polakami litewskimi. Polacy wysłuchali apelu Vileišisa i uchylili się od doraźnej odpowiedzi, odwołując się do porozumienia się między sobą w Komitecie. Na tym gruncie nastąpiło rozdwojenie zdań i dążeń w Komitecie Polskim. Prawica ziemiańsko-konserwatywna i lewica inteligencko-demokratyczna (grupa Witolda Abramowicza i pokrewne) były za zbliżeniem się do Litwinów i ewentualnym kontaktem z prawno-państwową robotą Rady Krajowej. Natomiast Centrum, złożone z endeków i pokrewnych jaskrawych aneksjonistów wszechpolskich, było przeciwne wszelkiemu porozumieniu i obstawało przy bezwzględnym bojkocie. W głosowaniu w Komitecie większością 15 głosów nad 13 głosami stanowisko bojkotowe Centrum zwyciężyło. Podobno wszakże nie jest wykluczone, że może przyjść do rozłamu.

15 kwietnia, rok 1918, poniedziałek
Otrzymałem dziś aż dwa listy od Papy, oba króciutkie, jeden pisany z Bohdaniszek i wysłany przez Poniewież, drugi – z Wilna, dokąd Papa znowu na dni kilka przyjechał. Pierwszy listek z pozdrowieniem świątecznym; zawiadamia mię Papa o powrocie z Rosji do Kowaliszek Hektora Komorowskiego, z czego się bardzo cieszy. Hektor jest ulubionym wnukiem Papy, nie dlatego, zdaje się, żeby był najbardziej duchowo do organizacji psychicznej Papy podobny, ale dlatego, że jest zawsze trzeźwy, unormowany, pełny ładu i spokojnej pewności siebie, co Papie imponuje. Może być, że dlatego Papa Hektora tak lubi i ceni, że jest on z pewnych względów antytezą moją, nie zrobi nigdy nic nieobliczalnego, nie pójdzie za głosem jakichś silnych ukochań, nie wyłamie się z rutyny pewników i prawd, przyjętych w danym środowisku za dobre, nie będzie szukać własnych indywidualnych kryteriów dobra i zła, a przeto nie narazi rodziny na żadne próby. Jest to woda spokojna, ale nie ta cicha i głęboko w sobie skupiona, co to brzegi rwie. Przeciwnie – najistotniejszą cechą jego jest to, że się zawsze wszelkich brzegów dokładnie pilnuje. Jest niegłupi, spokojny, zimny, praktyczny i rzeczywisty, nie ma porywów idealizmu, nie miał i nigdy mieć nie będzie szaleństwa młodości, ustatkowany zawsze, obliczający dokładnie korzyść swoją, nie specjalnie po karierowiczowsku ambitny, ale życiowo praktyczny, cnotliwy, towarzysko miły, grzeczny, słowem – pełny zalet zrównoważenia, bez żadnych jaskrawych błędów i wad. Kroczy i kroczyć będzie zawsze w życiu utorowanym szerokim gościńcem, po którym toczą się wszyscy z jego stanu i środowiska. Takim jest Hektor. Zresztą z każdym potrafi być dobrze, do każdego się towarzysko zastosuje. Nic nie zrobi nigdy szokującego. Zna swojego dziadunia upodobania i umie też zawsze w dodatnim świetle upodobaniom tym się zaprezentować. Mam nawet wrażenie, że Papa pragnąłby w duszy, aby Bohdaniszki po Papy śmierci przeszły do Hektora, może nawet bezpośrednio, z pominięciem mnie, a przynajmniej po mnie. Czy zdecyduje się Papa na

wykluczenie mię ze spadku Bohdaniszek na rzecz Hektora, tego nie wiem, ale nie jest to jeszcze w dalszym biegu naszego życia wyłączone, bo drogi kierunków idealnych moich nigdy się nie schodzą z drogami starych, z niewzruszonej tradycji katolicko-szlacheckiej płynących, jak głaz mocnych ideałów Papy. I rozdźwięki te znajdują zawsze wyraz w moich postanowieniach i czynach, a im dalej, tym więcej Papę bolą. Co w młodości mojej Papa gotów mi był jeszcze nieco łatwiej wybaczyć, choć zawsze był twardy, to z biegiem lat moich coraz mniejszą rzecz coraz boleśniej w tym rozdźwięku odczuwa. I nie jest wykluczone, ze przyjdzie chwila, iż mię od Bohdaniszek po sobie na rzecz Hektora usunie. Papa jest naturą bezpośrednią, z jednolitej bryły wykutą, szlachetną i prostą, która połowiczności, kompromisów, naginania swoich przekonań – nie znosi. W tym jestem duchowo o wiele pokrewniejszy Papie, niż Hektor, pomimo że różne są nasze kierunki. Żadnej szczerby w dogmatach prawd swoich Papa nie dopuści, wyjątku nie zrobi, wyrozumiałości z poczucia względności ideałów ludzkich nie zrobi, bo dogmaty Papy są bezwzględne w przekonaniu jego. Mam wrażenie, że uczuciowo w najgłębszych intuicjach swego serca i krwi kocha mię Papa więcej, niż Hektora, ale jesteśmy ze sobą dwoma biegunami, którzy, kochając się, odtrącają. Cały stosunek mój z Papą, który niesłychanie zaważył na moim życiu, jest pełny mistycznej tajemnicy głębin.
O tym, jak Hektor wrócił, nie pisze ani Papa ani Marynia. O tym, że wrócił, wiedziałem już w Warszawie od pp. Pomorskich, którzy wszakże szczegółów nie wiedzieli. Marynia pisze, że Hektor ma znów do Moskwy jechać; Julek jest aż w Permiu; co tam robi – nie wiem. Ale jest w listach Papy coś innego, o czym jutro powiem, coś znowu dla mnie bolesnego i znowu bardzo trudnego, czego już zgoła przewidywać nie mogłem.

16 kwietnia, rok 1918, wtorek
W obu wczorajszych listach Papy jest prośba, a nawet zakaz... powrotu do Wilna (*sic*!). W pierwszej kartce świątecznej, pisanej z Bohdaniszek, jest o tym tylko wzmianka w postaci rady czy prośby, w drugim liście, pisanym z Wilna, prośba ta już nazwana wyraźnie – rozkazem. Czy nie jest to niezwykłe w stosunku do syna, który ma już lat blisko 40! I Papa z całym naciskiem mówi o tym, prosząc mię, abym przecie choć raz go usłuchał. Nie byłaby dziwna rada ojcowska, która dla dzieci każdego wieku jest stosowna, ale tu nie jest rada, jeno jeden z tych artykułów woli Papy, z którymi Papa łączy najgłębsze swoje pragnienia, ba – nawet ideały. Poznaję to w tym „rozkazie". Poznaję, że jest on równy tym wszystkim życzeniom Papy, które towarzyszyły, a raczej się zawsze przeciwstawiały każdej mojej decyzji o jakimś działaniu, przeciwnym ideałom i pojęciom Papy. A że nigdy tych życzeń-rozkazów Papy nie usłuchałem, bo dotyczyły one nie rzeczy obojętnych dla mnie lub z fantazji płynących, lecz tego zawsze, co było najistotniejszym moich przekonań i ideałów wyrazem, więc na tym gruncie zaostrzał się ów fatalny konflikt między mną a Papą. I oto teraz wyrasta na tej kwestii powrotu mego do Wilna konflikt nowy. A każdy nowy jest cięższy psychologicznie od poprzedniego, dlatego właśnie, że narasta do wszystkich poprzednich. I oto teraz znowu zakaz Papy dotyczy tego właśnie, co jest najgłębszą moją tęsknotą i najistotniejszą wolą, z całokształtu przekonań i ideałów moich płynącą, pojmowaną przeze mnie jako obowiązek sumienia obywatelskiego, rzeczą niezłomnie postanowioną – niepozostania w Królestwie na stałe i powrotu do Litwy. Czyżbym się mógł spodziewać, że to właśnie stanie się punktem wyjścia nowego konfliktu z Papą i że rzeczy tak naturalnej, jak chęci powrotu do stron ojczystych przeciwstawi się wola i rozkaz Ojca, łączący się u Papy z sankcją aż tak świętą, jak błogosławieństwo ojcowskie. Bo że tak jest – wiem o tym niechybnie. W stosunku Papy do mnie Papa jest

już u kresu cierpliwości. Że Papa wolałby mię widzieć w Polsce ustatkowanym, odciętym od Litwy, w której przez moje sympatie litewskie znów się skieruję do działań, niezgodnych z wszech polskimi Papy sympatiami, tego się mogłem domyślać, bo Papa tej Litwy się boi dla mnie, ale żeby się aż tak daleko posunął, by z tego ewentualnego powrotu zrobił kwestię ojcowskiego zakazu – tego nie mogłem przypuścić, boć niezależnie od momentu politycznego jest w tym powrocie najnaturalniejsze ciążenie człowieka do stron ojczystych, gdzie jest jego cała rodzina, cała przeszłość, całe jego środowisko, a wreszcie nawet domniemana przyszła własność ziemska po Papie. Gdyby to chodziło Papie tylko o to, bym nie rzucał mojej posady sędziowskiej, zapewniającej mi byt, dla bezzarobkowego siedzenia w Wilnie, wskutek czego stałbym się ciężarem materialnym dla Papy – to byłoby co innego; toteż nie myślę zrywać się stąd i wracać, póki nie znajdę czegoś w Wilnie zapewnionego. Ale czuję, że Papie tu o co innego chodzi, o tę głębszą ideową rzecz, która nas dzieli, o polski czy litewski kierunek działalności i treści życia. Tu zaś właśnie wkraczamy z Papą na jeden z odcinków przeciwstawienia się naszego i wiecznego fatalnego rozdźwięku. Ma to dla Papy aż tak wielkie znaczenie, że gdy uważa za naturalny powrót do kraju Hektora, Julka, wszystkich znajomych i krewnych, których wypadki wojny wytrąciły z kraju i cieszy się z każdego takiego powrotu, to w stosunku do mnie, syna, powrotu tego zakazuje. Zresztą tamci wracają z Rosji, a ja – z Polski; dla Papy jest w tym różnica jak między piekłem a niebem. Boi się Papa, że po powrocie zaangażuję się w litewską formację państwową, której Papa przeciwstawia ideał Litwy, prowincji polskiej (w adresie swoim Papa nigdy nie pisze „Litwa", jeno zawsze „Polska"). Zasmuciły mię te listy Papy, bo jakże mi zawsze ciężko brnąć w te konflikty z ukochanym Papą, a brnąć w nie muszę fatalnie. O, Litwo moja, jakże ciężko opłacam moją miłość ku Tobie! Każdy mój krok ku Tobie i dla Ciebie kosztuje mię tragedii. Jest to tragedia cicha, ofiara zamknięta w sączących ranach serca, których nikt nie widzi, ale cięższa od prześladowań i ofiar nieraz więzienia lub Sybiru. Tam jest męczeństwo widoczne, chlubą i uznaniem wynagradzane, tu – męka tajemna, której nikt nie widzi i nie ceni, a która w oczach najbliższych nie ma uznania, lecz na potępienie mię skazuje. Ale nie mniej, jeno może silniej Cię przeto kocham, Litwo moja, jedyna, korono męki mojej, nagrodą świetlaną ideału. Była chwila, gdym jechał do Legionów z wiarą, iż Twojej wolności służyć pośrednio będę, gdym przypuszczał, że się może ten rozdźwięk fatalny skończy i że w służbie polskiej sprawy Sprawą Twoją wyrażać będę, a to rozdwojenie Polski-Litwy w działaniu moim ustanie i stopi się w jedno z solidarności tych dwóch elementów. Nie stało się tak i znów w rozdwojeniu jestem, a ciążenie ku Litwie znów starą mękę odnawia.

17 kwietnia, rok 1918, środa

Dzień sesji sądowej. Ławnicy – Remba i Kocik. Spraw na wokandzie było dziewięć, ale wiosna i rozpoczęte w polu roboty rolne już wywierają swój skutek, likwidując automatycznie cały szereg sporów sądowych. Wybierać się z wioski do sądu, nieraz o 2 i 3 mile (jak z gminy Łyse), jest wielką mitręgą w roboczym czasie zarówno dla świadków, jak dla samych stron zainteresowanych. Toteż kto może, kogo nie nagli albo spór istotnie ważny i zasadniczy, albo zaciekłość pieniacza, ten się godzi jakkolwiek z przeciwnikiem i do sądu nie staje wcale. Tak też dziś kilka spraw spadło z wokandy za niestawiennictwem stron i tak też zapewne będzie coraz częściej w nadchodzących miesiącach letnich.

Wśród spraw dzisiejszych była jedna, charakterystyczna ze względu na osobę jednej ze stron. Była to sprawa sławnego w Kolnie pieniacza i warchoła Zawistowskiego, podrzędnego restauratora, znienawidzonego tu powszechnie, bo wszystkim dokuczył,

każdemu w ten czy inny sposób zalał sadła za skórę. Nie ma, zdaje się, w Kolnie osoby, której by Zawistowski nie zadrasnął. Nie brzydzi się on niczym – ani pieniactwem, ani fałszowaniem dokumentów i dowodów na to, co mu jest potrzebnym, ani denuncjacją. Jest to typ skończony. Utrzymuje on całe skomplikowane archiwum wszelkiego rodzaju notatek osobistych. Nie ma chyba człowieka w Kolnie, który by nie miał kartek w archiwum Zawistowskiego. Cokolwiek się stanie, wszystko Zawistowski notuje. Życie mu płynie na śledzeniu, szpiegowaniu i notowaniu wszelkich możliwych szczegółów z życia, stosunków i nawet poszczególnych kroków wszystkich ludzi w Kolnie. Jest przy tym drobiazgowy do pedanterii i zaczepny. Jedną z namiętności jego jest pieniactwo sądowe. Za moich czasów się jakoś dotąd nie sądził, ale dawniej miewał spraw bez liku. Jeżeli za fałszowanie dowodów nie dostał się do kozy, to chyba dzięki temu, że nikt, nie wyłączając może nawet nieraz sędziego, nie chce go sobie narazić. A gdy sprawę przegrywa, to dopiero się złości i usiłuje mścić na wszelkie sposoby. I skargi do prokuratura, i denuncjacje, i obmowa sędziego – wszystko zostaje puszczone w ruch. U mnie wytoczył on sprawę przeciwko śmiertelnemu wrogowi swemu Jeleniewiczowi, na rzecz którego przegrał za czasów sędziego Mikułowskiego w Kolnie kilkaset marek. Dziś się ta sprawa toczyła. Chodziło o jakieś kilkaset pustych butelek do piwa, które rzekomo Jeleniewiczowie mu zostali winni sprzed wojny ze stosunków dostawy przez Jeleniewiczów piwa do restauracji Zawistowskiego. Prowadziłem sprawę ze szczególną skrupulatnością, aby Zawistowski nie mógł się przy najusilniejszych staraniach do niczego przyczepić. Pomimo że sprawa zapowiada się w kierunku przegranej Zawistowskiego, prowadziłem ją tak, aby aż do krańców pedanterii dać Zawistowskiemu możność wyczerpania wszystkiego, czym się jeno na swoją ewentualnie korzyść posłużyć może. Sprawa ta została jeszcze odroczona.
Z listu, otrzymanego pozawczoraj od Maryńki, wnoszę, że ma ona przysłać do mnie na stały pobyt swego syna gagatka Stefusia. W tym liście jest tylko wzmianka o tym z powołaniem się, o ile dobrze zrozumiałem, na jakiś poprzedni list, poświęcony temu tematowi. Stefuś coś tam znowu przeskrobał tak, że zmuszony jest wyjechać, a że nie ma go Maryńka gdzie podziać – odsyła do mnie. Tyle z jej listu zrozumiałem. Czy prędko nastąpi jego przyjazd – nie wiem. Chętnie bym nawet powitał ten jego przyjazd, gdyby nie to, że lękam się, iż się będzie tu nudził, próżniaczył i znowu coś wyprawi.

18 kwietnia, rok 1918, czwartek
Dziś po obiedzie odbyło się w sali teatralnej w Kolnie ogólne zebranie Rady Opiekuńczej Powiatowej powiatu kolneńskiego. P. Kazimierz Kisielnicki z Korzenistego, prezes Rady, prosił mię, abym się zgodził przewodniczyć na zebraniu i prowadzić je energicznie, nie dopuszczając do zbytniego odchylania się od porządku dziennego i do pewnych ekscesów mówców, które się przewidywały. Chodziło o to, że spodziewany był atak na Radę ze strony księży. Chociaż bowiem księża faktycznie odgrywają ogromną rolę we właściwej działalności Rady, to jednak mało im jeszcze tego. Zachłanność ich nie zna granic. Chcieliby, aby się element świecki całkowicie wobec nich stuszował i był wyłącznie na ich usługach, posłuszny i poddany. W szczególności na dwóch punktach ujawniał się konflikt między księżmi a Radą i jej władzami: na gruncie zatargu księży z sekretarzem Rady Litwińskim, któremu księża nie mogą darować, że prowadzi działalność Rady samodzielnie i niezależnie od nich, oraz na gruncie czynności rewizyjnych, które ujawniły w pracy księży, jako prezesów Rad miejscowych, niedokładności rachunków i braki wylegitymowania się z sum, z czego powstały dokuczliwe dla księży żądania i oburzenie tych ostatnich. Co do pierwszego z tych punktów, to szczególnego zaostrzenia sprawa nabrała w kwestii księdza Kucharczyka z Zalasa, którego Litwiński za list obraźliwy zaskarżył do mego

sądu i który został za to skazany na 100 mk. grzywny. Księża uczepili się tej sprawy i od dłuższego już czasu usiłują zrobić z niej wielką zasadniczą kwestię do pognębienia przeciwników i zadania ciosu wszelkim usiłowaniom niezależności Rady.
Na zebranie przybyła spora ilość osób. Ogromną większość stanowili zaproszeni goście, ilość bowiem właściwych członków Rady jest niewielka. Przybył zarząd w komplecie, spora garstka księży, cała tzw. „inteligencja" kolneńska, gospodarze z Kolna, wójci gmin i trochę znaczniejszych gospodarzy z okolicy oraz kilku ziemian. Zebranie powołało mię na przewodniczącego; na asesorów zaprosiłem wójta Kocika, gospodarza Gromadzkiego i ziemianina Laskowskiego, na sekretarza zaś księdza Złotkowskiego. Zebranie prowadziłem rzeczywiście energicznie, ku ogólnemu zadowoleniu, za co mi potem dziękowano i wyrażano uznanie. Księża istotnie usiłowali w różnych momentach i pod rozmaitymi pretekstami wyciągać swoje pretensje, krytykę i zarzuty, ale robili to nieumiejętnie, bez znajomości techniki obrad, wskutek czego z łatwością, opierając się na przepisach tejże techniki udaremniłem ich ataki i sprowadzałem je do właściwych ram dyskusji. Cały jednak tok zebrania miał przeważnie charakter usiłowań księży do podnoszenia spraw osobistych i różnych pretensji, co o wiele więcej zajmowało czasu, niż jakieś istotne sprawy działalności społecznej Rady. Ogół świecki zebrania zachowywał się raczej biernie, ale z widocznym przeciwstawieniem się zakusom księżowskim, co się wyrażało w głosowaniach. Ze strony księży główną akcję prowadził proboszcz z Turośli ks. Dargis, który dał się użyć za narzędzie wojującego klerykalizmu, chociaż osobiście jest to najporządniejszy z księży, człowiek bardzo uspołeczniony, dzielny działacz, daleki od chciwości, od względów osobistych i od przeciętnych przywar pospolitego kleru, b. mariawita, człowiek czysty i uczciwy. Główny filar klerykalizmu, *spiritus movens* pokątnej opozycji klerykalnej, ksiądz dziekan Czarnowski z Kolna, nie odzywał się wcale i udawał cichego baranka. Z przedmiotów, dotyczących działalności Rady, omówionych na zebraniu, najważniejszą jest sprawa zamierzonego zorganizowania przez Radę sprzedaży taniego odzienia.

19 kwietnia, rok 1918, piątek
Dzień sesji sądowej. Ławnicy – Stachelski i Jerozolimski. Na wokandzie spraw dziewięć, z których wszakże cztery zostały wykreślone z wokandy za niestawiennictwem stron. Z pozostałych jedna została odroczona za niedoręczeniem wezwania pozwanemu, dwie – umorzone na żądanie pozwanych za niestawiennictwem powodów i tylko dwie – rozpoznane merytorycznie i zakończone właściwymi wyrokami. O godz. 12 w południe sesja, rozpoczęta o godz. 10, już została zamknięta.
Czułem się dziś niezdrów, jakby przeziębiony. Łamało mi w kościach jak w influenzie i ziębiło. Pomimo to poszedłem pod wieczór do hotelarza Glinki, który prosił mię dziś na rybę; wypiłem u niego parę kieliszków wódki, zjadłem parę kawałków smacznej ryby faszerowanej po żydowsku, na ostatek butelkę piwa; stamtąd wstąpiłem jeszcze do Goldberga, który mię również na rybę po żydowsku zatrzymał. Wreszcie wróciłem do domu, wypiłem na noc kwiatu lipowego na poty i wcześnie się do łóżka położyłem.
Zaczynają coraz gęściej przybywać uchodźcy, wracający z krajów świeżo okupowanych. Oto teraz znów otrzymał wiadomości Franciszek Stachelski, że już przyjechali do Łomży jego dwaj synowie i teściowa. Ale ich jeszcze od razu nie puszczają do domu, bo muszą wpierw odbyć parotygodniową kwarantannę. Powrót jest uciążliwy, ale kto może – śpieszy wracać. Ci, którym się udało pierwszym wyrwać, uniknęli dzięki łapówkom formalności kwarantannowych itp.; niektórym i teraz udaje się jakoś przemycić poza transportami, ale na ogół powrót nie odbywa się w warunkach przyjemnych. Wracający cieszą się wprawdzie z powrotu, ale nawet ci, którzy wyrzekają na bolszewików w Rosji, przyznają, że życie tu jest niesłychanie nudne i

ubogie, jak w więzieniu lub w klatce, kiedy w Rosji jest przynajmniej nieograniczona swoboda ruchów i bądź co bądź, choć gdzieniegdzie straszna drożyzna i na ogół nieład, a jednak większa łatwość życia i o wiele łatwiejsza możność pracy i zarobków. Ile to jeszcze przed nami czasu tej niewoli!
Po powrocie z Warszawy zastałem parę listów od moich internowanych kolegów legionistów z Łomży, w szczególności od Mieszkowskiego i od Zagłoby-Kamińskiego. Potwierdzają oni fakt, że się podali wszyscy gremialnie do powrotu do wojska, to znaczy skapitulowali wreszcie wobec przysięgi i Beselerowskiego Wehrmachtu. Mieszkowski usiłuje uzasadnić ten krok, powiada, że warunki się od roku zeszłego zmieniły i że słusznym było poddać rewizji zeszłoroczne oporne względem przysięgi stanowisko. Zresztą widać, że mówi to nie tyle z przekonania, ile z pewnej potrzeby dorobienie jakichś motywów, osłaniających dla przyzwoitości ów smutny akt kapitulacji. Zagłoba nie próbuje wcale przekonać mię o tym, że decyzja ta była słuszną. Mówi po prostu, ze stoczyli walkę między elementami przekonań i sumienia a „rzeczywistością" i że zwyciężyła – rzeczywistość. Mówi o tym z bólem.
W Warszawie dowiedziałem się nieco o losach tej części Polskiego Korpusu Posiłkowego, której powiodło się przekroczyć w lutym linię frontu i wejść na Ukrainę. Okazuje się, że większa część Korpusu Posiłkowego przeszła i tylko niewielka względnie cząstka, złożona przeważnie z oddziałów uzupełniających, została przez Austriaków zatrzymana i po bitwie rozbrojona. Z tymi, którzy przeszli, był pułkownik Haller i Żymirski. W Warszawie wiadomość o tym była o wiele wcześniejsza, niż myśmy się o tym dowiedzieli na prowincji i wywołała sensację, a nawet duży zapał uznania. Obecnie w Warszawie kursuje list Żymirskiego, pisany już po przejściu linii i połączeniu się z polskim korpusem Michelisa na Ukrainie, uzasadniający ten krok i zdający sprawę z ich obecnego tam położenia. Listu tego zresztą w ręku nie miałem. Korpus Michelisa, do którego weszli uchodźcy z P.K.P, stoi obecnie gdzieś na pograniczu Podola i Besarabii. Jest on oczywiście otoczony, bo z jednej strony ma Rumunię, która zawiera pokój z mocarstwami centralnymi, z drugiej – okupację niemiecko-austriacką na Ukrainie. Podobno chciał on pertraktować z Niemcami na tych samych warunkach, co korpus Dowbór-Muśnickiego, ale Niemcy odpowiedzieli, że dopóki ma on w swym łonie legionistów z Polskiego Korpusu Posiłkowego, którzy dopuścili się zdrady stanu czy też aktu buntu i złamania wiary względem Austrii, dopóty układu być nie może. Tymczasem jednak, ponieważ siły okupantów na Ukrainie są w tamtych stronach niewielkie, korpus Michelisa nie jest przez nie niepokojony.
Co do tych cząstek P.K.P, które zostały przez Austriaków rozbrojone, to okazuje się, że najwinniejszym buntu jest – kto by to mógł kiedyś przewidzieć – Zagórski, ten sam Zagórski, który niegdyś był głównym narzędziem niewolniczego lojalizmu austriackiego w Legionach?

20 kwietnia, rok 1918, sobota
Dzień zeszedł mi w sądzie na zwykłej pracy. Miałem badanie dwóch świadków w śledztwie o pewną kradzież zboża, studiowałem sprawy na najbliższą sesję, przyjmowałem nowe. Wiosna wykazuje już swój wpływ na likwidowanie polubowne wielu spraw, wniesionych już dawniej do sądu, co się manifestuje na sesjach w niestawiennictwie stron, ale nie wpłynęła dotąd bynajmniej na obniżenie dopływu nowych. Ruch pod tym względem jest w ostatnich dwóch tygodniach dość znaczny. Dziennie wpływa przeciętnie po dwie, a czasem i więcej spraw. Pomimo robót wiosennych w polu ludzie zwracają się do sądu ze swymi skargami. Martwy letni sezon sądowy nie wyczuwa się tu jeszcze wcale. Ciekaw jestem, czy powrotna fala uchodźców z Rosji oddziała na ruch spraw w sądzie.

Przed oknami mojego mieszkania dzieci Pikulińskich przygotowały grunt pod kwiaty; urządziły drobne klomby o symetrycznych figurach, obłożyły je darnią, spulchniły grunt, który już czekał tylko na obsianie. Dziś kupiłem u Stachelskiego nasion kwiatowych i pod wieczór wsiałem je z Franią i Manią Pikulińskiemi. Poza tym, dostały one skądś kilka krzaków róż, które też zasadziły przed oknami domu, a Staś Pikuliński, pod wpływem, zdaje się, moich słów, ganiących Kolno za brak drzew, zasadził w zewnętrznych kątach ogródka parę gałęzi jakiegoś drzewa (osiny, wierzby czy topoli nadwiślańskiej – nie mogę jeszcze rozpoznać z pączków), które puszczają listki. Na ogół w Kolnie ujawnił się duży prąd do uprawiania ogródków kwiatowych przed domami, co dawniej, jak twierdzą starzy Kolnianie, było tu zupełnie zaniedbane. Wieczorem zaszedłem na rynek do nowej wędliniarni rzeźnika Blusiewicza. Chciałem tylko kupić wędliny i wracać do domu. Zamierzałem wstąpić jeszcze na szachy do Mystkowskiego. Tymczasem u rzeźnika spotkałem całe grono, złożone ze Stachelskiego, Borawskiego, rejenta Płońskiego i Miętkiewicza, którzy kupowali wędliny. Zaprosili mię oni do swej spółki. Okazało się, że zamierzają wspólnie spędzić wieczór sobotni przy herbatce, przekąsce i potem kartach. Tacy Borawscy, Miętkiewicz, Stachelski, dawni, jeszcze z przed wojny, Kolnianie, trzymają się zawsze kupy, a w ostatnich czasach zbliżył się do nich rejent Płoński i taksator Wiśniewski, którzy się zaczęli stołować u Borawskich, dezerterując od Chodnickiej. Atrakcją tu jest zarówno pewne życie towarzyskie, jako też sympatyczna osoba pani Borawskiej, która, przystojna i miła oraz koleżeńsko-towarzyska, może rzeczywiście służyć za ośrodek łączący. Ja się nigdy do tego zespołu nie garnąłem szczególnie, bo, po pierwsze, w ogóle klik nie lubię – a w Kolnie wszelkie ściślejsze towarzystwo z konieczności wyradza się w klikę, a po wtóre, poza sympatyczną p. Borawską, nikt mię z nich w szególności nie pociąga. Cenię Miętkiewicza, lubię Stachelskiego, ale nic głębszego mię z nimi nie łączy. Skoro jednak zaprosili do siebie – poszedłem, bo czasem rozerwać się przecie – dobrze. Przy zakąsce nie obeszło się oczywiście bez wódki (w Kolnie jest to we zwyczaju), potem zaś po herbatce przeszliśmy z mieszkania Borawskich do sąsiedniego na tych samych schodach mieszkanka Miętkiewicza na karty. Chwilkę graliśmy w makao, ale rychło przeszliśmy na banczek polski. Gra się zaciągnęła do godz. drugiej po północy. Graliśmy dość grubo. Banki narastały do 30 i 40 marek, a jeden bank, Borawskiego, doszedł do 100 marek. Na tym banku Borawskiego przegrałem grubo, bo do 70 marek. Na ogół karta mi szła dobrze i gdybym nie wsadził tych kilku grubych kuszów do banku Borawskiego, byłbym grubo wygrany. W rezultacie, gdym wstawał od gry, byłem w minusie o jakieś marek 20-30, jak przypuszczam, bo zresztą nie liczyłem, z jaką sumą siadłem do gry. P. Borawska, Stachelski i Miętkiewicz grają przyjemnie. Szczególnie Miętkiewicz i p. Borawska są w grze pełni fantazji szczerej i zarazem niepokalanie czyści i szlachetni. Miętkiewicz też bardzo jest wrażliwy na takąż czystość gry innych graczy i zżyma się na wszelką pod tym względem spekulacyjną tendencję, a już nie ścierpi żadnego najdrobniejszego świństewka. Do świństewek zaś takich, graniczących z drobnym okolicznościowym kręceniem, skłonny jest Borawski, który skądinąd gra szeroko i z fantazją, nie drżąc nad groszem chciwie jak rejent, ale doraźnie gotów jest skręcić. W grze hazardowej natura i charakter człowieka uwydatniają się bardzo plastycznie.

21 kwietnia, rok 1918, niedziela
Korzystając z wiosny i nadchodzącego lata, zamierzam zużywać dnie wolne na wycieczki, głównie w kierunku Puszczy, która mię pociąga najbardziej tak ze względu na lud, jak na krajobraz leśny. Wspomniałem przed kilku dniami Kocikowi, że może się w niedzielę spacerkiem do Wincenty wybiorę, a ten mię wnet formalnie do siebie

zaprosił i zastrzegł przyjazd po mnie furmanką. Będąc już tym związany, musiałem dotrzymać słowa i choć zmęczony po kartach wczorajszych, senny i nie usposobiony towarzysko, odbyć tę wizytę do Kocików. Od rana czekałem na Kocika. Pisałem dziennik, napisałem list, poszedłem do sądu i powyznaczałem na sesje sprawy uzbierane z tygodnia, potem już nie miałem co robić i tylko czekałem w domu. Domyślałem się, że Kocik będzie na nabożeństwie i dopiero z kościoła zabierze mię na obiad. Odmówiłem też obiadu u Chodnickiej. Było już południe, potem godz. pierwsza, w pół do drugiej, wreszcie druga dochodziła. Było już po nabożeństwie, a Kocika nie widać. Poszedłem na rynek i tam go zastałem. Był jeszcze zajęty sprawunkami gospodarskimi dla żony po sklepikach żydowskich. Wreszcie dopiero po godz. trzeciej (czas teraz obliczam podług niemieckiego czasu letniego, wprowadzonego od 15 kwietnia i posuniętego o godzinę naprzód) – wyjechaliśmy z Kolna. Do Wincenty przyjechaliśmy o piątej. Przekąska, herbata, obiad zajęły jeszcze z 1 ½ godziny. Wreszcie po obiedzie wybraliśmy się na spacer. Kocik poprowadził mię do tartaku koźleńskiego, odległego o parę wiorst od Wincenty. Przeszliśmy łąkami do pobliskiej Pissy, gdzie tuż u samej granicy pruskiej natrafiliśmy na tor kolejki wąskotorowej, wiodącej z tartaku koźleńskiego do kolei magistralnej w pruskim Dłutowie. Przeszliśmy przez most na Pissie, która jest tu już wcale niemałą, spławną rzeczką, bystro i malowniczo się wijącą wśród zieleniejących wiosennych łąk i krzewów nadbrzeżnych. Za Pissą granica prusko-polska ciągnie się prostą linią lądową; żaden strumyk nie przedziela dwóch krajów; jest tylko rodzaj rowu z kopcami gdzieniegdzie. Podeszliśmy z Kocikiem da samej linii granicznej, gdzie o kilkadziesiąt kroków od Pissy poniewiera się zwalony i wykopany z fundamentu stary żelazny słup graniczny rosyjsko-pruski; pomalowany on w skośne pasy czarno białe i ma u góry na dwóch przeciwległych bokach dwa orły – symbole państwowe: z jednej strony czarny orzeł pruski, z drugiej – dwugłowy cesarski orzeł rosyjski. *Sic transit gloria mundi*: odleciał na zawsze z tych ziem polskich i tych rubieży historycznych orzeł dwugłowy moskiewski i jeno wizerunek jego tarza się w prochu poniewierki, bezwładny tak, jak bezwładnym jest dziś jego pan i mocarz – obalony car. Granica pruska nie jest dziś starannie strzeżona kordonem, jak ongi strzegła tej granicy ze strony Rosji rosyjska straż pograniczna. Pomimo ostrego zakazu przechodzenia granicy, właściwego kordonu nie ma; nic łatwiejszego, jak granicę w tych miejscach bez dróg żadnych przekroczyć; piękny i głęboki bór, starannie utrzymany, biegnie równą ścianą od strony pruskiej. Ale choć przekroczyć granicę łatwo, to jednak zapuszczanie się w Prusy nie ujdzie bezkarnie; mało się dziś kto zresztą o to kwapi, bo nie ma dziś z Prus niczego do przemycenia, prócz chyba nędznych papierosów, a raczej ich surogatów, które są tam tańsze niż w niemieckim monopolu tytoniowym w Polsce. Za Pissą zaczyna się puszczański kraj leśny. Piękne sosny, las, piaski, gdzieniegdzie błota. Coś jakby z Białej Rusi czy Polesia. Z rozkoszą szedłem w tę krainę leśną, chłonąc z jej piękno, jej swoistego ducha i jej aromat. Było ciepło i trochę pochmurno, jakby na deszcz. Szliśmy wzdłuż kolejki, pasem wyciętym wzdłuż granicy przez straż rosyjską. Po niejakim czasie skręciliśmy w las i wkrótce wyszliśmy na ogromną polanę wyciętego lasu, na której w głębi stoi tartak. Idąc przez polanę do tartaku, po raz pierwszy w tym roku usłyszałem kukułkę: zadzwoniłem pieniędzmi w kiesce, nie złotem, jeno żelazem wojennej monety. W tartaku pokręciliśmy się trochę, obejrzeliśmy leżące materiały i zawróciliśmy nazad do Wincenty. Wracałem rad z tego zdrowego spaceru. U Kocika wypiłem herbatę i odjechałem na noc do domu.

22 kwietnia, rok 1918, poniedziałek

Dziś miałem znowu okazję zajrzeć w Puszczę. W sprawie pewnego śledztwa z oskarżenia o kradzież musiałem z polecenia urzędu prokuratorskiego dokonać oględzin okradzionego mieszkania we wsi Łacha gminy Turośl. Wyznaczyłem oględziny wraz z badaniem świadków na miejscu na dziś. Dla wyjazdu tego, jako służbowego, zażądałem od magistratu w Kolnie dostarczenia mi furmanki po cenie urzędowej. Na godz. 7 rano furmanka parokonna zajechała. Konie były dobre i rącze. Wziąłem ze sobą w drogę woźnego Ranika. Przez Czerwone, Kozioł ruszyliśmy do Łachy. Wieś Łacha, jedna z dużych wsi na Kurpiach, położona jest nad samą granicą pruską na pograniczu gminy turoślańskiej z gminą Czerwone, o milę na zachód ponad granicą od Wincenty. Szosą jechaliśmy tylko do Czerwonego, stamtąd skierowaliśmy się na Kozioł ku Pissie. Gdziekolwiek się jedzie z Kolna na Puszczę, trzeba zawsze przeciąć Pissę. Ta rzeka, płynąca z Prus ku Narwi, dzieli powiat kolneński na dwie części. Pissa jest właściwym progiem Puszczy. Choć już gmina Czerwone z Kolnem włącznie liczy się do kraju Kurpiów i posiada jego cechy etnograficzne, to jednak ściślejszy kraj puszczański zaczyna się dopiero na zachód od Pissy. Pissa bardzo wyraźnie i ostro odgranicza kraj puszczański. Bezpośrednio po przejechaniu Pissy zaczynają się piaski, bez śladu kamieni, bory, królestwo niepodzielne sosny. Tylko gdzieniegdzie bór puszczański wyciąga zagony na wschód od Pissy; są to jednak wyjątki. Brnąc po piaskach, wlekliśmy się mozolnie wśród lasów do Łachy. Jechałbym tak jednak bez końca w atmosferze boru, jak zaczarowany pięknem kraju leśnego. Mijaliśmy przeważnie lasy młode, to znów wielkie polany nędznych piaszczystych gruntów wiejskich lub łąk błotnistych, okolonych w perspektywie ścianami boru. Pomimo wycięcia lasów na puszczy przez Niemców, duże jeszcze pozostały przestrzenie leśne lasu młodego lub takiego, który jeszcze całkowicie towarowym nie jest. W stronach, przez które jechaliśmy, dwa tartaki pracują zjadając las: tartak koźleński i tartak łachowski, a przecież jednak przestrzeń boru pozostaje duża; gdzieniegdzie tylko przez ściany młodniaków przezierają łysiny wielkich przestrzeni wyciętego boru. Zbliżając się do Łachy, przecięliśmy jakąś strugę rzeczną, a wyjechawszy na polanę wsi, ujrzeliśmy z dala wśród zieleni łąk i młodej runi pól skrawki błyszczące wód na jeziorach Łachy. Łacha – czysta i porządna wieś. Zajechaliśmy do sołtysa. Dokonałem czynności śledczych, które zajęły kilka godzin czasu; następnie po krótkim posiłku u sołtysa (mleko, jaja i chleb) pojechaliśmy z powrotem, tym razem drogą ponad samą granicą do Wincenty i stamtąd już szosą do Kolna. Miła to była wycieczka.
W Kolnie – sensacja: codziennie przybywa to ten, to ów z uchodźców, wracających z Rosji. Dziś ich przybyło kilku do Kolna. Cieszą się rodziny wracających, a kto żyw w mieście, szczególnie młodzież, śpieszy do domu, w którym wrócił uchodźca, by słuchać jego opowieści i zaspokoić ciekawość. Uchodźcy, szczególnie młodzi ludzie – dziwy prawią o swoich przygodach i losach. Przeważnie wracają z pieniędzmi, a słychać, że wielu jeszcze jest w drodze i prowadzi ze sobą konie (dziś koń tutaj to kapitał, wynoszący 2000 i przeszło rubli). Wrócił dziś jakiś młodzian kolneński z uchodźców, w szynelu rosyjskim i rosyjską czapką wojskową z orłem polskim; opowiada o sobie, że należał do Legionów Polskich w Rosji; tłumy młodzieży jak pszczoły na kwiecie go oblegają. Opowiada o tych legionach, o sobie, o innych Kolnianach w Legionach. Gdy szedł przez ulicę, szła za nim procesja młodzieży i dzieci. Czy prawdę mówi – nie wiadomo, bo skądże by się tu, jeżeli był w Legionach Muśnickiego, jak twierdzi, znalazł – nie na urlopie, ale wolny, wracający do domu. Czy prawda – nikt o dowody nie pyta. Mógłby tu opowiadać duby smalone, a wszystko by tu u spragnionych wieści posłuch i wiarę znalazło. Dla blagierów i samochwałków wdzięczne pole popisu.

23 kwietnia, rok 1918, wtorek

Dziś pobór koni w Kolnie. Dla chłopów to prawdziwa tragedia. Komu dziś konia zabiorą – ten jest prawie zrujnowany. Trudno mu już się dźwignąć. Szczególnie, że to sam czas roboczy, kiedy bez konia ani się rusz w polu. Przy żadnym poborze klęska zabrania konia nie była jeszcze tak wielka, jak przy obecnym. Ceny koni bowiem w ostatnich paru miesiącach podskoczyły znów w tak niebywałym tempie, że dziś już za dobrego konia trzeba dać 2 tysiące rubli, a nieraz i drożej. Małe źrebię od matki kosztuje po 1000 rubli. Jak podskoczyły ceny, sądzić można z tego, że w jesieni płacono za dobrego konia 600-800 rubli. Nie wiadomo jeszcze, ile będą płacić za pobrane konie Niemcy, ale jeżeli nawet, jak słychać, do 2000 marek, to jeszcze strata wyniesie do 1500 i do 2000 marek. Po poborze zaś konie znów podrożeją, a że jest wiosna, kiedy koń w gospodarstwie najpotrzebniejszy, trudno będzie kupić. Ci, którzy dziś byli obecni przy poborze, opowiadają o wzruszających scenach rozpaczy, jakie towarzyszyły kwalifikowaniu koni do zabrania. Wprawdzie może teraz w kraju trochę koni przybędzie, bo podobno wielu wracających z Rosji uchodźców prowadzi ze sobą konie, ale Niemcy wkrótce i to potrafią zabrać.
W gazetach litewskich przeczytałem odezwę komisji prawniczej Litewskiej Rady Krajowej, wzywającej wszystkich prawników obywateli Litwy, jak również wszystkich, którzy pracowali bądź u rejentow, bądź w sądach, bądź u adwokatów, aby się zgłaszali do tejże komisji. Na czele komisji stoi Jonas Vileišis. Komisja ma na celu rejestrację wszystkich sił zawodowych prawniczych, które by mogły być użyte do budowy sądownictwa litewskiego. Zbliża się więc może czas, kiedy się zacznie to sądownictwo tworzyć. Jakżebym pragnął w te kadry się wciągnąć. Zakaz Papy powrotu do Wilna niewątpliwie działa na mnie psychicznie, tym bardziej, że możliwym jest, iż prawnicy-Polacy na Litwie będą bojkotowali sądownictwo litewskie, o ile w ogóle tendencje ugodowe wśród Polaków litewskich nie przełamią ich dotychczasowego politycznego stanowiska. W takim razie idąc do tego sądownictwa, naraziłbym się na duże przykrości, ale jednak zdecyduję się zapewne *quand même*.
Chcę jeszcze wspomnieć w dzienniku o kilku spotkaniach z mojego pobytu w Warszawie. Byłem u Studnickich. Wileński Wacław Studnicki z żoną są obecnie w Warszawie. Niemcy wygryźli ich z Wilna. Byłoby zresztą lepiej, żeby w Wilnie siedzieli, bo tam nikt ich jako „działaczy” nie brał na serio, toteż ich ekscesy skrajnie wszechpolsko-aneksyjne nie były tam zbyt szkodliwe, podczas gdy tu w Warszawie, występując publicznie w charakterze Wilnian w duchu tendencji aneksyjnych, o wiele więcej szerzą ideę zaboru Litwy, a przynajmniej Wilna i zachodnich dzielnic Białej Rusi. Wacław mieszka ze swym bratem Władysławem, jest oczywiście całkowicie bez zastrzeżeń pod jego wpływem, wpatrzony we Władysława jak w tęczę, najgorliwszy prozelita brata, jego idei polityki filoniemieckiej z ekspansją polską na wschód. Władysław Studnicki wydaje teraz tygodnik polityczny „Naród i Państwo”. Wacławowej Studnickiej nie zastałem w Warszawie – była wyjechała dla jakichś prac archiwalnych do Lublina. U Wacława byłem i stoczyłem z nim gawędkę. Oczywiście dyskusja z nim lub przekonywanie go jest rzeczą zgoła jałową. Słuchałem raczej, co on mi o swoich aneksyjnych w stosunku do Litwy kombinacjach opowiadał. Nic go to z tropu nie zbija, że słuchacz jest innego zdania, niż on. Nic też to nie wpływa na serdeczność osobistego stosunku. Widziałem się też i z Władysławem. W toku mojej u nich wizyty przyszedł jakiś nieznany mi pan, jeden z satelitów i przyjaciół, a raczej wyznawców politycznych Władysława Studnickiego (Studnicki bowiem jest tak w politycznym myśleniu indywidualny i konsekwentny, że nie ma współpracowników politycznych i przyjaciół, jeno satelitów i wyznawców). Zgadało się jakoś o nowym ministerium i o sądownictwie polskim. W kołach Studnickiego, w których opinii wszyscy przeciwnicy jego aktywizmu tak z prawicy, jak z lewicy, a więc endecy, różni

radykali niepodległościowi i socjaliści są albo stadem bezmyślnych głupców, albo bezwiednym narzędziem wielkiej tajnej konspiracji masońskiej. Tę intrygę masońską węszą oni wszędzie, gdzie są paraliżowane ich wpływy. W szczególności za gniazdo tej masońskiej tajnej ręki uważają sądownictwo, w którego organizowaniu sprzymierzył się ex-endek b. minister Bukowiecki, znienawidzony przez Studnickiego za oporność w sprawie germanofilskiego tworzenia armii polskiej w b. Tymczasowej Radzie Stanu, z ex-radykałem i ex-socjalistą, oczywistym masonem Makowskim wraz z przyjacielem tego ostatniego, „filosemitą" masońskim Śmiarowskim. Gość Studnickich, nie wiedząc zapewne, że jestem sędzią, a więc tego sądownictwa członkiem, zaczął roztaczać przede mną legiendę o masońskiej tegoż sądownictwa przemożnej budowie. Bajkę tę formułował z takim przekonaniem i zgrozą, jak średniowieczne legendy o opętaniu i czarownikach. W tej legendzie sądownictwo polskie jest opętane związkiem endecko-masońsko-socjalistycznym. Dość być jednym z członków lub afiliowanych sympatyków tego pstrego bractwa, aby każdą sprawę w sądach polskich wygrać... itd.

24 kwietnia, rok 1918, środa
Dzień sesji. Ławnicy – Stachelski i Kocik. Na wokandzie dziewięć spraw, w tej liczbie pięć karnych. Wśród spraw karnych sprawa z oskarżenia Antonowicza przez Olszewskiego o pobicie, wlokąca się jeszcze od grudnia i już do epilogu zupełnie dojrzała, sprawa Eleonory Gębarskiej, oskarżonej przez młodego Kowalewskiego o zniesławienie, wyrażające się w tym, ze Gębarska, będąc mężatką i mając spłodzone w cudzołóstwie dziecko, rozgłaszała, iż dziecko to miała z Kowalewskim (o sprawie tej pisałem obszerniej w dzienniku), dalej sprawa z oskarżenia sołtysa Paliwody z Rupina przez gospodarza Piwowarskiego o zniewagę i zniesławienie, które miało wyraz w posądzeniu go o malwersacje rachunkowe w sprawie podatków, i jeszcze dwie sprawy, z których jedna została odroczona za niedoręczeniem oskarżonym wezwań i druga – umorzona za niestawieniem się oskarżycielki prywatnej i oskarżonej. W sprawie Antonowicza zapadł wyrok, skazujący go, z uwzględnieniem wyjątkowych okoliczności łagodzących, na 50 mk. grzywny, na tyleż marek, z takimiż wyjątkowymi okolicznościami łagodzącymi, skazany został sołtys Paliwoda, co zaś do Gębarskiej, to została ona uniewinniona i oskarżenie uznane zostało za niesumienne; okolicznością, która nie tylko ocaliła Gębarską, lecz zarazem obarczyła Kowalewskiego uznaniem niesumienności oskarżenia, była rozmowa tejże Gębarskiej z Kowalewskim w sali sądowej w dniu rozprawy poprzedniej, gdy sąd się był udał na naradę i oni pozostali sami; zdawało się im, że są sami, ale był jeszcze na sali ktoś trzeci – ówczesny woźny Dywizjonek, który rozmowę tę słyszał: Gębarska zwróciła się do Kowalewskiego z wyrzutem, że ją włóczy po sądach, naraziwszy ją już na wstyd urodzenia cudzołożnego dziecka, na co ten odrzekł, że trzeba było nie rozgłaszać po ludziach, ale zwrócić się jej bezpośrednio i potulnie do niego; Goldberg, dowiedziawszy się o tym, podał Dywizjonka na świadka i to sprawę przesądziło. Uznaliśmy, że oskarżenie było niesumienne, bo Kowalewski chciał wykorzystać oczywiście tę okoliczność, że z natury rzeczy przy obcowaniu płciowym obecność świadków bywa wykluczona i przeto udowodnić fakt ten jest niesłychanie trudno, a nie mogąc udowodnić, Gębarska będzie winną zniesławienia. Kowalewski zresztą zamierza jeszcze apelować na nasz wyrok. Czy coś wskóra – wątpię, a zresztą wyroki mojego sądu mają już taką markę solidną w Łomży, że chyba w razie jakiejś jaskrawej pomyłki mój wyrok zostałby zmieniony. Jedna apelacja po drugiej na moje wyroki – są odrzucane i wyroki zatwierdzane. Bo też coraz większą zdobywam wprawę i coraz większą precyzję zarówno w kierowaniu rozprawą, jak w wyrokowaniu. Czuję, że staję się artystą i ministrem trudnej sztuki sądzenia. I to jest dla mnie źródłem dużej rozkoszy. Toteż coraz mniej myślę o

przeniesieniu się z Kolna dokądkolwiek indziej w Królestwie, o ile tylko nie otworzy się przede mną droga powrotu do Wilna. Przywiązany jestem nie tylko do samej pracy jako takiej, ale i do tego konkretnego warsztatu, jakim jest sąd pokoju, a jeszcze konkretniej – sąd w Kolnie. Gdym był w Łomży w drodze powrotnej z Warszawy, mówił mi prezes Filochowski, że stara się o powiększenie liczby sędziów okręgowych w Łomży o jednego i że, o ile to do skutku dojdzie, Sąd Okręgowy ma zamiar postawić moją kandydaturę do nominacji. Perspektywa ta jednak nie budzi we mnie jakichś szczególnych pożądań. Kto wie, czy się zdecyduję na to, jeżeli otrzymam stosowną propozycję w formie konkretnej. Chociaż to awans i zarazem okazja do większego miasta, nie kwapię się na to. Pomijając już specjalne względy na stosuneczki sądownicze w Łomży, pełne intryg, które mię zrażają do takich przenosin, jest u mnie wzgląd na samą istotę i warsztat pracy. Chociaż w Sądzie Okręgowym pole do czysto myślowej prasy prawniczej jest większe, rozleglejsze i głębsze, to jednak nie ma tego żywego momentu działalności czynnej, ingerencji twórczej w życie, jakie daje sąd pokoju. Tu jestem przede wszystkim samodzielnym, jestem nie tylko sędzią, załatwiającym myślowe problemy prawnicze, ale też kierownikiem sądu, żywym kierownikiem całego ruchu spraw, całej działalności sądowego warsztatu, kierownikiem także obrad. O ile o samą na przykład sesję chodzi, to o ileż jest ciekawsze kierowanie obradami, niż siedzenie bierne w roli sędziego-słuchacza, który tylko w myśli problem prawniczy rozwiązuje. Nie ma w sądownictwie piękniejszego warsztatu, niż sąd pokoju. Nawet być prezesem Sądu Okręgowego – to jest mniejsza przyjemność. Bo tam prezes jest wprawdzie kierownikiem, ale nie tyle sędzią, ile administratorem.

25 kwietnia, rok 1918, czwartek
Kolno od dni kilku żyje wyłącznie pod znakiem powrotu uchodźców, których codziennie przybywa. Powrót ich prawdziwą sensacją chwili. Nie tylko rodziny uchodźców, ale cały ogół interesuje się żywo każdym powracającym. Tłumy znajomych oblegają każdego z nich. Przyjeżdżają gospodarze, młodzież, żony niektórych słomianych wdowców wojennych, rzadziej – Żydzi. Powróciło też kilku dawnych urzędników powiatowych i b. pisarzy gminnych. Czasem powroty te bywają mniej wesołe. O wielu młodych kobietach, dziewczynach i mężatkach, które były uciekły do Rosji, dochodzą wieści, przykre dla ich mężów, rodziców i braci. Powrót ich poprzedzają już pogłoski o ich miłostkach tam w Rosji, o kochankach, których tam miały, czasem – o przybytku dzieci, które w ich łonach zasiało życie uchodźcze. Między innymi słychać, że jest w drodze powrotnej młoda żona Antonowicza z jego dziećmi, podczas gdy tu mąż, Antonowicz, żyje sobie najlepsze z Olszewską i już nawet z nią gospodarkę wspólną prowadzi. Smutno też, zdaje się, na sercu biednego Miętkiewicza. Jego młoda żonka, która jeszcze przed ucieczką wdała się we flirt z oficerkami, tam gdzieś sobie bawiła się, zapominając o mężu. Nie wiadomo jeszcze o niej, czy przyjeżdża; słychać, że bawi gdzieś w Rostowie nad Donem, w ziemi kozaków; Miętkiewicz, choć przed nim tają wieści o życiu żony, zdaje się być niespokojny; coś zasłyszał zapewne, zresztą przeczuł, wiedziony instynktem i złą wróżbą z zalotów żony przed ucieczką; jest wszakże zbyt dumny, aby się żalić; trawi ból i niepokój w sobie, tęskni głównie do 7-letniego synka, którego zabrała żona; czeka, a fermentuje w nim żal i ból, które topi w namiętności łowienia ryby na wędkę w czasie wolnym od pracy w kancelarii sądowej. Są też wśród uchodźców zwolnieni żołnierze z korpusu polskiego Dowbór-Muśnickiego i wielu b. żołnierzy rosyjskich, których Niemcy za jeńców nie traktują. Wracający przyjeżdżają głównie z północy i z Białej Rusi, a więc najwięcej z Dyneburga, Pskowa, Mińska. Niektórzy przyprowadzają konie, które tu sprzedają, zarabiając od razu po parę i po kilka tysięcy rubli. Powiadają, że tam

konie za bezcen i można brać i prowadzić ile chcąc: brak tam zupełny paszy dla koni, które zdychają z głodu. Uchodźcy opowiadają dziwy o nieprzebranych zapasach materiału wojennego, porzucanych przez Rosjan. O anarchii w Rosji, o rozkładzie więzi społecznej – opowiadają nade wszystko. Inteligencja i kupcy w Rosji, czyli tzw. „burżuje" witali wkraczających Niemców jak zbawienie. Podobno gdzieniegdzie przyjmowali ich na klęczkach w dowód wdzięczności i poddania. Tylko niektórzy rzadcy uchodźcy dostrzegają w zamęcie rozkładu rosyjskiego kiełkowanie pewnych procesów twórczych nowego ładu, iszczących się mozolnie na gruzach starego ustroju, w chaosie fermentu. Ja z natury rzeczy w tej sensacyjnej gorączce powrotu uchodźców do Kolna nie uczestniczę, bom tu jest przybyszem; powracający są dla mnie obcymi. Za to wśród Kolnian wre, jak w ulu.
Zostało mi jeszcze do zanotowania kilka drobiazgów z pobytu w Warszawie. Odwiedziłem tam pp. Pomorskich w niedzielę. Trafiłem do nich w dniu przyjęć. Pomorski jest już dziś w Warszawie gwiazdą zachodzącą. Były wicemarszałek pierwszej instytucji państwowej polskiej, b. Tymczasowej Rady Stanu, potem prezes Komisji Przejściowej tejże Rady po jej dymisji, Komisji, w której aż do powołania Rady Regencyjnej skupiała się symbolicznie polska władza najwyższa, potem minister rolnictwa i wiceprezes gabinetu w pierwszym ministerium Kucharzewskiego, dziś jest tylko profesorem. Ambitny, lubiący blask zaszczytów, aczkolwiek z natury cichy, Pomorski nie widzi dziś, zdaje się, kariery przed sobą. Nieboszczka Tymczasowa Rada Stanu pożarła synów swoich. Upadając, przytłoczyła ich ciężarem swoim. Ci, którzy do niej weszli, złożyli jej siebie w ofierze całopalnie. Spalili w niej całą karierę swoją, całą przyszłość. Tymczasowa Rada Stanu miała warunki bardzo ciężkie działania, odpowiedzialność olbrzymią, a skład osobisty dość niedobrany, niezdolny do wielkich postanowień, do czynów na skalę historyczną, chwiejny i połowiczny. Nie zadowoliła ona nikogo, nie stworzyła żadnej metody, nie dała podłoża tradycji, a skompromitowała tych, co do niej należeli i odpowiedzialność jej na barki przyjęli. W pierwszych chwilach powstania Rady Regencyjnej, w pierwszym jej ministerium dopuszczono jeszcze do pewnych ról ludzi z b. Tymczasowej Rady Stanu. Unikano zbyt jaskrawego ich usunięcia, ale tendencją się stało ludzi tych stopniowo wyeliminować. Toteż obecnie nikogo z nich już nie ma u steru. Wątpliwe też, aby się jeszcze dźwignęli, bo są niepopularni, jak niepopularną była ta Rada. Z goryczą mi powiedział Pomorski, że ludzi z b. Tymczasowej Rady Stanu „utrącają". Spotkałem i poznałem się u pp. Pomorskich z innym, większym jeszcze onego czasu słońcem, którego blask był bardzo krótki i które już bodaj zgasło w publicznym życiu narodowym na zawsze: z b. marszałkiem koronnym b. Tymczasowej Rady Stanu, pierwszym najwyższym dygnitarzem odradzającej się państwowo po 5 listopada 1916 Polski – p. Wacławem Niemojowskim. Dziś – jest to tylko ziemianin z Kaliskiego i nic więcej. *Un homme passé*. Bawiąc w Warszawie, wstąpił z wizytą do swego ongi towarzysza krótkiej sławy – ex-wicemarszałka.

26 kwietnia, rok 1918, piątek
Sesja sądowa. Ławnicy – Stachelski i Remba. Na wokandzie dziewięć spraw, same cywilne. Ruch na sesji był zresztą niewielki. Publiczność zgromadzała się ociężale, w kilku sprawach strony się wcale nie stawiły. Właściwie tylko cztery sprawy były w całej rozciągłości rozpoznane merytorycznie; z nich dwie były identyczne, rewersowe, chociaż dość skomplikowane, dwie zaś inne – drobne. Wieczorkiem byłem na herbacie u Goldberga.

Ciepło jest bardzo. Od paru tygodni wiosna jest tak rozwinięta jak lato. Noce jak w lipcu. Rolnicy narzekają na brak deszczu. Najpiękniejsza to pora roku. Choć dopiero kwiecień, ale pogoda prawdziwie majowa. Tęsknię do wycieczek w puszczę, w las.
W domu hoduję teraz gołębie. Mam ich parkę. Przed świętami kupiłem parę gołębi z zamiarem użycia ich na rzeź na święta. Samca zarznąłem i zjadłem, samiczka została i fruwała po mieszkaniu. Karmiłem ją grochem. Wyjeżdżając do Warszawy, zostawiłem ją pod dozorem Mani Pikulińskiej, która mi usługuje. Potem żałowałem już ją zarznąć i przed paru tygodniami dokupiłem samca. Mieszkają one w kuchni, fruwają od okna do pieca. Przez pierwszy tydzień trwał ich miodowy okres miłości i namiętnego gruchania. Trudno chyba o namiętniejszego ptaka, niż gołąb. Jeżeli są one symbolem niewinności, to zaiste niesłusznie. Powinny być raczej symbolem najjaskrawszej zmysłowej miłości. Gdym zobaczył, że sobie gniazdko szykować usiłują, położyłem im dużą piękną wiązkę słomy na piecu. I oto w poniedziałek samiczka zniosła pierwsze jajeczko. Teraz odbywa się nudne wysiadywanie jajeczek. Nocami siedzi samiczka, we dnie luzuje ją samiec i siedzi na jajkach cierpliwie godzinami jak matka. Nie daję im jeszcze swobody wylotu z mieszkania. Spróbowałem to raz przed paru dniami, ale samiec jak wyleciał przez okno, tak nie chciał wracać: przez cały dzień kręcił się dokoła stadka gołębi z sąsiedniego domu Mintzów, gruchał i bałamucił się, a na noc poleciał do gołębnika, z którego go kupiłem. Wydostałem go stamtąd i zwróciłem małżonce, która przez ten czas pilnie strzegła gniazdeczka. Teraz okna nie otwieram. Może gdy się już urodzą małe, oboje rodzice nie zechcą odlatywać swego nowego domu i będą wiernie wracać; wtedy im okno otworzę. Ta para pięknych ptaków jest rozrywką dla mnie. Zahoduję ich całą gromadkę przez lato, przed zimą zaś albo przed ewentualnym wyjazdem na Litwę, o ile będę musiał moją hodowlę zlikwidować, będę miał z nich smaczne rosoły i pieczyste. Teraz, kiedy kogut lub kura dochodzi do 15 i 20 marek (to już w Kolnie, bo w Warszawie kura na święta kosztowała do 50 marek), gołębie na mięso nie są do zlekceważenia.
Pożywienie moje obecne jest wiejsko-sezonowe. Główne artykuły pożywienia: jaja i mleko. Zamierzam się przez lato obchodzić bez mięsa. Może czasem dokupię sobie coś z wędliny, jeżeli dostanę, ale nie więcej. Zresztą mięso świeże stało się już rzadkie; trudno je dostać. U Chodnickiej, u której już sam jeden się stołuję, bo moi towarzysze od obiadów, Wiśniewski i rejent Płoński, drapnęli od Chodnickiej i przenieśli się na obiady do Borawskich, zapowiedziałem, żeby mi dawała obiady bezmięsne. Toteż poza zupą (barszcz lub kapusta) jadam tam rzeczy mączne lub z jaj. W domu jadam jaja, jajecznicę na maśle, które kupuję w doskonałym gatunku od bogatego gospodarza Skrodzkiego z Pastorczyka, albo na słoninie z cebulką, mleko świeże od krowy ciepłe, mleko kwaśne doskonałe, które sobie co dzień sam zakwaszam, z kartofelkami podsmażonymi, chleb biały pytlowy, miód naturalny z tegoż Pastorczyka. Smaczne to i zdrowe pożywienie. Czegoż chcieć więcej! Można jeszcze żyć w Kolnie.

27 kwietnia, rok 1918, sobota
Miałem list od Maryńki. Pisze, że już ma wieści o Kotuńce Pruszanowskiej z Mińska, zarówno bezpośrednio od niej, jak przez p. Paulinę Weyssenhoffową, która przyjechała z Mińska do Wilna. Bielcz jest cały spalony i zniszczony. Kotuńka wybiera się do Parycz, aby stamtąd rozejrzeć się w sytuacji co do Bielcza. O Elwirze w liście Maryńki nie ma wzmianki. Co do ewentualnego przysłania przez Maryńkę Stefusia do Kolna – to jeszcze rzecz niepewna. Pisze Maryńka, że Jonas Vileišis chce mię już wzywać do Wilna. Maryńka nie radzi jednak jeszcze się stąd ruszać, bo dotąd sytuacja Litwy i jej budownictwa państwowego jest jeszcze nieokreślona. No tak, poczekam jeszcze; rozumiem, że zrywać się stąd i pędzić do Wilna na oślep, dopóki tam jeszcze nic

zapewnionego nie mam – nie mogę. Muszę się przecie liczyć z tym, że w razie powrotu do Wilna na żadną pomoc pieniężną od Papy nie mam co rachować. Muszę wyłącznie o własnych siłach stawać. Papa chwali się podobno przed znajomymi, że jest milionerem. Cóż stąd, kiedy my tych milionów ani wąchamy i nawet z okruchów korzystać nie możemy.
Czytając białoruski wileński „Homan”, ma się wrażenie, że sprawa niepodległości Białej Rusi została w Mińsku poważnie posunięta naprzód. Tzw. Rada Białoruskiej Rzeczpospolitej Ludowej, która powstała, jak się zdaje, poniekąd z delegacji b. Zjazdu Białoruskiego, poniekąd zaś z przedstawicielstwa różnych stronnictw, grup ziemstw i rad miejskich, ogłosiła w końcu marca niepodległość Białej Rusi z zerwaniem wszelkich związków państwowych z Rosją. W opozycji do tej uchwały stanęli Rosjanie, których przedstawiciele (należący do tzw. s-r-ów, czyli partii socjalistów-rewolucjonistów) wystąpili z Rady. Funkcje rządu tej proklamowanej respubliki pełni tzw. Sekretariat Ludowy, który, jak wnosić można z „Homana” i ogłaszanych w nim przedruków z mińskich gazet białoruskich, energicznie się bierze do działania: nawiązuje stosunki dyplomatyczne na zewnątrz, usiłuje roztoczyć swoje kierownictwo nad instytucjami publicznymi w kraju itd. Zapewne, że droga do ustalenia tej państwowości jest jeszcze daleka, ale dziś, korzystając z zawieruchy, na gruzach rozkładu rosyjskiego wszystkie ludy usiłują tworzyć forsownie precedensy, fakty dokonane, a choćby nawet fikcje swych własnych odrębnych państwowości. Może nie tyle ludy, bo te są w masach swoich bierne i dziś bardziej niż kiedykolwiek nieufne i niechętne jakimś eksperymentom aktywizmów (to samo zjawisko, co w Polsce widzimy również wszędzie indziej – w Litwie, Ukrainie, Białej Rusi), ale czynne grupy inteligencko-nacjonalistyczne wszystkich ludów. Białorusini są w tym położeniu dogodniejszym od sąsiadów zachodnich, że będąc faktycznie odcięci od Rosji okupacją niemiecką, nie zostali na podstawie Traktatu Brzeskiego wcieleni do terytoriów, których los uzależniony został od „porozumienia” ich z Niemcami. To im daje większą formalną swobodę postanowień, a zarazem mają oni tam większą swobodę ruchów i faktycznego działania, ponieważ okupacja nie jest tam tak ścisła, jak w Polsce i Litwie. Rosjanie są na Białej Rusi przeciwni separowaniu się jej całkowitemu od Rosji, co zaś do Polaków, to ich organizacja w Mińsku nawiązała stosunki z czynnikami Białoruskiej Rzeczypospolitej Ludowej.
Będąc w Warszawie, natrafiłem tam na Białorusinów, względnie gorących sympatyków narodowego i państwowego odrodzenia Białej Rusi, którzy, pochodząc z Białej Rusi, acz będąc kultury polskiej i w Warszawie mieszkając, tęsknią do stania się faktycznymi obywatelami wolnej niepodległej Białej Rusi. Takim jest na przykład Wysłouch, były zakonnik, znany pod pseudonimem Szacha, takim też bardzo sympatyczny muzyk Kazuro, którego poznałem, rozkochany w duszy białoruskiej i litewskiej, w głębokiej muzyce i pieśniarstwie tych ludów.

28 kwietnia, rok 1918, niedziela
Korzystając z niedzieli, chciałem się dziś wybrać na dłuższą wycieczkę pieszą w okolicę. Wybrałem się też istotnie, ale deszcz skrócił mi ją. Tyle upragniony przez rolników deszcz przyszedł wreszcie. Od samego rana zapowiadała się pogoda dżdżysta. Gęste chmury pokrywały niebo, a ciepłe, nawet parne powietrze zapowiadało skuteczność tych chmur. Zdawało się, że spragniona ziemia roztacza ciepło swego łona, wzywając kroplistej pieszczoty chmur. Cała młoda roślinność, zmęczona suszą, tęskni i pragnie: w oczekiwaniu deszczu gotuje się do skoku, by się rozrastać w górę i wszerz. Wybierałem się do odległych o 4 kilometry od Kolna Czernic, stamtąd zaś ewentualnie drogami bocznymi lub bez dróg, okrążając Kolno – w innym wcale kierunku, na

Czerwone do Kozła. Chociaż się zapowiadał, a nawet mżył chwilami leciutko ciepły deszczyk, o godz. 9 ruszyłem w drogę. W kierunku wschodnim na Gromaszyn poszedłem do Czernic. Jest to kierunek na powiat szczuczyńki, który zaczyna się o kilka kilometrów stąd. Na Gromaszyn, Lachowo, Pachuczyn prowadzą drogi na szlachtę. Jest to ta cząstka gminy Czerwone, która już nie jest ściśle kurpiowską. Kolno stoi na wschodniej rubieży Kurpiów. Na wschód od Kolna, w kierunku powiatu szczuczyńskiego zarówno krajobraz, jak kultura i ludność wyraźnie się już różni od puszczańskiego kraju Kurpiów. Nie ma tu lasów, wioski i osady są gęste, po wsiach coraz liczniejsze sady owocowe, zaczynają się już wreszcie folwarki, rzecz niespotykana na Kurpiach. Miejscowość ładna, lekko falista, poprzecinana gdzieniegdzie dolinami strug, urozmaicona. Wolę jednak krajobraz leśny i dziewiczą ludność puszczańską; ma ona dla mnie większy urok. Wkrótce doszedłem do Czernic; jest to niewielka wioseczka i tuż obok folwark z kilkunastu włók, dawniej w całości własność niejakiego Winkelmanna, niedołęgi i pijaka. Przed kilku laty Czernice zostały sprzedane za długi Winkelmanna; kupił je dorobkiewicz Żyd Ajdenberg, który się stał teraz ich dziedzicem. Winkelmann utrzymał wszakże jeszcze parę włók i mieszka tamże. Obu ich znam dobrze, bo obaj miewają sprawy w moim sądzie. Zaszedłem do folwarku. Rozkoszny jest w naturze, jak mały raik tonący wśród drzew i krzewów, ze strugą w pobliżu, z obrosłą sadzawką, w bieli kwitnących drzew owocowych, wśród bzów, które już pączki kwiecia puszczają; ale zniszczony, jak wielka rudera; znać na nim niedołęstwo poprzedniego właściciela i poza tym ślady ruiny wojennej, która pożarem zniszczyła budynki. Że zaczął akurat padać większy deszcz, poszedłem do jednego z napotkanych domków w folwarku i usiadłem na ganku pod daszkiem. Okazało się, że to dom mieszkalny Ajdenbergów. Wyszła do mnie siostra Ajdenberga, Szczawinowiczowa, a gdy się dowiedziała, kim jestem, zaprosiła do środka i poczęstowała herbatą, mlekiem, chlebem razowym z doskonałym żółtym majowym masłem i serem. Ajdenbergów nie było w domu. Po tej przekąsce udałem się w drogę z powrotem na Gromadzyn, zamierzając stamtąd udać się w kierunku Czerwonego i do Kozła. Deszczyk już mżył ciągle. Za Gromadzynem nie znalazłem żadnej drogi na Czerwone, a nie chcąc iść na samo Kolno, skierowałem się na skos bez drogi przez pola. Wyszedłem w przecięciu na dworzec kolejowy kolneński i na lasek miejski Wiszałki. W lasku tym posiedziałem trochę na suchym mchu, ale że deszczyk coraz się zgęszczał, zaniechałem dalszej wycieczki na Czerwone i wróciłem o godz. 1 do Kolna. Wyspałem się po obiedzie, a wieczorem jakoś mi czas spełzł do końca. Chociaż mi tu samotnie i nieraz pusto i nudno, gdy nie mam w sądzie roboty, to jednak przywiązałem się do mojego Kolna. Nazywają Kolno w Łomży i nawet Warszawie Syberią polską. Nazwa ta należy mu się nie tylko za względu na odludzie i na północne położenie tego kraiku Kurpiów, ale także podobno ze względu na przeszłość, ponieważ, jak powiadają, okolice Kolna służyły kiedyś w Polsce za miejsce zesłania zbrodniarzy. Czyżby poczciwi Kurpie byli potomkami przygodnej zgrai wyrzutków społeczeństwa?

29 kwietnia, rok 1918, poniedziałek
Wbrew regule, w poniedziałek – sesja sądowa, a to dlatego, że nagromadzenie spraw jest dość duże, gdy tymczasem najbliższe dwie kolejne środy i piątek nie mogą być zużytkowane: środa 1 maja, dzień symboliczny święta robotniczego, które oczywiście w szlachecko-klerykalnej Polsce żadnym świętem nie jest, ale które ja z własnej inicjatywy chcę w moim sądzie zostawić wolnym od sesji, następnie piątek 3 maja – święto narodowe i w przyszłą środę 8 maja – święto patrona Polski, dzień św. Stanisława, obchodzony urzędowo. Skoro więc są uznane święto narodowe i święto kościelne, więc niechże i święto robotnicze, choć nie uznane, będzie u mnie wolne.

Dlatego to przeniosłem sesję bieżącą na poniedziałek. Ławnicy zasiadali dziś Kocik i Remba. Spraw na wokandzie było dziewięć, z których trzy za niestawiennictwem stron do skutku nie doszły. Reszta – to były przeważnie sprawy drobne, z których jedna tylko się dłużej przeciągnęła. Teraz aż do 10 maja sesji sądowej nie będzie. W międzyczasie tylko 2 i 4 maja będę miał sesje rad familijnych i badania świadków w śledztwach. W ciągu tych 10 dni wolnych zamierzam być w Łomży.

30 kwietnia, rok 1918, wtorek
Nietęgie moje zdrowie; często zapadam i byle co mi szkodzi. Tak musiałem się widocznie przeziębić na wycieczce niedzielnej na deszczu, bo dostałem dziś kaszlu, ziębienia, łamania kości i bólu głowy na wieczór. Dzień też wypadł dziś zimny. Od wczoraj powietrze bardzo ochłodło. Może niezwykle ciepły kwiecień będzie skompensowany chłodnym majem.
Tymczasem wiosna pod wpływem poprzedniego ciepła rozwinęła się wspaniale. Szkoda tylko, że Kolno jest tak mało uposażone w drzewa i jeszcze mniej w sady owocowe i bzy. Całe Kolno przedstawia chaotyczną gromadę domów, jak jakieś pustynne miasto bez drzew. Tylko za plebanią, nad bagniskami Łabny, koło cerkwi i na rynku jest trochę drzew, ale to jest niezmiernie mało; ilość tej zieleni roślinnej, jak nikłe oazy, ginie w pustyni domów. Co jest w Kolnie rzeczywiście i może jedynie pięknym, - to rynek. Jest on olbrzymi, jakiego mogłoby pozazdrościć Kolnu niejedno miasto. Jest nie tylko wielki, ale ładny. Nie ma tam wprawdzie żadnych monumentalnych budowli, żadnego starożytnego ratusza ani innych osobliwości, jeno czworokąt prostych domków miejskich z ogromnym zabrukowanym pustym placem pośrodku. Wzdłuż chodników gdzieniegdzie rzadko rosną drzewa i tylko jedna linia ma bardziej zwarty ich szereg. Plantacja drzew wzdłuż linii rynku dlatego jest tak ubogą, że właściciele sklepów na rynku umyślnie podobno niszczyli drzewa, jakie zasadzano, podlewając je naftą, obdzierając korę itp., aby nie zasłaniały ich szyldów i nie utrudniały konkurencji ze szczęśliwszymi sklepami, nie mającymi drzew przed sobą. Toteż plantacje drzew, ile razy je przedsiębrano, nie udawały się. Za to widok domków na rynku, chociaż bardzo pospolitych, jest bardzo ładny. Są to domki przeważnie parterowe, gdzieniegdzie piętrowe, bardzo nierówne kształtem, wysokością, figurą dachów i otworów okien i drzwi. Są to typowe domki staromiejskie, jak ze sztychu jakiegoś starego miasta sprzed lat kilkuset. Ten archaiczny wygląd zabudowania olbrzymiego rynku w Kolnie ma swój urok głęboki i szlachetny. Jest na tych zabudowaniach, na linii ich konturów patyna staroświeckiego miasteczka; wdzięk prostoty jest wolny od modernistycznej tandety współczesnych kamienic miejskich. Lubię się przyglądać rynkowi w Kolnie z balkonu mieszkania Goldberga. Z góry z balkonu oko lepiej ogarnia te rzędy domków, równymi liniami otaczających ogromny plac rynkowy, niż z dołu z samego rynku. Quasi-inteligenci kolneńscy wzdychają do zasadzenia skweru na placu rynkowym. Modnym jest u nich ów przesąd o ozdobieniu rynku skwerem. W istocie skwer taki zeszpeciłby tylko rynek i pozbawiłby go jego stylowego staroświeckiego wyrazu. Modernizm takiego skweru kłóciłby się rażąco z surową naiwną prostotą zabudowań, przystosowanych do potrzeb i własności handlowych wielkiego placu rynkowego. Byłby to szablon fałszywy i brzydki. Nic do ujęcia z piękna tego prostego rynku. Za czasów rosyjskich budowa skweru na rynku była już dawno przesądzona; na planach miejskich skwer ten był już nawet oznaczony, tylko w naturze jeszcze nie wykonany na szczęście; zdecydowane było i nawet urzędowo ogłoszone przeniesienie targów tygodniowych z wielkiego rynku na inny plac, zwany popularnie Świńskim Rynkiem, brzydki i mniejszy, położony tam, gdzie mieści się obecnie sąd i moje mieszkanie. Rozporządzenie to wszakże nie zostało wykonane na skutek oporu mieszczan

żydowskich, których główne sklepy handlowe znajdują się w domach, otaczających rynek główny. Łapówki, dawane policji i urzędnikom administracyjnym rosyjskim, odraczały wykonanie zamierzonych „reform” co do przeniesienia targu i urządzenia skweru na rynku głównym. Dzięki nim stary rynek w swej stylowej prostocie ocalał. Sprawa tego skweru była podobno jednym z najpopłatniejszych źródeł dochodów dla urzędników rosyjskich. Jak tylko który z administratorów potrzebował pieniędzy, zaraz wyciągał na porządek dzienny sprawę skweru i naturalnie otrzymywał datki na rzecz jej umorzenia. Podobno każdy nowy administrator zaczynał swoją działalność w Kolnie od dojnej afery skweru.

1 maja, rok 1918, środa
Napisałem dziś artykuł do „Gazety Sądowej” w sprawie upoważnienia sądowego do stawania w sądzie dla mężatek, których mężowie są nieobecni z powodu wypadków wojennych. Stosowanie przepisów o upoważnieniu sądowym do tej licznej dziś rzeczy opuszczonych kobiet, tzw. „rezerwistek” (których mężowie są na wojnie), stało się po prostu okrucieństwem i zwyrodniało w jakiś szczególniejszy system opodatkowania i skomplikowania wymiaru sprawiedliwości dla tej najuboższej zwykle, najmniej zaradnej i przeto najbardziej potrzebującej właśnie ułatwień i pomocy kategorii społecznej ludności. W artykule moim występuję z wnioskiem uproszczenia tej procedury, mianowicie stopienia jej z merytorycznym rozpoznaniem sprawy w tymże sądzie i skasowania opłat od tego rodzaju postępowania. Wnoszę o rozwiązanie tej sprawy w drodze przepisów przechodnich na czas wojny. Mam zamiar w szeregu artykułów w „Gazecie Sądowej” dotknąć kilku kwestii, wymagających, zdaniem moim, pewnych reform proceduralnych na czas wojny.
Oddaliłem się zupełnie od polityki w życiu i pracy mojej, jak, zdaje się, nigdy dotychczas. Ani mi dziś w głowie artykuły polityczne lub jakakolwiek działalność w Polsce, skierowane do polityki. Bo też zresztą mam głęboki niesmak do polityki w ogóle, a w Polsce w szczególności.
Podobno dziś wieczorem przyjeżdża do Kolna nowo mianowany lekarz powiatowy polski, którego dotąd Kolno nie miało. Wszelki przybytek inteligenta i fachowca do Kolna jest dla stosunków tutejszych pożądany. Niemcy przygotowali dla doktora mieszkanie i przyszykowali umeblowanie. Musieli widocznie otrzymać odpowiednie instrukcje od swoich władz wyższych na skutek interwencji polskiego Ministerium Spraw Wewnętrznych. Pod tym względem ministerium to więcej się troszczy o swoich urzędników, niż Ministerium Sprawiedliwości. Gdym przyjeżdżał do Kolna, nikt nie polecił szykować dla mnie mieszkanie i żadnych też mebli od powiatowych władz niemieckich nie otrzymałem. Doktor zaś mieć będzie i miękkie meble, i kanapę itd., które zarekwirowano dlań wczoraj od Mintzowej, wywołując głośny lament Żydówki.
Od zeszłego tygodnia przychodzi do mnie dwa razy na tydzień na lekcję francuskiego młoda córka ławnika Remby. Chociaż nie znam się zupełnie na metodach nauczania, jednak Rembówna tak mię o to gorąco prosiła, że się zgodziłem. Lekcje nasze ograniczają się prawie wyłącznie do lektury. Choć dziewczyna bardzo się stara nauczyć, jednak z wymową jeszcze jej trudno idzie; sam nie wiem, czy to ucho, czy gardziel Żydów jest tak zbudowana, że pewnych dźwięków nie są oni w stanie uchwycić i mają zawsze pewne charakterystyczne sposoby wymawiania dźwięków, których nic wyplenić nie jest w stanie.

2 maja, rok 1918, czwartek
Zająłem się w tych czasach energicznie zaopatrzeniem mojej garderoby w należyty zapas ubrania i obuwia. Tak strasznie drożeje wszelkie sukno i skóra, że najwyższy czas

do zaopatrzenia się, dopóki to jeszcze możliwe. Systematyczne oszczędności w gotówce umożliwiły mi ten wysiłek pieniężny, na który z bieżących dochodów może dziś sobie pozwolić już tylko człowiek bogaty. Jeszcze zimą, gdy Maryńka miała przyjechać do mnie, pisałem do niej, aby mi kupiła w Wilnie porządnego materiału na spodnie. Tymczasem Maryńka kupiła i przywiozła materiał na cały garnitur w ilości 4 ¾ arszynów bardzo dobrego sukna czarnego, za które płaciła po 25 rubli, co się podług ówczesnego kursu w Wilnie równało 50 markom (1 rubel = 2 marki). Byłem wtedy trochę nierad i narzekałem, że za dużo kupiła i że to za wielki dla mnie wydatek. Tymczasem, gdym na święta pojechał do Warszawy i posłyszałem, jakie są tam ceny na ubranie, przekonałem się, że sukno, które mi Maryńka przywiozła, jest prawdziwym skarbem i to za bezcen. W Warszawie jeden garnitur męski, średniej dobroci, kosztował już 1000 marek. Za 236 marek miałem, dzięki Maryńce, doskonały materiał na całkowity garnitur, nawet z nadmiarem. I podczas gdy moje sukno kosztowało mię tylko po 25 rb. czyli po 50 mk. za arszyn, teraz jeden łokieć najlichszego sukna na ubranie męskie kosztuje już 100 mk., a chcąc mieć sukno w dobrym gatunku, trzeba dać za łokieć 150 i więcej marek, a łokieć jest mniejszy od arszyna. Toteż po świętach dałem mój materiał krawcowi Lublowi w Kolnie do uszycia ubrania. Kazałem sobie zrobić z niego marynarkę i dwie pary spodni (bez kamizelki). Na drugą parę spodni materiału trochę nie wystarczyło, tak że trzeba było dokupić ½ łokcia i dosztukować z tyłu, co jednak nic nie szkodzi. Ogółem z robotą, podszewką, dodatkami i materiałem marynarka i dwie pary spodni kosztowały mię koło 450 mk., co na dzisiejsze szalone ceny jest za bezcen. Teraz dopiero rozumiem wdzięczność, jaką winienem Maryńce za ten materiał. Zaopatrzoną mam obecnie garderobę po królewsku, jak na potrzeby czasu wojny. Mam dwie stare marynarki, jedną nową, jeden żakiet i jedną kurtkę grubą, przerobioną z jakiegoś munduru wojennego, dalej cztery kamizelki i trzy pary spodni. Drugi artykuł, który wymaga również przezorności – to obuwie, które nie mniej od sukna drożeje i staje się już dziś przedmiotem zbytku, coraz mniej dostępnym dla przeciętnej, średnio zamożnej ludności, nie mówiąc o najuboższej. Dziś już obuwie skórzane z powodu swej niesłychanej drożyzny zostało masowo zastąpione przez tzw. klumpy, to znaczy duże buty drewniane lub obuwie o wierzchu skórzanym na drewnianych podeszwach, albo wreszcie latem, o ile ktoś nie chodzi boso – drewniane chodaki, to znaczy same podeszwy, które się przysznurowują do bosej stopy. Za ubraniem spieszę zaopatrzyć się i w ten drugi niezbędny artykuł – obuwie. Kupiłem jedną parę nowych bucików, solidnych, bo pochodzących jeszcze sprzed wojny, za marek 200 (w Warszawie już by trzeba dać za nie marek ze 300). Oprócz tego, chcę jeszcze jedną parę sobie zrobić; mianowicie Litwiński ma przywieźć z Warszawy po tańszej cenie dla Rady Opiekuńczej na wyprzedaż gotowe wierzchy skórzane do obuwia; jedną parę tych wierzchów myślę kupić i dać do nich dorobić podeszwy prawdziwe. Będę więc miał dwie pary nowego obuwia, jedne stare, kilkakroć już reperowane i łatane buciki wileńskie i jedną parę bucików wojskowych z zeszłorocznego fasunku w Legionach w Zegrzu. Z takim zasobem ubrania i obuwia mogę spoglądać spokojnie w przyszłość: dla mnie wojna będzie się mogła ciągnąć jeszcze trzy lata – wytrzymam. Dzięki mojej ekonomicznej gospodarce pieniężnej, prowadzonej przez szereg miesięcy w Kolnie, mogłem sobie pozwolić na takie wyposażenie się kosztowne, które przecie w sumie wyniesie z 850 marek. I długi ciągle stopniowo spłacam, i Maryńce miałem parę razy do posłania zapomogi, i siostrze Aninki, Żenni Wolberg, od czasu do czasu coś do Libawy posyłam, i na grubsze wydatki nadzwyczajne mogę sobie pozwolić, i jeszcze nie jestem całkowicie wyczerpany z zapasu gotówki. Ludzie, przerażeni szalonym podskokiem cen, który szczególnie się zaznaczył w kilku ostatnich miesiącach, powiadają, że kto był mądry,

powinien był sobie jeszcze w roku zeszłym zrobić zapas garderoby i obuwia, bo teraz już za późno. A ja powiadam, że kto mądry i ma jakąś gotówkę, ten jeszcze teraz powinien śpieszyć z zaopatrzeniem się, bo na przyszły rok to, co teraz 1000 mk. kosztuje, będzie już kosztować 2000 albo i więcej, a jeżeli wojna jeszcze ze dwa, trzy lata potrwa, to się wszystkie zapasy tak wyczerpią, że nikt sobie niczego sprawić nie będzie w stanie, prócz paskarzy-milionerów, o ile chyba poprzednio handel prywatny nie zostanie zakazany i artykuły pierwszej potrzeby nie ulegną jakiejś społecznej organizacji podziału. Teraz wszystko drożeje nie miesiącami, lecz tygodniami, a nawet dniami. Do najniezbędniejszych rzeczy, które podrożały w dwójnasób w stosunku do olbrzymich już cen poprzednich sprzed kilku miesięcy, należą prócz odzienie, bielizna (sukna, płótna), obuwie, także mydło, a w rolnictwie konie i krowy. Do czasu pokoju z Rosją liczono, że ewentualnie po otwarciu granicy na wschodzie towary i surowce napłyną. To hamowało jeszcze wzrost cen. Gdy nastało zawieszenie broni z Rosją, ceny zaczęły nawet nagle spadać. Gdy jednak przekonano się, ze na żaden dowóz z Rosji liczyć niepodobna i że pokój z Rosją nic pod tym względem nie przyniósł, wszelki hamulec do wzrostu cen upadł. Rozpoczęła się orgia zwyżkowa – bez kresów.
Miałem dziś śledztwo w sprawie Ogrodnikowej. Jest to śledztwo, które się już ciągnie od kilku miesięcy i coraz się komplikuje i wikła. Coraz więcej trzeba wzywać świadków, coraz bardziej rosną stosy papieru w aktach. Sprawa jest niejasna, bardzo trudna do rozwikłania i do dojścia wątku faktów, mogących ustalić winę sprawców kradzieży.

3 maja, rok 1918, piątek
Nad ranem był przymrozek. Po bardzo ciepłym kwietniu, w którym noce były prawdziwie lipcowe, chłody nocne biorą teraz rewanż. We dnie jest i teraz ciepło, słońce grzeje coraz lepiej, ale noce są zimne.
Dziś święto narodowe 3 maja. Jest ono obchodzone urzędowo we wszystkich instytucjach polskich, toteż i sąd był nieczynny. Ale w tym roku nie ma uroczystych obchodów 3 maja. I słusznie – nie powinny być one nadużywane. Wielka wspaniała manifestacja majowa w roku 1916 była wybitnie polityczną manifestacją woli niepodległościowej w Polsce. Coroczne powtarzanie takiej manifestacji stępiłoby jej wyraz i siłę, potrzebne dla pewnych momentów historycznych. Tylko urzędy polskie są nieczynne i w szkołach odczyty i obchody dla młodzieży. Tak samo jest w Warszawie. W Kolnie tylko nieliczne domy są ozdobione flagami o barwach narodowych. Chorągiew biało-czerwona powiewa z balkonu w sądzie, takież chorągiewki zdobią gmach domu Pikulińskiego, w którym ja mieszkam, i ganek mieszkania nauczycielki, panny Śnieżko. Na Rynku tylko jedna linia jest zabarwiona trochę biało-czerwonymi płachtami sztandarów: zdobią one dom Rogińskiego, balkon w mieszkaniu Goldberga, sklep Stachelskiego, restaurację Zawistowskiego i sklep piekarza chrześcijańskiego Dereweńki. Żydzi na ogół są zupełnie nieczuli na święto narodowe polskie; nie wyczuwają jego charakteru państwowego, mającego symbol polityczny, ogarniający pierwiastek nie wyznaniowy ani nawet ściśle narodowościowy, lecz obywatelski. W ich pojęciu święto polskie jest świętem Polaków i katolików, tak jak ich święta są świętami Żydów; idea obywatelska prawno-państwowa nie kiełkuje u nich wcale. Nie jest to bynajmniej objawem jakiejś niechęci Żydów do tego święta, jeszcze w mniejszym zaś stopniu objawem świadomego bojkotu uroczystości i świąt narodowych, co głoszą np. socjaliści. Żydzi o święcie 3 maja mówią do chrześcijan z całą naiwnością: „wasze” święto, przeciwstawiając je, jak każde inne chrześcijańskie – „naszym”, to znaczy ich świętom. Świadczy to po prostu, że więź obywatelska czyli narodowo-polityczna między społecznością żydowską a polską w Polsce nie istnieje, o ile chodzi nie o garść

asymilatorów, lecz o masę żydowską. Czuje się ona w Polsce, nawet poza uświadomionym współczesnym nacjonalizmem, odrębną społecznością nie wyznaniową tylko, lecz także narodową. Żyd jest jednak faktem w Polsce. W Kolnie jeden tylko Goldberg manifestuje swoją solidarność i przynależność obywatelsko-polityczną do Polski. Inni Żydzi, nie będąc temu nawet nieprzychylni, nie rozumieją po prostu i nie czują tego. Są tylko szczerzy i są tym, czym są.
Chciałem dziś się wybrać do Łomży, ale nie doszło to do skutku. Zapewne pojadę we wtorek z Goldbergiem.
Otrzymałem list od Maryńki. Biedaczka jest zakłopotana i zmartwiona tym, że nic nie piszę w sprawie przyjazdu jej syna Stefusia do Kolna. Napisałem wprawdzie do niej, że Stefuś może przyjechać, jeżeli ona tego sobie życzy, ale list ten jeszcze nie doszedł, bom go z wielkim opóźnieniem, po otrzymaniu jej listu o projekcie co do Stefusia, wysłał, a zresztą pisałem o tym tylko półgębkiem, bez wielkiego zapału i radości, których się ona może biedaczka spodziewała. Nie tylko ma kłopot ze Stefusiem, nie wiedząc, gdzie go podziać, ale i ma ranę w sercu macierzyńskim, widząc, jak ten chłopiec się marnuje i jak nikt go nie chce wziąć, zaopiekować się nim i podać mu dłoń. Co prawda, sam Stefuś winien, bo wszędzie kradzieżami, nadużyciem zaufania, brakiem charakteru sam sobie taki stosunek ludzi zgotował. Komorowscy nie chcą go przyjąć do Kowaliszek, Papa do Bohdaniszek – także. Tymczasem Ewa kończy gimnazjum i jedzie do Bohdaniszek na wakacje, skąd ma się wybrać w jesieni do Warszawy na uniwersytet, Maryńka zaś latem jest zajęta w Wilnie swymi ogrodami i żadnego dozoru mieć nad Stefusiem nie może. A biedny chłopiec ze swym charakterem wrażliwym, nieufnym, zrażającym się, pełnym jakichś kontrastów, upadków, zwątpień w siebie itd. – marnuje się, psuje, rozkłada moralne w próżniactwie i jakimś bezcelowym wegetowaniem, co sam zresztą wyczuwa dobrze. Napisałem też dziś zaraz do Maryńki, żeby Stefusia przysyłała. Wiem, że to będzie kłopot dla mnie, a może nawet ciężki orzech do zgryzienia, bo gdybym że to mógł mu tutaj jakąś pracę znaleźć, a przy jego zwłaszcza charakterze może to być bardzo trudnym i nieobliczalnie mogą być jeszcze komplikacje jego pobytu u mnie przy jego słabości charakteru i upadkach, ale winienem Maryńce i temu nieszczęśliwemu kochanemu chłopcu podać dłoń i przygarnąć, i otworzyć serce, i ułatwić mu to wszystko w życiu, na co mię stać.
Maryńka wspomina w liście o Kotuńce i Elwirze. Kotuńka z córką Elizką pojechała do Parycz, by stamtąd jakiś w Bielczu ład zarządzić; Elwira i Stefan są oboje w Mamyłach; w Wiązowcu zniszczenie w lesie jest duże.
Wreszcie w liście Maryńki jest słówko jedno, które mię wzruszyło serdecznie: Maryńka obstalowała kwiaty na grób Anny. Wdzięcznym jej, że pamiętała o tym. Jestem daleko i ten samotny biedny grób, w którym leży ta, która największą część duszy mojej pochłonęła i która mi szczęście z ducha swego i istoty dała, jest sierotą beze mnie na tym jedynym najpiękniejszym, ale i najsmutniejszym z cmentarzy.

4 maja, rok 1918, sobota
Miałem dużo roboty w sądzie: dwie rady familijne i badanie świadków w dwóch śledztwach. Zwłaszcza w jednym śledztwie musiałem przesłuchać całą kupę świadków oraz paru poszlakowanych o wspólnictwo w kradzieży z głównym oskarżonym. W obu śledztwach chodziło o kradzież, z głównym oskarżonym. W obu śledztwach chodziło o kradzieże zboża, dokonane u gospodarzy przez młodych chłopców wiejskich. Badanie świadków z przerwą obiadową zajęło mi cały dzień aż do wieczora. Wreszcie byłem już bardzo zmęczony, gdym skończył robotę. Nie lubię śledztw, a tymczasem prokuratura łomżyńska żąda w nich takiej pedanterii, że niepodobna wybrnąć z badania świadków, bo każde badanie ujawnia jakieś nowe szczegóły i elementy faktów lub poszlak, co

pociąga za sobą dalsze poszukiwania i wzywanie coraz to nowych świadków; szczególnie gdy, jak w tym ostatnim śledztwie, poszlakowani chłopcy usiłują wzajemnie zwalić winę jeden na drugiego, by odwrócić podejrzenie od siebie. O wiele wolę moje sprawy sądowe, a zwłaszcza cywilne.
Wczoraj otrzymałem z Łomży z obozu internowanych legionistów list od Franciszka Mieszkowskiego. Gdym się od niego dowiedział o ich decyzji powrotu do wojska, napisałem, wyrażając moją opinię, że wprawdzie pojmuję ich motywy psychologiczne, które po tak długiej męce skłoniły ich do kapitulacji, ale nie rozumiem zgoła jakichś motywów rzekomo ideowych, mogących krok ten uzasadnić. Mieszkowskiego zabolała ta moja uwaga. Protestuje gorąco przeciwko posądzaniu ich o słabość i podkreśla, że decyzja ta była wyrazem ich świadomego przekonania, po rozważeniu wszystkich zasadniczych względów sytuacji politycznej. Niech i tak będzie, choć z listu Zagłoby-Kamińskiego potwierdza się, zdaje się, mój wniosek; może cząstka działała pod wpływem rzeczywistego przekonania, ale większość z pewnością tylko kapitulowała; trudno – wszyscy nie mogą być bohaterami, nieczułymi na niewolę i mękę. Ale co najgorsze, o czym się z listu Mieszkowskiego dowiaduję, że „Wehrmacht", to znaczy urzędowa władza wojska polskiego, skupiająca się w ręku Beselera, nie zechciała przyjąć ich kapitulacji i odmówiła dopuszczenia ich do wojska. Moim zdaniem, postąpiła bardzo logicznie, zdając sobie sprawę, że z tego materiału dobry żołnierz już nie będzie i że do posłusznych giętkich szeregów obecnych ten żołnierz ze Szczypiorna i Łomży, który przeszedł przez szkołę <u>polityczną</u> Piłsudskiego i wpływów P.O.W., który wyraża tradycje politycznych rad żołnierskich, który odmówił przysięgi, potem dał się rozbroić i wreszcie przebył długą kwarantannę niewoli w obozie jeńców, wniesie czynniki fermentu, destrukcyjne dla wzorów karnej sprężystej armii militaryzmu. I rozumowanie to jest w istocie trafne. I nie mogły władze wojskowe uwierzyć, jak nie uwierzyłem i ja, żeby postanowienie powrotu do wojska było u Szczypiorniaków wyrazem szczerej i głębokiej zmiany poglądów oraz istotnej woli poddania się i przejęcia militaryzmu zasadami. Był to raczej manewr słabości, by wreszcie się w jakikolwiek sposób wyrwać z tej nieznośnej niewoli. Pogardzono nimi. Wehrmacht przyjmował chętnie do szeregów wojskowych te odłamy Szczypiorniaków, które odrywały się dotąd od solidarności z ogółem internowanych i wracały do wojska jako dezerterzy sprawy szczypiorniackiej. Gdy jednak ogół internowanych zgłosił się solidarnie do powrotu – nie przyjęto ich. Sama solidarność tego zgłoszenia się była dla Wehrmachtu przestrogą: w militarystycznej armii nie ma jakiejś organizacyjnej woli żołnierzy, jest jeno zasada karności i posłuszeństwa rozkazom. Sam fakt powzięcia solidarnej uchwały o powrocie do szeregów wojskowych tchnie tradycją rad żołnierskich, które w militaryzmie tolerowane być nie mogą. Dla biednych internowanych w Łomży odrzucenie ich oferty powrotu do wojska jest policzkiem. Oto oni ustąpili, skapitulowali, a kapitulacji ich nie przyjęto. Odpowiedziano im, że są niepotrzebni i niepożądani wcale. Lepiej by już byli z godnością wytrwali w swym nieszczęściu. Biedna jest ta młodzież, którą zmarnowano, bo tylko zmarnowaniem jej jest cała ta afera zeszłorocznej polityki agentów P.O.W. i „Rządu i Wojska" w Legionach, która wichrzyła w radach żołnierskich na dziwacznym programie „wytwarzania gotowości" i wreszcie doprowadziła do biernego poddania się rozbrojeniu i internowaniu. Męka Szczypiorniaków jest tym cięższa, że wyłącznie bierna i bezcelowa; nie daje im ona zadowolenia moralnego w poczuciu dokonanego, choćby nawet złamanego przemocą wysiłku i jest od początku do końca tylko jakimś biernym bezwładem niewolniczego protestu. Ale już odrobić tego, co się stało, nie sposób, toteż jedyne, co dziś im pozostaje – to wytrwać w nieszczęściu z poczuciem, że się zmarnowało. Innej rady, niestety, nie ma. Głupota zeszłorocznych wodzirejów rad

żołnierskich z kół „Rządu i Wojska”, P.O.W. i zauszników Piłsudskiego wydała owoce fatalne. Nie można jednocześnie pragnąć armii militarystycznej i krzewić organizację polityczną żołnierzy. Taka organizacja polityczna może mieć cel spisku lub innego czynnego działania obywatelskiego, ale zawsze musi być skierowana do akcji, która z mechanizmem militarnym się nie godzi. Trzeba było albo rady żołnierskie logicznie dopuścić do ich celów czynnych, jeżeli się w nie wiarę miało, albo, chcąc zachować wojsko, nie tworzyć rad. Jedno z dwojga. Niepodobna było tworzyć rady żołnierskie, kazać im wegetować w próżni jałowych dyskusji i myśleć, że się wojsko nie spaczy.

5 maja, rok 1918, niedziela
5 maja, ale jeszcze nie rocznica moich rodzin, bo data tychże podług nowego stylu wypada na 17, względnie 18 maja (w XIX wieku, gdy się rodziłem, 5 maja starego stylu = 17 maja nowego stylu – a stąd moje drugie i trzecie imiona chrzestne, nadane podług kalendarzowych świętych dnia urodzin, Pius i Paschalis; obecnie w wieku XX – 5 maja starego stylu = 18 maja nowego). W każdym razie, mogę już sobie śmiało liczyć 38 lat wieku.
Dzień mi upłynął dość monotonnie, ale pracowicie pomimo niedzieli. Sporo mi czasu zajęło ułożenie decyzji w sprawach śledczych, w których wczoraj badałem świadków. Naturalnie też, że jak zawsze w niedzielę, powyznaczałem na wokandy sprawy, które się uzbierały z ubiegłego tygodnia. Każdy tydzień daje teraz po kilkanaście spraw do wyznaczenia, tak nowych, jak odroczonych w ciągu tygodnia. Ruch spraw jest duży i zdaje się nie ujawniać dotąd wcale tendencji zniżkowej. Raczej przeciwnie, pomimo pełnej wiosny i robót polowych. Tylko w listopadzie ruch był równy obecnemu, a zimowe miesiące ani się w przybliżeniu równać nie mogą do wiosennych. Grudzień zaznaczył się wielką zniżką ruchu, w styczniu ruch spadł do minimum, od lutego zaś zaczął co miesiąc wzrastać. Już w kwietniu dopływ spraw przerósł podwójnie dopływ styczniowy, a w maju od pierwszych dni tempo ruchu jest duże. Ogólnie się przewiduje, że powrót uchodźców znacznie przysporzy pracy sądom. Oczywiście zaakcentuje się to tylko stopniowo, w miarę jak uchodźcy się rozejrzą w swoich interesach i stosunkach. Dotąd powrót uchodźców zaznaczył się w moim sądzie tylko wzrostem spraw o eksmisję z mieszkania. Ci, których rodziny były w Rosji, śpieszą usuwać lokatorów ze swych domów na przyjęcie powracających.
Powszechne są narzekania na drożyznę. W istocie w dużym stopniu jest ona tylko pozorna. Jeżeli weźmiemy stosunek towaru do towaru, jeżeli będziemy zamieniać konia na krowę albo na płótno, albo też sukno na obuwie itp., to stosunki wartości pozostaną podobne do dawnych i w każdym razie podskoki względnej wartości poszczególnych towarów nie będą zbyt jaskrawe. Cała rzecz polega na tym, że pieniądz dzisiejszy oderwał się zupełnie od swej realnej podstawy towarowej i jest co do swej wartości oraz treści czymś zupełnie nieuchwytnym. Wszakże i dzisiaj, gdybyśmy płacili nie symbolem pieniężnym, ale pieniężnym właściwym towarem, złotem, ceny byłyby bliskie przedwojennym. Za funt złota dostalibyśmy tyleż albo bardzo podobną ilość czy to koni, czy krów, czy innych towarów, co dawniej. Pozorna drożyzna dzisiejsza jest w przeważnym stopniu tylko wyrazem bankructwa pieniądza. Właściwie ludzkość dzisiejsza straciła pieniądz, usunęła go ze stosunków gospodarczych. To, co dziś nazywa się pieniądzem, to nim nie jest i nie posiada jego natury. Powszechnym środkiem wymiany towarów, to znaczy pieniądzem, może być tylko jakiś towar realny, czy będzie nim złoto, czy miedź, czy skóra, czy zboże – to obojętne. Złoto jest tylko dogodniejszym od innych towarem wymiennym, czyli pieniądzem, głównie dlatego, że z małą objętością łączy dużą wartość, oraz dla pewnych innych praktycznych właściwości swoich. W każdym razie, jest ono towarem jak inne. Pieniądz, który nie

posiada odpowiednika towarowego realnego, jest fikcją, która nie ma mocy normowania cen. W dzisiejszym tzw. pieniądzu, polegającym wyłącznie na papierkach, realna wartość towarowa jest żadna, bo papierki te jako takie są zdatne co najwyżej do wychodka. Ileż trzeba dać drobnych pociętych do wychodka papierków, by zrównoważyć nimi wartość ekonomiczną na przykład konia. Spadek kursu pieniądza nie może być nigdy niższy od wartości względnej jego realnej postawy towarowej. Ta jest kresem zniżki. Otóż dla papierków jako takich ten kres jest nieobliczalnie niski; spadek może być więc prawie nieograniczony; to, co pewną jeszcze wartość nadaje dzisiejszemu pieniądzowi papierkowemu, to w żadnym razie nie jego podstawa towarowa, ale siła zaufania do danego państwa, do jego mocy twórczej, jego rzetelności itd., jego przyszłości i woli po wojnie, a jakież dziś mogą być stałe i niewzruszone perspektywy tego, co nastąpi i co najbliższa przyszłość przyniesie. Toteż wartość pieniądza, nie znajdując swojego kresu naturalnego, towarowego, spada i spada. Gdyby pieniądzem państwowym było nadal złoto, to kwestia zwycięstwa lub porażki, rewolucji i rozkładu gospodarczego lub spodziewanego wzrostu sił wytwórczych w małym tylko stopniu wpływałaby na dzisiejsze ceny, bo ten, kto ma funt złota, we wszelkich warunkach zachowałby swój realny funt złota. Inaczej – teraz: mam papierek, ale jako taki sam przez się, bez nadania mu charakteru umownego kwitu na jakąś realną wartość – jest on zgoła bez wartości. Ludzie przywykli tak do pojęć pieniężnych, że widzą dziś drożyznę, ale nie dostrzegają tego, że ta pozorna drożyzna jest właściwie tylko objawem faktycznego usuwania pieniądza ze stosunków ekonomicznych. Wchodzimy w okres stosunków bezpieniężnych. Jest to rewolucja w organizacji społeczno-gospodarczej. Powszechnie też się narzeka na paskarstwo, na to, że „spekulanci” gromadzą zapasy towaru, wycofując je z konkurencyjnego obiegu i przez to wyśrubowują ceny. Otóż dziś każdy, kto ma jakąkolwiek oszczędność pieniężną, musi być „paskarzem”. Za wszelką gotówkę należy czym prędzej nabyć jakikolwiek towar, bo tylko tą drogą można ocalić posiadanie pewnej wartości. Tylko głupiec będzie dziś trzymał gotówkę lub ją na procenty oddawał. Kto rozumny, musi lokować gotówkę w towarze.

6 maja, rok 1918, poniedziałek
Rano pojechałem z komornikiem Użarowskim jego koniem i bryczką do Łomży. Taka jazda jest bardzo przyjemną, bo nic nie kosztuje, koń dobry, bryczka na resorach, a do tego słońce i pogoda. Użarowskiemu niedawno na jego prośbę wyświadczyłem grzeczność, wstawiając się przed naczelnikiem powiatu, by mu konia przy poborze nie wzięto jako urzędnikowi, któremu koń jest potrzebny do obowiązków służby. Za to Użarowski przyrzekł mi dawać konia, gdy będę pilno potrzebować do Łomży. Skorzystałem tym razem z tej okazji. Koń Użarowskiego świetny, gorący, ładny. Całą drogę przebyliśmy jednym kłusem. Po drodze do Łomży spotyka się na szosie mnóstwo wracających uchodźców. Prawie wszyscy jadą w parę koni, rzadziej w jednego, furą krytą, w rodzaju namiotu na kołach. Fura pełna bebechów, przeróżnych sprzętów i gratów, poduszek, pościeli, słowem – cały dobytek uchodźcy; kobiety i dzieci gnieżdżą się w tej furze olbrzymiej jak w domu. Ciągną tak całe rodziny, jedne za drugimi szosą. Od dwóch tygodni trwa już ten ciąg powrotny uchodźców, a jeszcze drogi są ich pełne i jeszcze do wyczerpania daleko. Większość jeszcze nie powróciła. We dnie to się jeszcze nie tak dużo tych fur uchodźczych spotyka, ale wieczorem, gdyśmy wracali, do Kolna, mnóstwo ich na szosie spotykaliśmy. Ogromna ilość nocuje na szosie. Stoi fura pod płótnem, konie wyprzężone pasą się na łące, rodzina śpi na furze albo też gromadki dzieci skupiają się na szosie i ciekawie się przyglądają każdemu, kto przyjeżdża. Czasem piesek towarzyszy takiej rodzinie uchodźców i zmęczony podróżą śpi pod

wozem z łebkiem na wyciągniętych nogach. Czasem fura uchodźców zaprzężona w woły. Wszyscy opaleni, zziajani, jakby wyschli podróżą. Na mężczyznach znać pewnego rodzaju nieśmiałość, jakby zażenowanie, jakby wstyd, że byli porzucili swą ziemię, do której teraz z tęsknotą wracają. Mają oni w sobie przy powrocie coś jakby poczucie winy. Być może, że to wrażenie powrotu i spełnienia tęsknoty tak na nich działa oszałamiająco. W strojach znać krój żołnierski rosyjski, który chyba powszechnym się stał w rewolucji w Rosji. Dzieciaki uchodźców ciekawie patrzą w nieznany kraj ojczysty, który w trzyletniej tułaczce zapomnieli. Śpieszą uchodźcy do domów, spragnieni ojczyzny i zagrody własnej jak rosy na pustyni. Są sceny przy powrocie wzruszająco głębokie. Wracający płaczą na progu swych domostw, niektórzy padają krzyżem na swym podwórzu i całują ziemię świętą rodzoną. Ślubują jej, że już nigdy nie ujdą. Mówią, że żeby się świat walił, już nie uciekną. Nad Narwią, na grobli szosowej między Łomżą a Piątnicą, rozkłada się na noc całe obozowisko uchodźców, jak Cyganie. Biedni ludzie! Żal ich, a jednak czuje się w sercu, że dobrze im tak: po co uciekali, niech mają zapłatę męki, niech przekleństwem tułaczki zmyją podłe tchórzostwo, które ich gnało przed laty z ojczyzny na poszukiwanie bezpieczeństwa osobistego. Zmazany męką grzech ucieczki daje im dziś oto słodycz łaski przebaczenia i powrotu.
W Łomży spędziłem dzień do wieczora. Ładnie teraz w Łomży. Nowy rynek z pięknymi kasztanami w kwiecie w pełni zieleni majowej robi wspaniałe wrażenie po bezdrzewnej pustyni Kolna. Wziąłem w kasie Sądu Okręgowego pensję miesięczną za maj dla sądu w Kolnie, widziałem się z prezesem, z prokuratorem Urbanowiczem, z Tramplerem, z sędzią pokoju Łubieńskim i innymi. Zatargi i kłótnie w stosunkach sądowniczych łomżyńskich nie ustają. Już nie tylko prokurator Urbanowicz i sędzia pokoju Tarnowski są na noże z sędzią okręgowym Tramplerem, ale i prokuratura z sędzią śledczym Szycem walczy i szykanuje się wzajemnie. Nieznośne są tam stosunki. Pytałem prezesa o wrażenie, jaki na nim sprawił nowy minister Higersberger. Wbrew pewnym wieściom, które doszły do nas do Kolna przez artykuły „Godziny Polski”, wystawiającej działalność Higersbergera w kierunku rzekomo obrony niezależności magistratury sądowej od zakusów urzędników ministerialnych, Filochowski stwierdza, że na konferencji prezesów sądów okręgowych Higersberger utrzymywał się na bardzo wysokiej stopie – ministra i nic ponadto. „Godzinie Polski” wierzyć nie można. Na jej łamach mszczą się na Bukowieckim te elementy sądowników polskich, które ongi złamały solidarność bojkotu sądownictwa okupacyjnego i poszły na jego służbę, a które przy organizowaniu sądownictwa polskiego przez Bukowieckiego i Makowskigo zostały za to istotnie potraktowane za to po macoszemu. *Inde ira*[1] tych panów, *inde* ich nienawiść wściekła i kalumnie na Bukowskiego, na ministerium i na całe młode sądownictwo.

7 maja, rok 1918, wtorek
Wczoraj w Łomży wszystkie niemieckie lokale urzędowe były ustrojone flagami. Było widoczne, że jakiś znaczniejszy sukces został osiągnięty na wojnie. W gazetach nic o tym nie było, widocznie wieść przyszła w drodze jakiejś depeszy specjalnej. Nikt w mieście dokładnie nie wiedział, co się stało. Mówiono albo raczej domyślano się, że Niemcy przerwali front pod Calais czy też zdobyli Ypres. Wszystko to możliwe, ale cóż stąd, kiedy dziś nawet zwycięstwa nie zdają się przyśpieszać końca wojny. Przypuściwszy nawet, że Niemcy dokonają zupełnego pogromu Francji, że zajmą Paryż i Calais, to i tak jeszcze pokoju nie będzie. Będzie sytuacja podobna, jak na wschodzie:

---

[1] (łac) stąd gniew.

ani wojna, ani pokój, z tą jeszcze różnicą, że nie będzie nawet podpisanej fikcji pokojowej, podyktowanej przez Niemców, jak to ma miejsce w stosunku do Rosji. Anglia i Ameryka nie zrezygnują i nie ukorzą się wobec woli niemieckiej ani też pójdą na kompromis, nawet jeżeli Niemcy będą zupełnymi pogromcami kontynentu i jeżeli faktycznie nie będzie już pola do bicia się. Będzie ani to, ani owo i zwycięzcy nie będą w możności realizować zwycięstwo. Wtedy to prawdziwie ta wojna dojdzie do swego martwego punktu, do którego zmierza, dając dziwaczne widowisko krwawego absurdu. Tymczasem na Ukrainie, której rząd zdawał się być tak oddany Niemcom i której lud natomiast pozostał oporny i nieujarzmiony ani przez okupantów, ani przez własny narodowy rząd, zachodzą jakieś niezwykłe rzeczy: jakiś konflikt między władzą niemiecką a Radą Ukraińską, aresztowania ministrów ukraińskich, to znów podobno jakaś rewolucja, jakiś przewrót w Kijowie, który nową władzę na miejsce starej wysunął. Są tylko depesze i jakieś komunikaty skąpe, z których dokładnie wysnuć istoty rzeczy niepodobna. Coś się tam w każdym razie dzieje. Ukraina nie idzie tak powolnie na pasku niemieckim, jak by się to zdawać mogło z dzieła, rozpoczętego przez ukraińskich autorów Traktatu Brzeskiego. Pomoc jej sprzymierzeńców niemieckich, którzy przyszli ją „oswobodzić" od zachłanności wielkorosyjskiej bolszewików, zmienia się coraz bardziej w prawdziwą okupację i faktyczne posiadanie Niemców, które wszakże sięga tylko miast i ośrodków rządowych i prawie jest bezradne na prowincji, gdzie panuje zupełna bezpańskość stosunków. Niemcy coraz dalej brną w głąb Ukrainy, zajęli już ją właściwie całą aż za Połtawę, Jekaterynosław i Charków, zagarnęli cały Krym, a obecnie już rozpoczynają wyprawę na Don. Wspomnę tu o pewnym zjawisku, z którym się zetknąłem w Łomży, a które w ogóle w działalności sądownictwa zajmuje obecnie duże miejsce. Chodzi o zwalczanie tzw. lichwy spożywczej, polegającej na skupywaniu i gromadzeniu towarów, będących przedmiotami bezpośredniego spożycia i następnie sprzedawaniu ich po cenie kilkakrotnie droższej. Jest to więc niby walka z jednym z objawów tego, co nosi dziś popularną nazwę paskarstwa, zohydzonego powszechnie, ale niemniej powszechnie uprawianego. Opierając się na rozporządzaniu władz okupacyjnych z r. 1916, urzędy prokuratorskie Królestwa wypowiedziały wojnę tej „lichwie" i ścigają ją oraz usiłują tępić z gorliwością, która ma wszelkie cechy popisu sportowego. Czy to celowe? Moim zdaniem, jest to rzecz jałowa zgoła, która nie uzdrowi rozwichrzonych stosunków gospodarczych i która pod względem prawnym polega na nieporozumieniu. Za to „paskartswo" w przedmiocie artykułów spożycia (nie tylko żywnościowych, ale też innych, dotyczących potrzeb niezbędnych), rozporządzenie okupacyjne, stosowane przez sądy polskie, grozi karą aż do 5 lat więzienia i 50 000 marek grzywny. Oto np. w Łomży toczy się duże skomplikowane śledztwo w sprawie sprzedaży pary trzewików płóciennych, które kosztowały przed wojną 3 ruble, za 150 marek. Sędzia śledczy zapracowuje się, prokuratora z całą energią i szczególnie gorliwie czuwa nad tym śledztwem. I o cóż w istocie tu chodzi? Ale jeżeli tak, to trzeba byłoby również za lichwę uznać i karać sprzedaż konia za 2 do 3 tysięcy rubli, jeżeli koń ten był u sprzedawcy jeszcze od początku wojny, bo mu nie kosztował nie tylko tyle, ale nawet dziesiątej części tej ilości rubli. Jeżeli to, co się dziś pieniądzem nazywa, spadło w wartości i w zdolności nabywczej o 10 lub kilkanaście razy w stosunku do wartości i zdolności nabywczej dawnego przedwojennego pieniądza, to jeżeli dziś sprzedaję artykuł, który miałem jeszcze przed wojną i który wtedy był wart rubla, za 10 lub kilkanaście rubli, nie popełniam żadnej lichwy. Robią to wszyscy i będą robili, dopóki trwać będzie obecne bankructwo całego systemu pieniężnego. Nic nie pomogą represje, kary, ściganie prokuratury, śledztwa. Nie tylko to nie ustanie, ale pójdzie dalej w coraz wyższym tempie w prostym stosunku do postępów rozstroju pieniężnego. Nie ma tu

lichwy, nie ma tu istoty przestępstwa. Nie można jedne artykuły, które zaliczono do przedmiotów pierwszej potrzeby i spożycia, stawiać w warunki handlowe inne, niż ogół towarów w całokształcie gospodarczym. Lichwa miałaby miejsce tylko w takim razie, gdyby za miarę wyśrubowania ceny brano nie pieniądz, który stał się fikcją, ale stosunek danego towaru do innych w bezpośredniej wymianie.

8 maja, rok 1918, środa
Dzień św. Stanisława, patrona Polski, obchodzony urzędowo, toteż sąd jest nieczynny. Tyle czasu już jestem w Kolnie, a jeszcze należycie kraiku Kurpiów czyli tzw. Puszczy – nie poznałem. Żałuję, że nie mam pod ręką żadnej monografii o Kurpiach i Puszczy, jeżeli taka istnieje. Wiem tylko o jednej książce, w której są rozdziały, poświęcone specjalnie Kurpiom i ich krajowi. Jest to książka, wydana w połowie ubiegłego wieku pod tytułem „Wędrówki po guberni Augustowskiej" Połujańskiego. O książce tej wiem raczej ze słyszenia, bo choć ją widywałem, nie czytałem jej w całku nigdy; dawniej zresztą, dopóki mię los na Kurpie nie rzucił, nie interesowałem się nimi specjalnie. Obecnie, bawiąc w Warszawie, widziałem tę książkę u Ludwika Abramowicza i nawet ją przeglądałem, ale tylko powierzchownie. Zdaje się zresztą, że większego znaczenia naukowego nie ma; jest to raczej twór dyletancki, przeznaczony za rodzaj przewodnika po tych ziemiach, które składały dawną gubernię augustowską, zaopatrzony w kompilację różnych wiadomości o naturze kraju, ludu i osad. Nie wiem, czy istnieje specjalna monografia o Kurpiach. Zdaje się, że literatura naukowa tego przedmiotu jest rozproszona fragmentami po różnych wydawnictwach zbiorowych. Przestudiowanie jej wymagałoby dłuższej pracy i możności korzystania ze środków pomocniczych (bibliotek itd.). Tu w Kolnie, w jednym z większych miasteczek na ziemi Kurpiów, niepodobna znaleźć żadnych książek, które by o Kurpiach traktowały. Nikt się tym tutaj widocznie nie zainteresował. W cytowanej książce Połujańskiego znalazłem też wzmiankę o teorii litewsko-jadźwińskiego pochodzenia Kurpiów, podnoszonej gdzieś w jakimś artykule w prasie periodycznej. Zdaje się jednak, że ta teoria jest raczej luźnym domysłem, niż opracowaną hipotezą naukową, takim samym domysłem, jak mój własny. Oczywiście żadnej wartości <u>naukowej</u> domysł taki mieć nie może; jest on oparty tylko na kilku przesłankach, bez uwzględnienia wszystkiego tego, co wiadomym jest o historii, o stosunkach społeczno-gospodarczych i kulturalnych, o pochodzeniu, folklorze itd. tego ludu. Naturalnie, że książki nie zastąpiłyby mi obserwacji bezpośredniej kraju i ludu, ale sama obserwacja też nie wystarczy do snucia jakichś tez ściślejszych; trzeba znać przeszłość kraju, jego formacje historyczne w sferze gospodarczej, społecznej, kulturalnej. Tu pomoc literatury jest duża. Ciągła bezpośrednia styczność z Kurpiami w sądzie oraz tych parę wycieczek służbowych na Puszczę, które dotąd miałem, dały mi wprawdzie pewne o ludzie tym pojęcie, pewną znajomość jego charakteru i cech najcharakterystyczniejszych, ale to jest dopiero niemowlęcy stan wiedzy. W typie fizycznym Kurpiów charakterystyczne są duże nosy, co szczególnie się charakteryzuje na twarzach młodych Kurpianek: szczupły wzrost, drobne rysy twarzy, oczy wyraziste, twarzyczka przystojna, a na tym tle ogromny, chociaż sam w sobie proporcjonalny i regularny nos. Na ten szczegół dużych wybitnych nosów zwróciła uwagę moją Maryńka i rzeczywiście nos ten jest charakterystyczny dla Kurpiów. Na małych postaciach kobiecych, o drobnych rysach twarzy, rzuca się to w oczy szczególnie; na ogół jednak duże nosy przeważają u wszystkich Kurpiów. Maryńka zwróciła na to uwagę przez duże podobieństwo typu fizycznego Kurpiów do typu rodziny naszego szwagra – Mieczkowskich. Szczególnie siostry Stefana, panna Mania i pani Michalina Starzyńska, mają ten charakterystyczny typowy nos kurpiowski; są one bliźniaczo podobne do całego mnóstwa Kurpianek. Pochodząc spod Mławy, z

przeciwległego końca Puszczy, z zachodnich kresów Kurpiów, mają one typ ten sam, co w okolicach Kolna, na wschodnim wylocie Puszczy. Jest to więc typ dla całości Kurpiów. Kobiet jest dużo ładnych, zgrabnych i zwłaszcza wyrazistych, o dużej sile charakteru, o woli wybitnej, o oczach stalowych, przypominających nieco typ ludów bałtyckich (Łotysze, Szwedzi, raczej Łotewki, Szwedki). Mężczyźni są na ogół mniej wyraziści od kobiet; w małżeństwach bardzo często dominują kobiety, prawdziwe Herod-baby, które w kozi róg zapędzają małżonka. Spryt jednak przebiegły i upór twardy charakteryzują Kurpiów z głębi Puszczy. Przeważają one nad werwą i wesołą skocznością Mazurów. Kurp jest od Mazura bardziej skupiony w sobie, mniej ekspansywny, ale wcale nie głupi i nie bierny. Kobiety są dwóch typów: drobne, o drobnych rysach z ogromnymi nosami, i rosłe, szczupłe, pięknie zbudowane, zachowujące piękność pełną wyrazu aż do starości.

9 maja, rok 1918, czwartek
Ciekawe rzeczy dzieją się na Ukrainie. Dokonany tam został, z pewnością nie bez wpływu Niemców, zamach stanu. Stara Rada została obalona, a jej miejsce zajęła dyktatura. Dyktatorem, czyli hetmanem z władzą nieograniczoną ogłosił się generał Skoropadzki. Program, ogłoszony przez niego, ma charakter wybitnie filogermański, społecznie zaś stanowi reakcję przeciwko radykalizmowi poprzedniego kierunku i zdaje się zbliżać do programu kadeckiego. Kasuje dawne zarządzenia agrarne poprzedniego rządu, wyłonionego z rewolucji, przywraca własność prywatną ziemską, a reformę agrarną stawia w ramy zbliżone do postulatów kadeckich. Ciekawa rzecz, co z tego będzie. Wszędzie więc, nie tylko w Polsce, ale zarówno na Ukrainie, jak na Litwie, dzieło, tworzone przez Niemców, idzie jak po grudzie. Wytwarzane przez nich formy, naginane do ich interesów, dają się utrzymywać tylko w drodze sztucznych kombinacji. Wszystkie te twory państwowe, pozostawione samym sobie, natychmiast z żywiołowym pędem rozwijają się w kierunku swych naturalnych dążeń, oddalając się od niemieckiego interesu, a nawet mu się przeciwstawiając. Trzeba Niemcom ciągle z nieustającą czujnością trzymać na nich łapę, aby je w dyscyplinie niemieckich interesów utrzymać. Tak przecież jednak wiecznie trwać nie może. Z chwilą, gdy łapa niemiecka sfolguje, gdy tutela okupacyjna spadnie, wszystkie się wyłamią. Dzieło, przez Niemców z takim trudem na wschodzie klecone, nie jest trwałe, jak nie jest trwałym nic, co naturę gwałci. Nie wrócą te kraje z pewnością do dawnej niewolnej przeszłości, do starego niewolniczego związku, któremu było na imię Rosja i carat, ale, raz wyzwolone, nie skierują się z pewnością do nowej niewoli, tym bardziej dla nich niepożądanej, że całkiem obcej, nie mającej żadnych podstaw nawet w najelementarniejszej sile inercji, która może jeszcze działać na rzecz starej niewoli rosyjskiej, lecz się rozwiną w kierunku własnych narodowych i kulturalno-gospodarczych potrzeb. Tylko przez aneksję, ale nie inną drogą, zdołaliby Niemcy utrzymać na wschodzie taki stan, jakiego pragną we własnym interesie. Zdaje się, że Niemcy tego nie rozumieją i spodziewają się fikcjami wolności utrwalić swoje panowanie. Nie umieją dostrzec, że dzieło ich się ciągle na każdym kroku rwie i że tylko sztuczną łataniną się utrzymuje. Są zbyt ufni w potęgę swojej woli, zbyt pewni tego, czego chcą.
U mnie dziś w mojej gospodareczce wielki wypadek: na piecu w gniazdku gołębim wykłuły się pisklęta.
Święto dzisiaj kościelne, sąd zamknięty. Przed obiadem zredagowałem w pewnej sprawie wyrok w formie ostatecznej, obstalowany dla apelacji. Sprawa jest bagatelna, zasądzono 18 marek i 3 marki kosztów sądowych. Apelacyjną jest ona tylko dlatego, że przedmiotem jej jest wynagrodzenie za pracę. Ale jeszcze apelacji w tak drobnej

sprawie dotąd mi się w moim sądzie nie trafiło. Po obiedzie zwiedziłem cmentarz żydowski. Ciekawe są pomniki na tym cmentarzu – wcale niebrzydkie płaskorzeźby na płytach kamiennych, zdobiące nagłówki tekstów, wyrytych na pomnikach: są tam lwy, ptaki, jelenie, zwierzęta fantazyjne, to znów dłonie rozwarte, wyciągnięte ku górze; na jednym dłonie te wspierają szczytami palców koronę, to znów trzymają przechylony kubek, z którego coś leją albo gaszą świecę palcami; na wielu są świeczniki, gdzieniegdzie świece złamane z gasnącym płomieniem; na jednym jest duża łódź żaglowa, na innym w koszyku bukiet kwiatów. Ozdoby te są przeważnie zaprawione barwami, litery zaś napisów niektóre złocone. Na sosnach, rosnących na cmentarzu, tłumy wron i kawek, które tu się gnieżdżą. Jest to wśród szczerych pól siedlisko umarłych Żydów i żywych wron. Gwarny kłótliwy szwargot tych ostatnich, pełny krakania i niespokojnego ruchu, jakby duchem symbolu owiewa miejsce wiecznego spoczynku tych, którzy sami szwargotem i ruchem życie ongi wypełniali.

10 maja, rok 1918, piątek
Dziś niezwykle długa sesja sądowa. Trwała ona z jednogodzinną przerwą obiadową do godz. 8 wieczorem. Wszystkie sprawy, które były na wokandzie, czy grubsze, czy zupełnie drobne – były skomplikowane i trudne, bardzo sporne, wymagające dużej pracy zarówno technicznej, jak myślowej. Ławnicy zasiadali – Stachelski i Jerozolimski.
Moi ławnicy starego powołania są już u schyłku swych atrybucji. Nowy komplet ławników, który ma być zatwierdzony przez prezesa Sądu Okręgowego na podstawie wyboru gmin i rady miejskiej miasta Kolna, jest już prawie skompletowany. Każda z trzech gmin, należących do rewiru mojego sądu, wybrała po dwóch kandydatów na ławników. Rada miejska Kolna wybrała na razie tyleż, ale ja interweniowałem u prezesa, aby z Kolna było czterech ławników (względnie dwóch ławników i dwóch zastępców), ponieważ ze względu na trudność powoływania ławników z gmin, odległych od sądu uważam za niezbędne posiadanie pod ręką w samej siedzibie sądu, w Kolnie, dostatecznego zapasu ławników, tym bardziej, że Kolno bądź co bądź da mi element względnie inteligentniejszy, dojrzalszy do trudnej sztuki sądzenia. Prezes mi przyrzekł, że się zwróci do rady miejskiej Kolna z poleceniem przedstawienia dodatkowo dwóch kandydatów. Obecnie już zostali wybrani na kandydatów: z gminy Czerwone – Najda z Zabiela i Karwowski z Tyczków; z gminy Turośl – Cieloszczyk, nie pamiętam z której wsi i Szymański z Łachy; z gminy Łyse – Orbik z Dudów i Pliszka z Dębów, z Kolna tymczasowo – Stachelski i Remba. Przy uzupełniających wyborach dwóch następnych kandydatów z Kolna staram się o wybór dotychczasowego ławnika Jerozolimskiego i aptekarza Gołaszewskiego. Z tej ogólnej liczby dziesięciu kandydatów prezes, po porozumieniu ze mną, mianuje połowę ławnikami i połowę – zastępcami. Na właściwych ławników projektuję: z Kolna – Stachelskiego i Rembę, z Czerwonego – Najdę, z Turośli – Cieloszczyka i z Łysych – nie wiem jeszcze którego, ale zapewne Pliszkę, bo ten jest gospodarzem, podczas gdy Orbik jest człowiekiem młodym, gospodarzem świeżej daty przez ożenek i przed wojną był sekretarzem u nadleśnego rosyjskiego; choć ma być sprytny, ale się obawiam, że na posadzie dawniejszej nauczył się do brania chaborów i będzie miał mniej powagi od gospodarza Pliszki. Z gmin będę powoływać normalnie na sesje tylko ławników, z Kolna natomiast na równi ławników i zastępców, do czego mam zupełne prawo. Tą drogą będę miał siedem osób do kompletowania sesji, co mi da 21 kombinacji kompletowych następujących: 1. Stachelski – Remba, 2. Stachelski – Jerozolimski, 3. Stachelski – Gołaszewski, 4. Stachelski – Najda, 5. Stachelski – Cieloszczyk, 6. Stachelski – Pliszka, 7. Remba – Jerozolimski, 8. Remba – Gołaszewski, 9. Remba – Najda, 10. Remba –

Cieloszczyk, 11. Remba – Pliszka, 12. Jerozolimski – Gołaszewski, 13. Jerozolimski – Najda, 14. Jerozolimski – Cieloszczyk, 15. Jerozolimski – Pliszka, 16. Gołaszewski – Najda, 17. Gołaszewski – Cieloszczyk, 18. Gołaszewski – Pliszka, 19. Najda – Cieloszczyk, 20. Najda – Pliszka i 21. Cieloszczyk – Pliszka. Jedna kolejka zajmie ze trzy miesiące sesji.

11 maja, rok 1918, sobota
Martwy dzień w sądzie – ani żywej duszy. Jak nie ma nic do roboty – nudno. Wysiedziałem sumiennie w sądzie do obiadu, potem parę godzin po obiedzie – i nie zgłosił się nikt. Pod wieczór byłem u Mystkowskiego na szachach, a wieczorem był u mnie z wizytą inspektor szkolny na powiat łomżyński, kolneński i mazowiecki, Jan Cynarski, który tu dość często zagląda do Kolna. Jest to były pepeesowiec, z przekonań najbardziej zbliżony do radykalnej lewicy niepodległościowej, znany działacz polityczny obozu niepodległościowego. Obecnie jako inspektor szkolny, a więc urzędnik, działalności specjalnie politycznej nie uprawia, ale w swojej akcji społeczno-oświatowej wyraża bardzo jaskrawe cechy tego kierunku, którego jest wyznawcą. Zgodnie z przysłowiem, że czym za młodu skorupa nasiąknie, tym na starość trąci, Cynarski w działalności swej ujawnia wszystko to, co było istotną naturą jego dawnych politycznych dążeń. Z lewicowości i radykalizmu pozostał u niego jaskrawy antyklerykalizm, którym szafuje, walcząc zaciekle z wpływami księży; demokratyzm jego wszakże nie jest istotny; jest on przede wszystkim nacjonalistą i państwowcem, hołdując kierunkowi społecznemu, znanemu pod nazwą etatyzmu. W tych kierunkach zmierza jego działalność na stanowisku inspektora szkolnego. Na zewnątrz użera się z Niemcami, których nienawidzi, wzajemnie zresztą, bo się ciągle z władzami okupacyjnymi szykanują nawzajem, wewnątrz zaś dąży do zmonopolizowania szkolnictwa w ręku państwa, do zabicia inicjatywy prywatnej, na której się opierają szkolne usiłowania klerykalizmu i w szczególności prowadzi ukrytą twardą walkę z Macierzą Szkolną, która tu opanowana jest przez księży pod możnym protektoratem pani Kisielnickiej z Korzenistego. W oczach księży jest on, zdaje się, wzorem zakały masońskiej w czynnikach rządowych polskich, jest żywym dla nich dowodem tej konspiracji rozkładowej, którą oni węszą nieufnie w polskiej państwowości świeckiej. Demokratyczny statysta Cynarski przypomina mi żywo tych działaczy rosyjskich w Polsce, którzy z czerwonych rewolucjonistów w Rosji stawali się najgorliwszym pionierami niwelacji państwowej, gdy się do Polski dostali. Gdyby Litwa czy Białoruś miały być do Polski wcielone, tacy Cynarscy byliby najzaciętszymi polonizatorami, najjaskrawszymi rzecznikami wszechpaństwowości i szkodnikami indywidualizmu krajów wcielonych, konkurując z dawnymi Milutinami w Polsce. Nawet w Polsce są oni w swojej działalności narzędziem centralizmu, stając się może bezwiednie pionierami biurokracji, choć wywodzą swą działalność z założeń ludowych i walki z klerykalizmem i szlachetczyzną. Są to ludzie przeciwnego bieguna radykalizmu robotniczego związków zawodowych. Ich metodą rewolucjonizmu – etatyzm.

12 maja, rok 1918, niedziela
Krążą jakieś pogłoski, że Rosja szykuje się znowu do wojny z Niemcami. Ile w tym prawdy – nie wiem. Wątpię zresztą zarówno w to, aby zdołała tak na poczekaniu stworzyć organizację wojenną, zdolną do regularnego oporu, jak w to, żeby zechciała się wdawać w nową awanturę wojenną, dopóki na jej czele stoją bolszewicy z ich metodą rewolucyjną.
Otrzymałem wczoraj list od Ludwika Abramowicza. Donosi mi, że zdołał przekonać swojego nowego szefa Radziwiłła, kierownika Departamentu Stanu, stanowiącego

właściwy nieurzędowy wydział polskiej dyplomacji i polityki zewnętrznej (nieurzędowej tylko wobec Niemców, którzy formalnie ograniczyli państwo polskie w stosunkach międzynarodowej polityki, ale najzupełniej urzędowy poufnie wobec Rady Regencyjnej) – zdołał, powiadam, przekonać go o konieczności zasadniczej zmiany stosunku względem kwestii państw litewskiego i białoruskiego. Zmiana ta ma polegać na tym, że Polska ma nie tylko zaprzestać przeciwstawiania się budowaniu państw Litwy i Białej Rusi i zerwać z polityką popierania opozycji Polaków litewskich w tej kwestii, ale ma nawiązać kontakt bezpośredni z odpowiednimi zawiązkami tych państw i zsolidaryzować się z akcją państwową litewska i białoruską. Przypuszczam, że to będzie nic więcej, niż zmiana metody, bo cel pozostanie zapewne ten sam – doprowadzić w jakikolwiek sposób do organicznego związku Polski z Litwą, względnie Białą Rusią. Wyrazem tej nowej metody, czy raczej jej pierwszym krokiem ma być mianowanie w Wilnie specjalnego męża zaufania do nawiązania bezpośredniego kontaktu z Litwinami (z Radą Krajową Litewską?). Tym mężem zaufania, który ma być niejako ambasadorem zewnętrznej polityki polskiej na Litwie, ma być Konrad Niedziałkowski z pokaźną pensją 1000 marek miesięcznie. Ludwik Abramowicz liczy, że sama ta pensja zwiąże Niedziałkowskiego, który, dbając o jej zachowanie, będzie powolnym narzędziem prądów pojednawczych i solidarystycznych, idących z Warszawy, choćby nie odpowiadały one całkowicie polityce lokalnej Polaków litewskich. Co do ewolucji politycznej w łonie Polaków litewskich, to Ludwik Abramowicz żadnych konkretnych informacji w tej chwili nie posiada, domyśla się wszakże, że to rozdwojenie, o którym pierwszą wieść przywiózł z Wilna po świętach Boguszewski i o którym pisałem w dzienniku, pogłębia się i rośnie, przeciwstawiając ostrej tendencji bojkotowej endeków prądy ugodowe w stosunku do Litwy na prawicy i lewicy Komitetu Polskiego w Wilnie. Jest to zresztą tylko domysł, ujmujący może nieco zbyt schematycznie rozwój stosunków i prądów w Wilnie. Co do wyboru Niedziałkowskiego na męża zaufania, to nie wchodząc na razie w ocenę osobistych jego kwalifikacji, zaznaczę, że pewnego rodzaju nielogicznością jest wyznaczenie takiego „ambasadora” narodu czy państwa sąsiedniego w osobie nie człowieka z Polski, lecz obywatela tego kraju, w którym ma on prowadzić politykę kraju sąsiedniego. Zresztą może w tych nieustalonych jeszcze i dopiero kiełkujących stosunkach państwowych Polski i Litwy anomalia ta ujdzie i nie obudzi tych szkopułów natury zasadniczej, jakie by obudziła w ustalonych normalnych stosunkach międzypaństwowych.

13 maja, rok 1918, poniedziałek
W gazetach ogłoszono tekst pisma cesarskiego Wilhelma, zawierającego formalne uznanie niepodległości Litwy. Jest to pismo, które zapowiedziane zostało w marcowej mowie kanclerza Hertlinga do delegacji litewskiej w Berlinie. Pismo cesarskie potwierdza wszystko to, co już wiadomym było z mowy kanclerza. Uroczyste uznanie niepodległości Litwy łączy się z zastrzeżeniem szeregu konwencji (wojskowej, celnej, monetarnej) oraz przejęciem przez Litwę części ciężarów wojennych niemieckich. Zastrzeżenie konwencji opiera się na rzekomym pragnieniu samej Litwy, wyrażonym w uchwale Taryby z d. 11.XII.1917 i zapowiedziane jest jako mające wypływać z kompromisu interesów niemieckich i litewskich w obopólnych układach, które mają nastąpić. Obiecuje się Litwie pomoc i poparcie Niemiec w odbudowie państwa, o które ona rzekomo prosiła. Tak wygląda ten akt, bądź co bądź historyczny, bądź co bądź wielki dla dziejów odrodzenia Litwinów. Najdonioślejszym jest samo uznanie pierwiastka państwa litewskiego. Mała Litwa, kraik niewolny, ledwie się budzący do odrębności narodowej, bez cienia praw politycznych – nagle otrzymuje swój międzynarodowy statut prawno-państwowy. Przed 3-4 laty, gdy wybuchła wojna i

nawet już po jej wybuchu, a cóż dopiero przed wojną – kto by o tym mógł marzyć na Litwie jako o fakcie bliskim, który nie na wieki i nie na dziesiątki lat, lecz na kilka lat pojedynczych był zaledwie odległy. Wojna nie skończona, nie wiadomo, w jakiej pozycji się znajdą Niemcy w chwili jej ukończenia. Kwestia konwencji Litwy z Niemcami, kwestia protektoratu niemieckiego, ubranego w formy „pomocy", kwestia tego, co niektórzy nazywają matkowaniem niemieckim, ukrywającym właściwie panowanie Niemiec nad Litwą jako etap ekspansji niemieckiej na wschód – to są rzeczy Litwie narzucone, rzeczy, które ona zmuszona jest znosić do czasu i których utrwalenie zależeć będzie od losów wojny i od zwycięstwa niemieckiego. Jeżeli to zwycięstwo nie zostanie utrzymane – prysną one. Pozostanie wszakże fakt państwowości Litwy. Ten jest zdobyczą najważniejszą i jedyną realną. Jest to precedens i etapowy historyczny punkt oparcia. Jest nadzieja, że te wszystkie dodatki konwencji, protektoratu, matkowania – nie utrzymają się, jak się nie utrzyma na stałe obecna dyktatura niemiecka na wschodzie. Zdawałoby się, że po tej proklamacji niepodległości Litwy powinna nastąpić budowa konkretna państwowości. Przykład jednak Polski wskazuje, że nie należy się łudzić co do pośpiechu. Dopóki trwać będzie wojna i ten stan obecny w stosunkach na wschodzie, ujarzmionych przez niemiecką politykę, upłynąć mogą miesiące, jeżeli nie lata, zanim budowane być zaczną pierwsze zręby litewskiej organizacji państwowej. Cierpliwości!
Po obiedzie byłem dziś na zebraniu zarządu Rady Opiekuńczej powiatowej, do którego należę (obecni byli: prezes Rady Kazimierz Kisielnicki z Korzenistego, członkowie zarządu Franciszek Stachelski i ja oraz płatny sekretarz Rady Litwiński); po zebraniu zarządu odbyło się zebranie komisji handlowej tejże Rady, do którego należymy Stachelski, ks. Budrewicz i ja. Litwiński przywiózł z Warszawy transport taniego ubrania, trykotów i pończoch oraz skarpetek do wyprzedaży za pośrednictwem Rady. Towary te pochodzą z wyrobów, zarekwirowanych przez Niemców w Łodzi i ustąpionych w pewnej ilości Radzie Głównej Opiekuńczej. Wobec dzisiejszej drożyzny wyrobów sukiennych i płóciennych jest to skarb i dobrodziejstwo dla ludności. Komisja nasza ustaliła ceny sprzedażne tych wyrobów. Ja sam nabyłem pół tuzina skarpetek i pończoch i jedne ciepłe trykoty dziecinne, które przerobię sobie na koszulę.

14 maja, rok 1918, wtorek
W gospodarce mojej katastrofa. Od kilku dni w gniazdku moich gołębi wykluły się pisklęta. Oboje rodzice bardzo starannie piastowali swoje potomstwo. W nocy siedziała zawsze w gniazdku samica, we dnie zaś, gdy schodziła z gniazdka, miejsce jej zajmował natychmiast samiec. Słowem – była to najprzykładniejsza para rodziców, równie czuła w uczuciach rodzicielskich, jak w porze miodowych zalotów – w miłości i pieszczotach małżeńskich. Zdawało mi się, że gniazdko z pisklętami będzie dla nich taką atrakcja, iż mogę już śmiało pozwolić im na wylatywanie na dwór, bo niechybnie do gniazdka powrócą. Raz, gdy jeszcze samiczka siedziała na jajkach, zrobiłem to doświadczenie z samcem: wypuściłem go, zostawiając okno otwarte, ale niecnota, wyleciawszy, ani myślał o powrocie: zaczął się wdawać w zaloty do licznej rzeszy cudzych małżonek z sąsiedniego gołębnika Mintzów, na noc zaś poleciał do gołębnika, z którego pochodził, skąd go kupiłem – do gospodarza Albina Stachelskiego. Stamtąd go odebrałem w nocy i odtąd już okna nie otwierałem. Wczoraj wszakże, licząc na miłość macierzyńską do piskląt, otworzyłem okno, gdy samiczka fruwała po kuchni, a jej małżonek siedział w gniazdku. Wyleciała, ale powrócić czy nie umiała, czy też nie pragnęła. Pozostał w mojej kuchni samotny wdowiec słomiany; ten do wieczora dość gorliwie wytrwał na stanowisku, strzegąc piskląt, choć się chwilami niepokoił nieobecnością żony; na noc wszakże zszedl z gniazdka, przyzwyczajony do tego, że noc

do obowiązków jego nie należała. Zapadł mrok, samiczka nie wróciła. Wezwałem na pomoc Ranika, który wraz z młodym Mintzem zarządził poszukiwanie samiczki, zakończone wszakże fiaskiem; znaleźli ją wprawdzie w gołębniku Mintzów, ale się im wymknęła i nocowała gdzieś na dachu. Dziś rano jedno z piskląt było już nieżywe; nieopierzone maleństwo zaziębiło się w nocy i zdechło. Ranik z Mintzem używali różnych sposobów, by zwabić lekkomyślna matkę, ale wszystko na próżno. Wreszcie zabrali gniazdko z pozostałym pisklęciem wraz z samcem i zanieśli je do gołębnika Mintzów, licząc na to, że samiczka wróci do małżonka i znajdzie swe gniazdko. Na próżno. Aż wreszcie wieczorem dzieci gospodarza Albina Stachelskiego przyniosły mi oboje moich gołębi, które na noc przyleciały do ich gołębnika: samiec, pochodzący z tego gołębnika, przywiódł tam małżonkę na nocleg. Mintz odniósł mi ze swego gołębnika pisklę, które jeszcze żyło. Złożyliśmy je na słomie na piecu, tam gdzie było poprzednio gniazdo. Przynieśliśmy samiczkę do pisklęcia, ale siadać na nim nie chciała. Zachowała się względem niego zupełnie obojętnie, jakby go wcale nie było. Gdy ją puszczono, uciekła i poszła na miejsce, gdzie zwykle nocuje samiec. Widocznie już nie poznała swego dziecka albo zapomniała o nim. Ani się zbliżyła do niego. Maleństwo zdechnie z głodu i chłodu, nie ma na to rady. Znowu trzeba będzie zaczynać od początku: od miłości, gruchania, całusów, pieszczot, potem od jajeczek i nowych piskląt. Znowu kilka tygodni, nim się doczekam młodzieży mego chowu. A już się tak cieszyłem z tych piskląt, które za dni 10 już by latały.
W sądzie napływ spraw jest wciąż dość duży. Zaczynają teraz wpływać sprawy uchodźców, którzy powrócili z Rosji. Zaczynają dochodzić swego inwentarza żywego i martwego, który przywłaszczyli sobie sąsiedzi lub krewni. Tylko że dziś ceny na wszystko są tak wysokie, że w stosunku do nich właściwość sądu pokoju, ograniczona sumą 1000 marek wartości powództwa, zamyka im prawie całkowicie możność korzystania z tego sądu; ponieważ zaś zwracanie się do Sądu Okręgowego w Łomży jest dla chłopów ze względu na samą odległość niedogodne, więc wielu z nich obniża sztucznie szacunek poszukiwanych przedmiotów, zwłaszcza koni i krów, byle sprawę w bliskim sądzie pokoju prowadzić.

15 maja, rok 1918, środa
Wielka i sensacyjna nowina. Nie czytałem jeszcze o tym w gazetach i nie wiem dokładnie, w jakiej formie to zostało ustalone, ale trąbi o tym od samego rana całe Kolno, zarówno Niemcy w powiecie, jak Żydzi i Polacy. Opowiadają o tym jako o fakcie całkowicie postanowionym. Jak wiadomo, cesarz Karol austriacki jeździł w tych dniach do Głównej Kwatery Niemieckiej. Tam zapadła, jak mówią, ostateczna decyzja układu Niemiec z Austrią o losach Polski, które załatwione zostały w kierunku formuły tzw. austro-polskiej. To znaczy – Niemcy zrzekają się wszelkich pretensji i wszelkiego interesowania się Polską i wycofują się z niej, Polska zaś ma w drodze samodzielnego układu z Autro-Węgrami, bez ingerencji niemieckiej, wejść w związek z Austrią i Węgrami na zasadach federacji czy unii. Jeżeli to prawda, to nie wiem, jak to rozwiązanie przyjęte zostanie w Polsce. Austria przez czas wojny straciła w Polsce dużo na popularności i aureoli, a zwłaszcza w ostatnich czasach w związku z Traktatem Brzeskim z Ukrainą i sprawą chełmsko-podlaską. Zdaje się jednak, ze z dwojga Polska będzie bardziej skłonna do kombinacji państwowej z Austrią, niż do protektoratu niemieckiego. Kombinacja taka może być przyjęta jako forma wyzwolenia od Niemiec, którym nikt nie ufa i których wszyscy się boją i nienawidzą. Austrii nie szanują, nie kochają, lekceważą z odcieniem pogardy, ale się jej nie boją. Mają wszyscy świadomość jej niedołęstwa, czują w niej, przepraszam za wyrażenie wulgarne, kurwę, z którą ostatecznie wszystko się da zrobić, byle się czegoś mocno chciało. W związku

federacyjnym z Austrią Polska nie tylko zyska połączenie Królestwa z Galicją, ale i szerokie wpływy i oparcie dla swej polityki. Faktycznie będzie o wiele więcej niezależna i silna, niż „niepodległa” i mała, odosobniona i tuteli niemieckiej poddana. Tak przyjmują tę wieść w Kolnie, gdzie się wszyscy z tego cieszą. Tutaj mają zresztą szczególny wzgląd do radości, bo jeżeli Niemcy zrzekają się na rzecz Austrii wszelkiej ingerencji w losy Polski i wycofują się z niej, to przez to samo upada największe niebezpieczeństwo, pod którego groźbą żyła dotąd ta część kraju – niebezpieczeństwo aneksji linii Narwi na rzecz Niemiec, chociaż w istocie za wykluczone uważać tego jeszcze nie można. Sądzę, że najbardziej wrogo przyjmie sprawę ewentualnego związku Polski z Austrią tzw. lewica niepodległościowa, która szczególną ma do Austrii ansę. Podobno Niemcy mają się całkiem wycofać z Polski na rzecz okupacji austriackiej do 15 lipca. To rozwiązanie sprawy polskiej zostało w drodze specjalnego układu Austrii z Niemcami w Głównej Kwaterze; w tymże układzie Austria zobowiązała się uroczyście do wytrwania w wojnie i do dalszej czynnej pomocy Niemcom. Znane są coraz mocniejsze dążenia Austrii do pokoju za wszelką cenę, jej usiłowania wprost do wyłamania się z polityki wojennej niemieckiej i jej rozpaczliwy stan anarchii i wrzenia wewnętrznego, bliskiego wybuchu. Widocznie cesarz Karol przybył do Głównej Kwatery Niemieckiej, by już omówić jakoś kategorycznie stan rzeczy i tak lub inaczej coś ustalić. Wytrwanie Austrii kupione zostało przez Niemcy za cenę Polski, za cenę rozgraniczenia wpływów, zamykając niemieckie w sferze Bałtyku, to znaczy Litwy, Kurlandii, Inflant itd. i oddając Polskę w wyłączną Austro-Węgier sferę oddziaływania. Zobaczymy, co z tego będzie i jakie się konsekwencje rozwiną. W każdym razie, tutaj u nas cieszą się z tego wszyscy.
Otrzymałem dziś kartkę od Maryni. Pisze, że Stefuś już ma pozwolenie na przyjazd do Kolna i w najbliższym czasie przyjedzie. Z obecności jego tutaj nawet się cieszę, tylko się trochę obawiam nadmiernego wzrostu wydatków i szczególnie tego, żeby nie zaczął tu znowu uprawiać jakichś malwersacji. Będzie on także poniekąd dla mnie kulą u nogi co do ewentualnego powrotu do Litwy, ale nie spodziewam się, niestety, aby to prędko nastało, a tymczasem może go gdzieś zdołam zalokować, na przykład przy przechodzeniu administracji w ręce polskie.
Dziś miałem sesję wyłącznie karną z ławnikami Kocikiem i Jerozolimskim. Jutro może o niej napiszę, bo była dla mnie interesująca.

16 maja, rok 1918, czwartek
Wczoraj miałem sesję sądową, poświęconą wyłącznie sprawom karnym. Obecnie zamierzam stale, o ile to będzie wykonalne, oddzielać sprawy karne od cywilnych i od czasu do czasu wyznaczać dla nich sesje specjalne. Ze względów technicznych jest to dogodniejsze już chociażby dlatego, że sprawy karne wymagają innej metody sądzenia niż cywilne i że przeto mieszanie ich i przeplatanie wpływa ujemnie na samą czynność sędziowską. Poprzednio nie lubiłem spraw karnych, obecnie wszakże zaczynam w nich gustować również. Mają one swój odrębny charakter, swój koloryt bardziej ostry i nerwowy od cywilnych, chociaż myślowo płytszy. Wśród dziewięciu spraw karnych, które sądziliśmy wczoraj, były trzy z publicznego oskarżenia (usiłowanie oszustwa, kradzież kury i szmalcu i kradzież drzewa) i pięć – z oskarżenia prywatnego (przeważnie zniesławienie i jedna – brutalne obchodzenie się z ojcem). W sprawach karnych z publicznego oskarżenia, które przeważnie są skierowywane do sądu z niemieckiego urzędu powiatowego na podstawie protokołów policyjnych i żandarmskich, zastosowałem metodę oskarżenia taką, że porozumiałem się z naczelnikiem powiatu, aby wyznaczył na stałe jednego z urzędników swoich do popierania w sądzie oskarżenia w tych sprawach. Naczelnik powiatu wyznaczył do tego

niejakiego Zembrodta, referenta spraw policyjnych w powiecie, umiejącego trochę po polsku. Wczoraj Zembrodt po raz pierwszy stawał w sądzie w tej roli. Nie bardzo zresztą orientował się w swych zadaniach i więcej figurował, niż oskarżał czynnie. W pierwszej sprawie – o usiłowanie oszustwa – był oskarżony niejaki Zabielski, młody syn gospodarski z powiatu szczuczyńskiego; w jesieni, w czasie rekwizycji kartofli, przywiózł on do Kolna na stację kolejową furę kartofli; wydano mu kartkę, w której zaznaczono, że waga brutto dostarczonych kartofli wynosiła 14 centnarów, tara, to znaczy do potrącenia – 4 centaury i waga netto do uregulowania należności – 10 centnarów (14 – 4 = 10). Zabielski, chcąc otrzymać zapłatę większą, przerobił w ostatniej pozycji (netto) zero na piątkę; dwóch zaś poprzednich cyfr (brutto – 14 i tara – 4) nie przerobił, netto po przerobieniu wypadło – 15. Przez głupotę nie rozumiał, że fałszerstwo takie wykazuje oczywisty błąd w rachunku i samo się oskarża. Z kartką udał się do kasy powiatowej po zapłatę. Tam naturalnie spostrzeżono natychmiast błąd i Zabielski, przyparty do muru, przyznał się do fałszu. Sprawa była u sędziego śledczego i nie wiem dlaczego, wbrew oczywistości, zamiast fałszu uznano w tym czynie tylko usiłowanie oszustwa, które należy do właściwości sądu pokoju. Sędzia śledczy i prokuratura doszli zgodnie do tego wniosku i sprawę skierowano do mnie. Nie podniosłem tej kwestii i przyjąłem sprawę do rozpoznania z mocy oskarżenia o usiłowanie oszustwa. Goldberg w obronie żądał uniewinnienia, powołując się na to, że usiłowanie oszustwa było tu dokonane za pomocą środka oczywiście niezdatnego, płynącego z ciemnoty, które to usiłowanie jest w tych warunkach niekaralne. Sąd jednak stanął na innym stanowisku i dopuszczając złagodzenie, wymierzył karę 2 tygodni aresztu. Druga sprawa była o kradzież zarzniętej kury i 5 funtów szmalcu z szafy w sieniach. Oskarżoną była młoda 21-letnia Żydówka, Chawa Wosk. Nie złapano jej bezpośrednio na kradzieży, ale były poszlaki. Sprawa budziła pewną sensację wśród Żydów, których się sporo zebrało na sali, by posłuchać rozprawy i wyroku. Zarówno wzgląd na osoby pokrzywdzonych i oskarżonej, wszystkich – Żydów miejscowych, jak wzgląd na sam rodzaj przestępstwa, pospolity, ale obchodzący wszystkich, bo kradzieże takie są plagą gospodarstwa domowego, zainteresowanie było wielkie. Goldberg, opierając się na braku bezpośrednich dowodów winy, żądał uniewinnienia Chawy Wosk. Sam Zembrodt zrzekł się oskarżenia, motywując tym, że wina nie dowiedziona. Zrzeczenie się oskarżenia Zembrodta zbytnio nas nie wzruszyło. Znając tego człowieka, który jest brutalem, który obchodzi się z ludźmi jak bydlę, bije aresztowanych, nie krępuje się żadnymi względami ludzkości, a bierze łapówki i w ogóle żadnej etyki nie posiada, domyślaliśmy się raczej, że od oskarżonej albo otrzymał łapówkę, albo daninę w naturze, bo jest młodą i przystojną, a o moralności jej różne chodzą wersje. Uznaliśmy też oskarżoną za winną kradzieży i ponieważ okoliczności łagodzących znaleźć nie było można, wymierzyć jej musieliśmy najniższą karę ustawową w postaci 3 miesięcy więzienia; zdając sobie wszakże sprawę z tego, że stosowanie tej kary byłoby za srogim w stosunku do winy oskarżonej, zastosowaliśmy dwuletnie zawieszeni wykonania wyroku. Pierwszy raz w mojej praktyce to zastosowałem, ale, zdaje się, udatnie. Wyrok był przyjęty przez publiczność z dużym uznaniem. Reszta spraw była przeważnie drobiazgiem, choć także na ogół sprawy były dość ciekawe. Ruch spraw w sądzie jest wciąż duży. Dopływ nowych spraw coraz to wzrasta, że aż się obawiam nadmiernego wzrostu zaległości. Ale nie przykrzę tym bynajmniej.

Miałem dziś znowu list od Maryńki. W liście jej jedną rzecz, przyjemną dla mnie, wyczytałem, z której się ucieszyłem serdecznie. Okazuje się, że głównym motywem Papy w jego niechęci do mojego powrotu do Wilna jest nie wrogi stosunek do Litwy i do mego ewentualnego udziału w państwowej robocie litewskiej, ale nade wszystko

pospolity wzgląd na pieniądze, abym nie tracił mojego zarobku tutaj i nie spadł ciężarem na kieszeń Papy. Dzięki Bogu, że tylko to.

17 maja, rok 1918, piątek
Po chłodnej pierwszej połowie maja dzisiaj pierwszy upalny, prawdziwie letni dzień. Brak deszczów, susza niezwykła. Susza ta oraz duże i częste przymrozki majowe zaszkodziły bardzo na zboża, warzywa, sady owocowe i porost łąk. Straty z tego tytułu już w każdym razie będą znaczne w bilansie gospodarczym roku bieżącego.
Miałem dziś sesję w sądzie z ławnikami Stachelskim i Kocikiem. Z dziewięciu spraw, samych cywilnych, które były na wokandzie, trzy spadły automatycznie z wokandy za niestawiennictwem stron, dwie zostały zasądzone i cztery – odroczone z różnych względów. Dawniej lubiłem nieraz odroczenie sprawy, bo w ten sposób dłużej ona żyła i stawała się bardziej znajomą. Teraz, wobec dużego ciągłego dopływu nowych spraw, sprawy odraczane zwiększają tylko niezmiernie ogólną ilość spraw, będących w toku. Nie tylko dopływ nowych spraw, ale i ogólna ilość będących w toku – wzrasta z miesiąca na miesiąc. Nagromadzenie robi się z tygodnia na tydzień coraz większe. Co tydzień zbiera się do wyznaczenia spraw nowych i odroczonych znacznie więcej, niż zostało w tygodniu rozpoznane. Robi się coraz wyraźniejszy zator spraw, co wpływa na opóźnienie w wyznaczaniu, ich na wokandy i coraz uciążliwsze załatwianie zaległości. A że w lipcu i sierpniu wypadnie z konieczności ograniczyć sesje, aby ludzi w czas roboczy nie włóczyć nadmiernie po sądach, więc na oczyszczenie zatoru w rychłym czasie liczyć trudno. A tymczasem potrzeba odraczania spraw jest bardzo częsta, szczególnie w sprawach chłopskich, w których strony nie umieją sobie dać samodzielnie rady z podaniem dowodów w porę, a znów rozstrzyganie tych spraw bez wyczerpania możliwości dowodowych, chociaż formalnie nie tylko dopuszczalne, ale nawet niby zasadne, o ile niedostarczenie tychże nastąpiło z winy strony, która w procesie cywilnym kontradyktoryjnym powinna sama dbać o to, aby wszystko było na czas przygotowane, byłoby jednak w praktyce przeważnie niesprawiedliwe.
Dziś były sprawy przeważnie chłopskie ze wsi, kłótliwe, zaciekłe, często nudne.
Z Moskwy przyjechał do Kolna syn obrońcy sądowego Goldberga. Opowiada niestworzone rzeczy o anarchii i gwałtach bolszewików. Jest ich wrogiem, ujawniając sympatie do kierunku Kiereńskiego. Wśród Żydów tutejszych, którzy mają jakiś instynkt sympatii i uznania dla bolszewików (poniekąd nawet dla osoby Trockiego oraz innych Żydów, stojących na czele bolszewizmu), relacje młodego Goldberga budzą sensację i pewnego rodzaju decepcję; wielu z nich sprzecza się z nim i nie wierzy mu. Za to stary Goldberg patrzy w syna jak w gwiazdę i każde jego słowo za nieomylną prawdę przyjmuje. Tłumy Żydów odwiedzają Goldberga, by usłyszeć coś od młodego wędrowca. Jest on pierwszym w Kolnie, który przyjechał z nieokupowanych terenów Rosji i do tego – z samej Moskwy. Chłopiec jest bardzo sympatyczny; po polsku też – rzecz dziwna – mówi wcale nieźle, lepiej od ojca, choć był w gimnazjum ultrarusyfikacyjnym w Chełmie, potem po ewakuacji kończył je w Orle i na uniwersytecie był w Moskwie. Nie chce wracać do Moskwy; chciałby się dostać na dalsze studia do uniwersytetu w Warszawie. Przyjazdu z Moskwy dokonał w ciągu przeszło tygodnia. Najtrudniejsze etapy podróży – to Orsza, gdzie leży granica nowej okupacji niemieckiej i Mińsk, skąd trzeba uzyskać specjalne pozwolenie na wjazd do krajów starej okupacji, krajów, już formalnie na mocy traktatu od Rosji oderwanych.

18 maja, rok 1918, sobota
W tym roku potwierdziło się w pełni to, co mówi doświadczenie ludowe, że dopiero po trzech świętych ogrodnikach – Serwacym, Bonifacym i Pankracymm – gospodarz może

być pewny lata i nie bać się więcej przymrozków. Po tych trzech świętach powietrze się ogrzało i zaczęło się wreszcie – lato. Od paru dni, po chłodach z pierwszej połowy maja, nastały upały. Dziś było gorąco i duszno. Jednak w braku deszczu natura roślinna nie może całkowicie ciepła wyzyskać; wysusza ono ziemię jeszcze więcej, co tamuje porost lub prowadzi do przedwczesnego uwiądu. Wszystko spragnione wody. Dziwnie, że nie słychać jeszcze o pożarach leśnych na Puszczy. Dzień mi dziś upłynął, pomimo rozleniwiającego upału, w intensywnej pracy w sądzie. Od rana do wieczora miałem robotę. Rano miałem ekspertyzę sądowo-lekarską poszkodowanego Banacha, zranionego nożem w szyję, do której wezwałem naszego nowego lekarza powiatowego, dr Dąbrowskiego. Potem musiałem przesłuchać czterech młodych Żydów, sprowadzonych w tym celu z aresztu, w którym osadzeni zostali przez policję niemiecką (raczej przez żołnierzy, pełniących tu policyjne funkcje) pod zarzutem kradzieży. Wskutek tego spóźniłem się na obiad, a po obiedzie miałem jeszcze sporo roboty bieżącej, tak że dopiero o godz. 7 wieczorem, pracując bez wytchnienia przez dzień cały, wyszedłem z sądu. Dr Dąbrowski, nowy lekarz powiatowy w Kolnie, wrócił świeżo z Rosji, dokąd był uciekł przed przyjściem Niemcom. Dwa ostatnie lata spędził w Mińsku. Pytałem go, czy nie poznał tam Kotuni Pruszanowskiej i jej rodziny. Osobiście Kotuni nie zna i nie bywał u niej, ale przypomina sobie, że w szkole polskiej, w której był nauczycielem chemii, miał dwie uczennice Pruszanowskie, a córka jego kolegowała z nimi i zna je dobrze oraz wie, że nosiły imiona Ireny i Józi. Są to więc akurat Kotuńki córki – Irka i Józia, z których pierwsza kończy w tym roku już lat 19, druga – 17. Nie poznałem jeszcze córki dr Dąbrowskiego; gdy ją poznam, będę musiał się o moje siostrzenice rozpytać.

19 maja, rok 1918, niedziela
Zielone Świątki. Postanowiłem wybrać się na wycieczkę w okolice, korzystając z dwóch dni wolnych. Chciałem być w Koźle, a jutro w Wincencie, dokąd mię Kocik zaprosił. Aby nie robić zbytecznych nakładów drogi, zamierzałem, korzystając z ciepła, przespać noc w lesie pod Kozłem i nazajutrz udać się do Wincenty, nie wracając do Kolna. W Koźle chciałem odwiedzić pp. Śniegockich, rodzinę inteligencką (Śniegocki ma w Koźle browar, obecnie w czasie wojny nieczynny) i pp. Litwińskich, którzy spędzają tam lato. Z Kolna wyszedłem dobrze po obiedzie, między godz. 4 a 5. Zamiast iść szosą na Czerwone, poszedłem sobie małą dróżką polową, prawie ścieżką, przechodzącą przez stacyjkę kolejki wąskotorowej turośláńskiej. Dróżkę tę poznałem z moich bliższych spacerów pod Kolnem i z kierunku jej sam wymiarkowałem, że potrafię dojść nią do Kozła. Szedłem wśród pól żytnich, już wykłosowanych, pachnących. Zapach tych młodych fioletowych kłosów budził we mnie tęsknotę, połączoną z jakimś uczuciem radosnym, którego nie mogę określić. W zapachu pól żytnich jest coś ze wspomnień dziecinnych, coś, co pomimo tęsknoty nie budzi jednak smutku. Upał i parne powietrze potęgowały aromat. Niebo się zachmurzało i zdawało się, że się zbiera na upragniony deszcz. Szedłem wśród przecinających się i rozwidlających dróżek i ścieżek, mając w perspektywie z boku szosę czerwońską i potem przed sobą linię lasu koźlańskiego, co mi ułatwiało orientowanie się w kierunku. Liczę, że tą dróżką skróciłem sobie drogę przynajmniej o wiorstę. Wreszcie wszedłem w las sosnowy, pachnący w upale jak roztopiona lotna żywica. Posiedziałem w lesie nie spiesząc. Pod samym Kozłem wyszedłem na gościniec z Czerwonego. Chmurki, które się zbierały, rozproszyły się i słońce miało się ku zachodowi w pogodzie znowu zupełnej. Piękny jest Kozioł, wieś, zabudowana wzdłuż Pissy na piasku, tonąca, pomimo piasku, w zieleni drzew, które rosną tu smukłe i wysokie, w krzaczastych gęstwinach ogrodów i bzów. Jak Karlsbad w miniaturze, tak Kozioł wydłuża się wzdłuż

rzeki poza ścianą wzgórz równoległych. Idealne tu miejsce na lato: wstęga bystrej rzeczki, smuga zielona nadrzecznych łąk, piasek, ogrody i domy wśród drzew i tuż obok las sosnowy. Płyną echa głosów ludzkich po tafli wód i uderzają o ściany lasów. Oto sunie rzeką długa płaskodenna łódź, pełna młodzieży na świąteczną rozrywkę: dziewczęta śpiewają; śpiew płynie po rzece w pogodnym rechocie. Ale co to za śpiew? Nie słyszę w nim skocznych mazurskich tonów ani tej figlarnej tonacji polskich śpiewek ludowych: w melodii jest przeciągłość i smutek, coś szerokiego i mocnego bez kresów, co mi przypomina pieśń białoruską. Mówią mi, że to pieśń Kurpiów. Ich piaski stworzyły ich pieśni, odrębne od natury pieśni polskich. Poszedłem po niejakim czasie do Śniegockich. Stary Śniegocki jest w stanie coraz gorszym: paraliż postępowy i tabes coraz widoczniejszy: język jego się plącze i jest już niewyraźnym bełkotem, chód – w rodzaju dziwacznego tańca nieskoordynowanych ruchów nóg; iść może tylko podtrzymywany przez kogoś; prawdziwa ruina człowieka. Dwaj jego synowie – bardzo mili młodzi ludzie, bliźnięta; jeden z nich jest budowniczym i objął niedawno posadę w powiecie, drugi – niedawno wrócił z Rosji i siedzi bez zajęcia, robi starania o uruchomienie browaru, względnie myśli o powrocie do Rosji i ewentualnie wstąpieniu do szeregów Dowbora-Muśnickiego. Córka Śniegockich – narzeczona młodego aptekarza Gołaszewskiego, w przyszłości p. aptekarzowa w Kolnie, niebrzydka dziewczynka, miła, ma długie ładne włosy. U Śniegockich byłem na kolacji: doskonałe kwaśne mleko, twaróg, gomółki sera ostrego z kminem, chleb pytlowy domowego pieczywa, bułka, chrust, herbata. Na herbacie u Śniegockich był Litwiński, który mię potem zabrał do siebie. U niego także piłem herbatę z domową bułką świąteczną. Było już po godz. 10, gdym wyszedł od Litwińskiego. Nie mówiłem mu o moim zamiarze nocowania w lesie, bo byłby mię zapewne zatrzymywał na noc u siebie, a to by mu kłopot sprawiło, bo na letnisku zawsze jest ciasno. Mówiłem mu, że wracam do Kolna na Wincentę. Wyszedłem w kierunku Wincenty na Kozioł i spróbowałem się położyć w lesie. Z Pissy w dole i z błotek nadrzecznych łąk prześlicznie huczały chóry żab, jedne z najulubieńszych moich wiosennych melodii natury naszego klimatu. Ale było mi zimno w lesie, a co więcej – zaczęły dokuczać komary. Próbowałem się wygodniej ułożyć i zasnąć, ale darmo. Wreszcie o godz. 11 wstałem z postanowieniem powrotu na noc do Kolna. O dalszych moich tej nocy wędrówkach – jutro.

20 maja, rok 1918, poniedziałek

Opiszę moją noc wczorajszą w lesie. Nie mogąc usnąć z powodu chłodu i komarów, postanowiłem dać za wygraną i wrócić do Kolna, do mego łóżka. Była godz. 11 wieczorem. Zawróciłem, przeszedłem przez Kozioł i zamiast pójść gościńcem na Czerwone, z którego to gościńca w lesie można skręcić na boczną dróżkę w prawo, skierowałem się z Kozła wprost w prawo drogą, którą ujrzałem. Droga ta szła brzegiem lasu. Liczyłem, że nią się pewniej dostanę do bocznej dróżki na Kolno, niż zbaczając z gościńca w lesie, gdzie po ciemku wśród mnóstwa drobnych ścieżek i dróżek mógłbym błądzić. Tymczasem las się tu wyginał i idąc obraną drogą szedłem, jak się okazuje, wzdłuż Pissy w dół rzeki. Po niejakim czasie droga moja odchyliła się od lasu i rychło wszedłem w obręb jakiejś ładnie położonej i, o ile dojrzeć mogłem w nocy, porządnie zabudowanej i czystej wioseczki, do której się wchodzi głębokim wąwozem. Nie miałem pojęcia, co to za wioska i gdzie jestem. Przeszedłem przez wioskę i podążyłem dalej, licząc, że przecież, trzymając się już teraz kierunku na lewo, wyjdę gdziekolwiek na dróżkę do Kolna. Wioska, na którą natrafiłem, była, jak się dziś od Kocika dowiedziałem, Górszczyzna, jedna ze sznura wiosek nad Pissą (sznur Wincenta-Kozioł-Górszczyzna-Waszki-Dudy-Charubiny-Ptaki). Droga moja szła dalej ponad łąkami, które są doliną Pissy. Gdybym szedł prosto, wyszedłbym na Ptaki, skąd jeszcze 7 wiorst

do Kolna. Zdawałem sobie sprawę, że grozi mi niebezpieczeństwo zbłądzenia w kierunku Ptaków lub Zabiela, wobec czego szukałem kierunku na lewo. Spotkałem dwie rozwidlone drogi; wybrałem lewą; potem natrafiłem na jakąś drogę poprzeczną; skręciłem na nią jeszcze na lewo. Drogą tą wszedłem w jakieś zarośla, w jakiś lasek młodej karłowatej sośniny z rzadkimi gdzieniegdzie pojedynczymi drzewami. Brnąłem przez piachy coraz dalej, coraz głębiej; z boku gdzieś odzywały się żaby, ponad zaroślami przelatywały głucho sowy; lasek zarośli nie miał, zdaje się, końca. Skończyło się wreszcie, ale przed sobą miałem jakieś pustkowie, w którym nic mi orientowania się nie ułatwiało. Czułem, że zbłądziłem. Lasek ten był, jak się dowiedziałem dziś od Kocika, tzw. „Górczyniak". Widząc, że błądzę i tracę kierunek orientacyjny i bojąc się, bym nie zaszedł gdzieś daleko na Ptaki lub Zabiele, postanowiłem wrócić do Kozła. O godz. 1 po północy dotarłem zmachany do koźlańskiego lasu za Górszczyzną. Tu się położyłem na skraju lasu i choć było zimno, zasnąłem. Spałem godzinę. Gdym się obudził, było 5 minut po drugiej. Był przedświt. Rychło całe powietrze, pogrążone jeszcze w mroku nocnym ledwie szarzejącym brzasku, napełniło się gwarem pieśni niezliczonych skowronków. Nie miałem już po co wracać do Kolna. Postanowiłem w myśl mego pierwotnego planu udać się do Wincenty. Byłem zziębnięty i zmęczony bezsennością. Dnie są gorące, wieczory rozkosznie ciepłe; gdy się śpi w domu, zdaje się, że noce są równie ciepłe. Tymczasem w polu jest jeszcze w nocy dobry chłodek. O świcie i poranku szedłem do Wincenty, dokąd przyszedłem o wschodzie. Kocik jeszcze naturalnie spał. Nie budziłem go; kręciłem się koło jego domu, wreszcie usiadłem, a potem położyłem się na ławeczce przed sąsiednim domem gospodarskim w promieniach słońca. Zasnąłem. O godz. 7 obudził mię Kocik, uprzedzony przez sołtysa o mojej obecności. Zaraz mię zaprowadził na śniadanie, złożone z mleka, chleba i ogromnej porcji doskonałej jajecznicy na maśle. Potem była jeszcze kawa, po której Kocik poszedł ze mną w pole na przechadzkę dla obejrzenia swych zasiewów. Uszliśmy ze 4 wiorsty na tym spacerze. Po powrocie wśród upału, który nastał, byłem tak senny, że nie byłem w stanie rozmawiać i co chwila, jak pijany, zasypiałem siedząc. Tak się doczekałem wyśmienitego obiadu gospodarskiego, na który się złożyły: świetny szczawik na wieprzowinie, suto zabielony, z jajami i porcją krzyżówki wieprzowej, na drugie kotlet wieprzowy, tonący w gęstym sosie ze śmietany, wreszcie tzw. kluski (w Polsce kluskami nazywają najróżniejsze potrawy z mąki; tym razem te „kluski" były podobne do naszych litewskich serników). Potem jeszcze herbata i bułka domowa. Po obiedzie jakoś oprzytomniałem i mogłem rozmawiać. Kocikowa, kobieta młoda, lat 26 (Kocik ma już przeszło 50), Kurpianka dobrze zbudowana, jasna blondyna o białym ciele, niebrzydka i fizycznie ponętna, lubi, zdaje się, flirt męski i może by nawet gotowa była do niewinnej zabawki przelotnego stosunku. Głupia jest, ale dobra kobieta, bardzo gościnna, naturalna, prosta. Lubi swojego męża i poddaje mu się jak prawowita żona, ale zdaje się, że nerwów jej nie zaspakaja; toteż bezwiednie jest pospolitym i zbyt równym stosunkiem małżeńskim znudzona i pragnęłaby podniety ostrzejszej dla zmysłów; także mam wrażenie; zdaje mi się, że jej stan psychologiczny, bezwiednie dla niej samej, jest usposobiony do przyjęcia pieszczot kochanka. Zresztą kobieta to poczciwa, domownica wierna. Koło godz. 4-5 pożegnałem Kocików i poszedłem do Kolna. Wypoczywałem jeszcze i zdrzemnąłem w lesie po drodze. Na wieczór byłem w Kolnie. Ogółem przez te dwa dni, wraz z błądzeniem nocnym i spacerem gospodarskim u Kocika, zrobiłem od 3 do 4 mil. Zdrowa to wycieczka.

21 maja, rok 1918, wtorek
Zdaje się, że okazały się nieprawdziwe wieści o układzie cesarza Karola z Niemcami w sprawie polskiej, którego mocą rzekomo sprawa ta miała być oddana wyłącznie

bezpośredniemu porozumieniu Austrii z Polską bez mieszania się w to Niemców. Dotąd nie tylko się to nie sprawdziło, ale były w gazetach nawet zaprzeczenia tych pogłosek. Radość więc Kolna z tego powodu była przedwczesna.
W sądzie był dzisiaj mały ruch. Dzień upłynął monotonnie. Deszczu jak nie ma, tak nie ma.
Wieczorem miałem dość oryginalną wizytę. Przyszedł do mnie ksiądz Budrewicz, poczciwy młody człowiek, wikary tutejszy, Litwin, kapłan gorliwy i szczery, bolejący nieraz nad tym, że księża i w ogóle katolicy tak dalece w praktyce się zaniedbują i nie wcielają w życie najgłębszej religijnej treści Kościoła. Przyszedł, jak się okazało, nawracać mię. Wyczuł widocznie, że mój katolicyzm szwankuje, że go może nie mam wcale. Zresztą dostrzec mógł i wiedzieć, że nie chodzę do kościoła i nie byłem u spowiedzi. Zaczął od zachęcania mię, bym przychodził do kościoła i odbył spowiedź wielkanocną. Gdy mu wszakże szczerze wyraziłem mój stan religijny, który jest od katolicyzmu odrębnym, zaniechał prostej namowy, ale natomiast mówić mi zaczął o istocie religijnego życia i katolicyzmu. Usiłował dotknąć samego filozoficznego rdzenia religii i nauki katolickiej. Mówił dość bezładnie, ale wcale nie płytko. Nie „nawrócił" mię i nie wiem, czy wychodząc zachował jeszcze jakąś nadzieję dokonania tej przemiany w umyśle moim. Ja przecież, chociaż nie wyznaję urzędowego katolicyzmu i mam głęboką do klerykalizmu katolickiego odrazę, nie jestem daleki od religijnej istoty katolicyzmu. Mam własną żywą wiarę i własne życie religijne; racjonalizmu religijnego nie znoszę, toteż bliższy mi jest niewątpliwie katolicyzm od protestantyzmu. Osobista forma wyznawanej religii nie wystarcza mi; czuję sam niezupełność mojej wiary, jej cząstkowość, pozbawioną kształtów zakończonych i logicznej więzi elementów. Tęsknię do wielkiej całkowitej Religii, która by była zarazem systemem i pełnią treści; czuję, że w katolicyzmie bodaj więcej, niż w jakiejkolwiek innej religii chrześcijańskiej jest ta doskonałość formy wykończonej z treścią; poza tym wielka religia ma siłę zbiorowej twórczości, większą od nikłego strumyka indywidualnej wiary. Tęsknię do tego wielkiego obcowania religijnego, które tylko w Kościele być może. Ale ogrom obłudy, która się Kościoła czepia, i z drugiej strony dzielenie ludzi na zróżnicowane społeczności religijne wstrzymują mię od uczestnictwa w jakimś kościele. Kościół winien być powszechnym i ani narodowym, ani jakimś innym. Jest on ludzkim i tylko; raczej takim powinien być. Co zaś w szczególności do katolicyzmu – jego klerykalizm polityczny i jego rola społeczna są czynnikami, które mię do niego głęboko zrażają.

22 maja, rok 1918, środa
Dzień sesji sądowej z udziałem ławników Stachelskiego i Remby. Spraw było na wokandzie dziesięć: cywilne. Sesja trwała prawie do piątej. Między innymi rozpoznawana była już na drugiej sesji sprawa pieniacza Zawistowskiego z Jeleniewiczami, w gruncie funta kłaków nie warta, ale odznaczająca się specyficzną zaciekłością przeciwników. Idzie o puste butelki od piwa jeszcze ze stosunków handlowych stron przed wojną, o których zwrot obie strony wzajemnie się upominają. Poza tym były różne sprawy drobniejsze i grubsze, mniej lub więcej proste bądź zawiłe. W tej licznie było parę spraw trudniejszych, połączonych z bardziej skomplikowanymi zagadnieniami prawnymi.
Gazety z Warszawy od kilku dni nie przychodzą wcale. Chyba jest strajk zecerów. Korespondencja prywatna moja także urywa się całkiem; choć ja pisuję listy do różnych osób regularnie, jednak odbieram o wiele mniej, a w ostatnich czasach nie odbieram prawie żadnych listów. Czy to drożyzna papieru wpływa tak na niechęć korespondowania, czy też w ogóle jest to jeden z objawów powszechnego wykolejenia i zastoju stosunków?

23 maja, rok 1918, czwartek

Wieczorem siedziałem w izbie Pikulińskich, rozmawiając z nimi i pijąc mleko, gdy nagle ktoś w drzwiach pyta o mnie. Wyszedłem: był to... Stefuś, syn Maryni, który właśnie przyjechał z Wilna. Dwa dni był w drodze. Przyjechał na stałe do mnie. Na razie będę go wprawiał do roboty w kancelarii sądu pod kierunkiem Miętkiewicza i nawet Ranika, żeby nie próżnował i żeby się jednocześnie zorientował i oswoił z pracą biurową, bo może potem uda i się go zalokować albo w jakimś urzędzie powiatowym, gdy administracja przejdzie do rąk polskich, albo może gdzieś nawet w jakimś sądzie pokoju lub okręgowym w kancelarii. W każdym razie, niech się z tą pracą technicznie zapozna. Poza tym, będzie sobie mógł używać przechadzek, rysować i malować, do czego ma talent i zamiłowanie. Materialnie, a może i moralnie, co nie daj Boże, będzie on dla mnie ciężarem, ale w Bogu nadzieja, że może jakoś się tu ustatkuje i będzie się zachowywał porządnie. Zmiana środowiska może mieć nań wpływ dodatni. Pewna równowaga pracy, dobry stosunek ze mną, połączony z bliskim i ciągłym obcowaniem oraz kontrolą bezpośrednią – mogą być skuteczne. Lękam się tylko jego charakteru, zbyt wrażliwego, łatwo zasklepiającego się w sobie, ulegającego psychicznym stanom depresji. Ta nierówność jego charakteru i pewne organiczne wady jego struktury psychicznej są źródłem zboczeń jego postępowania. Jest to organizacja delikatna, zbyt wrażliwa, chociaż zdolna i z gruntu nie tak zła, jak by się z uczynków jego zdawać mogło. Może się przy mnie utrzyma w pewnej statecznej i równej ciągłości usposobienia. Bardzo też źle nań wpływa świadomość tego, że już stracił u swoich najbliższych opinię. To go zniechęca do pracy nad sobą, osłabia bardziej jeszcze jego odporność moralną, której i tak ma zbyt mało w swym wrażliwym słabym charakterze. O ile się da, będę go strzegł od tego w Kolnie. Przyjechał dziś zmęczony, nie chciał jeść; uważałem, że jest trochę stropiony, trochę onieśmielony, nadrabiający miną; pomimo nadrabiania, wyczuwałem, że biedny chłopiec nie czuje się w pierwszej chwili swojsko i obawia się w sercu i bada, jak go też przyjmę i jaki znajdzie u mnie do siebie stosunek; biedny chłopiec. Nie znajduje miejsca, nie jest pewien przyjęcia. W Bohdaniszkach i Kowaliszkach u najbliższej rodziny go nie chcą, w Wilnie matka nie może go przy sobie trzymać; gdzież się podzienie? Oto przyjeżdża szukać opieki i gościny u mnie, ale nie wie, czy ja go chcę, czy go sercem otwartym przyjmuję, czy nie spełniam tylko przykrego obowiązku. Jest biedak jak bezdomny, przerzucany z miejsca na miejsce, żebrzący sobie przytułku. Świadomość tę mieć musi, a w jego wrażliwej naturze jest ona źródłem upokorzenia i niebezpiecznych ewentualnych pobudek psychicznych przyszłego postępowania. Toteż muszę mu dać serdeczność i przyjaźń wraz z ojcowską powagą i opieką. Wprawdzie sam uczynkami swymi zasłużył na taką pozycję, ale niemniej jest ona dlań ciężka i bolesna i działa w dalszym ciągu ujemnie. Toteż winien on u mnie wyczuć nie łaskę, lecz swoje prawo rodzinne i swój dom.

Dziś był dzień targowy w Kolnie. Sensacją był nagły spadek ceny na masło. Cena ta stała już na wysokości 8 marek za funt. Tymczasem dziś spadła raptownie na 6 marek w początku targu, a potem na 5 marek i nawet do 4 marek. Takie skoki nagłe cen możliwe są tylko chyba w tych czasach, kiedy nic nie ma statecznego. Różne podają przyczyny tej nagłej zniżki masła; podobno kupiec z Warszawy, który przez swoich agentów zakupywał masło na mydło i duże ilości wywoził, dziś nie przyjechał i nie przysłał polecenia zakupu; jak inną znów przyczynę podają to, że Niemcy, którzy dotąd kupowali od chłopów masło za cukier, teraz zaprzestali tego i mają kupować za gotówkę; kupując za gotówkę, płacą ceny ustanowione, bardzo niskie, podczas gdy zamieniając masło na cukier liczyli wprawdzie tanio i masło, i cukier, ale chłop

otrzymywał wysoki faktyczny ekwiwalent masła w cukrze, na który jest ogromny popyt i którego ceny rynkowe są ogromnie wysokie.

24 maja, rok 1918, piątek
Dzień sesji. Na wokandzie dziewięć spraw cywilnych. Ławnicy – Stachelski i Jerozolimski. Sesja trwała dość krótko, bo już przed godz. 2 się zakończyła. W liczbie spraw dzisiejszych było kilka spraw żydowskich, a wśród nich jedna zwłaszcza gruba i budząca ostry spór i wielką ciekawość w kołach żydowskich. Była to sprawa o krowę między Lejbą Korneckim a Ickiem Baranowiczem; z nich pierwszy, Kornecki, powód, twierdził, że pozwany Baranowicz przywłaszczył sobie krowę, którą on mu tylko w połowie na zasadach współwłasności sprzedał, wskutek czego żądał zasądzenia od Baranowicza zwrotu drugiej połowy wartości krowy w ilości 1000 marek. Baranowicz natomiast twierdził, że kupił od Korneckiego całą krowę, która jest jego własnością wyłączną. Obaj są znani w Kolnie, są geszefciarzami i na gruncie spekulacji krętaczami; można rzec o nich, że wart Pac pałaca, a pałac Paca; w tym wypadku jednak zdaje się, że rację ma Baranowicz, chociaż zbadani dziś świadkowie, powołani przez powoda Korneckiego, zeznali na jego korzyść; Baranowicz jednak odwołał się na swoich świadków, dla których zbadania sprawa została odroczona. Ze strony Korneckiego stawał Goldberg, ale czy coś wskóra – wątpię. Na sali zebrało się liczne audytorium ze świata spekulantów-koniarzy, aby posłuchać tok sprawy. Chociaż tu chodzi o krowę, nie o konia, to jednak metody spekulacji i krętactwa w handlu krowami są podobne do metod w handlu końmi; toteż sprawa ta budzi sensację w kołach licznych w Kolnie handlarzy końskich z Korneckiemi, Szklaniewiczami i innymi na czele. Na ogół sprawy były dziś dosyć oryginalne, nieszablonowe. W jednej sprawie, między Joselem a Moszkiem Burakami, pozwany podniósł zarzut o małoletność powoda, czemu tenże przeczył; sprawa została odroczona dla ustalenia tego faktu.
Na sesji siedział przez cały czas Stefuś. W ogóle przez dzień cały nie odstępował on kroku ode mnie. Jeszcze się z Kolnem nie oswoił, a że jest z natury nieśmiały i wrażliwy, a jego kalectwo (kulawość) zwraca na siebie uwagę, szczególnie w Kolnie, gdzie każda nowa osoba jest sama przez się przedmiotem obserwacji i ciekawości, więc się czuje mocno skrępowany i trzyma się mnie jak dziecko matki. Od jutra zacznie on pracować w kancelarii sądowej jako kancelista na równi z Ranikiem, pod kierunkiem Miętkiewicza. Miętkiewiczowi powiedziałem otwarcie wszystko o Stefusiu i prosiłem go o dozór i kierunek nad nim. Poza pracą w kancelarii Stefuś chodzić będzie z Miętkiewiczem w wolnych dniach na ryby, do czego ma ochotę, a czego Miętkiewicz jest namiętnym amatorem.
W sądzie dopływ spraw jest ciągle bardzo duży i stale od dłuższego już czasu przewyższa liczbę spraw rozpoznanych. Stąd zaległość coraz wzrasta i ilość spraw nierozpoznanych i będących w toku jest z tygodnia na tydzień większa. Wyznaczam już na wokandę najmniej po spraw dziewięć (nigdy siedem, jak to robiłem zimą), poza tym, na czerwiec nie tylko nie zmniejszyłem, pomimo lata, ilość sesji, ale ją nawet zwiększyłem i wciąż jednak mam stałą przewyżkę wpływu spraw nad ich rozpoznaniem. W pierwszych dniach tego tygodnia dopływ spraw jakby się trochę zmniejszył (zwłaszcza ustały cywilne, ale za to karnych w tym tygodniu jest szczególnie dużo), ale oto dziś wpłynęło od razu pięć nowych jednego dnia i znowu suma nowych spraw z tygodnia jest wyższa ponad ilość w tygodniu rozpoznanych, nie licząc odroczonych, które tak samo jak nowe, muszą zająć miejsce w wokandach przyszłych sesji. Lato nic dotąd nie wpłynęło hamująco na ruch spraw; raczej przeciwnie. Jednym z bardziej podniecających czynników ruchu spraw jest powrót uchodźców z Rosji.

Słyszałem, że dziś zameldowano w powiecie o ośmiu (!) napadach bandyckich w obrębie powiatu kolneńskiego. Sprawcami mają być uchodźcy, którzy wrócili z Rosji. Napady dokonane zostały z bronią w ręku (z mauzerami). Uchodźcy ci tak przywykli w Rosji do bezkarności rabunków, że i tu zaczynają próbować tychże metod. Podobno zarządzone zostały energiczne środki obławy na sprawców. Niemcy się wezmą do nich ostro, ale bo też innej rady, prócz gardła, na to nie ma. Nie jest to zresztą w żadnym związku z ideową rewolucyjnego bolszewizmu stroną. Będzie to miało ten skutek, że Niemcy utrudnią i obstawią ciężkimi zastrzeżeniami dalszy powrót uchodźców, który dotąd był bardzo szeroko, prawie bez przeszkód dopuszczony. Inni wszakże mówią, że sprawcami tych napadów byli nie uchodźcy, lecz zbiegli jeńcy rosyjscy z Niemiec, o których słychać, że jest ich pełno po lasach. Ośrodkiem tych napadów bandyckich była gmina Przytuły, po części też Jedwabno i Stawiski, to znaczy we wschodnim kącie powiatu pod gubernią grodzieńską i pod powiat mazowiecki, który w Ziemi Łomżyńskiej zasłynął w ostatnich czasach z bandytyzmu i wszelkich podobnych niecnot. Na Puszczy mojej, na Kurpiach – nie ma tego.

25 maja, rok 1918, sobota
W nocy wypadł wreszcie deszcz, ale powietrze bardzo ochłodło. Zimno było i pochmurno przez cały dzień. Zupełnie jesienna pogoda, jak w październiku albo listopadzie. Sąd świecił pustką. Interesantów prawie nie było. Wytoczona została tylko jedna sprawa karna i z poczty od prokuratora przyszło polecenie dokonania śledztwa wstępnego w sprawie pewnej kradzieży nocnej skór, o co są posądzeni trzej młodzi chłopcy Żydzi.
Stefuś rozpoczął dziś pracę w kancelarii sądowej. Na razie tylko wypisuje wezwania. Idzie mu to jeszcze ciężko. Nigdy w kancelarii nie pracował i z żadną pracą biurową się nie stykał. Dla niego jest to las, raczej puszcza dziewicza, w której nie znajduje żadnego wątku orientacyjnego. Kancelaria wydaje mu się jakimś mechanizmem skomplikowanej mądrości, dla której ogarnięcia trzeba jakiejś nadzwyczajnej wiedzy i zdolności. Ale przypuszczam, że prędko się wyrobi i da sobie radę. Tylko że Stefuś z natury jest niezmiernie mało giętki i mało zaradny. Jest niezmiernie wrażliwy i subtelny, ale im bardziej przez to wewnętrznie w sobie miękki i giętki, tym na zewnątrz sztywniejszy i onieśmielający się. Ta jego subtelna wrażliwość wewnętrzna i płynąca stąd ogromna sztywność i bierność zewnętrzna są w dużym stopniu kluczem do zrozumienia jego tragedii. Całe jego życie zamyka się w sferze wewnętrznej psychicznej, tworząc swój świat odcięty; na zewnątrz brak mu odwagi, swobody ruchów, inicjatywy; jest on „cichą wodą” w najtragiczniejszym tych samotnych dusz znaczeniu. W gruncie jest chłopcem dobrym, bardzo delikatnym, ale jakimś nierealnym, zupełnie do życia nieprzystosowanym. Ma duży zmysł artystyczny, jest zdolny w gruncie, ale słaby, niewytrwały, zrażający się i upadający. Świadomość słabości własnej i upadków odbiera mu resztki odwagi i energii. Wydaje się na zewnątrz sztywnym kawałkiem drewna, gdy wewnątrz jest pełny subtelnej skomplikowanej treści psychicznej. Biedny chłopiec. Ten jego charakter robi zeń człowieka chorego. Znałem go przecie dobrze, a jednak go sobie inaczej wyobrażałem, od kilku lat mając go od siebie z daleka.
Na ryby Stefuś z Miętkiewiczem się dziś nie wybrali, bo pogoda przeszkodziła. W domu jest Stefuś w obecności mojej tak delikatny, że o nic się nie upomni, nie poskarży się; do jedzenia trzeba go zapraszać, jak najceremonialniejszego gościa; zachowuje się tak, jakby go wcale nie było. Trudno wprost wyobrazić sobie, że jest to ten sam chłopiec, który potrafi kłamać bez mrugnięcia okiem i po cichu coś ukraść, wynieść, sprzedać, oszukać. Daj Boże, aby się zaaklimatyzował u mnie, oswoił i odzyskał werwę ekspansji żywotnej, humor i swobodę ruchów, a odrzucił tę maskę sztywności ciężkiej.

Serce jego, jeżeli się na chwilę otworzy nieśmiało, wnet się zamyka jak ślimak za dotknięciem rogami oczu do czegoś twardego lub jak wczesny kwiat wiosenny, zwarzony mrozem.
Dowiedziałem się od Stefusia o śmierci wuja Ignacego Tukałły, brata Mamuśki naszej. Umarł w Finlandii, gdzie był na kuracji. Nic mi o tym Maryńka nie pisała. Dla mnie ta śmierć jest czymś, co duże wrażenie sprawia. Osoba wuja Ignasia, bezwiednie dla niego, prześladowała mię i poważnie zaciążyła nieraz na moim życiu. W jaki sposób – nad tym się rozwodzić nie będę. Dość, że powiem, iż fizyczne podobieństwo moje do wuja było dla mnie źródłem wielu męczących przeżyć i wielu zwichnień w moim stosunku do rodziny po Mamie. Co do organizacji psychicznej, to zachodziły między wujem a mną również w pewnych względach głębokie pokrewieństwa i tożsamość, ale jakby dwóch biegunów przeciwnych, bo w ostatecznej strukturze i konsekwencjach duchowych byliśmy wzajemnie antytezami. Wuj był człowiekiem rozpieszczonym, oschłym, kapryśnym, samolubnym, próżnym i życiowo niezdarnym; był wykolejeńcem skończonym, pomimo życia, płynącego w ramach wygody i niezmąconego konwenansu. Jesteśmy teraz chyba spadkobiercami po wuju na jego majątek przynajmniej nieruchomy (Ościukowicze), ale dopóki trwa wojna, jest to dla nas rzecz zupełnie martwa i niewiadoma.

26 maja, rok 1918, niedziela
Upłynęła niedziela, podobna do jesiennych i zimowych. Nie można było spędzić jej na wycieczce, bo było bardzo zimno i dżdżysto. Byłem z wizytą u rejenta Płońskiego, o którym słyszałem od Mystkowskiego, że ma żal do mnie, iż u niego nie bywam; po obiedzie wysłałem Stefusia z wizytą do Miętkiewicza, a potem byłem z nim u Goldberga na herbatce i kolacji i u Mystkowskich wieczorem. Stefuś w gościnie siedzi tak sztywny i milczący, jak żeby połknął kij; nie poruszy się, nie drgnie, nie przemówi słowa; tylko zakłada nogę na nogę i huśta nią nerwowo, co wskazuje na jego stan podniecony; jest cały naprężony, jakby mu zupełnie naturalną swobodę ruchów odebrano; tak onieśmielająco działa nań wszelkie towarzystwo. Zdaje się, że obcowanie z ludźmi jest dla niego męką. Nieśmiałość ta i sztywność jest po prostu chorobliwa. Na próżno biedny chłopiec stara się nadrabiać miną, gdy pozostaje ze mną sam na sam. Oko ludzkie zdaje się wywierać na nim taki sam skutek, jaki wywiera wzrok węża na żywe ofiary jego chciwości: wrażliwy Stefuś sztywnieje i zamiera wobec ludzi. A sam to czuje i cierpi z tego powodu; odczuwa to jak kalectwo i nie ma dlań większej boleści, jak mu o tej jego nieśmiałości wspomnieć. Biedny chłopiec. Zwalczyć tego ani sam nie jest w stanie, ani też nikt nie zdoła. Chyba może wiek go uleczy z tego. Że jest tak dalece wrażliwy i nieśmiały, tego nie przypuszczałem. Wyobrażałem go sobie inaczej. Nieśmiałość jego będzie mu wielką przeszkodą w życiu, szczególnie o ile zmuszony będzie do walki o byt, do zarabiania na chleb. Pozbawia go ona wszelkiej samodzielności i giętkości, niezbędnych do tego, a że nie ukończył szkół, więc mu tym więcej zaradności byłoby w życiu potrzeba, aby się wybić na jakieś stanowisko, choćby tylko zarobkowe. Co to za nieszczęśliwy charakter!
Wolnym czasem, którego mam tutaj dosyć, nadpisuję piórem tekst zeszłorocznych zeszytów mojego dziennika, pisanego w Legionach ołówkiem. Przy tej okazji sprawdzam nieraz moje myśli, wyrażane ongi w dzienniku. Widzę, jak kruche były nieraz moje wnioski polityczne, jak niedaleko sięgała czasem moja perspektywa. Jestem dobrym analitykiem społecznym, ale raczej myślicielem, niż politykiem praktycznym. Jakże na przykład błądziłem, gdym na Boże Narodzenie roku 1916 oskarżał Litwinów o brak realnego zmysłu politycznego i dostrzegał konieczność oportunizmu w kierunku kontaktu państwowych prądów litewskich z powstającą państwowością polską! Dziś

widzę dopiero, jak politycznie trzeźwi byli właśnie Litwini, stojąc niewzruszenie na stanowisku swojej niepodległości i wyzyskując okoliczności oraz układ stosunków polityczno-wojennych na rzecz stopniowego utwierdzania wszelkiego przystosowania się do tendencji wszechpolskich, choćby nawet ubranych w szaty połowicznej „krajowości”! I dziś oni święcą idei swej triumf, a Polacy litewscy wcześniej czy później będą się do nich musieli przystosować, aby choć cokolwiek ze swych aspiracji uratować. Dzięki swej konsekwencji trzeźwej Litwini stali się panami sytuacji, a choć ciężkie jeszcze próby mogą czekać rodzącą się państwowość litewską, zwłaszcza od strony apetytów niemieckich, to przecież gdyby nawet wypadło Litwie szukać odpornego kontaktu z Polską, kontakt ten będzie już nie podporządkowaniem się, jakim by był poprzednio, lecz bardziej egalitarnym. Taktyka Litwinów, skierowana do tego, aby jak najmniej rezygnować przedwcześnie i jak najwięcej faktów dokonanych w swym najdalej idącym stanie prawnym osiągnąć, była mądrą taktyką polityczną. Zaczynać od rezygnacji, gdy się jeszcze nawet nie ma z czego rezygnować, jest najgłupszą metodą polityczną ugody, szczególnie gdy się rezygnuje wobec aspiracji, zmierzających do pochłonięcia rezygnującego podmiotu, jak się to miało wobec aspiracji wszechpolskich.

27 maja, rok 1918, poniedziałek
W sądzie miałem dużo roboty: jedną radę familijną i badanie całego szeregu świadków oraz oskarżonych w śledztwie o kradzież nocną z mieszkania Żydówki Estery Ciołkowskiej w Łasze. Śledztwo to ciągnie się nieskończenie długo; przed paru miesiącami już je zakończyłem i odesłałem do prokuratora, który mi je zwrócił w celu uzupełnienia i dokonania osobiście oględzin miejscowych w Łasze. Oględzin dokonałem, ale tymczasem pierwotna oskarżona, wdowa Ogrodnikowa, zmieniła pierwotne zeznania i zaczęła twierdzić, że w dniu kradzieży, gdy spłoszyła i gnała złodziei, poznała w nich dwóch chłopców, których z nazwisk wymieniła. Śledztwo za tym skierowało się na nowe tory, skąd powstała potrzeba badania coraz to nowych świadków. I dziś się ono jeszcze nie zakończyło, bo oto w zeznaniu jednego ze świadków znów wypłynęła pewna okoliczność, mająca duże znaczenie, które wymaga zbadania nowego świadka, a stąd dalszej zwłoki.
Poza tym nic w dniu dzisiejszym ciekawego. Deszczu nie było, nawet pogoda słoneczna wróciła, ale zimno.

28 maja, rok 1918, wtorek
Obserwując Stefusia, jak jest posłuszny, cichy, nieśmiały i subtelnie delikatny, trudno uwierzyć, że ten sam chłopiec tai w sobie tyle pierwotnego kłamstwa i jest zdolny do takich malwersacji, wyrafinowanych oszustw i kradzieży, jakie ma na sumieniu. A jednak tak jest. I są to nie poszczególne rzadkie wypadki, nie jakieś jednorazowe upadki, ale objaw ciągły i systematyczny, jak choroba, coś, z czym zaiste walczyć bardzo trudno, że aż ręce opadają. Dotąd u mnie jeszcze sobie na to nie pozwolił, bo zresztą jest ciągle pod moim okiem i jeszcze sobie żadnych znajomości i stosuneczków pokątnych nie wyrobił. Ale oto znów pisze do mnie Maryńka, że zaraz po jego wyjeździe wykryła się w Wilnie jeszcze jedna sztuczka, której już wykonać nie zdążył: chciał zdefraudować piękną porcelanę Stasia Wołodkowicza, znajdującą się w mieszkaniu Maryni; widocznie chciał mieć ze sobą w Kolnie większy zapas gotówki, toteż porozumiał się z jakimś Żydem handlarzem, by mu porcelanę „sprzedać”. Rzecz się wykryła. Od paru lat sprzedawał w Wilnie cichaczem cenniejsze książki moje, bieliznę, ubranie, wykradał gotówkę od matki, defraudował sumy, które mu powierzano. Bawiąc w roku zeszłym w Bohdaniszkach, zaprzyjaźnił się pokątnie z

jakimś zepsutym chłopcem z wioski, z którym do spółki wykradał różne rzeczy Papy i sprzedawał je cichaczem, co gdy się wykryło, stracił raz na zawsze opinię i miłość Papy. Zimą tego roku sprzedał całą zawartość paczki z drogimi artykułami spożywczymi, którą Marynia wysyłała do Lola Wołodkowicza do Rygi i którą Stefuś miał odnieść do kolegi, wyjeżdżającego do Rygi. Faktów takich – dziesiątki. Wszystkie one wiążą się w jeden sznur łajdactwa. Trudno rozumieć, skąd się to u niego bierze i czy to jest większa słabość charakteru, czy też zepsucie ostateczne i cyniczne, które się już wżarło w kości. Marynia zaleca mi, abym go się wystrzegał i miał ciągle na oku a nie wierzył mu ani na włos, bo Stefuś jest mistrzem kłamstwa i nikt głębiej od niego nie potrafi łączyć pozorów skromności i niewinności z zepsuciem i przewrotnością do szpiku kości. Gdym czytał dziś kartkę Maryni, miałem chwile złości, że mi go nasłała do Kolna. Rozumiem wszakże i jej trudne położenie, gdy już sobie rady z nim dać nie może. Mnie się przynajmniej Stefuś lęka i jest ciągle pod moim okiem. Nie będę go spuszczać z oka, ale na razie postanowiłem zachować w stosunku do niego taktykę taką, by mu nie wspominać jego poprzednich grzechów; niech się od pierwszych chwil w pobytu w Kolnie nie czuje wobec mnie upokorzonym i spodlonym, bo to u słabego charakteru odbiera moc tężyzny i robi bezcelowym wszelkie postanowienie poprawy, a przeto demoralizuje. Oszczędzając jego ambicję i jednocześnie czuwając nad nim pilnie i nie spuszczając z oka, będę czekać na przejawy jego postępowania.

29 maja, rok 1918, środa
Sesja sądowa. Ławnicy – Kocik i Jerozolimski. Na wokandzie dziewięć spraw cywilnych. Rozprawy wlokły się dziś jakoś powoli, ociężale. O godz. 2 zarządziłem przerwę obiadową. Sesja zakończona została koło godz. 5 ½ po południu. Z dziewięciu spraw, które były na wokandzie, dwie sprawy, za niestawieniem się stron, z wokandy spadły. Pozostałe siedem spraw były sądzone, z nich cztery zostały odroczone i trzy – zakończone wyrokami. We wszystkich siedmiu sprawach, rozpoznawanych dzisiaj, stawał Goldberg. Mówiłem nieraz w dzienniku moim, że wolę, gdy w sprawie staje adwokat, bo swoją biegłością proceduralną i stosowaniem prawa pogłębia zagadnienia i nadaje sprawie większą wyrazistość. Nie zawsze tak jest jednak. Czasem obecność adwokata z jednej strony staje się źródłem krzywdy strony przeciwnej. Zasadniczym warunkiem procesu kontradyktoryjnego jest równowaga stron. Adwokata w procesie można porównać do oręża w pojedynku. Otóż gdy jedna strona ma adwokata, druga zaś go nie ma – sytuacja robi się taka, jak żeby w pojedynku człowiek uzbrojony stawał do walki z człowiekiem bezbronnym. Równowaga przestaje istnieć i w samym założeniu strona uzbrojona ma już przewagę nad przeciwnikiem, niezależnie od słuszności żądań tej lub innej strony w sporze. Nie dość bowiem mieć słuszność elementarną w sporze; trzeba umieć prowadzić obronę, umieć operować środkami procesu. Sędzia w procesie kontradyktoryjnym zmuszony jest być nieraz biernym widzem tego, jak strona, która ma za sobą słuszność, upada tylko dzięki temu, że nie posiada sztuki obrony. Ja staram się, o ile tylko można, dopomóc stronie, którą widzę słabszą i niedołężniejszą, a u której dostrzegam słuszność, ale i ja przecie jestem tylko sędzią, ograniczonym metodami funkcji sędziowskiej, toteż przedzierzgnąć się całkowicie na adwokata strony słabszej nie mogę. Tak oto i dziś w jednej ze spraw byłem widzem, jak w sprawie o zakłócenie posiadania powód, niejaki Konstanty, nie mając pojęcia o prawie i obronie, sam siebie topił, przedstawiając dokumenty szkodliwe dla jego żądań i operując faktami i argumentami, o których sądził naiwnie, że służą na jego korzyść, gdy w istocie było wręcz przeciwnie, a z czego oczywiście nie omieszkał korzystać skwapliwie Goldberg jako pełnomocnik pozwanych. I oto ze świadomością krzywdy, z bolesnym uczuciem niesprawiedliwości życiowej, ale pod musem prawa formalnego, musiałem pisać

wyrok, oddalający powództwo Konstantego i pozbawiający obrony jego 40-letnie posiadanie kawałka gruntu, na tej tylko zasadzie, że sam dał dowód swego posiadania niewłasnościowego i stwierdził jednomorgową przestrzeń objętej w posiadanie działki, co w stosunku do gruntów włościańskich jest zabronione.
Toczyła się dziś również sprawa Icka Baranowicza z Rogińskimi, odwieczna, która już była na jakichś nie mniej, niż pięciu sesjach, wznowiona obecnie i pozornie nowa, bo stara poprzednia została na jednej z sesji umorzona za niestawiennictwem powoda Baranowicza; ale nowa ta jest właściwie tylko wznowieniem poprzedniej i zapowiada się jeszcze na cały szereg sesji w przyszłości.
Wreszcie ze spraw oryginalniejszych dzisiejszej wokandy była sprawa niejakiej Kozłowskiej przeciwko Bolesławowi Rogińskiemu o 200 mk. zasług. Kozłowska jest słabą na umyśle i ułomną; jej stan psychiczny graniczy z pomieszaniem zmysłów. Niepodobna uważać jej za zdolną do samodzielnego prowadzenia swych spraw, toteż nie wziąłem na siebie wydawanie wyroku w jej sprawie i zawiesiłem ją na zasadzie pomieszania zmysłów jednej ze stron. Ale powstaje trudność dalsza: chodziłoby bowiem o ubezwłasnowolnienie Kozłowskiej i ustanowienie opieki nad nią, co wszakże wymaga skomplikowanej procedury przez Sąd Okręgowy i może być wszczęte tylko przez jej krewnych, jeżeli istnieją. Poleciliśmy wójtowi wskazać nam jej krewnych, ale czy ci zechcą wszczynać postępowania o ubezwłasnowolnienie?

30 maja, rok 1918, czwartek
Święto Bożego Ciała. W Kolnie zwyczajem katolickim i polskim przez miasto ciągnęła uroczysta procesja ze śpiewami kościelnymi, ze sztandarami i przenośnymi ołtarzykami i figurami. Cztery ołtarze prowizoryczne, przy których procesja stawała, by odczytać Ewangelię, urządzone były: przy szkole, przy domu Kulągowskiego przy ul. Zabielskiej, przy domu mego gospodarza Józefa Pikulińskiego, w którym mieszkam i przy sklepie Stachelskiego na Rynku. Nie szedłem z tą procesja, jeno się jej przyjrzałem, gdy wychodziła z kościoła. Niektóre chorągwie, ołtarzyki przenośne i baldachim, pod którym kroczył ksiądz dziekan, były wcale ładne i bogato zdobione. Nie przeczę, że widowisko takiej procesji jest kolorystycznie ładne, ale na ogół nie lubię jej. Na masy działa ona fanatyzująco, nie zapalając je bynajmniej uczuciem miłości i szlachetnymi elementami idei chrześcijańskiej, natomiast podniecając je do nienawiści i ślepej zarozumiałej nietolerancji, która szczególnie w antysemityzmie ujście znajduje. Nic tak nie oślepia tłumu fanatyzmem i dzikim instynktem wyłączności, jak takie masowe publiczne procesje, w których gromada ludzka czuje się triumfatorem, mogącym deptać wszystko, co się od jej wiary i uczuć różni; tłum nie ma wyrozumiałości ani pokory, uważa siebie za potęgę, wcielającą w uczuciach swych pełnię doskonałości i, pełny namiętności fanatyzmu, dyszy nienawiścią i pożąda ofiary. Zresztą procesje kościelne mają analogię do wszelkich innych manifestacji i pochodów tłumnych, czy to narodowych, czy rewolucyjnych. Różnią się one tematem uczuć, ale natura ich wszędzie jednaka. We wszystkich występuje ta sama psychologia, wyłączna i dzika rozpętanej masy ludzkiej, tchnąca szatańską namiętnością fanatyzmu i biada tym, którzy się od nastroju tego różnią lub mu przeciwstawiają. W pochodach religijnych ostrze nienawiści tłumu zwraca się przeciwko inaczej wierzącym lub obojętnych, w narodowych – przeciwko obcym, w społecznych rewolucyjnych, socjalistycznych – przeciwko klasom posiadającym. Pochody masowe są najpotężniejszym środkiem fanatyzowania i propagandy, toteż posługuje się nimi jak kościół, tak państwo, nacjonalizm, socjalizm itd. Zarzucają procesjom kościelnym, że są średniowieczne. Ale czymże w istocie różnią się od nich manifestacje ludowe, urządzane przez socjalistów i rewolucjonistów, które bądź służą do walk z wrogą władzą, bądź, gdy są zwycięskie i

same władze wyrażają, prowadzą do wściekłych pogromów „burżuazji”, do dzikich aktów gwałtu, rabunku i mordów, jak tylekroć obecnie w Rosji! Są to różne jagody tego samego krzewu psychicznego.
Procesja Bożego Ciała budzi we mnie wspomnienie jednego z najcięższych moralnie przejść, które miałem w r. 1906 w dobie „Gazety Wileńskiej” z powodu nieszczęsnego felietoniku Jerzego Jankowskiego (Szuma) na temat tejże procesji. W perspektywie 12 lat ubiegłych epizod tamten blednie, ale w pamięci mojej żywo powstaje ten ból i ciężki cios moralny, zadany ideowej tytanicznej robocie mojej „Gazety”, którego źródłem był ten nieszczęsny epizod.

31 maja, rok 1918, piątek
Sesja sądowa, na wokandzie dziewięć spraw cywilnych, ławnicy Kocik i Remba. W większości spraw dzisiejszych powództwa zostały oddalone. Było kilka spraw o komorne i usunięcie z mieszkania. Na ogół sesja upłynęła bez szczególnych wrażeń i zakończyła się o godz. drugiej.
Oto już po maju. Wchodzimy w czerwiec, w lato prawdziwe, a jeszcze ciepła letniego nie mamy. Ciepły był kwiecień, ale bardzo zimny, choć suchy był maj. To, co pisałem pod datą 18 maja o trzech świętych ogrodnikach, którzy mają być zwiastunami trwałego ciepła – nie potwierdziło się. Zimno jest w dalszym ciągu. Rzadki dzień upalny, a noce zawsze chłodne, graniczące z przymrozkami.
Płynie czas i gdzieś ulatnia się w przyszłość nieokreśloną mój ewentualny powrót na Litwę. Gromadnie wracają na Litwę ci, którzy z niej przed paru laty z powodu działań wojennych i inwazji Niemców uciekli od Rosji; coraz mniej ludzi brakuje, a ja wciąż siedzę poza krajem, choć przecie nie uciekałem z niego, lecz wyjechałem w swoim czasie dla spełnienia, jak mi się zdawało, ofiary, z myślą, że na tej drodze jemu służyć, choć pośrednio, będę. Myśl moja okazała się fikcją. Przeceniłem, zdaje się, rolę emancypacyjną Polski w sprawie wyzwolenia ludów, ujarzmionych w zachodnich granicach Rosji (kraje b. Rzeczypospolitej). Nacjonalizm współczesny przekształcił do gruntu stosunki i role narodów, czego pod uwagę nie wziąłem. Czynnikiem istotnym emancypacji jest w dobie obecnej nie pierwiastek jakiegoś dziejowego solidaryzmu ludów, nawet nie czyn orężny, jak powstanie – pierwiastki te tylko pośrednio działają, a poniekąd są nawet stłumione przez rozrost nacjonalizmów, wzajemnie się przeciwstawiających – lecz przede wszystkim pierwiastek wewnętrzny świadomości i woli, pierwiastek ludowy w każdym poszczególnym kraju. Gdzie ten pierwiastek jest uśpiony, nic emancypacja nie zdziała i wszelkie wyzwoleńcze prądy sąsiedzkie nie dadzą krajowi wolności, jeno co najwyżej, wyrwawszy go z jednego panowania, zagarną w swoje. Litwa nie jakiejś roli Polski nie sile wyzwoleńczej Sprawy Polskiej, lecz własnej mocy napięcia woli ludowej, wadze, że tak powiem, gatunkowej sprawy litewskiej ludowej zawdzięcza to, że w układzie stosunków międzynarodowych zaczyna zyskiwać miejsce własne, państwowe. Polska sama przez się nie była dla niej siłą zbawczą w tej wojnie; raczej była ona dla Litwy jedną z sił, skierowanych do jej pochłonięcia. I oto teraz, gdy wracają służyć Litwie i stają do jej warsztatu ci, co przed trzema laty uciekali w przerażeniu, ja, który, wiedziony błędną może, ale szczerą ideą ofiary i służby dla niej, jestem nieobecny u jej warsztatu. Jestem wobec niej maruderem, ale nie mam sposobu móc do niej już teraz wrócić. Nie dlatego nawet, żeby mię Niemcy nie puścili, bo sądzę, że przy pewnych staraniach dałoby się to zrobić, ale głównie dlatego, że nie miałbym po prostu z czego żyć w Wilnie. I nie ma końca tej wojny!

1 czerwca, rok 1918, sobota

Dziś miałem wyjazd służbowy na Puszczę, do wsi Zalasia gminy łysowskiej. Wyznaczyłem tam na dzień dzisiejszy badanie większej ilości świadków i oskarżonych w śledztwie o kradzież nocną zboża i ubrania u gospodarza Rudnika. Śledztwo to, jak wszystkie inne śledztwa, stanowiące w porównaniu do procedury sądowej w sądzie pokoju procedurę bardzo skomplikowaną, ciągnie się już od dłuższego czasu. W śledztwie tym, prócz głównego oskarżonego Szewczyka, notorycznego złodzieja, który po zaaresztowaniu już dwukrotnie uciekł z aresztu w Kolnie i ukrywa się, a jak mówią ludzie w Zalasiu – przesiaduje w borze, skąd coraz to urządza wycieczki złodziejskie i trapi ludność okoliczną, jest jeszcze dwóch oskarżonych chłopów małoletnich.
W podróż wziąłem ze sobą Ranika i o godz. 7 rano wyjechałem z Kolna parokonną furmanką, powożoną przez gospodarza z przedmieścia Kolna, Aleksandrowa – Szlaskiego. Jechaliśmy szosą myszyniecką na Zabiele, Ptaki, Turośl, Cieloszkę. W Cieloszce zawróciliśmy z szosy na północny zachód borem na wieś Wanecję. Aż do Wanecji jechałem drogą znajomą, bo byłem tam w październiku w czasie mojej pierwszej na Puszczę wyprawy. Z Wanecji mieliśmy jeszcze 5 wiorst po piaskach do Zalesia. Ogółem liczą do Zalesia z Kolna 4 mile, chociaż zdaje mi się, że tyle nie ma. Tyle się nasłuchałem o tym, że na Puszczy na skutek suszy i przymrozków poginęły żyta, że z przyjemnością i niespodzianką stwierdzić mogłem w drodze, że tak źle jeszcze nie jest. Są wprawdzie kawałki na szczerych piaskach, gdzie żyto wymarzło i bieleje suchą słomą oraz kłosem zwarzonym, ale to są tylko wyjątki. Na ogół, nawet na gruntach puszczańskich, z natury ubogich, żyto jest znośne, a miejscami nawet wcale dobre. Gdy zaś się jedzie przez grunta zabielskie, oko się raduje widokiem wspaniałych powierzchni żytniego morza. Do Zalasia przybyliśmy koło godz. 11 przed południem. Zalas, jak wszystkie wsie puszczańskie, ma śliczną dekorację drzew, które malowniczymi zielonymi grupami, jak barwne oazy, odcinają się od tła żółtych piasków. Szczególnie brzozy rosną we wsiach puszczańskich przepięknie: są smukłe i niezwykle wysokopienne. Nędzne piaszczyste grunta, gdzieniegdzie jałowe wydmy, przecinają się szerokimi pasmami tzw. sumy, czyli łąk i pastwisk wilgotnych i bagnistych, ale za to zielonych. Wszędzie horyzont na bliską metę zamknięty jest sinymi liniami borów sosnowych. Sam Zalas, duża wieś kościelna, składa się z czterech odrębnych części, z których każda stanowi jakby osobną wioskę. Każda z tych oderwanych dzielnic Zalesia zabudowana jest wśród kęp drzew nieprostą linią wzdłuż drogi, jak większość wsi, ale grupą domów i dworków, jakby pękiem osad. Domy wysokie, czyste, ozdobne, wewnątrz, jak przynajmniej w mieszkaniu zamożnego gospodarza, sołtysa, do którego zajechaliśmy, ładnie utrzymane, świadczące nie tylko o dostatku i zasobności gospodarskiego domu, ale i o dbałości o czystość, porządek i pewne względy estetyki i kultury: oprócz licznych, jak zawsze, wizerunków i symbolów świętych, na ścianach porozwieszane ozdobne talerze i naczynia, wycinanki z kolorowego papieru, na stolikach serwety, łóżka pokryte gustownymi kapami z sukna domowego wyrobu w desenie, szafa bufetowa wielka, okazała, staroświecka, rzeźbiona. Zaraz po przyjeździe zabrałem się do roboty. Badałem świadków jednego za drugim do godz. 2. O drugiej zrobiłem krótką przerwę obiadową. Posiłek był klasycznie wiejski, spartański w swej prostocie, ale doskonały, ponad jaki marzyć niepodobna przy pracy: duży dzban mleka, talerz jaj ugotowanych na twardo, chleb razowy świeży i świeżutkie żółte masło majowe. Na trzy osoby razem (ja, Ranik i woźnica Szlaski) – kosztowało to 5 marek. Po posiłku zabrałem się do dalszej pracy. Zbadałem jeszcze świadków, rodziców oskarżonych, ich samych, następnie sołtysa i księdza proboszcza w przedmiocie rozwoju moralnego i umysłowego małoletnich oskarżonych, wreszcie zmierzyłem na miejscu odległości od domów oskarżonych do miejsca spełnienia kradzieży i miejsca ukrycia rzeczy kradzionych. Śledztwo to było dość zawiłe, bo

oskarżeni, prócz herszta Szewczyka, który zbiegł, nie przyznają się do winy i rodziny ich starają się z nich winę jedni na drugich zrzucić; zdaje się jednak, że do wątku doprowadziłem. O godz. 6 wyjechaliśmy z Zalasia. Wracaliśmy drogą na wieś Wejdę, skąd wyjechaliśmy na gościniec koło Łysych. Zimno było wracać; nie tylko że nie za gorąco było w paltocie jesiennym, ale i w futrze można byłoby jechać. Po godz. 9-tej przyjechaliśmy do Kolna.

2 czerwca, rok 1918, niedziela
Dzień zimny z przenikliwym świszczącym wiatrem, jak w jesieni. Podobno nad ranem był szron. Niebo ma zimny ton barwy, chmury – śniegowe. Wczoraj wypadł grad, dziś także wśród deszczu ukazywały się drobne krupki gradu. Prawdziwa jesień nie – lato. Od paru już tygodni nie ma wcale gazet z Warszawy. Zecerzy strajkują i gazety nie wychodzą wcale. Przychodzą tylko gazety niemieckie i polskie poznańskie, a z gazet z Królestwa tylko „Godzina Polski” w wydaniu łódzkim. Ja otrzymuję też moje gazety wileńskie – „Lietuvos Aidas”, „Darbo Balsas” i „Homan”. W ubiegłym tygodniu ukazał się z Warszawy tzw. „Dziennik Wspólny”, który wydawać zaczęły na czas strajku zecerów zjednoczone redakcje wszystkich dzienników warszawskich jako pismo zastępujące prowizorycznie wszystkie inne dzienniki. Pismo składają i drukują sami redaktorzy i właściciele drukarń warszawskich bez udziału robotników.
Z pisma tego dowiedzieliśmy się między innymi o rozwiązaniu przez Niemców I korpusu polskiego generała Dowbora-Muśnickiego, stojącego w Bobrujsku i zajmującego na zasadzie układu z Niemcami terytorium na Białej Rusi między Dnieprem i Berezyną. Przyczyna rozwiązania ta, że korpus ten, nie posiadając własnego skarbu ani też zapasów żywności, gnębił kraj i ludność rekwizycjami, by się utrzymać. Tak więc i ten, zdawało się, ostatni mocny związek przyszłej armii polskiej, rozsypuje się w gruzy, jak wszystkie inne dotychczasowe formacje, chociaż z innych przyczyn. Okazało się, że to wydzielenie autonomicznego terytorium dla samorządnego zawiązku wojska polskiego na dalekich kresach okupacji niemieckiej, w którym aktywiści polscy pokładali duże nadzieje – chybiło. Rzeczywiście to wojsko stało się tam dotkliwym ciężarem dla kraju i ludności; gospodarczo było ono pasożytem, niszczącym kraj; pod względem narodowym wywoływało ono ciągłe gwałtowne protesty Białorusinów, którzy oddanie części Białej Rusi w ręce wojska polskiego uważali za zamach na ich narodowość i obawiali się w tym fakcie precedensu i podniety dla aneksyjnych dążeń polskich; wreszcie pod względem społecznym korpus Dowbora-Muśnickiego miał wybitny charakter antyrewolucyjny i przeciwludowy; był on pono bardziej narzędziem policyjnym klasowych interesów obszarnicko-szlacheckich, niż jakimś wyrazem zbrojnym idei niepodległościowej, choćby tylko polskiej. Całe dzieje i czyny tego korpusu były od początku do końca zaprawione tym antyrewolucyjnym społecznym pierwiastkiem zarówno w poprzednich jego stosunkach z bolszewikami, jak w zarządzeniach późniejszych po ugodzie jego z Niemcami. Był on stekiem i schroniskiem wstecznictwa, formacją swojskiej polskiej „czarnej seciny”, rzecznikiem interesów społeczno-klasowych. Dzieje jego, acz rozdmuchane do pozorów bohaterstwa narodowego w poszczególnych epizodach brawurowych czynów, dalekie są od sławy szlachetnego rycerstwa. Była to raczej banda kondotierów na usługach interesów klasowych. Zostawi on po sobie smutną zapewne pamięć u ludu białoruskiego i nie przysporzy laurów chwały imieniu polskiemu. Daleki on jest od tych ideałów, które opromieniały szarych strzelców Piłsudskiego. Nie ma braterstwa między tymi dwoma zasadniczo różnymi formacjami – powstańczo-niepodległościową i policyjno-kontrrewolucyjną. Była chwila, że ja sam się łudziłem co do wartości tego korpusu

Dowbora-Muśnickiego, chociaż zawsze wyczuwałem instynktem jego rolę społecznie wsteczną.

3 czerwca, rok 1918, poniedziałek
Chłody doprowadziły do niepospolitego zjawiska – śniegu w czerwcu. Rano o świcie obudziłem się i ze zdumieniem ujrzałem dachy pokryte śniegiem i białe plamy śniegu na ziemi. Obudziłem Stefusia, żeby mu tę osobliwość pokazać. Śniegu jeszcze leżało sporo, ale były to już tylko resztki. Jak słyszałem od ludzi, którzy oglądali to zjawisko przed świtem, śniegu wypadło tak dużo, że było go aż po kostki. Śnieg w dniu 3 czerwca – to zaiste rzecz nadzwyczajna, którą pierwszy raz w życiu oglądałem. Ze słyszenia tylko wiem od Papy, że w naszym klimacie, choć bardzo rzadko, zdarzają się podobne zjawiska: Papa pamięta przed laty śnieg (bodaj nawet zawieję śnieżną) – w d. 5 sierpnia (starego stylu). Aż do godz. 9 rano śnieg miejscami w cieniu się trzymał. Cały dzień był zimny i wietrzny. Słońce, o ile wyzierało zza chmur, świeciło blado, jak w grudniu. Barwa zachmurzonego nieba posępna i zimna, jak w listopadzie. Osobliwy czerwiec. Podobno śnieg dzisiejszy nałamał dużo żyta.
W sądzie miałem sporo roboty. Była jedna Rada familijna i badanie świadków i nieletnich oskarżonych w śledztwie w sprawie kradzieży nocnej skór u niejakiego Moszka Szklaniewicza w Kolnie. Poza tym wpłynęło kilka nowych spraw do sądu. Dopływ spraw, jak widać, nie ustaje. Jeżeli tak będzie szło dalej – namnoży się dużo zaległości w lipcu i sierpniu, które potem trzeba będzie bardzo forsownie na jesieni odrabiać. W lipcu bowiem i sierpniu, w roboczy czas sianokosu i żniw trzeba z konieczności robić dłuższe przerwy między sesjami: niepodobna bowiem w tym czasie włóczyć ludzi ze wsi do sądu. Toteż od 5 lipca do mniej więcej 20 sierpnia sesji sądowych prawie że nie będzie; w tym czasie urządzę nie więcej, niż dwie sesje i to tylko do spraw albo miejskich albo takich, w których nie ma wcale świadków.
Na froncie zachodnim we Francji nowy od kilku dni wielki etap ofensywy niemieckiej. Tym razem linia natarcia ciągnie się od Soissons do Reims i skierowana jest na południowy zachód na rzekę Marnę, czyli na drogi do Paryża. Na pewnym odcinku wojska niemieckie po przełamaniu frontu już stanęły nad Marną. Dosięgły więc znowu punktu, do którego doszły w pierwszej wielkiej ofensywie r. 1914, skąd cofnięte zostały po walnym zwycięstwie Joffre'a nad Marną. Oczywiście daleko stąd jeszcze od wniosków o zdobyciu Paryża. Ale gdyby to nawet nastąpiło, nie będzie to ani kresem wojny, ani zwycięstwem przesądzającym wynik katastrofy. Byłby to tylko wspaniały efekt siły i wielki sukces polityczny, ale ani gospodarczo, ani strategicznie nie stanowiłby momentu stanowczego i przełomowego. Wzgląd zaś strategiczny i gospodarczy ma znaczenie największe. Strategicznie najdonioślejszym ewentualnie momentem byłoby zdobycie nie Paryża, lecz Calais.

4 czerwca, rok 1918, wtorek
Zimno tak przenikliwe, jak może być tylko w październiku lub listopadzie. Zdaje się, że uchybiam nawet październikowi, zestawiając z nim czas obecny w czerwcu, bo październik w naszym klimacie bywa często ciepły i ładny. Przenikliwy mroźny wiatr północny dmie z wściekłością, wyjąc i studząc powietrze. Co to będzie z urodzajów po takich chłodach, które nastały po poprzedniej suszy i przymrozkach? Ludzie ze strachem mówią o głodzie. Do wszystkich klęsk wojny byłaby to plaga okropna. Wszyscy chodzą w paltach, a nieraz ubierają nawet kożuchy i futra, jeżeli się w drogę wybrać muszą. W czerwcu to rzecz niezwykła. Wielu też pali w piecach. W sądzie ruch dziś znowu duży, sprawy wpływają ciągle. Jedna dziś wpłynęła szczególnie ciekawa sprawa, polegająca na żądaniu zasądzenia od gminy Czerwone, względnie od jej

pełnomocnych przedstawicieli wynagrodzenia szkód i strat za zarekwirowaną przez władze niemieckie krowę. Niezależnie od zasadniczej kwestii o tym, czy ciężar straty z tytułu rekwizycji wojennej ma spadać indywidualnie na osobnika, u którego dokonano rekwizycji, czy też ma być rozłożony na ogół, to znaczy na jednostkę gminną, co u nas dotąd, zdaje się, przesądzone nie było zasadniczo, tak że rekwizycje spadały całym ciężarem na jednostki, których dotknęły przygodnie, a co w praktyce sądów francuskich po wojnie franko-pruskiej r. 1870 było rozstrzygane w kierunku solidarnej odpowiedzialności ogółu, niezależnie od tej kwestii w tym wypadku odpowiedzialność gminy czy też jej pełnomocników wypływa z tej zasady, że władze niemieckie same przed ostatnią rekwizycją zwróciły się do gmin z propozycją dostarczenia im pewnej określonej ilości żądanych do rekwizycji sztuk, zastrzegając, że w przeciwnym razie będą rekwirować same u poszczególnych gospodarzy. Niektóre gminy czy też wsie propozycję tę przyjęły i wydały żądaną ilość sztuk, rozkładając ciężar straty, powstałej z różnicy ceny rekwizycyjnej a ceny rynkowej na ogół, inne zaś odmówiły i tam wtedy stratę poniosły jednostki, u których krowy zarekwirowano. Kwestia będzie w tej sprawie i zasadniczo, i praktycznie co do ustalenia odpowiedzialności bardzo ciekawa. Szczegół: gospodarz Górski z Górszczyzny, który tę sprawę przeciwko gminie Czerwone wytoczył, jest nadzwyczajnie podobny z twarzy i wyrazu do Józefa Piłsudskiego.

5 czerwca, rok 1918, środa

Wiatr ustał, toteż powietrze się dziś ociepliło. Nie było już przynajmniej tego ostrego chłodu, który dokuczał w dniach ubiegłych.

W sądzie – sesja. Ławnicy – Stachelski i Kocik. Na wokandzie sprawy łatwe, ale miłe, bo czyste i przejrzyste, w których słuszność rzeczywista łączy się z prawem, a wygrana nie jest losem ciężkiej pracy myślowej, lecz sama się manifestuje z góry z faktów. Przed godz. 3 sesja się zakończyła.

Tzw. rada miejska Kolna, złożona z kilku radnych w równej liczbie z Żydów, jak chrześcijan, mianowanych przez naczelnika powiatu, który jest jednocześnie burmistrzem miasta, i służąca za organ doradcy wobec władz okupacyjnych, spełniających razem władze miejską, wybrała dziś dodatkowo dwóch kandydatów na ławników do sądu mojego. Jak już pisałem, Stachelski i Remba dawno już zostali wybrani, ale prezes Filochowski na moją prośbę zażądał od burmistrza Kolna wyboru jeszcze dwóch kandydatów. Ja z moje strony poufnie, za pośrednictwem Remby, który jest radnym miejskim, popierałem wybór Jerozolimskiego na jednego z ławników i na drugiego albo aptekarza Gołaszewskiego, albo Litwińskiego. Tymczasem żadnego z tych dwóch ostatnich nie wybrano, bo się okazało, że warunkiem wyboru jest dwuletnie zamieszkanie w mieście, a ani Gołaszewski, ani Litwiński warunkowi temu nie odpowiadają. Wybrano więc Jerozolimskiego i niejakiego Rainkę, człowieka starego, gospodarza z Kolna, jednego podobno z najuczciwszych i najszanowniejszych gospodarzy. Tak więc mój nowy kontyngens ławników jest już ukompletowany. Obecnie przedstawię prezesowi ostatecznie do zatwierdzenia listę tych, którzy mają być właściwymi ławnikami a którzy – zastępcami, i po zatwierdzeniu nowi ławnicy, rychło zapewne, zaczną już funkcjonować. Przypuszczam, że dziś była ostanie sesja z udziałem wychodzącego ławnika Kocika. W Łomży mam być pozajutro.

Znowu dziś sporo spraw wpłynęło. Ilość ich z dnia na dzień rośnie, coraz bardziej przerastając ilość spraw załatwianych.

Co do Stefusia, to dotychczas zachowuje się on wzorowo, bez zarzutu. Jedyna tylko rzecz, której nie mogę w nim przełamać, to niezaradność i bierność (brak inicjatywy). Stefuś daje co dzień po dwie godziny lekcji synowi Remby, którego uczy po polsku.

Będzie miał z tego pewien zarobek. Młody Remba jest zachwycony nauczaniem Stefusia.

6 czerwca, rok 1918, czwartek
Ruch spraw dziś bardzo wielki. Zresztą nic dziwnego, bo to czwartek, dzień targowy. Niezależnie od dopływu nowych spraw, miałem sporo bieżących rzeczy do załatwienia przed moim jutrzejszym wyjazdem do Łomży. Do sądu zgłaszali się interesanci z powództwami aż do wieczora. Jeszcze o godz. 7 wieczorem zgłosił się pewien Żyd Efrymowicz w celu wytoczenia powództwa wraz z żądaniem zabezpieczenia go, co wymagało natychmiastowego załatwienia – ku niezadowoleniu Miętkiewicza, zmuszonego do takiego extra przedłużenia godzin biurowych. W czasie załatwiania Efrymowicza przyszedł jeszcze jeden chłop z Ptaków w celu wytoczenia sprawy. Słyszałem z drugiego pokoju, jak Miętkiewicz sycząc ofukał go, wściekły na chłopa, a razem bojący się go zwymyślać głośno ze względu na mnie. Tego już musiałem odprawić, każąc mu przyjść innym razem, bo niepodobna było trzymać bez końca pracowników kancelarii dla fantazji chłopa, któremu się wcześniej przyjść do sądu nie chciało.
Ogółem w ciągu pierwszych sześciu dni czerwca wpłynęło do sądu więcej spraw, niż przez cały styczeń.
Krążą jakieś głuche pogłoski, gorączkowo od kilku dni rozpowszechniane, o jakimś rzekomo pogromie Niemców we Francji. To mówią, że Francuzi tylko odparli Niemców, to że okrążyli i odcięli te wojska niemieckie, które od Soissons i Reims posunęły się nad Marnę, to że Niemców całkiem już z Francji wyparto (*sic*!), co by oczywiście musiało być skutkiem jakiejś strasznej katastrofy. Jak zwykle, tak z pewnością i tym razem – góra zrodzi... mysz. Z tych nieprawdopodobnych gawęd wyłuska się tylko ziarno prawdy, że ofensywa niemiecka nad Marną stanęła lub może tylko zwolniła tempa. Nienawiść do Niemców i strach przed ich zwycięstwem – usposabiają ludzi do ogromnej łatwowierności w stosunku do wszelkich pogłosek o ich klęsce: pragną jej, więc wierzą każdej plotce.
Co będzie dalej z tą wojną, jakie jeszcze nas czekają niespodzianki i losy, jakie będą dalsze fazy rozkładu gospodarczego – nikt chyba przewidzieć nie może. W czwartym roku wojny jesteśmy chyba równie dalecy, jeżeli nie dalsi od jakichkolwiek widoków rozwiązania katastrofy, niż byliśmy w pierwszym. Z każdym miesiącem zamiast się upraszczać, zagadnienia się komplikują. Sam wschód, gdzie już niby formalnie wojna skończona, jest tego najlepszym przykładem. Nie mamy już do czynienia z czymś określonym, jaką była dawna Rosja, jeno z mgławicą jej rozkładu i kiełkowania tworów nowych w warunkach, ukształtowanych najdziwaczniej przez wojnę, rewolucję, ruchy narodowe i politykę niemiecką. Co do stanu gospodarczego, brniemy w jakieś fantastyczne niewiadome rzeczy. Jak dziś pospolite obuwie skórzane coraz bardziej ustępuje na rzecz drewnianego, a latem ludzie coraz powszechniej chodzą boso i w trepkach, tak za rok lub dwa lata zaczną z pewnością chodzić latem w bieliźnie, a może potem już nago, przynajmniej do pasa. I obuwie skórzane, i ubranie z sukna lub płótna staje się coraz większym zbytkiem. Przyjść jeszcze może czas, że, jak obecnie w Rosji, my, ludzie z inteligencji, jak sędziowie, urzędnicy, ziemianie itd. – będziemy zamiatać ulice i sprzedawać gazety na ulicy, jeżeli jeszcze to będzie nam dostępne. Katastrofa społeczna może być straszliwa. Oprócz ideowych pierwiastków może być w niej straszne rozpasanie hultajstwa, którego się w masie ludowej i w ogóle w całym społeczeństwie nabrało dużo. Demoralizacja się ciągle szerzy, męty rosną. W szczególności w Polsce uchodźcy wracający z Rosji mają w sobie dużo zarazków bolszewizmu i to, zdaje się, w najgorszej, bo czysto hultajskiej, koncepcji rewolucji.

Szerzy się bandytyzm i zbrodnia. A trzeba pamiętać, że ci, co wracają z Rosji, są przeważnie lichszym elementem, bo przeciętnie dzielniejsze elementy pozostały w kraju, a do Rosji uciekały mniej wartościowe. Te są już z natury na zarazek hultajstwa podatniejsze.

7 czerwca, rok 1918, piątek
Pojechałem do Łomży. Znów jak przeszłym razem przed miesiącem, skorzystałem z usług komornika sądowego Użarowskiego, z którym się jego koniem i bryczką zabrałem. Jazdę miałem oczywiście doskonałą, bo siedzenie wygodne i dobry koń. W niespełna trzy godziny przyjechałem do Łomży. Prezesa Filochowskiego, do którego miałem kilka pilnych interesów, nie zastałem: pojechał do Zambrowa na wizytację miejscowego sądu pokoju. Zresztą stosunki w Sądzie Okręgowym są takie, że w sprawach, dotyczących właściwości prezesa, więcej i skuteczniej można wszystko załatwić przez sekretarza prezesa, Stambrowicza, niż bezpośrednio przez samego prezesa. Faktycznie nie prezes, lecz Stambrowicz jest wszystkim; chcąc, aby coś było załatwione, trzeba udawać się do niego. Prezes Filochowski jako administrator jest do niczego; nie tylko że jest słaby i miękki, który pozornie przy rozmowie na wszystko się zgadza, ale na którego słowo nigdy liczyć nie można, raz dlatego, że o wszystkim zapomina, a po wtóre dlatego, że po rozmowie z kimś innym zmieni zdanie i załatwi rzecz wręcz przeciwnie, niż było poprzednio omówione, ale jest również niesystematyczny i niezdolny do czynności administratora. Na skutek tego cały tryb funkcjonowania Sądu Okręgowego jest chaotyczny i niezdarny. Zarówno sędziowie, jak prokuratura – są w rozpaczy z powodu niedołęstwa prezesa, bo wszystkie wydziały przez to kuleją. Kancelaria zaś Sądu Okręgowego jest wyrazem niedołęstwa biurokratycznego w stopniu najwyższym. Do nas, do sądów pokoju, nasyła Sąd Okręgowy niezliczoną ilość „okólników", przeważnie odpisów okólników ministerium i prokuratora Sądu Apelacyjnego: okólniki te są często zupełnie martwe dla naszej praktycznej działalności, schematyczne i rzeczywiście ogólnikowe. W niektórych miesiącach sypie się na nas prawdziwa powódź tych okólników. Natomiast w aktualnych kwestiach bieżących, w najżywszych konkretnych zagadnieniach bieżących potrzeb, kiedy musimy się zwrócić o coś do Sądu Okręgowego – nie można się doczekać żadnego rozwiązania. Można miesiącami pisać, szturmować, przypominać – bez żadnego skutku. Najdrobniejszej aktualnej rzeczy nie można załatwić inaczej, jak w drodze osobistych i bezpośrednich starań; dopiero gdy się pojedzie samemu do Łomży, pochodzi, pokołacze, uprosi Stambrowicza, aby koniecznie rzecz jakąś załatwić, dopiero wtedy będzie jakiś skutek. Takich zaległych pilnych kwestii aktualnych miałem dziś kilka; wśród nich najpilniejszą była sprawa ustalenia i wypłaty komornego za lokal mojego sądu w Kolnie, sprawa, która się wlecze od pierwszego miesiąca funkcjonowania sądu pokoju, sprawa, która się już stała zmorą dla mnie do tego stopnia, że już mi wstyd gospodarza domu, w którym mieści się ten lokal, bo nie wiem już, czym wobec niego tłumaczyć tę coraz dalszą i niczym już wreszcie nieusprawiedliwioną zwłokę.
Od prokuratora Urbanowicza przy obiedzie dowiedziałem się o tym, że Sąd Okręgowy, uchwałą ogólnego zebrania wydelegował mię na lipiec do zastępstwa w Szczuczynie sędziego śledczego Wajchta, któremu udzielony został urlop. Okrąg śledczy Wajchta obejmuje dwa powiaty – szczuczyński i kolneński z siedzibą w Szczuczynie. Zastępstwo moje ma trwać od 4 do 31 lipca. Ponieważ sędzią pokoju w Szczuczynie jest Rogowski, nie prawnik, więc jemu nie zdecydowano się polecić zastępstwa i wydelegowano mnie; roboty śledczej jest w Szczuczynie u Wajchta huk: na 1 czerwca było 90 zaległych śledztw, nie licząc ciągłego dopływu nowych, i coraz więcej

przybywa, niż się wykańcza, mimo że Wajcht pracuje jak wół i jest najlepszym sędzią śledczym w całym okręgu łomżyńskim i mimo że na zasadzie przepisów przechodnich drobniejsze śledztwa są przekazywane sędziom pokoju. Wiadomość ta nie ucieszyła mię bynajmniej. Nie jestem amatorem śledztw i szczególnie nie lubię przerzucania się dorywczego od jednej roboty do innej. Pomimo że materialne warunki wynagrodzenia będę miał bardzo dobre (po 20 marek dziennie diet, oprócz stałej moje pensji) – byłem niezadowolony moralnie. Żal mi odrywać się choć na parę tygodni od ciągłości mojej pracy w Kolnie w sądzie pokoju. Dobrze jeszcze, że to będzie w lipcu, kiedy będzie dłuższa przerwa w sesjach sądowych. Od 5 lipca bowiem do końca tegoż miesiąca będzie u mnie w Kolnie tylko jedna sesja sądowa w dniu 24 lipca, na którą będę mógł przyjechać ze Szczuczyna, bo nie chcę spuszczać sesji na ławników. Porozumiem się zaś poprzednio z Wajchtem, aby objąć zastępstwo nie od 4-tego, lecz od 6-tego lipca, aby nie opuścić też sesji karnej w Kolnie w d. 5 lipca. W Kolnie do bieżących czynności w sądzie pokoju zastąpi mię ławnik Stachelski, mój urzędowy zastępca.

8 czerwca, rok 1918, sobota
Miałem w Łomży przenocować i wrócić do Kolna dzisiaj, albo furmanką, gdyby się z okazji nadarzyła, albo, jeżeli nie – piechotą. Tymczasem spotkałem się wieczorem w cukierni z Litwińskim, który wracał właśnie do Kolna i już znalazł sobie jakąś furmankę. Postanowiłem się z nim zabrać. Była godz. 10, gdyśmy wyjechali z Łomży; przez most na Narwi przejechaliśmy w kilka minut po 10-tej, to znaczy już po godzinie przepisowej (przejeżdżać przez most pozwolono latem do godz. 10, w innych porach roku – do 9-tej), ale warta nas jeszcze przepuściła. Niezbyt było wygodnie jechać, bo siedzieliśmy z Litwińskim na pakach z towarem, który on wiózł z Warszawy. Ale w obecnych czasach wszelka podróż jest dobra, byle było na czym jechać. Dojechaliśmy do Kolna szczęśliwie, co w teraźniejszych czasach nie jest rzeczą zupełnie bezpieczną, zwłaszcza gdy trzeba przejeżdżać przez lasy. Bandytyzm i napady różnego rodzaju, które były się pod rządami okupacji zmniejszyły, teraz znów stają się coraz pospolitsze w Królestwie, a gubernia łomżyńska zdaje się trzymać prym pod tym względem. Po lasach błąkają się jeńcy rosyjscy, uciekający z niewoli z Niemiec, grasują ukrywający się od żandarmów różni złoczyńcy, wreszcie powracający z Rosji uchodźcy, zarażeni hultajstwem, dostarczają elementu bandyckiego. Powiat mazowiecki ma szczególną pod tym względem złą sławę, ale i w kolneńskim wypadki się zdarzają, zwłaszcza w jego części południowej i wschodniej. Przejeżdżając przez las, a szczególnie w nocy, trzeba być przygotowanym na przygody. Dzięki Bogu – nic złego nas nie spotkało. Koniki wlokły się powoli. Jazda trwała akurat całą noc, od zmroku do świtu. Przyjechaliśmy do Kolna już za dnia, koło godz. 3 nad ranem. Przez cały dzień czułem się zmęczony i ociężały po niewyspanej nocy.
Nasłuchałem się w Łomży wzorków „jurysprudencji” naszych wiejskich sądów pokoju, na których czele stoją sędziowie nie-prawnicy, często ziemianie, pełniący ten urząd ubocznie wespół z gronem ławników, ciemnych chłopów. Oto np. w Szczuczynie sędzia Rogowski, człowiek z długoletnią praktyką sędziowską, który chociaż nie-prawnik, dzięki tej praktyce zostawiony został na urzędzie sędziowskim w mieście powiatowym z hipoteką, gdzie pełni ten urząd nie ubocznie, zasądza na rzecz powoda 600 marek, w sprawie, w której powództwo było wytoczone o 400 marek! Oto znowu w Granowie powiatu szczuczyńskiego, gdzie sędzią jest niejaki p. Przyjemski, ziemianin, który o prawie pojęcia nie ma, pracy sędziowskiej nie lubi, przyjął urząd niemal z łaski, bo innego kandydata nie było, i który do sądu zagląda raz na miesiąc, tak że cała działalność sądu opiera się na sekretarzu, młodym 20-letnim chłopcu, uprawiającym proceder pokątnej adwokatury i na kilku ciemnych ławnikach chłopach, którzy sądzą

nie podług prawa, lecz podług swego widzimisię i kaprysu, w sprawie, w której żona oskarżyła męża o pobicie, sąd skazuje na areszt zarówno oskarżonego, jak oskarżycielkę (*sic*!), wyrok się uprawomocnia i skazani wędrują do kozy. Oto znów w Rajgrodzie sędzia Jagodziński, słysząc, że w praktyce sądów pokoju zalecane są układy pojednawcze i że ilość tychże ma świadczyć o dobrym wpływie sądownictwa pokoju, a nie mając pojęcia o prawie i o rozstrzygnięciu sporów sądowych, postawił sobie za cel wyłączny działalności sędziowskiej – godzenie powaśnionych stron. Zabiera się do tego tak gorliwie, że niemal gwałtem, nie tylko namową, ale groźbą i przymusem moralnym – wszystkie niemal sprawy doprowadza do „pojednania". Oczywiście są to pojednania sztuczne, nie odpowiadające woli stron, wymuszone; ludność jest niezadowolona, szemrze na taką pacyfistyczną metodę sędziego, sędzia zaś się szczyci wielką ilością „układów pojednawczych" w praktyce jego sądu; faktycznie ludność, należąca do rewiru takiego sądu, jest pozbawiona wymiaru sprawiedliwości. Zaiste sądy pokoju wiejskie z sędziami nie prawnikami – są złą karykaturą sądownictwa, w której ani prawo, ani sprawiedliwość nie znajdują zastosowania. Błogosławione są też okręgi, które należą do sądów z sędziami prawnikami.

9 czerwca, rok 1918, niedziela
Jak zawsze w niedziele, tak i dzisiaj, wyznaczałem na wokandy sprawy, które się uzbierały z tygodnia. Spraw tych miałem do wyznaczenia 21, podczas gdy rozstrzygniętych w tygodniu ubiegłym było – osiem. Tak więc nadwyżka zaległości z tygodnia wynosi 13 spraw. W tych tygodniach, w których było po dwie sesje, nadwyżka bywała mniejsza, ale w każdym razie istnieje ona stale już od wielu tygodni.
Stefusia nie było dziś w domu: poszedł z rana z Miętkiewiczem z wędkami na ryby do Wincenty, do rzeki Pissy. Wrócił dopiero po godz. 11 wieczór, ale – bez ryb, bo nic nie złapali. Miał za to dobrą przechadzkę.
Mój dzień zeszedł bezbarwnie, jak zazwyczaj w niedzielę.

10 czerwca, rok 1918, poniedziałek
Ogromny ciągle nawał nowych spraw w sądzie. Tak oto dzisiaj wpłynęło od razu dwieięć spraw, w tej liczbie trzy opozycje na wyroki zaoczne, cztery powództwa cywilne i dwie skargi karne, z których jedna należy do publicznego oskarżenia (niejaki Icek Milkiewicz oskarżył Icka Baranowicza, częstego gościa w sądzie, o oszustwo). Ponieważ wokandy w zgęszczonych sesjach w końcu czerwca i pierwszych dniach lipca są już prawie zapełnione, więc zmuszony będę niektóre sprawy wyznaczać już na sierpień. Jeżeli tak dalej pójdzie, to sierpień i wrzesień będą przeładowane sesjami. Nie przykrzę sobie bynajmniej tego wzrostu spraw. Przeciwnie – im więcej mam roboty, tym się bardziej z tego cieszę. Jeszcze *maximum* możliwe – nie jest osiągnięte ani tym mniej przekroczone.
Czy ten wzrost ruchu sądowego świadczy o pewnej tendencji życia gospodarczego do ustatkowania się, czy jest rezultatem zjawiska wręcz przeciwnego – mianowicie zakłócenia stosunków przez masowy powrót uchodźców, czy wyrazem zwiększającego się zaufania ludności do sądów polskich, a może do sprawiedliwości sędziego w Kolnie? Trudno to określić. Działają pewne różne przyczyny. W szczególności moja coraz wzrastająca popularność wpływa też niewątpliwie na podniesienie autorytetu sądu w Kolnie. Ludzie zwracają się do mojego sądu z prawdziwym zaufaniem, z przekonaniem o istotnym wymiarze sprawiedliwości, który u mnie znajdą. Daje mi to duże zadowolenie. Wiem, że ludzie, zmuszeni wytoczyć sprawę w sądzie w Stawiskach, szukają różnych sposobów, by móc znaleźć uzasadnienie do wytoczenia powództwa w Kolnie, czasem nawet wyrzekają się zupełnie prowadzenia sprawy, o ile nie może być

ona w Kolnie prowadzona. Ta wprawa sędziowska, którą tu nabywam, połączona z moim naturalnym uzdolnieniem do prawniczego myślenia i moją niezłomną bezstronnością postępowania – to dla mnie nie tylko zadowolenie w teraźniejszości jako nagroda sumiennej pracy, ale i nauka dla ewentualnej działalności przyszłej na Litwie. Będzie to może kapitałem dla mnie, nie tylko materialnym, ale i moralnym na przyszłość. Praca w Kolnie – to nakład produkcyjny dla przyszłości.

11 czerwca, rok 1918, wtorek
Po nadzwyczajnie ruchliwym w sądzie dniu wczorajszym, który co do ilości wpływu spraw bodaj że pobił rekord całej dotychczasowej praktyki mego sądu, dziś wypadł dzień zupełnie martwy. Wprawdzie wpłynęły dwie sprawy – jedno powództwo zaprotokołowane i jedna rekwizycja sądu pokoju w Stawiskach o zbadanie świadka – to jednak poza tym była przez cały dzień w sądzie pustka przeraźliwa, jak w dni najbardziej martwego sezonu w styczniu. I ja, i kancelaria siedzieliśmy bez pracy, jak bałwany, bo i żadnych zaległości bieżących nie było. Nuda jest wtedy wielka w sądzie; wszyscy siedzą senni, bez ruchu i w pustce, jeżeli nawet rozmawiają – słowa padają przyciszone, jak gdyby coś zmuszało do uszanowania ciszy, właściwej pustce. Ot – czasem się taki martwy dzień trafi.
Wieczorem – Kolno, a zwłaszcza dzielnica „Świńskiego Rynku”, w której mieszkam, była zelektryzowana sensacją widowiska: było to wesele żydowskie; żenił się młody Josel Burak, syn Berka, jeden ze znanych obywateli Kolna; ponieważ panna, z którą żenił, chociaż podobno bogata, nie ma rodziców i domu, więc ślub i pierwsza część uroczystości weselnej odbywały się w wynajętym w tym celu lokalu piwiarni Mintzowej, obok domu, w którym mieszkam. Od godz. 6-7 wieczorem tłumy młodzieży żydowskiej płci żeńskiej, a zwłaszcza całe morze ruchome dzieci zaczęło się gromadzić przed domem Mintzowej na placu, by się przyjrzeć uroczystości. W mieścinie jak Kolno wesele jest widowiskiem publicznym. U Mintzowej rzępoliła muzyka, złożona z fletu i skrzypiec. Pod jej dźwięki szły w izbie wśród tłoku młodzieży i nieustającego hałaśliwego szwargotu, właściwego Żydom, tany, w których uczestniczyły same dziewczęta, bez chłopców. Sam obrządek ślubny odbył się koło godz. 10-tej. Nie widziałem go, bo dokonany został, zdaje się, w sieni domu Mintzowej. Po ślubie wśród strzelających rakiet świetlnych grono z orszaku weselnego zapaliło świeczki przed domem Mintzowej i w aureoli płonących ogni świec odprowadziło parę młodą do domu nowożeńca, gdzie się miała odbyć druga część zabawy weselnej z ucztą i obrządkiem zwyczaju.

12 czerwca, rok 1918, środa
Znowu dzień bez żadnego ruchu w sądzie. Nie wytoczono żadnej sprawy. Te dwa dni martwe, wczorajszy i dzisiejszy, może wskazują na rozpoczęcie się sezonu zastoju letniego w sądzie. Przyszły one tak nagle po okresie niezwykle ożywionego ruchu, jakby się nagle coś ucięło. Wprawdzie w rolnictwie jest teraz okres przerwy w robotach polowych, okres między zasiewami wiosennymi i sadzeniem kartofli a letnim sianokosem, ale w tych stronach w tym czasie nastaje inna robota – kopanie torfu na opał zimowy; otóż w Kolnie kopanie torfu właśnie się w tych dniach rozpoczęło i ono to może wpływa na sezon martwy w sądzie. Zresztą zobaczymy, co następne dni przyniosą.
Nudno jest w sądzie, gdy nie ma dopływu spraw, ale z drugiej strony tak dużo się już spraw zaległych nagromadziło, że nie zaszkodzi, gdy tempo dopływu na jakiś czas się zwolni; w przeciwnym razie bowiem nastąpi przeładowanie, z którym trudno się będzie uporać, szczególnie wobec przerwy w sesjach w lipcu.

Stefuś znowu się dziś wybrał z Miętkiewiczem na ryby do rzeczki Skrody. Dwie poprzednie ich próby rybołówstwa były tak niefortunne, że gdy się dziś wybierał, kpiłem z niego, że może z Miętkiewiczem z równym skutkiem usiąść w kancelarii i zapuścić wędkę do kałamarza albo siąść na bruku i zapuścić ją do rynsztoku: z pewnością nie więcej, ale i nie mniej ryb złowi. Tymczasem tym razem Stefuś zadał kłam moim żartom: wrócił wieczorem, przynosząc koło funta rybek; były to wprawdzie drobne rybki, płotki, ale usmażone na maśle – smakowały nam na kolację wybornie.

Michał Römer
sędzia pokoju w Kolnie
Kolno, 12.VI.1918.